

A woman with her hair in a bun, wearing a blue historical dress with a high collar and long sleeves, stands in a doorway. She is looking out to the right. The doorway is framed by dark wood, and the background is a bright, slightly blurred interior. The lighting is dramatic, highlighting the woman's profile and the texture of her dress.

KATARZYNA  
DROGA

KOBIETA  
KTÓRĄ POKOCHAŁ  
MARSZAŁEK

Opowieść o Oli Piłsudskiej

KATARZYNA  
DROGA

KOBIETA  
KTÓRĄ POKOCHAŁ  
MARSZAŁEK

OPOWIEŚĆ O OLI PIŁSUDSKIEJ

**znak** *litera  
nova*

KRAKÓW 2018

*Dedykacja*

*Miała odwagę być kobietą niezależną. W czasach kiedy walka była sprawą mężczyzn, walczyła jak mężczyzna. Przemycala broń, szyfrowała wiadomości, brała udział w zamachach. Zapamiętano ją jednak przede wszystkim jako żonę marszałka Piłsudskiego, a odzyskanie wolności kraju jako sukces mężczyzn. Czas nanieść korektę na to przekonanie, bo polskie kobiety miały wielki wkład w dzieło niepodległości.*

*Książkę poświęcam Aleksandrze Piłsudskiej i Polkom walczącym sto lat temu o nasze dzisiaj, z podziękowaniem za to, że mogę napisać ją po polsku.*

*Katarzyna Droga*

## ROZDZIAŁ 1

### ■ WRZESIENIE 1908, LITWA

Na małej stacji kolejowej nieopodal Wilna znużeni pasażerowie czekali na pociąg. Było ich tu całkiem sporo jak na późny wrześnieowy wieczór. Po peronie przechadzała się dama w kapeluszu i rdzawej podróżnej pelerynie. Druga, towarzysząca jej, z solidnym sakwojazem, niecierpliwie stuknęła obcasem w trotuar. Młody mężczyzna w granatowym szynelu flirtował z ładną Żydówką, na ławce chrapał spity w gnatał jegomość, a dwaj panowie w kaszkietach zagadali się o polityce. Czas płynął sennie. Pociąg miał wjechać na stację o jedenastej. Wskazówka zegara zawieszona na budynku dworca powoli zbliżała się do tej godziny.

O właściwym czasie rozległ się gwizd lokomotywy i dwa snopy światła przecięły mrok. Pociąg carski do Petersburga, przewożący w wagonie pocztowym srebro i ruble z podatków w Królestwie, wtaczał się leniwie na stację. Panie ruszyły ku torom, pijak, nagle całkiem trzeźwy, żwawo zerwał się z ławki i wyciągnął rewolwer. Na peronie huknął potężny strzał, jakby na znak. Od tej chwili sprawy potoczyły się błyskawicznie.

Kilkunastu uzbrojonych mężczyzn otoczyło pociąg. Wśród nich domniemany pijak, obok flirciarz z bronią wycelowaną w wagony. Padają strzały, ludzi ogarnia panika, rzucają się do ucieczki.

– Sza! Sza! Nikomu nic się nie stanie – krzyczy spiskowiec do przestraszonych podróżnych. Mężczyźni w kaszkietach odpalają petardy. W tym samym momencie jacyś dwaj jegomości wychylają się z okien pociągu i otwierają ogień z mauzerów. Mierzą w uciekających żandarmów, którzy winni ochraniać skład. Rozbity telefon i telegraf, przecięte druty, zgrzyt semaforów. Skład hamuje gwałtownie, kilku zamachowców przyjechało w pociąg, widać zaciągnęły hamulce. Huk eksplozji w jednym z wagonów niemal ogłuszył wszystkich. Dźwięk tłuczonego szkła zmieszał się z krzykiem kobiet, wybuch ze strzałami z karabinów. Światła w pociągu zgasły. Przedziały wypełniły się dymem, zamajaczyły w nim postacie.

Po wąskim korytarzu wagonu biegł ku zamachowcom mężczyzna z karabinem.

– Kto idiota? Kto idiota? – krzyknął w jego stronę dowódca akcji, lecz ten nie odpowiedział, nie słyszał ogłuszony hałasem. Jeden z napastników skierował ku niemu broń, ale szef, wiedziony intuicją, położył dłoń na jego broni i powstrzymał strzał.

– Kto idiota? – powtórzył pytanie.

– Komuniści! – odkrzyknął wreszcie ochrypliły mężczyzna. Odetchnęli z ulgą. Znał odzew, znaczy – swój. Był już na tyle blisko, że go rozpoznali.

– Omal cię nie zabiliśmy, Lutze-Birk! – rzucił dowódca, kiedy dym się przerzedził i już dało się rozpoznać twarz kolegi, przystojnego trzydziestolatka, specjalisty od pirotechniki. – Co u was?

– Nie udało się wysadzić szyn – odpowiedział zmartwiony Birk. – Pociąg zatrzymał się dalej, niż obliczyłem. Ale sterroryzowaliśmy obsługę! – dodał z łobuzerskim uśmiechem, skubiąc imponujący wąs.

Pieniądze i srebro wciąż tkwiły w pocztowym. Kolejny wybuch rozwalił ścianę i zamachowcy wpadli do środka, ale dostępu do skarbu broniły jeszcze pancerne drzwi i zamknięci za nimi uzbrojeni konwojenci. Nie mieli już więcej bomb, ani jednej. Dowódca zdecydował się na błąd:

– Wychodzić – krzyczał po rosyjsku. – Otwierać, a to wysadzimy wsio\*, z wami i z nami! Liczę do dziesięciu...

Na „siedem” otworzyły się drzwi, rosyjscy konwojenci wyszli z rękami nad głową. Droga do skarbcza była wolna.

– Szybko, szybko! – poganiali się zamachowcy, segregując paczki z banknotami i srebrem oraz cenne rosyjskie księgi o taktyce wojskowej. Ostry dźwięk trąbki wezwał do odwrotu. Koniec akcji, za chwilę na peron wjeżdżał następny pociąg. Była godzina 11.45.

Spiskowcy spakowali pieniądze do worków, rozdzielając łup między siebie. W biegu dopadli przygotowanych powozów i popędzili w różne strony: w las, do zaprzyjaźnionych dworów, inni łodzią po rzece Wilii w kierunku Kowna. Na dworcu zostało pobojowisko, szkło z wybitych szyb, puste kasety, obrabowany wagon i przestraszone damy. Kilku rannych, jeden rosyjski trup. Świat ucichł, zapadała fioletowa noc. Po napastnikach nie było śladu, podobnie jak po rublach, srebrze, złocie i papierach wartościowych. Nigdy nie dojechały do Petersburga, bo przejęły je polscy spiskowcy.

Wszystko to rozegrało się w ciągu zaledwie czterdziestu pięciu minut w nocy 26 września 1908 roku w małej miejscowości Bezdany, kilkanaście kilometrów od Wilna. Kwadrans potem, w lesie ciemnym i gęstym jak przystało na litewski bór, dylizans z dowódcą akcji i jego towarzyszem Momentowiczem dojechał do domku letniskowego w Jedlince, gdzie wyglądała go w napięciu młoda kobieta. Druga, w sąsiednich Borkach, czekała na pozostałych zamachowców. Obie niespokojne o powodzenie akcji, w której odegrały ważną rolę, chociaż w kluczowym momencie przypadło im w udziale niecierpliwie oczekiwanie na mężczyzn. To one wykonały niezbędną robotę: przygotowały plany, szczegółowe mapy terenu, kryjówki na łup, broń i kwatery.

Młoda, szczupła brunetka o ciemnych oczach wpatrzona w okno chaty w Jedlince ujrzała wreszcie ruch przy bramie. Chwyciła poły sukni i pobiegła ku powozowi. Mężczyźni zeskoczyli na ziemię. Wąsaty dowódca uśmiechnął się do niej z triumfem. Spotkały się ich spojrzenia, a w oczach zalśnił błysk porozumienia. Pojęła, że akcja się powiodła, teraz muszą ukryć zdobycz i uciekać.

W żadnych późniejszych relacjach nie wspomniano, czy tych dwoje przywitało się uściskiem, pocałunkiem, czy też może wcale nie okazywali sobie uczuć przy kompanach, ale wiadomo na pewno, że kobietą była młoda Aleksandra Szczerbińska, a mężczyzną Józef Piłsudski, zwany przez przyjaciół i rodzinę Ziukiem, tak jak ona Olą.

Ola miała lat dwadzieścia sześć, Ziuk czterdzieści jeden. On miał za sobą zsyłkę na Sybir, a w owym czasie cieszył się już znaczącą pozycją charyzmatycznego wodza polskiej konspiracji. Ona miała młodzieńczy entuzjazm, doświadczenie w oddziałach bojowych PPS i tworzeniu sieci składów broni, zdążyła też na krótko trafić do więzienia. W czasie akcji bezdańskiej łączyło ich już coś więcej niż wspólna walka w konspiracji; koledzy mówili o niej „dziewczyna Ziuka”. Powściągliwi historycy ujmą to w późniejszych opracowaniach zdaniem: „byli już zaprzyjaźnieni”. Z całą pewnością tak, przyjaźń była to gorąca, uczucie mocno scementowane wspólnym pragnieniem – wręcz obsesyjnym marzeniem o wolnej ojczyźnie. Wprawdzie w roku 1908 niepodległa Polska ciągle pozostawała ułudą szaleńców, wspomnieniem budzącym nostalgię i wywołującym łzy, tej nocy w Jedlince musieli jednak być szczęśliwi. Oto sukcesem zakończyła się najślynniejsza akcja polskich spiskowców początku dwudziestego wieku. Atak na carski pociąg w Bezdanach przyniósł ładny łup i mocno zagrał władzom na nerwach. Przed Olą i Ziukiem burzliwa przyszłość rysowała się pod znakiem miłości i walki. W tym ciemnym litewskim borze, kiedy przy blasku pochodni kopali doły, by ukryć część zdobyczy, nie mogli przewidzieć, że pokrętna droga zaprowadzi ich nie tylko ku wymarzonej wolności, lecz także do Belwederu. Mieli podążać tą drogą razem, choć i osobno.

\* *a to* (ros.) – w przeciwnym razie; *wsio* – wszystko

## ROZDZIAŁ 2

### ■ SUWAŁKI, DWA MIESIĄCE PÓŹNIEJ

– Dwieście tysięcy rubli, ciotko! Sztaby złota, worki srebra! Wszystko to pójdzie na broń, na szkolenie żołnierzy i, co najważniejsze, na wykup naszych ludzi z więzień. Z Cytadeli, z Sybiru, oczywista za łapówki! – Ola z apetytem zajadała gołąbki i zerkiała na sprzęty w rodzinnym domu, znajome, bliskie sercu, ale jakby mniejsze, niż zapamiętała. Siedziały z ciotką Marią w jadalni, tak dobrze znanej Oli z dzieciństwa. Siedem lat minęło, jak wyjechała z Suwałk, spokojnego gubernialnego miasteczka, w którym się urodziła i wychowała. Zawitała teraz do domu przy ulicy Krzywej pod numer 80, gdzie jak zawsze po kuchni kręciła się tęga Anusia, pachniało ciastem drożdżowym, a w saloniku na stole leżał tamborek do haftu i jak zwykle ciotka Maria z poważną miną, w okularach, z różańcem w ręku, słuchała jej i kręciła głową z niepokojem.

Ola Szczerbińska po dwóch miesiącach od zamachu wracała do Bezdan po resztę pieniędzy ukrytych w lasach Jedlinki. Wyruszyła ze Lwowa, gdzie teraz mieszkała, kierowała się na Wilno, lecz zdecydowała się zboczyć z drogi i zajrzeć do Suwałk, doszły ją bowiem wieści o chorobie ciotki. Maria Zahorska właściwie zastępowała jej matkę, nieodżałowaną Julię, która zmarła zbyt młodo przed piętnastu laty, zostawiając dzieci pod opieką siostry i głowy rodu – babci Karoliny. Cóż, teraz babcia już nie żyła, a siostry Oli porozjeżdżały się po świecie. Ciotka Maria pewnie czuła się samotna w domu przy Krzywej. Dawno się nie widziały, dawno też Ola nie gościła w Suwałkach. Wysiadała na dworcu z dziwnym uczuciem. Bliskie jej były te miejsca, ale zarazem już w jakiś sposób odległe. Chłodne powietrze zapowiadało rychłe nadejście zimy.

Nic tu się nie zmieniło – myślała, jadąc wolantem przez prospekt Petersburski, główną ulicę miasta – te same doły i kałuże, a przy prospekcie reprezentacyjne kamienice i znajome gmachy urzędów. Park w sercu miasta, piękny jak zawsze, chociaż ponury, ogołocony z liści, czeka już na zimę. Nie dziwne, skoro listopad. Gmachy przy ulicy Głównej te same, proszę, proszę, w domu pani Tyszkowej nowy sklep galanteryjny – „Wanda”. Wanda? Pewno to będzie sklep Wandzi Szokalskiej. I tu nowy szyld: „Kapelusze dla dam. Chrześcijański Magazyn Mód”. Czyżby modystka, pani Julia Czaplicka, wzięła się do handlu kapeluszami? Są jednak jakieś modernizacje. Ale cudny kryształowy krzyż błyszczy w słońcu na cerkwi zupełnie tak samo jak niegdyś! I dom babki, parterowy, drewniany, ustawiony frontem do ulicy, przywitał ją taki sam jak przed laty, z gankiem i sienią, z której po lewej wchodziło się do mieszkania Koców, po prawej do Zahorskich.

Ciotka Maria natomiast zmieniła się bardzo, wyraźnie się postarzała. Pokastywała, więc być może to choroba dodała jej lat. Spojrzenie szarych oczu przygasło. Jedno, co nie zmieniło się wcale, to łagodny głos. I troska o siostrzenicę, o jej zdrowie, tak fizyczne, jak i moralne. Udział w akcji z mężczyznami z bronią w ręku! W ogóle to zamiłowanie Oli do broni przerażało ciotkę, a jeszcze eskapady nocą, ucieczki, krycie się po lasach. Uczestnictwo w napadach, rabowanie pociągów, banków! Nie obawiała się o etyczną stronę sprawy, patriotyzm bowiem rozgrzeszał wiele, wiadomo, że dla ojczyzny trzeba działać i siłą, i podstępem. Ale przecież Ola była kobietą, panną. Liczyła już dwadzieścia sześć lat! Maria miała jasno określone poglądy na ten temat: zajęciem niewiast patriotek było wspomaganie partyzantów; kwesty, to owszem, dzielenie się własnym majątkiem ze spiskowcami – a jakże, opatrywanie rannych – tak, i nade wszystko modlitwa, ale reszta to sprawa mężczyzn. Kobieta uczciwa winna wyjść za mąż i strzec domowego ogniska, wychowywać dzieci w miłości do utraconej ojczyzny. Kropka. Czy nie

o tym pisał biskup Łętowski w zacnej książce *Nauka poznawania ludzi*? Niewiasta jest istotą słabą i już myśl o jej usamodzielnieniu winna być traktowana jak obelga. O-b-e-l-g-a! „Spod jarzma matki pod jarzmo męża winna przechodzić, nie mogąc być na moment bez posłuszeństwa”. Maria dobrze pamiętała słowa biskupa, toteż całe życie była posłuszna matce, nawet po jej śmierci. W „Bluszczu” też czytała, że kto chciałby emancypować kobietę, uczyniłby ją nieszczęśliwą. „Sama treść istoty kobiecej, sama jej delikatna natura poddaje ją pod przewodnictwo mężczyzny”<sup>1</sup>. Tak zawsze było, tak będzie, a tu proszę, własna siostrzenica...

– Ciocia zawsze taka sama. – Ola ujęła w dłonie pomarszczone, suche ręce Marii. Czytała w jej myślach, nie chciała jednak dotknąć ciotki informacją, że uważa poglądy biskupa i podobnych „obrońców” kobiet za brednie. Kobiety miały takie same umysły jak mężczyźni i takie same prawa, by pracować lub walczyć o wolność. Ola wiedziała już, że zacne gazety i nie mniej zacne, ale archaiczne autorytety po prostu się mylą.

– Zaraz mnie ciocia zapyta, czy przy tym wszystkim dobrze jem, dbam o ciepłą bieliznę i czy mam na sobie grube majtki, czy tak?

Opowiadała ciotce o swoich dokonaniach, ale nie wszystko. O powrocie z Jedlinki do Wilna, już po akcji bezdańskiej, wołała nie wspominać. Co powiedziałyby zacna Maria, wiedząc, że jej siostrzenica wsiadała do pociągu już nie taka szczupła i lekka jak zwykle, bo suto obłożona pod sukniami paczkami banknotów, tak suto, że gorset najgrubszej jejmości z warszawskiej konspiracji ledwie dał się zawiązać? Jej towarzysz podróży, Ziuk, uściśnął ją i włożył w dłoń cyjanek potasu zawinięty w papierek. Na wszelki wypadek, w razie aresztowania i groźby przesłuchań. Był spokojny. Ola też. Na peronie pełno policji, zewsząd słychać tylko: Bezdany, Bezdany, brawura, zbrodniarze, buntowszczyki, a oni oblepieni tymi rublami, pod rękę jak para spokojnych mieszczan, w oczekiwaniu na pociąg do Lidy. Kapelusz z piórem ocieniał twarz kobiety, jej towarzysz pochylał wciąż głowę, by zajrzeć pod szerokie rondo, mrugnąć do niej, mocno przyciskał jej ramię. Nikt ich nie skontrolował, mieli mnóstwo szczęścia. Uśmiechnęła się do wspomnienia, oszczędziła ciotce szczegółów, ucałowała jej spracowane ręce.

– Niech no ciotula wspomni babcię! Czyż Karolina Zahorska nie zgodziłaby się ze mną? Co sama robiła w młodości? Kto pędził konno, wierzchem w las, do powstańców? Tylko furkotały białe koronki czepca. I dziś postąpiłaby identycznie.

Maria zamyśliła się, uśmiechnęła na wspomnienie swojej matki. Drugiej takiej kobiety nie było na świecie. Właściwie zawsze trochę się jej bała, ale tęskniła za nią, gdy jej zabrakło. Za surowym głosem, pięknymi dłońmi, niezmiennie czarną suknią, bo matka jej do końca życia nie zdjęła żaloby po klęsce powstania styczniowego. Ta kobieta miała odpowiedzi na wszystkie istotne pytania, dobrze znała miejsce każdego człowieka w strukturze świata i umiała mu wskazać jego obowiązki. Była głową rodziny i jej zgody trzeba było, by Ola mogła wyjechać do szkoły w Warszawie, co nie zdarzało się dziewczętom z Suwałk. Pozwoliła wnuczce studiować – Maria do dziś nie mogła pojąć, jak to się stało. I prawdą jest, że nakazała w niczym Oli nie przeszkadzać. Tak rzekła na łożu śmierci: „Niech nikt nie staje na drodze Oli, cokolwiek postanowi”. Wielką była patriotką Karolina Zahorska, surową dla wszystkich, ale do wnuczki widać miała słabość.

Spojrzenia Marii i Oli spotkały się. Obie, uśmiechając się lekko, wróciły pamięcią do lat, kiedy dom przy Krzywej tętnił jeszcze życiem, rodziły się dzieci Szczerbińskich, jedno po drugim, dwanaścioro! Niestety, często też umierały, aż została ich tylko piątka. Jaką ładną kobietą była matka Oli, Julia Szczerbińska z Zahorskich! Aleksandra wspomniła to popołudnie, kiedy matka przeglądała się w wielkim lustrze w salonie: w szaropopielatej sukni, cieniutka w talii jak osa, przymierzała nowy kapelusz z kwiatami, poprawiała włosy, mąż wołał ją z progu, bo czas było udać się na nabożeństwo, a ona śmiała się zadowolona ze swojego odbicia.

Zachwycona kilkuletnia Ola, jak zawsze w niebieskiej sukience, kręciła się koło drzwi i podziwiała matkę. Na chwilę ożyły wspomnienia jasnego dzieciństwa Aleksandry i pracowitej młodości Marii, dawne cienie pojawiły się w salonie mieszkania przy ulicy Krzywej w Suwałkach, cichym miasteczku w północnym zakątku dawnej Polski.



Można by przypuszczać, że w takim gubernialnym miasteczku na przełomie wieków dziewiętnastego i dwudziestego zapanowała prowincjonalna stagnacja, że polski biegun zimna wiosną omijały bociany, zimą śnieg odcinał ludzi od reszty świata, kobiety wciąż nosiły suknie o kroju z czasów pierwszego cesarstwa... a o czymś takim jak wolność czy ojczyzna dawno zapomniano. Nieprawda. Zimy wprawdzie bywały srogie, lecz gdy ustępowały, odsłaniały przepiękne okolice Suwałk: dębowe lasy, jeziora, pagórki, między nimi wioski i dwory, nad którymi czuwał stojący na łagodnym wzgórzu dostojny klasztor Kamedułów. Było to miejsce, którym nie pogardziłby żaden mądry bociek. I nie tylko ptaki przynosiły wieści ze świata. „Tygodnik Mód”, „Bluszcz”, żurnale kobiece i miejscowe szwaczki sprawiały, że suwałczanki podążały za trendami, nie ustępując wcale wyglądem paniom warszawskim czy wileńskim, albo i lwowskim. Tak samo modne tu były suknie długie i ogoniaste, kapelusze wielkie, kibić ukształtowana gorsetem, dekolt zasłonięty szmizetką. Eleganckie damy spacerowały po prospekcie z parasolkami w dłoniach, nigdy same, zawsze z przywoitką. Kłaniali się im grzecznie panowie w cylindrach. W Suwałkach przełomu stuleci życie toczyło się wzdłuż głównej ulicy, zwanej prospektem Petersburskim, albo w ogrodzie miejskim położonym w samym centrum. Nie mogło być mowy o nudzie i stagnacji, skoro stacjonował tu carski garnizon wojskowy, a w związku z tym obok polskich oficerów zamieszkało w Suwałkach sporo rodzin rosyjskich wojskowych. Ale Polacy i Rosjanie żyli obok siebie, obcy sobie i wrogo nastawieni. Prawdziwe patriotki z suwalskich dobrych rodzin nie były nawet na wystawnych rosyjskich koncertach i balach, mimo zaproszeń gubernatora. Naraziłyby się na ostrą krytykę choćby i pani Karoliny Zahorskiej, szanowanej powszechnie, wielce oddanej Polsce wdowy po Stanisławie.

– Kiedy byliśmy młodsze, Olu, zerkałyśmy jednak na rosyjskich oficerów, zwłaszcza gdy spacerowali po parku albo po prospekcie – zaśmiała się nieoczekiwanie ciotka. – Mama twoja ściągała urodę i strojem uwagę panów, chichotałyśmy przy tym obie, ot płocze. Twoja babcia tego nie tolerowała.

– Wyobrażam sobie – odparła Ola. – „Kto się urodził Polakiem, musi być patriotą”, niezłomna dewiza babci! Jakże to zerknąć na Moskala? No chyba że z zamiarem strzału w łeb! Nie pozwoliłaś mi, ciociu, nawet zapytać o tę ładną dziewczynkę, którą mijałyśmy czasami na spacerach. Tak mnie ciekawiła.

– Córka oficera rosyjskiego! Masza Curikowa. Też oglądała się za tobą i jej bona odciągnęła ją w swoją stronę, boś Polka. Masza została królową balu w zeszłym sezonie – poinformowała ciotka z westchnieniem – ale tego u gubernatora. Tam z naszych bywa najwyższej pani Musiałowiczowa, całe miasto ma jej to za złe. My, Polki, poznawałyśmy swoich narzeczonych na polskich spektaklach, organizowanych przez nasze panie.

Ola pamiętała doskonale te zebrania i sztuki Fredry wystawiane przez amatorski teatr pań, wiosenne Święto Kwiatka czy zimową choinkę dla ubogich dzieci urządzaną w sali resursy miejskiej.

– Nadal się odbywają. – Maria uznała za słuszne uzmysłwić siostrzenicy, że życie społeczne i patriotyczne w Suwałkach bynajmniej nie umarło od czasu jej wyjazdu. – Zajmują się tym obecnie żony adwokatów i lekarzy, no i nauczycielki, choćby pani Żdzarska. Pamiętasz



zawsze modną, rzekłabym, że ponad skromność naszych czasów, Marylę Zawadzką? Albo Anielkę Wisznicką? Moim zdaniem Aniela najładniejsza i przemiła. Rokrocznie organizują święta biednym dzieciom i nawet „Tygodnik Suwalski” napisał o nich, że znakomite i szlachetne gospodynie, a zastępy dziatwy bawiły się radośnie i ochoczo.

Ola zapytała o pana Staniszewskiego, czy nadal w tajemnicy wypożycza polskie książki. Maria przytaknęła. Salon państwa Staniszewskich był miejscem spotkań najświetlejszych obywateli miasta, którzy rozważali, jak w dobie zaborów dbać o polskie społeczeństwo. Nie omieszkała dodać, że żona prawnika Staniszewskiego, Ania, żywo angażowała się w pracę społeczną i miała swoją obsesję: działalność na rzecz kobiet. Anna, osoba zdecydowana, wnuczka Adama Suzina, przyjaciela Mickiewicza, tego wspomnianego w *Dziadach części III*, całym sercem mobilizowała niewiasty suwalskie do samodzielności. Zorganizowała nawet Stowarzyszenie Kursów dla Analfabetów Dorosłych, więc panie w każdą sobotę i niedzielę miały co robić: prowadziły bezpłatną naukę pisania dla ubogich kobiet, oczywiście tylko po polsku.

– O, i to bardzo popieram! – klasnęła w dłonie Ola. – Teraz, ciotko, coraz bardziej potrzebna taka praca, właśnie teraz nadszedł czas, żeby kobiety upomniały się o swoje prawa.

– Olu – ze zgorzeniem szepnęła ciotka – ale trzeba mieć umiar. Nauka, owszem, ale ta cała samodzielność? Na co to kobietom? Zobaczże jej ostatni artykuł, nie wiem, czy nawet twoja babka Karolina by to pochwaliła.

„Ocuś się, kobieto!”, pisała Anna. „Ty powinnaś wychować pokolenia, które szczęśliwe będą, ty nauczysz je szanować wolną jednostkę w kobiecie”.

– Babka Karolina myślała podobnie, uwierz mi, ciociu – odpowiedziała Ola, z przyjemnością wsłuchując się w echa suwalskiego życia. – A co na to społeczeństwo, co na to panowie?

Maria westchnęła. Prawda była taka, że mężczyźni uśmiechali się pobłaźliwie pod modnie wywoskowanymi w mysi ogon wąsami i na wszelki wypadek nie protestowali, by nie narazić się na piorunujące spojrzenie Anny Staniszewskiej, która sprawę kobiet traktowała bardzo poważnie. Lepiej było żyć z nią w zgodzie, bo często pod pozorem niezobowiązujących towarzyskich herbatki organizowała w swoim domu ważne spotkania, na których każdy szanowany obywatel pragnął się znaleźć. Wprawdzie carska żandarmeria źle patrzyła na wieczorki u Anny i pisała w swoich raportach o „mitingach, na których głoszone rewolucyjno-socjalistyczne mowy”, ale dzięki temu tym bardziej były istotne. Anna organizowała też popularne wykłady dla młodzieży. Sam Henryk Sienkiewicz odwiedził jej dom ze specjalnym odczytem.

– A na jednym ze spotkań, ze cztery lata temu – opowiadała ciotka – pojawił się pisarz Wacław Sieroszewski. On po raz pierwszy głośno wypowiedział słowa o dążeniu do wolnej Polski. WOLNEJ! Czy wiesz, Olu, co się działo?! O, tu pożałowałam, że już nie żyje twoja babcia Karolina. Ona jedna uwierzyłaby w to bez mrugnienia okiem.

– Ale oni nie uwierzyli, co? – z goryczą zapytała Ola. – Wciąż mało kto wierzy. A ja znam, ciociu, w Warszawie i we Lwowie takich, którzy nie tylko wierzą, ale i walczą, żeby to się nareszcie ziściło. I ziści się. Będzie – dodała z zarliwym zapałem – będzie wolna Polska, zobaczysz!

Maria westchnęła. Widziała teraz wyraźnie, że obsesja dziadów dotknęła także Olę. Wieczna walka, wieczna romantyczna mrzonka.

– Będą szkoły polskie – ciągnęła Ola – nie jak moje gimnazjum, gdzie nawet włosy musiałyśmy czesać po rosyjsku. Pamiętasz, jak raz zaplotłam warkocz inaczej? Jak polska szlachcianka, ułożony w koronę dookoła głowy? Ile było krzyku?

– A jakże! W kozie zostałaś za tę odwagę! Buntowniczką od małego. Ale też już drugi

raz się tak nie uczesałaś! A wiesz, że Helenka Pożerska jawnie założyła polską szkołę? Cóż, a jeszcze nie tak dawno Dworakowska swoją tajną musiała zamknąć, bo władze carskie wzięły ją na przesłuchanie... Zmienia się coś, nareszcie modlitw naszych wysłuchano!

– Przeszła przez cały kraj fala strajków szkolnych, ciociu, w Warszawie więcej teraz takich Helenek, ale do prawdziwych zmian jednak daleko. Powiedz, co więcej było na tym spotkaniu z Sieroszewskim?

– Byłam tam przypadkiem, Olu, ze względu na dawną przyjaźń twojego ojca z panem Walerianem Staniszewskim. Sieroszewski pięknie przemawiał. Zaraz potem wyszłam, ale widziałam, jakie jego słowo o wolności uczyniło wrażenie, jakby zebranych raził piorun. Po minutach ciszy podniosły się głosy niedowierzania, wybuchła dyskusja, lecz mało kto poparł głupie mrzonki fanatyków.

Obecny na spotkaniu pan Walery Roman też nie dowierzał, a Maria mu ufała. Roman zasłużył się chyba najwięcej dla suwalskiej społeczności. Ileż inicjatyw podjął ten człowiek: organizował towarzystwa ekonomiczne i edukacyjne, wreszcie to on założył resursę obywatelską, która stała się sercem towarzyskiego życia rodaków. Wiedział, kiedy i do kogo uderzać z postulatami. Skorzystał z odwilży w nastrojach wobec Polaków po roku 1905 i wraz z siedmioma obywatelami miasta wystąpił z wnioskiem o założenie lokalnej gazety. Otrzymali zgodę i tak zrodził się „Tygodnik Suwalski”, czytany chętnie przez panów i panie, stale obecny na stoliku Marii obok binokli na szylkretowym uchwycie. Niektóre artykuły wzbudzały sensację towarzyską, inne rumieńce, bo i po co było pisać o licznej obecności w mieście koryntianek albo o niechlujnej Mariannie, która wylewa nieczystości na przechodniów? Wstyd.

– Rozumiem, Olu, że nasze panie wykorzystują gazetę do ogłaszania kwesty dobroczynnej, publikacji swoich poezji – prawda oburzona Maria, a Ola ledwie powstrzymywała się od śmiechu – relacji z życia na pensji pani Żulińskiej, opisów występów uczennic, nawet dyskusji o metodach wychowawczych. Ale zobacz: „nowa łaźnia familijna”? Kto tam chodzi, Oleńka, kto się do koszul rozbiera?! Bezwstydnik tylko jakiś!

– I w Warszawie łaźnie są modne, ciociu – wtrąciła nieśmiało Oleńka rozbawiona prowincjonalnym konserwatyzmem. Kochana oburzona ciotka!

– Co ty opowiadasz! I w Warszawie na pewno nikt porządny nie chodzi do łaźni! Albo jakieś zakłady konfekcji, nawet nie z Suwałk! Ku czemu to prowadzi? Za chwilę będą gazety jawnie pisać o bieliznie, a kobiety malować twarze jak ładacznice – dodała Maria z prawdziwą zgrozą.

Ola taktownie skierowała rozmowę na inne tory. Zwróciła uwagę, że można teraz pisać, wywieszać szyldy i dawać ogłoszenia po polsku. Widać demonstracje i strajki szkolne roku 1905 coś dały. Maria pokiwała głową i podjęła temat. Uczniowie strajkowali także w suwalskim gimnazjum. Adaś Koc, ich sąsiad, został relegowany ze szkoły. Odezwała się w nim widać krew dziadka, powstańca styczniowego! Tutaj, w Suwałkach, też demonstrowano i Maria sama brała udział w procesji 5 listopada. Zaraz po nabożeństwie tłum przeszedł dookoła ogrodu, śpiewano patriotyczne pieśni. Do zgromadzonych przemówił człowiek prosty, gospodarz spod Grodna dwukrotnie więziony na Syberii. Kiedy opowiadał o zesłaniu, wszyscy płakali. Nie było bowiem tutaj rodziny polskiej, która nie miałaby krewnych lub przodków na zsyłce, wywiezionych w daleką, zimną krainę. O tym mówiono cicho, zawsze z dumą i tęsknotą, ale dumą bywa smutną towarzyszką, więc towarzyszyły jej łzy tęsknoty za bliskimi.

Zdarzały się i łzy wielkiego wzruszenia, kiedy wracał z zesłania brat czy syn, umęczony katogą, wychudły, nierzadko kaleki, ale żywy. Wspomniała Maria pewien wieczór w domu przy Krzywej 80, kiedy żyła jeszcze pani Karolina Zahorska.

– Ty byłaś, Olu, małą dziewczynką, nie możesz pamiętać.

Widziała to, jakby zdarzyło się wczoraj: w drzwiach stanął blady, kulejący, wychudły mężczyzna o ciemnych, gorejących oczach, wspierał się na kij. Służąca Anusia przyłożyła dłonie do ust, do serca i zaczęła wołać swoją panią. Oto powrócił z Syberii kuzyn babci Karoliny – Władysław Skłodowski, zwany w rodzinie Ludwikiem. Z bliznami od knuta na ciele, siwy, ale nie złamany, przeciwnie, wesół i pewien, że Polska jeszcze będzie. Przywiózł też złą wiadomość: starszy brat babki miał nie powrócić już nigdy – zmarł na katordze. Długo konał w zimnej celi więziennej, do końca skuty kajdanami u rąk i nóg, z ciężarem piętnastofuntowej kuli między kolanami. Męczył się, zбитy na przesłuchaniu. Karolina pobladła, słuchając, ale nie płakała, jeśli uroniła łzę, to w samotności. Była kobietą o żelaznej woli, twardych zasadach, wolność ojczyzny ceniła więcej niż życie. Angażowała się w zryw i pomoc powstańcom roku sześćdziesiątego trzeciego najgoręcej z całej okolicy. Ona organizowała tajne zebrania, pod osłoną nocy woziła żołnierzom prowiant, broń. Klęskę powstania odczuła jako największy cios w życiu, ale i po tym się podniosła. Była pewna, że utracone życie i majątki, Sybir dla braci, cała krwawa ofiara nie pójdzie na marne. Po śmierci męża sprawnie kierowała domem w Jastrzębach, służbą i całą rodziną. Rządy swoje sprawowała i wtedy, gdy przyszło Zahorskim przenieść się do miasta, do domu przy ulicy Krzywej.

Jej dwie córki były tak różne. Maria poważna, pracowita, posłuszna. A Julia piękna bardzo, utalentowana, ale co z tego, kiedy nigdy nie odznaczała się dobrym zdrowiem, a odkąd wyszła za mąż za Piotra, rodziła rok w rok, co jeszcze podkopało jej siły. Piotr Szczerbiński, urzędnik magistratu i marzyciel, miłośnik skrzypiec, kochał żonę i posłusznie podporządkował się teściowej. Pisane mu było krótkie życie urzędnika, za rządów prezydenta Leona Kalinowskiego awansował nawet na asystenta kasy miejskiej. Dobre to były czasy, tę część dzieciństwa Ola już pamiętała: poważny głos babki, figlarny uśmiech ciotki, smakołyki przed snem – pierwsze spiskowanie. Smutne chwile także; miała zaledwie dziesięć lat, gdy zmarła jej matka. Dwa lata później odszedł ojciec, oboje zbyt młodo, zbyt szybko. Maria, która własne marzenia o miłości i rodzinie pogrzebała wraz z narzeczonym, kochała dzieci chorowitej siostry. Dla tej gromadki cicha kobieta w ciemnych sukniach była wszystkim: najczulszą opiekunką, ukochaną ciotką, ucieczką od surowych kar babki.

– Wszystko minęło – rzekła cicho Ola, wracając ze wspomnień do roku 1908. – W tej to kuchni, ciepłej, przy ogniu z pieca, my, dzieciaki, jedliśmy pyszności przygotowane przez Anusię. Faworki i pierogi z farszem, a gołąbki jak te najlepsze w mieście, pamiętasz, ciotula? Opowiadałyście nam stare legendy o krasnalach w lasach i o tym sprytnym kamedule, co mu diabeł chciał duszę zabrać za sieje.

Maria kiwała głową, warkocz miała upięty w koronę, po polsku. Niezmiennie tak się czesała, odkąd ukończyła szesnaście lat. Matka splotła jej wówczas włosy w warkocze, a te upięła wokół głowy, uznawszy, iż to dla Marii stosowna fryzura. Maria nie zmieniła jej nigdy, po dziś dzień nie nosiła innej. Warkocz ten sam, lecz zbielał...

– Pamiętam – szepnęła – i to, kiedy chorowałaś tak ciężko, Olu...

Cała rodzina przeżywała chorobę dziecka. Julia modliła się o zdrowie córki pod obrazem Matki Boskiej, Piotr w milczeniu, nerwowo chodził po pokoju, wreszcie przykląkł obok żony. Złożyli ślub, że jeśli dziewczynka przeżyje, przez trzy lata będą ubierać ją tylko w niebieskie sukienki, niebieskie jak szaty Najświętszej Panienki. Babka Karolina gniewnie szarpała chusteczkę. Ola była jej ulubienicą. Już i tak kilkoro dzieci Julii Bóg zabrał, czemu nie mógł oszczędzić tego? Trzyletnia dziewczynka leżała spocona, z wysoką gorączką i umierała na jej oczach. Doktorzy nie dawali dziecku szans na przeżycie nocy, odeszli w milczeniu, rozkładając ręce. Julia zanosila się płaczem. Maria sięgnęła po ostatnią deskę ratunku, ludowy sposób, który poznała jeszcze w Jastrzębach.

– Owinęłam cię, dziecko, taką rozpaloną, w kompres z lodowatej wody. I co powiesz? Gorączka spadła, a ty zaczęłaś zdrowieć. Czterdzieści stopni! Bóg darował, zostawił nam ciebie.

– Ale niebieski kolor w stroju szczerze znienawidziłam, ciociu! Niebieski i niebieski! Inne dziewczynki śmiały się ze mnie. Do końca życia nie sprawię sobie niebieskiej sukni!

Maria pamiętała i te nieznośne niebieskie sukienki, i grymaśne pytania Oli, czemu nie wolno jej bawić się z dziewczynką z sąsiedztwa, zawsze ładnie ubraną i ciekawą jej chyba w równym stopniu. Mała sąsiadka podobnie jak Masza Curikowa była Rosjanką, więc dla Polek nie istniała. Karolina Zahorska zadbała o to, żeby jej wnuczka uznawała patriotyzm za nadrzędną wartość. Kojarzył się Oli niezmiennie z pierścionkiem babki, ozdobionym czarną tabliczką z emalii, na której widniał biały krzyż z perełek i data 1863.

– Trzeba być patriotką, Olu, by go nosić – rzekła jej babka pewnego wieczoru, gdy siedziały same w saloniku, przy kłębkach wełny. Ale pozwoliła wnuczce przymierzyć, przez chwilę błyszczał na zbyt wąskim palcu.

– Będiesz patriotką, Olu? Będziesz walczyć o wolność ojczyzny?

– Będę, będę, babciu! – z zapalem odparła dziewczynka. – Obiecuję.

A teraz miała dwadzieścia sześć lat, pierścionek należał do niej i walczyła z całą powagą i poświęceniem, dokładnie tak, jak obiecała babce. Działała w konspiracji w Warszawie i Wilnie, włączyła się w działalność PPS, bo podobało się jej, że program tej partii łączy idee społeczne z odzyskaniem niepodległości. Była to działalność poważna, nie zabawa: gromadzili arsenał, który miał posłużyć w walce z Moskałem. Ola osobiście nadzorowała magazyny, sama przewoziła ładunki wybuchowe. Tylko ona знаła rozlokowanie składów broni na terenach wszystkich trzech zaborów, umiała oszacować zasoby amunicji, karabinów i bomb i zaszyfrować te informacje. A teraz te Bezdany, to była całkiem śmiała akcja! Uśmiechnęła się z satysfakcją. Car w Moskwie nie dostanie polskich pieniędzy, pójdą na tajne wojska, na kolejne składy broni. Dwieście tysięcy rubli, srebro i dokumenty. Babka byłaby dumna! Maria siedziała jednak zasmucona.

– Ciociu, ciociu, przecież ty to moje życie ocaliłaś po coś! Kto wie, w jakim celu! Może ja właśnie mam coś zrobić dla Polski? Dla wolności?

Maria przytuliła Aleksandrę i pogładziła jej włosy. Dobrze było wspominać, więc powróciły we wspomnieniach opowieści Rozalii o czarownicach z sosnowych lasów nad Wigrami i legendy o diabłach. Czas karnawału: szalone mazurki i oberki w salonie i faworki szykowane przez Anusię, znakomitą kucharkę ze wsi, która jednak była utrapieniem dla ciotki, bo miała własne, niezmiennie obyczajne: spała na ławce pod piecem, a jej pięknie zdobione poduszkami łóżko stało nietknięte w ciepłym kącie koło komina. Według poglądów Anusi łóżko potrzebne było człowiekowi tylko dwa razy w życiu: na noc poślubną i na godzinę śmierci. Poza tym wzdragała się przed wodą i mydłem. Upierała się, że częsta kąpiel jest dla ciała niezdrowa, i za nic nie chciała jej brać poza niedzielą. Siódmego dnia tygodnia rano zażywała kąpieli i wkładała odświętny strój, by udać się do kościoła. Pachnąca czeremchowym mydłem, w wieńcu na głowie szła na nabożeństwo, budząc zachwyty dzieci.

– Nic się w tej kwestii nie zmieniło – rzekła ciotka z rezygnacją, a Ola zaśmiała się serdecznie. Jęła dopytywać o obecne życie w Suwałkach, o znajome i koleżanki z dawnej szkoły. Więc Helenka Pożerska sama teraz była nauczycielką i założyła polską szkołę powszechną, a pani Anna Staniszevska z doktorową Zofią Noniewiczową nadal działały w czytelnicy, organizowały wykłady i narzekały ogromnie na frekwencję panów. Bo to kobiety w większości uczęszczały na te prelekcje, mężczyzny kijem by nie zagonił. Rzecz trafiła nawet do prasy! Pisano o tym oczywiście w „Tygodniku Suwalskim”.

– „Nasi panowie wołają winta w resursie obywatelskiej” – zacytowała z przekąsem Maria.

– „Nie dla nich takie zabawki dziecinne i jak który zaszczyli czytelnię, to po to, by o bal albo o wieczorek damy agitować”. Mężczyźni. Proszę bardzo, co napisała Irenka Staniszevska w naszym „Tygodniku”, w „Kronice Suwalskiej”: „Ach, jakie to szczęście być mężczyzną! Można nie nosić gorsetów, chodzić bez mamy i cioci do cukierni...”. Albo tutaj: „Mąż jest od tego, żeby zjeść obiad, grać w winta, jak przyjdą goście, i używać wszelkich dozwolonych i niedozwolonych w małżeństwie uciech, a żona siedzi w domu i gotuje obiad, zmiata kurze, a choruje tylko w razach nadzwyczajnej potrzeby”. Prawda w tym jest, Olu, ale czy wypada tak o tych gorsetach i uciechach jawnie pisać? Publicznie? W dobrym dziewiętnastym stuleciu tak by nie mogło być. Kobieta do pracy, mój Boże, co za wstyd! To już taka szpetna, że żaden mąż jej utrzymywać nie zechce?

Ola uśmiechała się w duchu, słuchając ciotki i obserwując, jak walczą w niej dwie siły: wiara w umiejętności kobiety, ale też wierność tradycyjnemu wychowaniu, w którym mężczyzna wyżej usytuowany jest w hierarchii społecznej. I dzięki temu więcej może. Czy to się kiedyś zmieni? Z radością usłyszała, że od niedawna działa w mieście oddział polskiego Stowarzyszenia Równouprawnienia Kobiet.

– Wzięły się za to nasze panie, w tym siostra Walerego Romana – Natalia, zamożna Maria Jaroszewiczowa i Jadzia Zielonko. Chciały szerzyć wśród kobiet wiedzę o prawie i ekonomii, propagować rozwój umysłowy.

Proszę! Więc w prowincjonalnym mieście gubernialnym też świtało.

– Czuwamy i tutaj nad życiem kulturalnym, nie myśl sobie, Olu – mówiła ciotka. – Zofia Noniewiczowa, Aloiza Gromadzka i Faustynka Niefiedowicz wybrały się do Grodna na jubileusz pisarki Elizy Orzeszkowej, by wręczyć jej list dziękczynny od suwałczanek... Ale i to ci powiem, Olu, że Ania Staniszevska ma już troje dzieci, a Zosia Noniewiczówna poszła za mąż za syna samego prezydenta Białegostoku, do majątku Motule, a ona rok młodsza od ciebie...

Ola z sentymentem i chwilami z rozbawieniem słuchała relacji ciotki. No tak, Zośka zamężna, i to w takich koneksjach, a Ola wciąż na walizkach... Nie powiedziała ciotce, że mały zgrabny rewolwer ukryty w wewnętrznej kieszeni sukni jest obecnie jej najwierniejszym towarzyszem i że inaczej teraz patrzy na wszystko, a mimo to dom rodzinny wzrusza ją serdecznie.

Gdy nadszedł czas rozstania, uściskała Marię mocno, obiecała dbać o siebie i wyruszyła drogą na Wilno, ale tak naprawdę ku swojemu przeznaczeniu. Nie wiedziała, że widzi ciotkę ostatni raz.

■

Wiktoria Maria Zahorska otarła łzę po pożegnaniu siostrzenicy i oddała się wspomnieniom. Odwiedziny mogły usprawiedliwić chwilowy stan bezczynności. Od dziecka nazywana drugim imieniem, Maria była kobietą pracowitą, sumienną i pobożną. Spokojna, podporządkowana matce, wiodła w Suwałkach cichy żywot starej panny. Starła się nie wspominać głośno narzeczonego, ale też nigdy nie zapomnieć jego imienia, sylwetki, skromnych wyznań i przyrzeczeń. Nie zamierzała zbrukać pamięci o nim małżeństwem z kimś innym. Jak wiele jej podobnych rezydentek mieszkała przy rodzinie, wychowywała dzieci siostry i kochała je, jakby były jej własnymi. Dbała o ich ubrania i pielęgnowała w chorobie. Kiedy surowa babka karała je głodówką za jakieś dziecinne przewinienia, ciotka wieczorem przemyciała cicho z tacą smakołyków do dziecięcego pokoju i to były zapewne jedyne akty nieposłuszeństwa panny Wiktorii Marii Zahorskiej.

Nie miała urody siostry, nie miała temperamentu i siły charakteru matki, ale miała w sobie spokój i słodycz. To one powodowały, że Aleksandra przywiązana była do ciotki silnie

niż do rodziców, których pamiętała słabo, bo zmarli wcześniej, zapisawszy się w jej pamięci jak dwa blade cienie. Ciotka Maria też ją kochała, choć nie potrafiła zrozumieć. Myślała czasem, że Ola jest podobna do swojej babki Karoliny: tak samo uparta, stanowczo podążająca do raz obranego celu, tak samo owładnięta szaloną ideą. Maria dobrze pamiętała życie na folwarku w Jastrzębach, kiedy zmarł jej ojciec. Matka, oplakawszy go w samotności, powróciła do codziennych obowiązków. Była ruchliwą osobą, pełną energii, chociaż surową. Kiedy ktoś chorował, nie pytała o urodzenie – pojawiała się w chacie chłopskiej czy wśród służby jak energiczny anioł, przynosząc dotyk chłodnych rąk, lekarstwa, pociechę. Zнали ją wszyscy w okolicy: pani Karolina w czarnej sukni, z kameą pod szyją, z ziołami w koszyku. Kobieta o szczupłych palcach, z żałobnym pierścieniem na jednym z nich. Szlachetna w kształcie, ale żelazną ręką zarządzała majątkiem i ludźmi. Była wszędzie, gdzie trzeba było czegoś dopilnować, i wszędzie, gdzie jej potrzebowano. Pod jej okiem rodziły się dzieci, odbywały się zbiory w sadach i na polach, ona była dla ludzi w Jastrzębach pocieszycielką biednych i ucieczką strapionych.

Folwark w czas niewoli stawał się małą ojczyzną szlacheckich rodzin, sensem ich życia. A i to potrafiły poświęcić, kiedy było trzeba, bo niejeden dwór skonfiskowano. Kobiety pomagały w powstaniu, a jakże! Opowiadano o nich przy ogniu, już po klęsce stawiano dziewczętom za wzór. Była takim wzorem słynna pani Henryka Pustowójtówna, która umiała uciec z każdego aresztu, kpiła z władz carskich, przemierzała kraj w wiejskim stroju, z łańcuchami na rękach, jako żywy obraz uciemnionej ojczyzny, i podlegała do walki. Ona to już na emigracji za Komuny Paryskiej pokazała Francuzom, jak się walczy. A pani Scholastyka Jamonttówna, potem Mackiewiczowa, która brała udział w powstaniu styczniowym jako dziewczę piętnastoletnie? We dworze miały z matką drukarnię i zbrojownię, same były kurierkami i kursowały między oddziałami powstańczymi. Na zesłaniu spotkała miłość swojego życia, pana Mackiewicza, chociaż tyle zyskała. Albo pani Maria Piotrowiczowa? Na myśl o jej strasznym losie Maria przeżegnała się pobożnie. Piotrowiczowa poszła do powstania z mężem i ze służbą, włosy ścięła, przywdziała strój męski, walczyła równie dobrze jak mężczyzna. Widziała na własne oczy, jak mąż jej zginął od kozackich szabel. Sama stawiała opór Kozakom do końca, mając przy sobie tylko rewolwer i kosę. Roznieśli jej ciało na bagnietach i ujawniło się wtedy, że była w ciąży z bliźniętami. „Bohaterki”, szeptano o nich w domach i jeszcze bardziej w ludziach rósł gniew i nienawiść do zaborcy. Kobiety polskie, to one dbały, by nie zaginęła pamięć o ojczyźnie.

Maria wróciła myślą do obrazu sprzed kilku zaledwie lat: dzieciaki Julii, cała piątka, zebrane w salonie pod czujnym okiem babki czytały po polsku książki od pana Staniszewskiego. Zapach faworków nęcił je od strony kuchni, ciekawsze rzeczy opowiadała stara służąca Rozalka, o diabłach i rusałkach suwalskich, ale trzeba było wytrwać, babka nie dopuszczała niesubordynacji. Może była zbyt surowa? Maria skarciła się w duchu za tę myśl krytyczną. Dobre miała życie przy matce, ale kto wie, jak potoczyłoby się, gdyby jej ukochany nie zmarł przed samym ślubem na chorobę płuc. I ona, Maria, miała swoją miłosną historię i wspomnienie narzeczeństwa, jednak nie dane jej było zaznać szczęścia małżeńskiego ani macierzyństwa. Marzenia o własnym domu, choćby i ubogim, ale polskim, uczciwym, pełnym dzieci, przepadły.

Widać tak miało być. Nie zapalała lampy. Zakasłała. Myślała o swoich wychowankach. Ola niewątpliwie była najbardziej uparta, odważna, chociaż widoku trupa na cmentarzu nie wytrzymała. Uśmiechnęła się do tego wspomnienia Maria. Lat czternaście musiała mieć wtedy Ola, kiedy uparła się, że zostanie lekarzem, i poszła asystować przy ekshumacji, bo chciała zobaczyć sekcję zwłok. Widok trupa wyciągniętego z grobu wystarczył jej, by raz na zawsze odstąpić od marzeń o medycynie. Omal wtedy nie zemdląła. Ale i tak uparła się edukować dalej

i jakimś cudem babka Karolina zgodziła się na wyższą szkołę pani Siemiradzkiej w Warszawie. Patrzyła jakoś dziwnie na Olę, w oczach miała uśmiech i pobłogosławiła wnuczkę. Ola spakowała sakwojaże i wyjechała, to już będzie siedem lat, proszę, jak ten czas...

Szkołę ukończyła, podjęła pracę w stolicy, przeniosła się potem do Lwowa. Dużo jeździła przez tę swoją konspirację, Lwów, Kraków, Kijów, teraz te Bezdany. Dobrze, że zajechała uściskać starą ciotkę. A jaka ładna teraz była, chociaż za bardzo zeszczupiała, blada nieco, za to z ogniem w ciemnych oczach. Włosy nosiła inaczej upięte, już nie w warkocz lub węzeł nisko nad szyją, lecz w modny teraz kok, wysoki na samym czubku głowy z falą włosów nad czołem. To podpowiadało ciotce Marii, że w sercu Oli zapłonęło uczucie do jakiegoś mężczyzny, też pewnie patrioty, też pewnie u jego boku będzie walczyć, oby tylko los w udziale jej szczęście przyniósł, nie żałobę.

A co ja pocznę ze sobą? – myślała Maria. Ostatnio źle się czuła, kaszlała dużo. Czasy nadchodziły niespokojne, o zamieszkach w Rosji słyhać było coraz częściej, a niektórzy wielką wojnę przepowiadali. Do siostrzenic pewnie się trzeba będzie przenieść. Pozostałe córki Julii, siostry Oli, wiodły przykładowy żywot, i Wanda, i Jadwisia. Oby Ola się w wojskowe działania nie wplątała, bo takie czasy nadeszły, że wszystko możliwe, jeszcze kobiety za broń chwycą...

Maria Zahorska oparła siwiejącą głowę o fotel i usnęła.

1 Oba cytaty podaję za pracą doktorską Anny Miłoszewskiej-Kiełbiewskiej *Obraz kobiety XIX i XX wieku w wybranych polskich czasopiśmie i poradnikach dobrego wychowania*, Warszawa 2015, s. 306.

## ROZDZIAŁ 3

### ■ WILNO

Ola w tym czasie jechała do Wilna. Dotarła zmęczona, na dworcu czekał na nią zaniepokojony Jan Piłsudski, brat Ziuka. Nerwowo rozglądał się po dworcu, gdy prowadził Aleksandrę do bryczki. Popatrzył z ciekawością na twarz młodej kobiety, o której mówiono, że łączy ją z jego bratem stosunki więcej niż przyjacielskie.

– Nie ma mowy o dotarciu do Jedlinki od strony Jaszun – poinformował ją z powagą w głosie. – Na stacji czeka na panią zasadzka policji.

– Jak więc dostanę się do pieniędzy? – zapytała zmartwiona Ola. – Muszę je odkopać i przewieźć do Krakowa, choćby część. Pilnie potrzebne na łapówki, chcemy ocalić od katorgi kilku towarzyszy właśnie aresztowanych w Warszawie.

– Jest sposób – odpowiedział Jan. Ola zerknęła na niego ukradkiem. Zdawało się jej, że jest nieco zmieszany, patrzył przed siebie, unikał jej wzroku. – Jest sposób, a raczej osoba, która może pomóc. Nazywa się Aniuta Mielnikowa.

Aniuta Mielnikowa należała do bojówek PPS i z serca popierała Polaków, mimo że była Rosjanką. Mieszkała w małym majątku pomiędzy Wilnem a Jaszunami. Nie odmówiła bratu Józefa pomocy. Energiczna, niska, wciąż urodziwa kobieta, choć już niemłoda, przy pierwszym spotkaniu w Wilnie obrzuciła Olę bystrym spojrzeniem. Czy Jan nadmienił tej młodej dziewczynie, co niegdyś łączyło Aniutę z Ziukiem Piłsudskim? Pewnie nie, ale zapewne Aleksandra wiedzona intuicją zakochanej kobiety mogła coś podejrzewać, podobnie jak Anna mogła być o nią zazdrosna. Nawet jeśli Józef opowiadał swojej towarzysze o czasach studiów medycznych w Charkowie i pierwszych próbach konspiracji, to wątpliwe, by wiele rozwodził się o drobnej, pełnej humoru Annie, swojej młodzieńczej miłości.

Studiowali razem. Rok 1885 był dla nich czasem wspólnego przedzierania się przez arkana anatomii i zawłości chemii, przez strofy romantycznej poezji. Charków nie był wielkim ośrodkiem akademickim, a Józef, jej Josip, nie wrócił na uczelnię po pierwszym roku, ale zdążył zafascynować ją swoimi pomysłami i odwagą. Oboje byli młodzi, wpadał do niej jak burza, chwycił na ręce, okręcał ją wokół siebie, opowiadał z pasją, co znów się udało młodym buntownikom. „Lubimaja Aniuta” – mówił, namawiał do spisku, gotowa była dla niego na wszystko. Anna kochała go wówczas miłością beznadziejną, wiedziała, że Josip nigdy nie ożeni się z Rosjanką. A po tym, jak po kilku latach wziął za żonę Marię Juszkiewiczową, ba, nawet przeszedł dla niej na protestantyzm, nic już nie mogło Aniuty bardziej dotknąć. Postanowiła wyrzucić go z serca. Miała teraz swoje życie, swoje sprawy, zapomniała o Charkowie, ale kiedy przygarnęła podrzuconego na folwarku chłopca, dała mu imię Józef. Nie wyzbyła się widać starego sentymentu. Łatwiej wyrzucić kogoś z serca niż z pamięci.

Ta dziewczyna, której miała pomóc teraz, towarzyszka Ola, była taka młoda, taka zaangażowana i pełna entuzjazmu, chociaż poważna, spokojna. Jasne, że Josip zwrócił na nią uwagę, właśnie ten szczery ogień pociągał go w kobietach. Mimo że Jan nic nie mówił, Anna wyczuła kobiecym instynktem, że to obecna miłość Józefa. Wiedziała także i to, że Maria Juszkiewiczowa, teraz Piłsudska, nie zechce dać mu rozwodu. Nie będzie łatwo! Może nawet jeszcze nic nie wie o fascynacji Józefa suwałczanką. Uznała jednak, że nie do niej należy przestrzeżenie tej młodziutkiej kobiety. W wileńskiej kawiarni, kiedy Jan je zapoznał, zapytała o Józefa.

– Ziuk będzie czekał w Krakowie – powiedziała Ola. – On dowodził akcją...



– Ziuk, a dla mnie zawsze Josip albo Mieczysław – roześmiała się Anna. Rosyjski śpiewny akcent i wtrącane słowa zdradzały jej pochodzenie, chociaż mówiła bardzo poprawnie. – Jak w Charkowie Mieczysław złożył już numer „Robotnika”, to ja jechałam do Londynu ze złożonym pismem drukować. A jak go ścigali, „prestupnika politiczeskowo”\*, w kaplicy Świętej Weroniki nocował, pomagałam. Pewnie, że dowodził, sokół, charakterny jak zawsze, co?

Nie wspomniała, że ukrywał się też u niej, dawno to było. O akcji bezdańskiej wiedziała doskonale, wiedzieli o niej wszyscy w bojówce PPS, a Aniuta wciąż do niej należała. Rwała się z nim do tych Bezdan, ale ją powstrzymał, nie chciał jej brać do „brudnej roboty”, tak powiedział. Teraz pomyślała, że chodziło o co innego, o kogo innego...

– Wiersze wciąż pisze? – zapytała. – Oniegina recytował tak pięknie...

– Pani Anno, ściga mnie policja, muszę wydobyć te pieniądze. Pomoże mi pani? – zapytała Ola chłodno. Zignorowała pytania o poezję. Przyjechała tu po bezdański łup.

Aniuta Mielnikowa nie pogniwała się, pokiwała głową. Omówiły plan wydobycia srebra z kryjówek. Na pożegnanie wyciągnęła rękę do Aleksandry i uściśniła ją mocno. Polubiła ją.

■

Anna kazała zaprzęgać bryczkę, zapowiedziała służbie, że udaje się na grób matki, pojechała jednak na stację Bieniakonie. Zabrała z dworca Olę Szczerbińską i pana Sawę-Sawickiego, który miał pomóc kobietom w pracy, ziemia była już bowiem zmrożona i wykopanie ukrytego łupu wymagało siły. Jechały długo, dotarły do oznaczonych miejsc po zmroku. Ola dobrze je pamiętała, niemniej wydobywanie worka ze srebrnymi monetami z ziemi twardej jak gład okazało się katorżniczą pracą. Drętwiały im ręce, łopaty łamały się z trzaskiem. Północ już minęła, gdy postanowili, że kobiety wrócą z wydobytym dotychczas srebrem do majątku Anny, a Sawicki zajmie się resztą. Noc ciemna otuliła dwie damskie sylwetki, podążające za bryczką pieszo; szkapina i tak ledwie ciągnęła srebrny ciężar. W pewnej chwili Ola krzyknęła, zachwiała się. Stado wilków pojawiło się przed jej oczyma, widziała kły i świecące w mroku oczy. Aniuta Mielnikowa chwyciła ją mocno za rękę.

– Nic nie ma – mówiła spokojnym głosem. – No niczewo. To majaki.

Wilki znikły.

Ola z Anną szły całą noc, przed świtem dotarły do folwarku. Zdejmowały walizki z bryczki, udając, że to lekkie bagaże. Zaciskały zęby, by nikt nie dostrzegł ich wysiłku. Koń upadł ze zmęczenia przed domem. Ola przepakowała walizki, posiliła się, pożegnała z Aniutą i jeszcze tego samego wieczoru wyruszyła w dalszą drogę. Kiedy fernal wywoził ją z dworku, obejrzała się i znalazła pociechę: koń, świadek i towarzysz ich nocnych zmagania, stał przy wodopoju, wyraźnie mocniejszy. „Co za szczęście, że doszedł do siebie” – pomyślała Ola. Smutno byłoby jej, gdyby zwierzę zapłaciło życiem za nocną eskapadę. Sama natomiast znów musiała pokonać potworne zmęczenie.

Półprzymotna jechała do Kijowa i dalej do Galicji, z pieniędzmi w walizkach, z banknotami ukrytymi pod suknią, w pasie i w gorsiecie. Dotarła wreszcie do Krakowa, Sawa-Sawicki był już tutaj ze swoją częścią łupu. Czekał też Józef Piłsudski. Przywitał ją tym spojrzeniem, które wprawiało ją w zakłopotanie, ale i w dumę, bo znajdowała w nim błysk porozumienia i podziw dla swojej odwagi, poświęcenia i sprytu. Pieniądze, o których mawiał z pogardą „mamona” albo po rosyjsku, jakby ze wspomnieniem zesłania, „czort bierij dieńgi”\*\*, były potrzebne bardziej niż kiedykolwiek. Powołany w tym roku we Lwowie Związek Walki Czynnej rozrastał się, dawał nadzieję na stworzenie załączka prawdziwego polskiego wojska, bez zależności względem żadnej partii. Piłsudski marzył, by w przyszłości przekształcić go w siłę zbrojną, z którą liczyć się będą władze austriackie, a kto wie, może ta siła zawalczy o wolność

Polaków z Moskałem? Potrzebny był do tego konflikt między zaborcami, ale w końcu do niego dojdzie, był pewien. Miał dar, polityczny nerw, intuicję, instynktownie przeczuwał zmiany, które nadchodziły. A teraz powoli nadciągał czas wielkiej wojny. Europa, ba, nawet świat za chwilę miał stanąć w punkcie zwrotnym.

Sam też znalazł się w ważnym momencie życia, wiedział, że nadchodzi chwila decyzji tak politycznych, jak i prywatnych. W krakowskim mieszkaniu czekała na niego żona Maria, zapewne w swoim ulubionym salonie, otoczona towarzystwem. Kochała to: wieczorki literackie, wizyty znanych ludzi, jak Żeromski, dyskusje, przyjęcia po świt u Michalika, lecz on, Ziuk, już wyrósł z salonów. Rysowały się przed nim widoki na objęcie przywództwa w siłach konspiracji, potem może w powstającym wojsku polskim, nareszcie na coś więcej niż kłamanie Moskale z ukrycia. Szansa na spełnienie snów o Polsce stawała się coraz bardziej realna i on mógł z tej szansy skorzystać. U jego boku stała młoda, zakochana, wierna tej samej idei, ciemnooka Ola Szczerbińska.

Dzień, w którym ją poznał, zatarł się w jego pamięci. Poddawał wówczas inspekcji składy broni w Warszawie, odpowiadała za nie właśnie Ola. Miał wrażenie, że była nieco onieśmielona. Rozmawiali długo w jakimś mieszkaniu na Pradze, wśród mauzerów i koszy pełnych amunicji. Dopiero potem, już w Kijowie na kongresie PPS, zwrócił na nią baczniejszą uwagę. Była pełna entuzjazmu i wiary w wolność, młodzieńczej siły, której tak bardzo potrzebował. Brunetka, zawsze bardziej podobały mu się ciemnowłose kobiety, odważne, postępowe jak Ola. Kiedy kongres przeniósł się do Zakopanego, tak to urządził, by jechać z nią w jednym wagonie. Siedząc naprzeciwko, słuchała uważnie jego nostalgicznych opowieści o Syberii, o bliskich. Jakże podobne były losy polskich rodzin, jak potężna siła polskich kobiet takich jak jego matka – Maria z Billewiczów, jej babka – Karolina z Truskolaskich, które zaszczyptały w dzieciach umiłowanie ojczyzny i wolności. Bez nich dawno zamieniliby się w jeden z podległych Rosji narodów bez własnego imienia. Pewność kobiet kazała im wierzyć: „Kto się urodził Polakiem, musi walczyć”, powtarzała jej babka Karolina. „Zobaczysz, Ziuk, że Polska będzie, będzie na pewno” – mawiała jego matka z uporem, wbrew okolicznościom. Matki obojga zmarły dość młodo, a wcześniej wydały na świat całkiem liczną gromadkę dzieci. Zdziwiające, że oboje: i on, i Ola, mieli po jedenaścioro rodzeństwa. Oboje z prowincji, on z litewskiego Zułowa, ona z Suwałk, młodsza o piętnaście lat. Los doprowadził do tego, by się spotkali. Jakimi ścieżkami szli do siebie? Ola opowiadała mu o swojej rodzinie i o tym, jak niełatwo było wyjechać z bliskich sercu Suwałk, oraz co się działo w Warszawie, zanim się spotkali.

– Wiesz, Ziuk – mówiła tego dnia, kiedy w przedziale pociągu jadącego ku Tatrom opowiadali sobie życie – może moim przeznaczeniem jest łamać schematy? Nawet nie wiem, jak to się stało, nagle z Oli, jak nazywali mnie w domu, zrodziła się towarzyszka Ola. Ile się zdarzyło, zanim ciebie spotkałam. Lata osiemdziesiąte słabo pamiętam, bo przyszłam na świat w osiemdziesiątym drugim roku, dziesięć lat później straciłam rodziców. Chodziłam w Suwałkach do tajnej polskiej szkoły, potem do gimnazjum, zawsze jednak marzyłam o czymś więcej. Wiek dziewiętnasty, już miniony, nieubłaganie zmierzał ku końcowi, a ja szłam swoją drogą. Ku czemu?

Nie on jednak miał dać Oli odpowiedź na to pytanie. Scenariuszy życia nie piszą bowiem ludzie. A kto je pisze, nikt nie wie, ale było tak...

\* *prestupnika političeskowo* (ros.) – przestępcę politycznego

\*\* *czort bierij dieńgi* (ros.) – czort bierz pieniądze

# CZEŚĆ I

## ■ LATA 1900–1908

## ROZDZIAŁ 4

### ■ WARSZAWA

Wiek dziewiętnasty nieubłaganie zmierzał ku końcowi i w roku 1900 Ola osiągnęła dojrzały wiek osiemnastu lat. Rok później ukończyła rządowe gimnazjum, rosyjskie, bo innego w Suwałkach nie było. Zaczynało się nowe stulecie, a wraz z nim nowy rozdział w życiu młodej kobiety. Należało postanowić, co dalej z nauką, co począć z własnym losem. Spokojna, ale stanowcza Ola nie chciała podążyć ścieżką zwykłego życia kobiet z Suwałk. W myśl obyczajów osiemnastoletnia panna powinna rozejrzeć się za mężem, zająć się swoim domem, urodzić przynajmniej siódmkę dzieci, szyć, szydełkować, czytać powieści i poezję. Nauki ścisłe, polityka czy praca, poza nauczycielstwem lub pielęgniarstwem, były po prostu niestosowne. Zresztą głowy niewiast, wedle popularnego przekonania, nie mogłyby im sprostać. Myśleli tak nie tylko mężczyźni, ale również kobiety. Aleksandra jednak nabrała pewności, że jej los musi ułożyć się inaczej.

Miała pewien pomysł, pragnęła się kształcić. Nie chciała być jednak nauczycielką. Marzenia o medycynie rzeczywiście pożegnała w dniu, w którym ujrzała na suwalskim cmentarzu ekshumowane zwłoki, ale incydent tylko przekierował jej poszukiwania, bynajmniej nie zatrzymał myśli o dalszej edukacji. Nadal zamierzała działać na rzecz ludzi, poprzysięgła też przysłużyć się ojczyźnie. Babka Karolina sama uczyła ją patriotyzmu i odwagi. Zatem Ola odważnie poprosiła o posłuchanie i stanęła przed obliczem surowej babki. Ciotka Maria załamała ręce, usiadła z robótką w kącie pokoju. W jej głowie nie mieściło się postanowienie Oli, była przerażona, zmartwiona o siostrzenicę i sama bała się matki.

– Pani Józefa Siemiradzka otworzyła w Warszawie szkołę handlową – oznajmiła Ola, patrząc w oczy Karolinie, nestorce rodu. Babcia podejmowała kluczowe decyzje w tej rodzinie. – I ja, babciu, chciałabym podjąć naukę w Warszawie – dodała, być może ciszej, bo łatwo było postanowić, ćwiczyć przemowę przed lustrem w panińskim pokoju, ale trudniej stanąć przed obliczem surowej babki Karoliny, patrzącej przenikliwym wzrokiem, silnej mimo choroby, która trapiła ją ostatnimi czasy. Kursy nie były tanie – sto pięćdziesiąt rubli na rok! Może powinna zostać, opiekować się babką? W Suwałkach jednak szkół wyższych nie było. W głębi Rosji bywało, że dziewczęta studiowały, ale dopiero po ukończeniu dwudziestu jeden lat. W Warszawie dalsza edukacja była jak najbardziej możliwa i akurat ta pani Siemiradzka... Wszyscy wiedzieli też, że w stolicy wrze, tam buzował wśród młodzieży ferment intelektualny, który nigdy nie dotrze na prowincję, tam płonęło ognisko nowych myśli. Dobrze byłoby tam być właśnie teraz.

– Po co ci nauka, Olu? – zapytała babka, a dziewczyna pochyliła głowę, by ciotka nie ujrzała przelotnego uśmiechu. Babka nie mówiła „nie”, pytała, to dobry znak. Babka się zgodzi, miały tę samą duszę upartych buntowniczek.

– Chcę w przyszłości sama na siebie pracować, babciu – odparła, dumnie unosząc głowę.  
– Chcę nauczyć się fachu, sama stanowić o swoim życiu.

– Józefa Siemiradzka to Polka?

– A jakże! – teraz Ola mówiła z zapalem. – W Warszawie wszystko jest inaczej. Tam szkoły polskie prywatne działają, bo urzędnicy chętniej biorą łapówki. Zajęcia po polsku, tylko jak kurator przybywa na wizytację, wnet przechodzą na rosyjski, chowają pod pulpit polskie książki, wyciągają rosyjskie. Będę się uczyć buchalterii, arytmetyki, prawa, geografii handlowej...

Z kąta dobiegł jęk rozpacz. Maria szepnęła:

– Co za wstyd będzie! Na całe Suwałki!

Karolina Zahorska popatrzyła na nią gniewnie. Irytowała ją uległość córki, chociaż sama ją w niej wypracowała, bo od zawsze żądała posłuszeństwa. Mimo to o wiele bardziej ceniła niezależnego ducha wnuczki. Być może widziała w niej samą siebie sprzed lat...

– Zdarzają się i u nas kobiety samodzielne – ubolewała Maria – ale te prowadzą pensję, zakład fotograficzny jeszcze może się cieszyć szacunkiem, sklep z konfekcją dla pań, no przecież! Ale handel?

– Mario, zamilcz! – przywołała córkę do porządku Karolina Zahorska. – Czy nie mówiłam, że w niczym Oli nie należy przeszkadzać? W żadnym jej postanowieniu. Chodź no tutaj, dziecko.

Ola podeszła, babka suchą, twardą ręką pochwyciła miękką dłoń dziewczyny.

– Pojedziesz do Warszawy, Olu. Rób, co ci serce każe, nie patrz na ludzi, nie patrz, żyj według siebie. Nie udało się to ani mnie, ani twojej matce. Może tobie się uda, może ty wreszcie zaznasz wolności.

Ola zastanowiła się, czy babka miała też na myśli wolność kobiet, które nie mają mniej rozumu niż mężczyźni, ale prawa mniejsze we wszystkim. Postanowiła o tym pamiętać. Ciotka Maria zamarła, wstrząśnięta reprimendą i decyzją. Ola uśmiechnęła się i złożyła na pomarszczonych policzkach babki dwa serdeczne całusy. Babka jednakże nie lubiła czułości, odgoniła ją jak muchę i pochwyciła w stare palce fałdę szarej sukni dziewczyny.

– W takim czymś jechać nie możesz! – sapnęła gniewnie. – Sama ci suknie sprawię, Olu, a chociaż kres mojego istnienia na tym świecie nadchodzi, sztukę haftu jeszcze pamiętam. Piękne inicjały ci wyhaftujemy, tylko Mario, na Boga, przestań chlipać i wołaj mi tu krawcową. Podobno nowy sklep bławatny otwarto, materiał trzeba kupić, bo czasu mało.

– Byle nie niebieski – dodała szybko Ola.

■

Tego dnia otrzymała od babki cenny dar, nie tylko zgodę, nie tylko fundusze na nowe suknie, ale pewność, że można i trzeba myśleć i żyć po swojemu, być ponad konwenanse i żądania świata. To, że całe Suwałki, a także okoliczne powiaty ogarnie oburzenie na wieść, że panna Szczerbińska będzie pobierać nauki w Warszawie, i to w szkole handlowej, nie mogło mieć dla niej znaczenia, jeśli w głębi serca czuła, że decyzja to słuszna. Żadna dotąd tak nie postąpiła? Ola Szczerbińska nabrała wiary, że warto pójść krok naprzód i wytyczać nowe drogi. Wysoka, smukła, pełna młodzieńczej energii dziewiętnastolatka, podczas tej decydującej rozmowy nie przypuszczała nawet, jak bardzo przyda się jej w życiu siła i mądrość, którą dostała od babki Karoliny. Nie miała pojęcia, jakie zdarzenia niesie przyszłość, ale czekała na nie z ciekawością, tak jak babka ze spokojem. Zabrały się obie do przygotowania wyjazdu, a podniecenie udzieliło się nawet Marii i Anusi, która deliberowała, jak by tu zapakować Oleńce pierogi faszerowane grzybami i trochę peklowanego mięsa, bo wątpliwe, by w Warszawie żywność mogła być chociaż odrobinę podobna do tutejszej, suwalskiej, z jej spiżarni. Babka haftowała piękne inicjały „AS” na garderobie. W „Bluszczu” oglądały, jak ubierają się teraz warszawianki. Jedna tylko rzecz mogła powstrzymać Olę. Babka słabła, trawiła ją gorączka, lekarz, który przybył, nie dawał nadziei.

– Miesiąc, może dwa – powiedział cicho do kobiet w salonie, ale Karolina sama wiedziała, że życie jej dobiega końca.

– Ani mi się waż odsuwać wyjazd! – zakazała Oli. Wsunęła na wąski palec wnuczki swój pierścień żalobny, stara pomarszczona ręka ucisnęła gładką dłoń. – I tak już dużo

kosztował, same sakwojaże pół rubla. Ja się śmierci nie boję. Mario, podejdź tu, czy ty mnie słyszysz?

Wołała córkę i pouczała w sprawach gospodarstwa, wydawała polecenia i jeszcze raz kazała przyrzec, że nikt nie będzie Oli przeszkadzał, nawet jeśli postanowi coś wbrew woli rodziny. Zmarła przed wyjazdem wnuczki, jakby celowo obrała sobie taki termin, by nie zatrzymywać jej w domu.

I tak panna Aleksandra Szczerbińska musiała osuszyć łzy, zebrać pakunki, uściskać ciotkę i siostry i ruszyć dorożką, a potem pociągiem do Warszawy. Pewien etap w jej życiu zakończył się ostatecznie, pożegnała Suwałki. Pociąg jechał długo, mijał wsie podlaskie, łąki i lasy jak namalowane pędzlem artysty zakochanego w sielskich pejzażach. Wreszcie pojawiły się ciężkie budynki dużego miasta. Na dworcu w Warszawie wysiadała bardzo przejęta, z lękiem, ale i ciekawością następnego rozdziału w życiu.

■

W Warszawie zamieszkała w żeńskim internacie przy szkole pani Siemiradzkiej. Miała więcej swobody niż inne dziewczęta, bo Maria dobrze zapamiętała nakaz matki i jeśli Ola życzyła sobie sama wychodzić do miasta bez przyzwoitki, bez tłumaczenia nauczycielkom gdzie i po co, to tak widać musiało być: babcia pozwoliła, ciotka nie zamierzała się wtrącać, wychowawczynie też musiały się z tym pogodzić. Maria miała tylko nadzieję, że Ola, wychodząc z domu, nigdy nie zapomni kapelusza, to byłoby poniżej godności kobiety z jej sfery. A Ola, jak najbardziej w kapeluszu, chłonęła miasto i całkiem nowy dla siebie świat. Rzuciła się w wir nauki, nawiązała także nowe znajomości i oczywiście niewiele czasu upłynęło, jak pochłonęła ją działalność konspiracyjna.

W tej dziedzinie w Warszawie początku wieku dwudziestego działo się wiele. Dorosła nowa generacja, niechętna pomysłom ojców, bo i ta młodzież, jak w każdym pokoleniu, szukała własnych dróg, buntowała się przeciw starym i sądziła, że jest mądrzejsza od rodziców. W tych czasach we wszystkich dużych miastach studenci chętnie wiązali się w grupy, nastała moda na zrzeszanie się w partie głoszące konkretne programy. Z Europy napływały rewolucyjne doktryny, dyskutowane w salonach Polek, gdzie najczęściej spotykali się młodzi ludzie, nie tylko w celach towarzyskich. Dziewczęta nie stroniły od starego jak świat flirtu, ale żywo komentowały też nowoczesne postulaty sufrażystek. Młodzieńcy, choć szarmanccy, nie chcieli przyznać kobietom prawa do głosowania, czym narażali się na gniew pań i odmowę tańca. Powszechnie wiadomo, że damy, te słodkie stworzenia, kierują się bardziej sercem niż rozumem, choć patriotyzmu i serca nikt by im nie odmówił. Oto życzyły sobie nagle szacunku również dla kobiecego intelektu. Absurd? A jednak coraz więcej rozumnych rówieśników skłonnych było przyznawać rację koleżankom. Potrafiły dyskutować, miały własną wizję przyszłości, pamiętały o przeszłości. Razem wspominali czyn zbrojny dziadków, byli wszak wnukami powstańców styczniowych z roku sześćdziesiątego trzeciego. Dla nich, wychowanych w duchu patriotyzmu, sprawa wolnej Polski była najważniejsza. No i wszyscy pragnęli obalenia caratu.

Ola uczyła się szybko. Nie bez powodu uznawano ją za inteligentną dziewczynę. Bez trudu przyswajała języki obce, rozumiała prawo i ekonomię, które podobno dla umysłów kobiecych miały być, jeśli nie trudne, to zbyt trudne. Śmiała się z tego, jej szkolne koleżanki też. Potrafiły pokazać wykładowcom, a byli nimi sami mężczyźni, że mózgi kobiece tak samo pracują jak męskie, ba, czasami żywiej. Korespondencja w trzech językach obcych, towaroznawstwo, matematyka – dobrze, że ciotka Maria nie wiedziała dokładnie, czego siostrzenica uczy się w tej Warszawie. Podobnie jak tego, że Ola Szczerbińska nie ograniczyła się do programu szkoły pani Siemiradzkiej, lecz zaczęła uczęszczać na wykłady tajnego Uniwersytetu Latającego i uczyła się

przedmiotów, których w oficjalnych programach szkolnych nie było, czyli literatury i historii polskiej. Z zapałem poznawała zachodnie systemy filozoficzne i ekonomię polityczną i nie ziewała nad tym, lecz analizowała, na ile rację mają autorzy śmiałych tez. Chcieli zmienić stare porządki. Chcieli ruszyć z posad bryłę świata. A ci, którzy pragnęli bronić dawnych wartości, wiary przodków i nie chcieli niczego zmieniać? Czy też mieli rację?

Ola kiedyś obiecała sobie służyć ludziom potrzebującym, więc pociągały ją postulaty o równości społecznej. Każdy człowiek powinien mieć takie same prawa! Do nauki, do głosu w sprawie kraju. Spierała się o to mocno z młodymi konserwatystami, zwłaszcza z hrabią Jerzym, potomkiem jednego ze szlacheckich polskich rodów, bywalcem warszawskich salonów. Jerzy patrzył z coraz większym zainteresowaniem na stanowczą w poglądach, spokojną Aleksandrę. Mówiła mniej niż jej zażywna przyjaciółka Janka Szokalska, ale miała coś magnetycznego w spojrzeniu. Ola, nieświadoma takiej oceny, lubiła Jerzego, lecz tak jak wielu kolegów w jej wieku, uprzejmych urzędników lub ideowych zapaleńców, hrabia także nie pasował do jej wyobrażeń o mężczyźnie życia, takim, którego mogłaby prawdziwie pokochać. Dorastając bez ojca, jedyny męski wzorzec miała w kuzynie babki, Ludwiku, a ten był poważnym sybirakiem, patriotą i socjalistą, więc Ola instynktownie szukała siły i czynu, nie samego gadania. Na rówieśników patrzyła trochę jak na rozrabiające dzieciaki, rzadko którego poglądy ją ciekawiły. Hrabia wprawdzie był nieco starszy, mienił się nawet arystokratą ostrożnie socjalizującym, ale szydził z niej żartobliwie, że chce rozdawać biedocie cudzy majątek. Sam mieszkał w pałacyku przy Miodowej, obok Ostrowskich, Koniecpolskich i Potockich. Bardzo daleko, chociaż blisko miał do biednych Nalewek opisywanych choćby przez Prusa, ale tam nie chadzał ani nie jeździł na spacer, bo wolant grzązał w błocie. Ola poznała go na jednym z wieczorów w willi przy Belwederskiej, gdzie dała się wciągnąć w gorącą rozmowę o klęsce powstania styczniowego.

Jerzy był przystojnym, doskonale wychowanym młodym mężczyzną, opiekuńczym, gotowym w każdej chwili podać szal lub ramię, zrywał się z krzesła, gdy wstawała, tańczył lekko i pytał, czy nie jest zmęczona. Ale miała poczucie, że on w wyzwolenie nie wierzy i nie podziela jej woli walki, a już podporządkowanie temu całego życia... Inni młodzi ludzie, którzy spotykali się w ogrodach za podmiejskimi willami i w salonach zamożnych Polaków, byli bardziej zbuntowani. Spiskowali, to oczywiste. Konspirację mieli we krwi, zresztą urzędnicy carscy słusznie przypuszczali, że na tych przyjęciach z muzyką młodzi warszawiacy, zasiadający przy stolikach do gry w karty lub wsparci na zdobnych poduchach podczas flirtów, nie oddają się degustacji wyszukanych potraw, w każdym razie nie tylko. Ale urzędnicy w roku 1904 dawali się przekupić, poza tym carat trapiły inne kłopoty: wojna z Japonią na Dalekim Wschodzie i zamieszki rewolucyjne w Rosji odwracały uwagę władz, restrykcje w Królestwie Polskim nieco zelżały.

*Belle époque* kwitła więc w Warszawie, damy w jasnych sukniach i ogromnych kapeluszach towarzyszyły kawalerom w teatrach i kawiarniach, przyjmowały bilety wizytowe, organizowały w swoich salonikach wieczorki pełne muzyki i dysput. Docierały do młodzieży warszawskiej filozofie tak Marksa, jak i Przybyszewskiego, młodzi ludzie żywo dyskutowali ich poglądy, zawiązywały się partie polityczne, jedne bardziej socjalizujące, inne bardziej narodowe. Ola słuchała, rozmyślała. Lubiła wypracowywać sobie własne zdanie na każdy temat. W szkole pani Siemiradzkiej królowały ideały pozytywizmu. Owszem, zgadzała się z ideą pracy, patriotyzmem Sienkiewicza, lubiła powieści Orzeszkowej, ale nie przekonywały jej ugodowe manifesty Świętochowskiego, ulubieńca Siemiradzkiej i hrabiego, który coraz częściej towarzyszył jej na spacerach w Łazienkach. Ola zauważyła, że przypadkiem powóz z herbem Jerzego znajduje się często w pobliżu, gdy ona wychodzi z zajęć lub udaje się na drugą stronę

miasta, zjawia się akurat, by uprzejmie podwieźć pannę Aleksandrę. Hrabia twierdził, iż obawia się o jej bezpieczeństwo, bo wbrew zwyczajom lubiła chodzić po mieście sama, a widać tęsknił za poważnym spojrzeniem, za ciepłym głosem, nawet gdy wygłaszała poglądy rewolucyjne.

– „Stwarzajmy możliwości pozytywnej pracy. Wciąż pracy i pracy”, no dobrze – spierała się z nim – ale Świętochowski nie żąda dla kraju wolności! Jakoś milczy na ten najważniejszy dla nas, Polaków, temat.

– Może jest realistą? – odpowiadał Jerzy. Czuł się kosmopolitą, rodzina miała rezydencje w Paryżu i w Wiedniu. Sam nie wiedział, czemu odłożył wyjazd do Francji, chyba przez te ciemne oczy, które prześladowały go od ostatniego karnawału w Warszawie. – W określonych warunkach historycznych, panno Olu, ważniejszy może być dobrobyt materialny społeczeństwa, gdy o wolności nie ma mowy.

– Cóż po dobrobycie materialnym, coż po rozwoju gospodarczym, jeśli trzeba się dla niego wyrzec wolności? – Ola wzruszyła ramionami. Odrzucała z pogardą wszelkie teorie lojalności wobec zaborców. Nawiedzony Przybyszewski dla odmiany irytował ją niepomiernie. Cała ta moda zachwyconych panien, wdychających na widok portretów Dagny Przybyszewskiej, układających włosy jak ona – i to nie było dla Oli. Czytała prasę, po lekturze artykułów Jędrzejowskiego i w myśl wrodzonego poczucia sprawiedliwości poddała się wpływowi socjalizmu, tak bowiem nazywano filozofię związaną z tym, co sobie postanowiła, by służyć innym ludziom, pomagać także ubogim, walczyć o kraj sprawiedliwy. Ola umiała obserwować świat wokół siebie, widziała przecież, że wszystko się zmienia i kruszeją dawne systemy.

– Kończy się pewna epoka – mówiła hrabiemu. – Popatrz na rozwój miast, Jerzy, na zamieszki w Rosji. Nadchodzi kres dworów, a kto wie, może i wielkich rodów jak twój?

Miała wiele racji. Miasto stawało się przestrzenią dużo prężniejszą, ważniejszą niż kiedyś, zdawało się, że to tu w dwudziestym wieku przeniesie się życie z wiejskich folwarków, tu będzie tętnić nauka, kultura, przemysł i handel. Do miast napływali masowo ludzie z prowincji. Jedni, potomkowie szlacheccy ze zubożałych folwarków, kształcili się, szukali pracy związanej z ich wiedzą, tak budowała się inteligencja polska. Inni, operatywni, brali się do handlu, zostawali fabrykantami, kupcami, rósł polski biznes i wzmacniało się mieszczaństwo. Chłopi porzucający biedę na wsi trafiali do fabryk jako siła robocza. Pracowali ciężko. Aleksandra widziała to i mówiła głośno na spotkaniach, że zmienili tylko panów, pracę na roli u dziedzica na maszyny fabrykanta. A jednak komuniści krzyczący o prawach klas niższych też nie mieli według niej racji, bo nie pragnęli wolnej ojczyzny i nie mieli pomysłu, jak poprawić byt ubogich inaczej, niż zabierając bogatym. Ola pragnęła Polski wolnej od zaborców i sprawiedliwej dla wszystkich ludzi. Hrabia Jerzy śmiał się i mówił o utopiach. Nie zmartwiła się, gdy przestał bywać na jej wieczorach. Być może rodzina przywołała go do porządku, może doszedł do wniosku, że największą utopią jest myśl o mariażu z panną Szczerbińską.

A Ola snuła swoje marzenia. Kiedy naczytała się Renana i Nietzschego, poglądy jej sięgnęły herezji. Ogarnęły ją wątpliwości dotyczące wiary katolickiej, którą przecież przepojone było jej szlacheckie wychowanie w Suwałkach. Teraz wahała się także w kwestii tych prawd. Do domu jeździła od czasu do czasu koleją, zaczerpnąć miłości i po prowiant. Swoimi radykalnymi poglądami przeraziła po raz kolejny ciotkę Marię. Od świątecznego pobytu, kiedy usiłowała wytłumaczyć jej myśl agnostyków, ciotka dyskretnie wkładała książeczki religijne do paczek z ciastkami pieczolowicie szykowanych przez Anusię. Ola z westchnieniem odkładała je na bok. Szukała swojej własnej drogi, autorytetów, które przemówiłyby do jej rozumu i uczuć. Ukończyła z powodzeniem szkołę pani Siemiradzkiej, ale nie przyjęła jej propozycji, by pozostać na pensji w roli nauczycielki. Podjęła pracę urzędniczką, znalazła taką posadę w biurze fabryki



wyrobów skórzanych na Woli. Zaczynała o siódmej rano. Bacznie obserwowała organizm przedsiębiorstwa, przyglądając się zwłaszcza pracy robotników. Stali od rana do wieczora przy maszynach za nędzne stawki, a i tak w „jej” fabryce było lepiej niż w innych – przynajmniej robiono pracownikom godzinną przerwę na obiad, co nie było powszechnie spotykane.

W tym czasie zauważyła, że zaciera się w jej głowie wspomnienie Suwałk, że wrasta w Warszawę, jakby stolica Królestwa była jej rodzinnym miastem. Lubiła spacerować po Krakowskim Przedmieściu, patrzeć na hotel Bristol przy skrzyżowaniu z Karową, na budynki uniwersytetu, pałac Staszica. Stukot kopyt końskich na bruku wiodącym na Stare Miasto budził miłe skojarzenia. Już nie tylko patrzyła na damy z parasolkami, spacerujące po parku Saskim, lecz stała się jedną z nich. Zaglądała do pijalni czekolady Wedla przy ulicy Szpitalnej, ulubionej kawiarenki warszawiaków. Bywała na koncertach, wykładach, zmieniała fryzurę. W Warszawie początku wieku dwudziestego inaczej żyło się niż w Suwałkach, inaczej ubierały się kobiety, a i panowie. Ton modzie nadawał Bogusław Herse, który sprowadzał modele z Paryża, a na każdy nowy sezon wydawał specjalny katalog. W drzwiach imponującego, ogrzewanego gmachu Hersego przy Marszałkowskiej 140 działała nawet winda i telefon. Bogusław Herse powiadamiał swoje klientki specjalną broszurą o nowych kolekcjach, obiecywał, iż każda elegantka i wymagający dżentelmen znajdzie tu wszystko, czego potrzebować może: suknie skromne codzienne i kostiumy spacerowe, kołnierzyki gładkie lub z falbanami. Nie tylko Oli, ale i większości warszawianek nie było jednak stać na zakupy u Hersego. Futra z Paryża i Amsterdamu, które pyszniły się na parterze, mogły zaledwie oglądać w witrynie od ulicy Szkolnej, ale inspirowały się pomysłami dyktatora mody, szyjąc sobie podobne suknie i bluzki same lub u szwaczek.

Pewnego dnia Ola z Janką Szokalską, koleżanką ze szkoły handlowej, oglądały witrynę sklepu Hersego. Rozgrzewały zmarznięte dłonie, chuchając w cienkie muflki. Pierwsze płatki śniegu padały na warszawską ulicę. Ola oddała się marzeniom, czego to by nie kupiła ciotce Marii albo siostrze w prezencie gwiazdkowym. Wybierała się na święta do domu, tam, na Suwalszczyźnie, podobno zima już rozhulała się na dobre.

– Kupiłabym jej tę salopkę – mówiła do Janki. W oświetlonym oknie sklepu kusily żaboty, wachlarze i angielskie krawaty.

– A ja bratu ten krawat! – westchnęła Janka. – A sobie to jasne boa z piór. Ech, popatrz no, Olu... – ściszyła nagle głos i pociągnęła Olę za rękaw, wpatrzona w ulicę.

Przed sklepem zajechał powóz. Portier usłużnie wybiegł witać zamożnych klientów. Ola rozpoznała herby na drzwiach powozu. Z pojazdu wysiadała młoda kobieta w futrze z soboli, podawał jej rękę hrabia Jerzy w ciepłej pelerynie i cylindrze. Ola cofnęła się gwałtownie w cień, lecz nie udało się jej skryć i hrabia skłonił się jej uprzejmie, uchylił kapelusza, po czym wszedł z siostrą do magazynu, witany gorliwie przez subiektów.

– Nie żal ci? – zapytała Janka.

– Ani trochę – odrzekła Ola. – Nie wierzysz chyba, że rodzina Jurka chciałaby taką jak ja hrabinę? A nawet gdyby, cóż robiłabym z hrabią, który pragnie Europę zwiedzać, może zostać dyplomatą? Nie jestem stworzona do pałacu. Zobacz lepiej, Janko, tę spódnicę. Moda zmienia się niewyobrażalnie, ale o ileż wygodniejsza teraz niż z turniurami i krynolinami babek!

– Aha – przytaknęła Janka. – Ale nowoczesne suknie i tak wymagają niemożliwie cienkiej talii, a ja...

Nowa moda nakazywała, by spod spódnicy wystawał rąbek halki, gorset zaś miał ścisnąć talię tak mocno, by z ogonem sukni i piórem nadawał figurze sylwetkę litery S. Kapelusze i rękawiczki nadal były niepomijalnym elementem stroju wyjściowego, ale w tym sezonie kapelusze noszono z wywiniętym nad czołem rondem, zapiętym broszą, a rękawiczki sięgały do

łockia. Fryzury zmieniały się z każdym rokiem. Dziewczyny powiększały teraz wysoką falę nad czołem nie tylko tapirem, lecz i słynnymi *postiche*\*, i zachwycaly się nową modą paryską oraz lekturami znad Sekwany.

Janka była dość okrągła, policzki miała rumiane, więc ubolewała nad trendami nowej mody, żądającej sylwetki „chudego anioła”, i twierdziła, że pragnie, by wróciły motywy tureckie lub napoleońskie, zupełnie kryjące figurę. Z desperacji zaprosiła Olę na czekoladę do Wedla, co było dobrym pomysłem na rozgrzewkę w zimowym chłdzie, gorszym, jeśli chodzi o dbanie o sylwetkę. Znikły w mroku miasta, a pojazd hrabiowski pojechał w drugą stronę. Dziewczęta, żartując, szły ku ulicy Mysiej, gdy zza rogu wychyłała Cyganka.

– Powrózę panienkom, powrózę – kusila stara i Ola, będąc w dobrym humorze, wyciągnęła ku niej rękę.

– U ha, u ha! – powiedziała starucha. – Będziesz ty wysoko, wysoko, kochana przez hrabiów. Będziesz znała prezydentów i premierów, ale sama weźmiesz najwyższego.

– Czy wzrostem? – zapytała ze śmiechem Ola. Cyganka zaprzeczyła ruchem głowy. Zmarszczyła się zabawnie.

– Szczęście u panny widzę wielkie, pomieszane z gorącymi łzami.

– A ja? – zaśmiała się Janka. – Może ja wezmę hrabiego?

Cyganka zażądała opłaty, ścisnęła w dłoni ofiarowaną przez dziewczęta kopiejkę i popatrzyła na Janke.

– Tobie trudno wróżyć, bo Cygance nie wierzysz. Linie pokrętne, obrazy dziwne. Płonące miasto widzę, gruz tu, gdzie stoimy, tunel pod ziemią, ludzie w błocie, w szlamie. Nie rozumiem. To ci tylko powiem, że płakać będziesz po bliskim mężczyźnie.

Uciekły obie od cyganichy, śmiejąc się z jej słów i dociekając, skąd jej przyszedł do głowy hrabia.

– Musiała podglądać, jak się nam Jerzy kłaniał, albo i podsłuchiwała – wyjaśniła Janka, kiedy już piły czekoladę w przyjemnych, ciepłych wnętrzach Wedla. – O łzach na przemian z radością każdemu można przepowiedzieć. Ale te gruzy i tunele dla mnie? I to tutaj, gdzie solidne gmachy? Też coś. Co za fantazja!

Czy mogła przypuszczać, że za czterdzieści lat prawda przekroczy granice fantazji, a historia znów zafunduje stolicy okupację? Że ona, Janka, już nie Szokalska, ramię w ramię z mężem stanie do walki w szeregach AK, że wprowadzie ocaleje z powstania warszawskiego, wyjdzie kanałami z miasta, ale nie pogodzi się nigdy ze śmiercią syna, jego grobem gdzieś pod gruzami. Że nie odnajdzie nigdy męża aresztowanego przez gestapo. Że po wielu latach spotkają się z Olą w powojennym Londynie już jako starsze kobiety, naznaczone piętnem wojny. Teraz jednak obie młode i głodne zapomniały o hrabim i Cygance i z zapałem zajęły się gorącą czekoladą.

Ola zaprzyjaźniła się z jasnowłosą, wesołą Janką do tego stopnia, że zamieszkały razem. Wieczorami w ich saloniku zbierało się liczne grono młodzieży, rozbrzmiewał śmiech i gorące dyskusje polityczne. Brat Janki, przystojny, inteligentny młody człowiek, głosił poglądy podobne do zapatrywań Oli. Należał do partii nazwanej PPS, Polska Partia Socjalistyczna. Ola zainteresowała się ich ideologią, podobało się jej, że łączą patriotyzm z postulatami społecznymi. Może było to coś dla niej? W ich saloniku, przy ciastach przysłanych z Suwałk, po raz pierwszy padło nazwisko „Piłsudski”, nosił je przywódca tej partii. Mówiono o nim jak o bohaterze.

– Sybirak, działacz, więziony, ścigany – opowiadał z zapałem Robert Szokalski – uciekł ze szpitala w Petersburgu. Dajecie wiarę, z psychiatryka! Niesamowity człowiek. Aresztowali go w Łodzi w tajnej drukarni i w Cytadeli Warszawskiej groziła mu jak nic szubienica. Zaczął symulować wariata, nasi lekarze mówili mu co i jak. Histerii dostawał na widok munduru,

jedzenie odrzucał niby ze strachu przed otruciem i cóż? Uważacie państwo: dopiero mu uwierzyli, jak zmęczony tą fikcją przestał udawać, popadł w obojętność.

– Cóż dalej? – spytała Janka. – Mówisz przecież, że jest na wolności?

– A tak. Przewieźli go do szpitala Świętego Mikołaja w Petersburgu, a tam pomógł mu w ucieczce doktor Mazurkiewicz. Jak w powieści romantycznej, Scott by się nie powstydział. Uważacie: doktor ukrył w gabinecie eleganckie cywilne ubranie, w które Wiktor, bo Piłsudski takie ma imię w organizacji, przebrał się podczas rzekomego badania. Plan był śmiały, dokładny, opracowany co do minuty, tymczasem popsuł go pismak z gazety, który wdarł się do doktora po wywiad o wariatach. Doktor udzielił wyjaśnień, ale okazało się, że przez ten czas podmieniono znajomego stróża przy bocznym wyjściu, kędy mieli iść. No to bezczelnie wyszli obaj przez główny dziedziniec, rozmawiali jak dwaj uczeni, doktor mienił więźnia ekscelencją, Wiktor gestykulował jak jakiś nawiedzony profesor psychiatrii. Wsiedli do doróżki, ruszyli z kopyta i tyle ich widziano. Władze carskie wpadły we wściekłość, pościg na nic, zbiegowie wyładowali w Galicji, gdzie carska łapa nie sięga.

Młodzi słuchali pełni entuzjazmu i uznania, które udzieliło się też Oli. Opowiadano o podziemnej prasie, o tym, że cała, dobrze zorganizowana siatka ludzi działa w tajemnicy. Potrzeba wszystkiego: pieniędzy, broni, prasy, ale także oświecania ubogich, na takiej warszawskiej Pradze choćby. Ów Piłsudski wydawał gazetę „Robotnik”, za co ścigały go władze carskie. Jego umykanie patrolom i wieczne przenoszenie drukarni stało się już legendarne. Kpił z Moskali, zmieniał kryjówki, teraz podobno znów drukował w Łodzi, szerzył ideały społeczne, ale na pierwszym miejscu stawiał wolność ojczyzny. Ola przypomniła sobie obietnicę daną babce. Poczula, że oto jest coś, czym mogłaby się zająć. Zima mroziła szyby salonów, na Dalekim Wschodzie Rosja przegrywała wojnę z Japonią, a Robert Szokalski z pasją mówił o polskich bojówkach, które w przyszłości mogły przekształcić się w siły zbrojne, a potem...

Ola Szczerbińska rozmawiała z nim dłużej, dopytywała o szczegóły działalności jego organizacji. Zerkał na nią z zaciekawieniem, chętnie może pogłębiłby znajomość z przyjaciółką siostry, ale dziwnej dziewczyny z Suwałk nie interesował nikt z rówieśników, ani hrabiowie, ani prości ideowcy, a wkrótce nie miała już chwili czasu na romanse. Oddała swoją energię sprawie, w którą mocno wierzyła. Całym sercem włączyła się w rewolucyjną działalność PPS.

\* *postiche* (fr.) – pukiel cudzych włosów, kupowany u fryzjerów, wkładany we włosy nad czołem dla powiększenia objętości fryzury

## ROZDZIAŁ 5

### ■ TOWARZYSZKA OLA

Odrapane kamienice warszawskiej Pragi roku 1904 mogły budzić szczerą grozę w duszy młodej dziewczyny. Podwórka, w których śmierdziało moczem i mydlinami, bramy, które otwierały się ze zgrzytem żelastwa. Ola w schludnym jasnym zakiecie i spódnicy haftowanej ręką Marii nie pasowała do tej scenerii. Nie myślała jednak o tym. Ujęła w obie ręce spódnicę, by nie powalać jej w podejrzanych zakamarkach, weszła w bramę kamienicy przy Ząbkowskiej. Obrzuciła wzrokiem okna, za jednym z nich, w lokalu na trzecim piętrze, spotykały się kobiety i dziewczyny z robotniczego świata, tam kierowała swoje kroki. Niepiśmienne, biedne, a jednak ciekawe wiedzy i wykładów, które wygłaszała towarzyszka Ola. Lubiła je, czuła, że mimo braku wykształcenia i dobrego wychowania mają dobrą wolę, że nie powinny być tak zaniedbane. Czemu te Zośki, Maryśki z biednej Pragi nie miałyby poznać i szkolić sztuki pisania? Prowadziła wśród nich pracę oświatową i propagandową, poświęcała na to cały swój czas po wyjściu z biura, uważała jednak, że to wciąż mało, że to „robota na teraz”. A przyszłość, walka o wolność z Moskalami? Musi nadejść, musi! Polacy powinni szykować się na taką wojnę. Ola słyszała, że owszem, spiskowcy zbierają pieniądze, tworzą arsenał, ale widocznie za krótko była w organizacji, by zostać wtajemniczona. Tu gdzieś, w okolicach Brzeskiej, w mieszkaniu Marii Paszkowskiej był podobno skład broni. Z kolei na Woli, w centrum przy ulicy Foksal i w kilku innych punktach działały tajne drukarnie, powstawały w nich gazety, bibuły, broszury, które szły potem do ludzi, by szerzyć idee równości i wolności. Mówiono, że wróciła do Warszawy pani Stefania Sempołowska, znana działaczka i patriotka, dusza wszelkich działań oświatowych, dwukrotnie już aresztowana za rozpowszechnianie buntowniczej literatury. Ola też pragnęła brać udział w większych akcjach. Była pewna, że wkrótce wybuchną zamieszki w Warszawie. Ferment narastał jak wrzód, musi coś się zdarzyć. A wtedy lepiej, żeby i kobiety umiały dobrze strzelać.

Rozejrzała się po ścianach kamienicy i zmarszczyła nos na widok łańców i szmat zawieszonych do suszenia na sznurku. Podszedł do niej młody mężczyzna. Ukłonił się, poprosił cicho, by wyszła z nim z podwórka, podał jej ramię.

– Zabłądziła panienka – powiedział.

O mój Boże, szpicel – pomyślała Ola i pobladła, ale wyszła z nim, udając zdziwienie.

Szpicel okazał się jednak młodym robotnikiem.

– Zdążyłem, Bogu dziękować – powiedział z ulgą, gdy odeszli spory kawałek ku Wiśle.

– Felek jestem, kolejarz, a panienka musi teraz zniknąć z Pragi. Śledzą panienkę. Wczoraj na dworcu, jak wsiadałem do pociągu, pytało mnie takich dwóch, kim pani jest, czego szuka w dzielnicy. Ja nic nie wiem, nie znam, powiedziałem, ale zaraz myślę sobie, że trzeba ostrzec. Moja siostra, Stasia, praczka, bardzo panią podziwiał. Chodzi na te spotkania z panią.

– Dziękuję – powiedziała Ola z wdzięcznością. Uścisnęła rękę Felka. Uniknęła dzięki niemu aresztowania, bo tego dnia we wszystkich podejrzanych kamienicach na Pradze dokonano rewizji. Musiała zaprzestać wykładów, zniknąć z tej dzielnicy, przyczaić się na jakiś czas. Chrząst bojowy towarzyszki Oli miał jednak nastąpić niebawem.

■

Kończył się powoli rok 1904, listopadowe dni zapowiadały wczesną zimą. Ludzie w Warszawie i całym Królestwie z niepokojem czytali gazety i dyskutowali o tym, co działo się

na świecie. Dochodziły ich wieści o porażkach wojsk carskich na wojnie z Japonią. Wojna ta, niby daleka, obchodziła jednak Polaków, bo ogłoszono w Królestwie mobilizację. Groza ogarnęła mężczyzn, nikt nie chciał walczyć i ginąć w rosyjskich szeregach, w obronie Port Artur na Dalekim Wschodzie. Groza ogarnęła kobiety, nie chciały wysyłać swoich mężczyzn na odległą, obcą wojnę. A jednak ku rozpaczy żon i matek ich mężowie, bracia i synowie w wieku poborowym coraz częściej dostawali powołania do wojska. Czterdzieści lat wstecz, kiedy w roku 1863 car ogłosił brankę, Polacy odpowiedzieli powstaniem styczniowym. Teraz nikt o powstaniu nie myślał, ale demonstracja mogła osiągnąć cel, pokazać władzom polski sprzeciw wobec polityki caratu. Konspiratorzy zwoływali Polaków na wiec. Trzynastego listopada na placu Grzybowskim zebrały się masy ludzi protestujących przeciw mobilizacji. Marsz ruszył spod kościoła Wszystkich Świętych, przeszedł ulicą Bagno, a kiedy siostra Stefana Okrzei, znanego działacza PPS, młoda panna Kazia, wyciągnęła spod bluzki płachtę w barwie maków, materiał załopotał nad głowami, tłum podjął pieśń *Czerwony sztandar*. Napis na transparencie głosił „Precz z wojną i caratem”. Policja otworzyła ogień do demonstrantów. Kilka ciał upadło na bruk, ale to jeszcze bardziej rozjuszyło tłum. Organizatorem demonstracji była PPS, a zdarzenie przeszło do historii jako pierwsze od powstania styczniowego zbrojne starcie Polaków z zaborcą.

Oli nie było wśród demonstrujących, dostała inne zadanie. Siedziała w ławie kościoła Wszystkich Świętych, oparła głowę na złożonych dłoniach. Wyglądała na pogrążoną w modlitwie, pobożną młodą kobietę. Zerknęła jednak ukradkiem na zebranych w świątyni. Dwa rzędy za nią równie „gorliwie” modliła się Janka Szokalska, a po drugiej stronie trzecia koleżanka z partii – Janka Torowa. Miały zostać tu jeszcze po mszy, ubezpieczać organizatorów. Odgłosy demonstracji narastały, słychać było pieśni, okrzyki, wreszcie strzały, dźwięk kroków na posadzce – część ludzi wbiegła do świątyni i zatrzaśnięto drzwi. Koło Oli ukląkł młody mężczyzna. Znała go: doktor Zandr z PPS. Podsunął jej dwa rewolwery. Rzucił zdyszczanym głosem:

– Schowaj. – I odszedł do konfesjonau.

Ulica ucichła. Ludzie opuszczali kościół, żandarmeria ustawiła straż, każdego z wiernych podejrzliwie i dokładnie rewidowano w drzwiach. Zandr wyszedł. Ola kątem oka widziała, jak spokojnie przeszedł przez kontrolę. Myśli chaotycznie tłukły się po jej głowie, pulsowały skronie. Dostała zadanie, miała schować broń, po to tu była. Nie mogła ani wynieść rewolwerów w fałdach spódnicy, ani w żaden inny sposób ukryć ich przy sobie. Wzrok jej spoczął na starodawnym ciężkim klęczniku. Przesunęła się w jego kierunku. Niby poprawiając bucik, sięgnęła pod klęcznik, wsunęła tam rewolwery. Zadowolona z pomysłu, pomodliła się jeszcze chwilę, po czym ruszyła ku drzwiom. Spokojnie przeszła rewizję. Żandarmi popatrzyli na pusty kościół, ale nikomu nie przyszło do głowy zaglądać pod klęczniki. Ola poblądła na widok ciał ludzkich porozrzucanych na opustoszałym już placu Grzybowskim, lecz spiesznym krokiem jak zwykła mieszczka udała się w swoją stronę.

Nazajutrz wróciła, bez przeszkód zabrała rewolwery z kryjówki i odniosła do wskazanego punktu. Od tej pory już jako towarzyszką Ola, która wcześniej organizowała żeński oddział PPS i edukowała robotnice na Pradze, miała mieć wiele do czynienia z bronią. Zdała swój pierwszy egzamin, włączono ją teraz w sieć łączniczek transportujących mauzery i browningi od dostawców w Polsce i za granicą. Wkrótce stała się jedną z najważniejszych osób organizujących składy broni i amunicji.

■

Demonstracja na placu Grzybowskim zakończyła się ofiarami: sześciu zabitych, dwudziestu siedmiu rannych, ponad czterystu aresztowanych. Ale nie poszła na marne. Wywarła

wrażenie w kraju i za granicą. Od mobilizacji w Królestwie odstąpiono, a co najważniejsze, po raz pierwszy po wielu latach uśpienia Polska przypominała o sobie Europie. Wciąż pełno było na ulicach Warszawy patroli, lecz władze ustępowały postulatom, w Królestwie powstawały polskie szkoły z ojczytym językiem nauczania, zgadzano się na gazety i szyldy w języku polskim.

Nadchodziła zima, sroga zima z przelomu roku czwartego i piątego w młodym dwudziestym stuleciu. W głębi Rosji ludzie umierali z głodu i zimna, a car zmasakrował chłopską delegację, która przybyła pod Pałac Zimowy prosić o pomoc. Na terenie ziem dawnej Polski coraz mocniej rozwijały się Oddziały Bojowe, czyli szeregi wojskowe partii PPS, szkolone i szykowane do walki z zaborcami, zwane też Bojówką. Strategią militarną partii kierował Józef Piłsudski. Rosła dziwna wiara w wyzwolenie, nie tylko w Warszawie, ale i na prowincji, w mniejszych miastach i we dworach. Coraz częściej pojawiało się w szeptanych rozmowach to nazwisko: Piłsudski. Rodziła się legenda młodego działacza, sybiraka i przywódcy PPS, podawana z ust do ust w salonach i salonikach folwarków, mieszkaniach miast, a także wiejskich domach. Gazety donosiły o klęsce Rosji w Japonii, gadano o nadchodzącej wojnie światowej, mówiono, że ów Piłsudski pojechał do dalekiego Tokio, by pertraktować w polskiej sprawie. I tak, mimo Sybiru, wpadek i wyroków, rosła nadzieja na niepodległość, zwiększały się zapasy broni w magazynach. Siatka konspiracji działała coraz sprawniej.

Przemycano amunicję z Belgii i noże z Finlandii. W kraju fabrykowano w tajnych laboratoriach bomby, składowano je w magazynach w całej Warszawie i poza nią. Brała w tym udział rzesza ludzi, w tym kobiety, które odgrywały rolę niezastąpionych kurierek transportujących broń. Te delikatne damy przemycaly do magazynów karabiny, dynamit i naboje w pudłach z konfekcją, w mufkach, w gorsetach. Wciąż zmieniano punkty kontaktowe w myśl naczelnej zasady konspiracji, by każda z zaangażowanych osób znała jak najmniejszą liczbę pozostałych. Ktoś jednak musiał ogarniać całość, zawiadywać transportem i znać położenie magazynów. W Warszawie organizację składów broni powierzono towarzysze Oli. Utworzyła sieć łączników, ustalała punkty i kontaktowała się z dostawcami. Przekaz broni musiał być tak zakonspirowany, by ewentualna wpadka jednego kuriera nie pociągała za sobą wpadki następnego. Wkrótce tylko Ola znała wszystkie adresy magazynów i los każdej zbrojnej przesyłki. Przez drobne dłonie dziewczyny przechodziły tysiące sztuk broni. Sama odbyła szkolenie i jej własny rewolwer stał się teraz nieodłącznym towarzyszem podróży z brązowym skórzanym i zbyt ciężkim sakwojazem, wsiadającej i wysiadającej z pociągów na różnych dworcach polskich miast. Konduktorzy z uśmiechem odpowiadający na jej grzeczne pytania zdziwiliby się niemało, gdyby zobaczyli zawartość bagaży. Nikt nie przypuszczał nawet, że ta oto młoda kobieta idąca wieczorem warszawską ulicą, być może na towarzyskie spotkanie lub do teatru, ledwie powstrzymuje mdłości od wyziewów dynamitu ukrytego pod gorsetem. Albo że powolna dama nie z racji tuszy ani wrodzonej choroby stóp idzie tak sztywno, lecz właśnie przenosi pod spódnicą dwa mauzery przywiązane do nóg i rewolwery zaszyte w pasy ukryte pod ubraniem. Ona lub jej towarzyszki.

– Mam lepszy sposób – oznajmiła Hanka Paschalska, kiedy szykowały się z Olą do transportu kolejnej partii naboji. Przywiózł je łącznik z Belgii. Cenny łup, dwa worki amunicji. Trzeba było przetransportować je na Wileński. – Popatrz sama.

Stały w pokoju Oli, w samych gorsetach i pantalonach. Hanka, nowa przyjaciółka i współpracowniczka w dziele przenoszenia broni, ścisnęła mocno gumki długich majtek pod kolanami i wypełniła nabojami całe nogawki. Wyglądała zabawnie: wysoka, z ciemnymi lokami, od kolan w górę przypominała prosię – roześmiała się do swojego odbicia w lustrze. Ola pokręciła głową z niepokojem.

– Prześlizgnie, ale... A jak te gumki nie wytrzymają?

– Już tak przenosiłam, nawet kilka razy – odparła Hanka beztrąsko. – Całkiem wygodny sposób. Ola, nadal nieprzekonana, włożyła serię naboju do specjalnego pasa, owinęła się nim i włożyła szeroką falbaniastą bluzkę.

– Całe szczęście, że teraz w modzie te szerokie peleryny.

– Aha – przytaknęła Hanka, z wysiłkiem zapinając spódnicę. – Mojej potężnej figury nie da się ukryć nawet pod suknią. Za to kraciasta peleryna rozwiązuje problem.

Młode damy nałożyły kapelusze i udały się na Marszałkowską. Zamierzały dotrzeć do dworca. Naboje miały być przewiezione na prowincję, tam ukryte w jednym ze składów. Szły dość rażno jak na wystrzałowe obciążenie, gdy nagle Hanka złapała Olę za rękę.

– Pękła. Pękła mi taśma od majtek – szepnęła błada jak śmierć.

Stanęły obie jak wmurowane w trotuar. Kilka naboju wysypało się spod spódnicy Hanki, turlały się od jej stóp prosto do rynsztoka, po chwili następne i następne, ciurkiem, jak połyskujące cukierki.

– Wiejemy! – krzyknęła Ola, widząc nadchodzącego żandarma, mocno zaintrygowanego ich zachowaniem. – Ja w prawo, ty w lewo. Już!

Pobiegła przed siebie, skręciła, wpadła do sklepu bławatnego. Tu zatrzymała się, niby oglądając materiały, ale przez witrynę widziała ruch i hałas na ulicy. Żołnierze zdumieni zbierali naboje, pomagała im grupka przechodniów. Ola uśmiechnęła się do siebie, po czym skarciła się w duchu: szkoda, jaka szkoda, tyle amunicji!

Hanka w tym czasie zdołała umknąć w boczną ulicę, znikła w bramie kamienicy, w której portier akurat oddalił się na chwilę ze swojego stanowiska. Kilka kolejnych naboju wypadło jej z majtek na ziemię, ale nie miała czasu ich zbierać. Wbiegła na schody, zatrzymała się na półpiętrze, a zanim ochłonęła, powrócił dozorca. Hanka słyszała z góry, jak zdziwiony zwierza się komuś:

– Naboje, panie, prawdziwe, przy schodach znalazłem.

– Niech pan zgłosi, panie Alojzy, albo i dom przeszuka.

Alojzy podkręcił wąsa, popatrzył w górę schodów. Być może zdążył usłyszeć stukot obcasów, był jednak albo leniwym stróżem, albo też dobrym patriotą.

– Eee, najpierw zaniosę, gdzie trzeba. – Głosy oddaliły się, drzwi pozostały otwarte. Odczekawszy chwilę, Hanka Paschalska wybiegła jak rączka, mimo że przyciężka, sarna na ulicę, wmieszała się w tłum i zniknęła.

Ola obejrzała jeszcze kilka sztuk materiałów, pomarudziła co do ich jakości, po czym opuściła sklep bławatny odprowadzona zirytowanym spojrzeniem ekspedientki. Pospiesznym krokiem udała się do mieszkania innej działaczki, lekarki o pseudonimie Aniela. Mieszkanie Anieli w kamienicy na Powiślu było obszerne, z gabinetem pani doktor, za którym w mniejszym pomieszczeniu funkcjonował całkiem udany skład broni. Za parawanem dla pacjentek towarzyszyła Ola uwolniła się od pasów z nabojami. Odetchnęła, były ciężkie.

– Nieraz byliśmy blisko wpadki – opowiadała nad koszem bielizny, który przyniosła doktor Aniela. Niewinne prześcieradła okrywały prawdziwą zawartość, kosz pełen był rewolwerów. Ola dorzuciła naboje. – Tym razem byłam pewna, że to koniec, Anielko, naprawdę. Nie wiem, co nad nami czuwało.

Aniela uśmiechnęła się. Sama wielokrotnie uniknęła aresztowania, mówiono o niej „kobieta-duch”. Znikała w ostatniej chwili z rewidowanego mieszkania, z oczu patrolu, za kamienicą, za drzewami parku. Jej działalność była znana policji i żandarmerii, zastawiano na nią pułapki, a i tak nikt nie wiedział, kim jest tajemnicza Aniela. Była starsza od Oli, samotna, kryła jakąś tajemnicę z przeszłości, podobno przeżyła niegdyś nieszczęśliwą miłość.

– Raz było też już tak blisko – kontynuowała Ola, tym razem ze śmiechem – kiedy

z Józefą szmuglowaliśmy dynamit i rewolwery. Józia, wiesz, jaka jest, Anielko, waży sama z dwieście funtów, w sukniach słusznie obfita, po prostu ogromna jak pierzyna z mojego domu rodzinnego w Suwałkach! Wcale się nie zmartwiłam, jak uparła się wziąć pod kiecki cegiełki ekrazytu, bagatela, czterdzieści funtów. Ja rewolwery wzięłam, niewygodne, ale lżejsze, no i od ekrazytu mdli mnie zawsze okropnie. Szłyśmy zapewne jak dwie niedojdy, powoli, krok za krokiem, i nagle bach! Pani Józia siedzi na chodniku, spódnice wokół niej jak sztandary. Straciła równowagę, ciężar zrobił swoje, ale jak raz na siedzenie upadła, tak za nic wstać nie może. Pchałam jej potężną figurę od tyłu, nic z tego. Elegancki oficer rosyjski podszedł, by nieść damom pomoc. Ukłonił mi się grzecznie, rękę Józii podał, ciągnie ją z całej siły, mimo że chłop słuszny, nie może dać rady. Nie wiem, co pomyślał – roześmiała się. – Jakim sposobem uwierzył, że tyle może ważyć kobieta? Patrzę, podchodzi z wolna stójkowy, zdziwiony sytuacją. Przestraszyłam się, że będzie inteligentniejszy. Razem pociągnijmy, mówię do oficera z uśmiechem pełnym wdzięczności, ciocia wyjątkowo ciężka, z choroby. I chwyciłam Józefę za drugą rękę. Udało się, dasz wiarę? Podziękowawszy niezgrabnie, ramię w ramię udałyśmy się niby na dalszy spacer i ekrazyt na szczęście nie wybuchł.

– Uważaj na to – powiedziała Aniela, wskazując na napakowany gorset. – Wiem, że nosisz dynamit w fiszbinach. Byle głupie zaczepienie o coś w pociągu... Olu, zdajesz sobie sprawę?

Ola wiedziała, co może się zdarzyć. Była jednak tak mocno zaangażowana w swoją pracę, że nauczyła się nie myśleć o niebezpieczeństwie rozerwania przez wybuch ładunku, tak jak o zesłaniu w głąb zimnej Syberii albo latach w więzieniu w razie wpadki. Robiła nareszcie to, o czym marzyła, co obiecała babce. Czuli strach, oczywiście, wszyscy wiedzieli, na co się narażają. Ale niewola to chyba była najgorsza wizja. O niejkiej Waligórskiej opowiadano, że z rozpachy otruła się w więzieniu zapalkami. Ola nie dziwiła się, ale i o tym starała się nie myśleć. Teraz trafiło ją co innego: nie mogła pogodzić pracy w fabryce z zawiadywaniem składami broni, podróżami kurierki, partyjnymi zjazdami.

– I tak najgorsze są wyziewy – powiedziała. – Mdli mnie od nich, omal nie dostałam torsji w pociągu do Krakowa. Ale nie ma innej rady, potrzebne będą tysiące, setki tysięcy kilogramów dynamitu, tysiące mauzerów. Szkoda nawet tych naboju, co wypadły Hance z majtek.

Roześmiały się obie, Aniela pomyślała smutno, że pokolenia kobiet w tym kraju dziwaczną mają młodość. Powstania, zesłania, dynamit w gorsecie. Gdzieś tam w dalekim lesie, na polanie stał samotny krzyż, pod nim ciała powstańców z sześćdziesiątego trzeciego. Cały oddział rozbity. Wśród nich młody chorąży Andrzej, jej nadzieja na miłość, na małżeństwo, dzieci i szczęście. Nie dane jej było zaznać szczęścia. Andrzej leżał pod ziemią z pamiątką od niej: zawieszonym na szyi różańcem z chrztu, ale pewnie nawet bez trumny... tylko brzozy krzyż. Aniela uspokajała swoje serce, które tłuło się zawsze przy wizji tego krzyża i różańca jak ptak w klatce. Tak trzeba, żeby inni potem mieli lepiej. Nie jej córki, bo ich nigdy nie urodzi, ale choćby przyszłe córki Oli. Może następne, może te w latach czterdziestych, pięćdziesiątych wspaniałego dwudziestego stulecia będą żyć nareszcie bez wojen i powstań.

– I muszę rzucić posadę w fabryce. – Ola przerwała tok jej myśli. – Wezmę się za dorywcze nauczanie. Korepetycje łatwiej pogodzić z podróżami. Nigdy nie chciałam być nauczycielką, ale widzisz, pozostaje mi teraz los guwernantki. Pomyślałam, że mogłabyś mi pomóc w znalezieniu uczennic.

Aniela mogła pomóc. Miała sporo pacjentek wśród zamożniejszej społeczności warszawskiej. Obiecała popytać, która z dziewcząt potrzebuje zaufanej nauczycielki języków i arytmetyki.

Zakończyły pakowanie amunicji, Ola owinęła się peleryną, chwyciła kosz i ruszyła ku



drzwiom.

– A, jeszcze jedno – rzuciła za nią Aniela. – Mam ci przekazać, że będzie inspekcja składów. Na oglądanie twojej broni przyjeżdża, nie zgadniesz kto: sam Piłsudski. Ciekawa jestem tego człowieka. Wszyscy o nim mówią.

■

Ola też była ciekawa, trochę stremowana, bo o Piłsudskim opowiadano wiele. Wytrzymał lata na zesłaniu, wytrzymał przesłuchania, a za to, że pyskował znienawidzonym Moskałom, wybito mu zęby. Wybrał się do Japonii bronić sprawy polskiej, chociaż misja nie powiodła się, jak pragnął, ale przynajmniej uzyskał lepsze warunki dla polskich jeńców wojennych, którzy wcieleni do carskiej armii dostali się do niewoli gdzieś na Dalekim Wschodzie. Miał podobno żonę, też działaczkę PPS, Marię *primo voto* Juskiewiczową. Był jej drugim mężem. Ciekawe, jaka była pani Maria, zwana Piękną? Jaki okaże się on sam? Po wielu opowieściach o człowieku legendzie Ola spodziewała się wysokiego mężczyzny, olbrzyma jakiegoś. Tymczasem, kiedy czekała na niego w magazynie, wśród swoich zbiorów, dumna z mauzerów i browningów, wszedł do mieszkania człowiek trochę więcej niż średniego wzrostu, lecz energiczny, uśmiechnięty, od progu emanujący siłą.

Miał w sobie coś ciekawego ten mężczyzna, wąsaty, obdarzony żywym spojrzeniem niebieskich oczu. Ludzie ulegali mu bezwiednie. To ujmujące spojrzenie, wdzięk w ruchach, urok, który podobno magnetycznie działał na kobiety, przed czym ostrzegęła ją Aniela. Ola z ulgą stwierdziła, że nie czuje owego magnetyzmu, owszem, dumę ze swojego składu, poczucie jakiejś wspólnoty, tej samej idei wiodącej przez życie, to tak. Chwalił jej magazyn. Piłsudski nie był młodzieńcem, ale z pewnością obdarzony był silną osobowością. Spodobał się towarzysze Oli od pierwszej chwili, ale jako zagorzały patriota, bojownik sprawy, za którą sama oddała życie. Wyśmiała w duchu przestrogi Anieli. Nie było teraz w jej życiu miejsca na uczucia, sądziła zresztą, że w czasach niewoli angażować się w miłość, narażać serce to rzecz niebezpieczna i lekkomyślna. Kobiety, które kochały, płaciły wysoką cenę za swoją miłość. Choćby Wanda Krahelska, roześmiana, ładna ziemianka z bogatego domu, przy tym zaangażowana działaczka. Wszyscy znali jej tragiczną historię. Zaręczyła się z młodym konspiratorem Mieczysławem Roubą i źle się to skończyło. Aresztowano go przed samym ślubem, brutalnie torturowano, z więzienia wyszedł jako wrak człowieka. Popęnił samobójstwo w marcu tego roku. Wanda bardzo to przeżyła, poprzysięgła zemstę Moskałom. Teraz jej działaniami kierowało tylko jedno: pragnienie odwetu.

– Zabiję ich, Olu – mówiła z gniewem. – Zabiję psubratów, oficjeli, generałów, jednego po drugim!

Ola utwierdziła się w mniemaniu, że to nie są dobre czasy na miłość. Postanowiła nie angażować się uczuciowo, zresztą silna i samodzielna nie spotkała jeszcze mężczyzny, który naprawdę by jej zaimponował. Owszem, na pepeesowskich wieczorach kilku kolegów wykazało wobec niej szczególną uprzejmość i gotowość odprowadzenia do domu, wymiany poglądów. Czy mogliby jej towarzyszyć? Odpowiadała przecząco. Ciekawe, że przy spotkaniu z Piłsudskim przypominał się jej stryjeczny dziadek Ludwik, przecież różni byli wiekiem i wyglądem. Może dlatego, że Ludwik też powrócił z Syberii, niezłamany mimo knuta, też nie ustawał w nienawiści do Rosji, a oczy płonęły mu podobnym blaskiem, kiedy rozmawiał z Olą wieczorami? Ludwik zwracał jej szczególną uwagę na kwestie społeczne, marzył o Polsce sprawiedliwej. „Równe prawo dla każdego obywatela, Olu”, powtarzał. „Nie tylko dla dobrze urodzonych! Nie tylko! Pycha to nasza zguba”.

W późniejszych latach myślała często, że być może wrysowany w podświadomość

i pamięć cień Ludwika skierował jej wybór ku tej właśnie partii politycznej, a potem wpłynął i na uczucie ku starszemu od siebie mężczyźnie, owianemu legendą bohatera, silnego stratega, ale i marzyciela. Wówczas jednak, kiedy liczyli razem karabiny i browningi, zwróciła tylko uwagę na dziwną dysproporcję między dłońmi: przywódca miał prawą dłoń silniejszą, żołnierską, lewą zaś wąską i subtelną. Była dumna, że chwalił składy, którymi zawiadywała, oboje pochłonęła segregacja broni białej i palnej, amunicji i bomb wyprodukowanych w laboratorium innego towarzysza – Mieczysława Dąbkowskiego. Gdyby policja wiedziała, co kryje się w mieszkaniu zacnej pani Izabeli Dąbkowskiej przy ulicy Twardej! Bracia Dąbkowscy fabrykowali tam z matką bomby. Najlepsze, profesjonalne, to trzeba przyznać. Starszy, o pseudonimie Paweł, przywiózł z podróży niemałą wiedzę pirotechniczną. „Szkolił się u Japończyków, to jedna z kilku korzyści współpracy z nimi”, powiedział jej Józef Piłsudski, czyli Wiktor. Znał temat, bo pertraktował z Japończykami, barwnie opowiadał o tamtej egzotycznej podróży. Ani Wiktor, ani Ola, debatując półzartem nad dzielnością pani Dąbkowskiej, stawiającej czoła pozyskiwaniu piorunianu rtęci w jej kuchni, raczej nie przeczuwali wspólnej przyszłości. Piłsudski dał jej jeszcze kontakt do Lutze-Birka i niejakiej pani Zagórskiej, oni też produkowali bomby. Pożegnali się uprzejmie, mówiąc sobie miło „do zobaczenia”, bo mieli się spotkać za dwa miesiące, na konferencji PPS w Krakowie. Było to niebagatelne wydarzenie: zjazd przedstawicieli całej organizacji bojowej PPS z Królestwa i Galicji. Sekretarzem konferencji została Ola Szczerbińska. Przewodniczył jej Józef Piłsudski.

## ROZDZIAŁ 6

### ■ OLA I ZIUK

Lipcowy Kraków zachwyił Olę. Pierwszy raz była w grodzie Kraka latem i tak silnie odczuła moc tradycji. Jeśli rzeczywiście istnieje *genius loci*, to mieszka tutaj – myślała – za kościołem Mariackim, wśród kamienic, w zaułkach uliczek wiodących do Rynku Głównego, w podejściu na Wawel. Wrażliwa na historię spotykała tu cienie polskości, w każdym budynku, w Sukiennicach czy świątyniach. Nie miała zbyt wiele czasu na zwiedzanie, bo spotkania i odczyty konferencji pochłonęły prawie cały dzień, jednak zdążyła każdą cząstką odczuć moc Krakowa, atmosferę, jakiej nie zaznała dotąd w żadnym z miast. Czuła się tu dobrze, nawet ze szpiclem za plecami, bo wiedziała doskonale, że podąża za nią cichy cień. Władze austriackie zaniepokojone licznym zjazdem pepeesowców nasiliły kontrolę i cała armia tajniaków śledziła uczestników konferencji. Było ich w końcu tylu, że po dwóch dniach kierownictwo zdecydowało się przenieść zjazd do Zakopanego. Ola wyjeżdżała z żalem, lecz coraz piękniejsze widoki za oknem i towarzystwo w podróży stopniowo gasiły jej smutek i zamieniały w ponowny zachwył. Nigdy jeszcze nie widziała Tatr. Nie jechała pociągiem wśród takich pejzaży, nie wiodła takiej rozmowy. Siedziała w jednym przedziale z Józefem Piłsudskim. Współpraca przy konferencji pozwoliła im poznać się bliżej, teraz mieli czas rozmawiać o sprawach mniej służbowych.

Ola obserwowwała tego człowieka z coraz większą uwagą. Patrzyła na ożywioną twarz, mówił szybko, dowcipnie, czasem z nostalgią. Ile mógł mieć lat? Zadawała sobie w duchu to pytanie i odpowiadała: czterdzieści z pewnością. Wygląda na więcej, to te brwi groźnie nastroszone, sumiaste wąsy. Ale oczy pod brwiami jasne, osadzone głęboko rzucają młodzieńcze błyski i zdradzają poczucie humoru.

Odwróciła twarz ku oknu. Za szybą pojawiały się pierwsze zarysy gór, w oddali, w słońcu widoczne już były dumne granie Tatr. Wyraziła zachwył. Piłsudski milczał chwilę, potem rzekł cichym głosem:

– Niech pani sobie wyobrazi inne pasmo gór. Stokroć groźniejsze. Białe w śniegu góry syberyjskie, wysokie nad równinami, nad potężnymi rzekami. Czy wie pani, Olu, że ta kraina, Syberia, która dla nas, Polaków, oznacza katorgę, niewolę i śmierć, jest też niezwykle piękna?

Opowiadał o Syberii, której urodę pokochał, mimo że był tam więźniem. O huku lodów trzaskających wiosną na zakrętach rzek, o bezkresnej bieli, niezmierzonej tajdze i tęsknocie za krajem. Cytował Słowackiego, bo wielbił jego poezję. Śmiał się, gdy opowiadała o przygodach przy robocie konspiracyjnej, chwalił pomysłowość kurierek. O tak, Ola, opowiadając, sama nabierała przekonania, że trzeba było nie lada sprytu i odwagi, by przerzucić przez granicę Królestwa z Galicją trzysta browningów i kilkadziesiąt funtów dynamitu. Oszukać kordony policji. One to potrafiły – dziewczyny z Warszawy, na pozór płoche, w rzeczywistości odważne kurierki przenoszące broń. Rumieniła się, gdy chwalił obecną modę i stroje kobiece, bo przecież kufry na nic nie przydałyby się w transporcie broni. Szerokie peleryny były zbawieniem, ale także staniki i gorsety, które można było nafaszerować ekrazytem. Szybko zmieniła temat. Opowiadała o solidarności warszawianek. Sporo znała kobiet, które pomagały w konspiracji, chociaż nie należały do żadnych partii ani ugrupowań. Krawcowa Tereska, prześliczna, wesola kobieta ze Śródmieścia, prowadziła bardzo elegancki zakład, a w nim – obok pracowni krawieckiej – funkcjonował skład broni.

– Żaden żandarm nie wpadł na pomysł, że w pudłach z sukniami, w jedwabiu kryją się rewolwery albo amunicja wśród piór w pudłach na kapelusze – mówiła ze śmiechem, lecz nagle

posmutniała. – Doniesiono na Teresę, niestety, zawsze ta zawiść ludzka. W tym przypadku pragnienie odwetu, zemsta panny służącej zwolnionej z pracy. Teresa pobladła, gdy usłyszała wyrok katorgi: dożywotni Sybir. Życie jej zmieniało się całkowicie, z serca Warszawy, gdzie żyła pośród wesołych panien, sukien i koronek, lądowała w sybirskiej głuszy. A jednak, gdy wyprowadzano ją z sali sądowej, śpiewała *Warszawiankę* z dumnie podniesioną głową. Wylądowała w guberni ołonieckiej.

– W ołonieckiej, powiada pani? – Zaśmiał się zadowolony, wesołe iskry sypnęły z głęboko osadzonych oczu. – Toż stamtąd właśnie zwiął brawurowo nasz słynny Józek Mirecki. Miał być na konferencji! Nie widziałem szatana w Krakowie, ale myślę, że do Zakopanego dojedzie albo tam już na nas czeka. Stary druh, ale narwaniec.

– Sam Montwiłł-Mirecki? – krzyknęła Ola z przejęciem. Nie poznała go dotąd, a nie było przecież Polaka, który nie słyszałby o wyczynach legendarnego spiskowca. – Sam Księżę Rewolucji tam będzie? Zna go pan?

– O tak – potwierdził z dumą Piłsudski. – Będzie we własnej osobie, przyjaźnimy się, choć nie we wszystkim zgadzamy. Ten szaleniec wciąż by tylko napadał na banki i ruble rabował, do dostojników carskich strzelał. Zamachy to jego żywioł. Zaczne, ale zamach ma krótkie nogi. A ja myślę, że już czas dalej patrzeć, wojsko budować. Ale dobry chłop z niego i patriota.

Ola patrzyła zdumiona na swojego towarzysza. Prosiła, by opowiadał, chciała jeszcze raz usłyszeć tę historię. Józef Montwiłł-

-Mirecki, diabeł nie człowiek! Ileż ten wariat przeprowadził brawurowych akcji, zanim go uwięziono! To on przecież dowodził napadem na kasę w Opatowie Mazowieckim, on i tylko on zdobył dwanaście milionów rubli dla bojówek, bo innym zamachowcom atakującym w tym samym czasie kasy w Królestwie nie powiodło się. Montwiłł, jak tylko osadzono go w więzieniu, zaraz tam zorganizował demonstrację. Wpadł podczas zasadzki, lecz bronił się do końca na dachu domu przy Mokotowskiej 23, gdzie odbywało się zebranie spiskowców. Ochrona otoczyła budynek, ale Montwiłł ostrzelał ich z dachu jak kaczkę, a gdy kończyła się amunicja, ostatni nabój przeznaczył sobie.

– I co pani powie? – Piłsudski popatrzył filuternie na Olę. – Wymierzył sobie lufę w łeb, ale na dachu noga omsknęła się Józkowi i kula trafiła w szczękę. Nie zabił się, zawieźli go do szpitala, a stamtąd znowu uciekł. I to jak! Wciągnęliśmy do spisku personel. Poszedł Montwiłł do wychodka, o, proszę się nie rumienić, to każdemu wolno, zablokował szczotką klamkę od środka i skoczył przez okienko do ogrodu. Tam już nasi czekali. Doszedł do siebie! Ostatnia akcja parę dni temu, na pewno pani słyszała: w Pruszkowie, pociąg, bardzo udany napad.

Oczywiście, że słyszała. Montwiłł-Mirecki był niezmordowany. Był współczesnym wzorem bohatera, buntownika i romantyka. Wzdychały do niego wszystkie polskie patriotki.

– A jaki przystojny, szelma! – przebiegle dodał Piłsudski i popatrzył spod oka na młodą ciemnonoką towarzyszkę. – Piękny chłopak, brunet, wysoki. Kobiety przy nim gubią duszę.

Ola zarumieniła się znowu.

– A czy on z wileńskich Montwiłłów się wywodzi? – spytała pospiesznie. Wiedziała, że Piłsudski sam jest z Litwy i kocha tamte ziemie.

– Nie, nie – zaprzeczył – całkiem nie z Litwy, nazwisko ma przybrane. Józek uciekał z Sybiru, po drodze zawitał do majątku Montwiłła. Zastał starego szlachcica w smutku wielkim, akurat syn rodzony mu zmarł. Ale pomógł Józkowi Mireckiemu, dał mu papiery i nazwisko syna. I tak się narodził księżę Montwiłł-Mirecki. Ach, Litwa...

Wspomnienie zabrało oboje w podróż do dzieciństwa. Opowiadał jej o szczenięcych latach w Zułowie, gdzie dwór z modrzewia stał wśród drzew nad brzegiem rzeki. O matce, którą

widać bardzo kochał, Marii z Billewiczów. Dwanaścioro dzieci urodziła.

– To tak jak i moja matka – smutno wtrąciła Ola. – Ale piątka z nas tylko przeżyła.

I wychowanie w patriotycznym duchu to samo, udział w powstaniu, konfiskaty, groby poległych, tajne nauczanie polskiego i lektur polskich.

– Matka moja była gorącą patriotką – rzekł Piłsudski. – Wierzyła w wolną Polskę, wierzyła, że za to nie ma ceny.

– Jak i moja babka Karolina Zahorska. – Ola ze wzruszeniem opowiedziała o swojej dobrodziejce, pokazała pierścionek.

Tak wiele znaleźli wspólnych tematów, droga do Zakopanego minęła zbyt szybko. Miasteczko wydało się zapyziałe, choć rozslawione ostatnimi laty przez modnych poetów, niejakiego Tetmajera i Kasprowicza, co oznajmił im z dumą góral-woźnica, kiedy dotarli do miejsca przeznaczenia i najęli bryczkę na przejazd do hotelu.

– Ja wierny pozostanę romantynom. – Mrugnął do Oli, pomagając jej usadowić się w bryczce. – Żaden młokos Tetmajer nie pokona Słowackiego. Zna to pani? „Anioły stoją na rodzinnych polach...”<sup>22</sup>?

Poezja na chwilę wprowadziła go w nastrój melancholii, ale kpił już po chwili i przebywał myślami na konferencji, układał przemowę i zwierzał się jej, że tego nienawidzi, każde wystąpienie publiczne to walka ze sobą, ze swoją słabością. Mijali drewniane chałupy, krystaliczne powietrze uderzało do głowy jak wino. Ale Ola nagle przestraszyła się czegoś. Zapragnęła uciec jak najdalej, zniknąć z tego powozu, nawet z górskiego miasta. Ogarnęło ją dziwne uczucie, sprzeczne: z jednej strony lęk i pragnienie, by stąd zniknąć, z drugiej tęsknota za tym, żeby jechać i jechać, jak najdłużej prowadzić rozmowę, słuchać go, jak wspomina i jak planuje, jak cytuje wiersze i jak splata zdania do przemówienia. Nie znała do tej pory podobnych emocji. Dlatego ogarnął ją lęk, chęć ucieczki, ale jeszcze silniejsza okazywała się wola pozostania w tej bryczce na zawsze... Wzięła głęboki oddech, cóż za głupstwo. Przejazd przez brukowaną ulicę zwaną Krupówkami, obsadzoną tutejszymi góralskimi zabudowaniami, dostarczył niezwykłych doznań. Zwalisty Giewont błyszczał w słońcu, oczarował Olę linią grani i cichą potęgą śpiącego rycerza. Patrzyli na ów cud w milczeniu, miała jednak wrażenie, że towarzysz podróży przygląda się dyskretnie bardziej jej niż górom. Hotel Pod Giewontem wyrósł nagle z szeroką fasadą, witał ich otwartymi okiennicami. W pokoju na piętrze już czekała na nią znajoma, Józia Rodziewiczówna, starsza od Oli, energiczna działaczka partyjna, która wzięła sobie pseudonim „Wanda”.

– Witaj, towarzyszek Olu, witaj w stolicy góralskiej krainy! – zawołała ze śmiechem. – Jak podróż? Pewnie jesteś zmęczona! Początek obrad jutro w południe, ale towarzystwo zbiera się jeszcze na poranną wycieczkę w góry – dodała. – Idziemy?

– Idziemy! – zgodziła się Ola, ciekawa Tatr. Wanda jednak zerknęła na nią zdziwiona. Spodziewała się większego entuzjazmu w związku z eskapadą. Ola tymczasem rozkładała rzeczy mocno zamysłona, potem zaś szybko poszła spać, lecz wydało się Wandzie, że jej współlokatorka niespokojnie przewraca się na łóżku, jakby nie mogła zasnąć.

Rano po szybkim śniadaniu u goździny działo się mnóstwo: wycieczka na Czerwone Wierchy o świcie, szkolenie w strzelaniu, udział w kolejnych konferencjach. Ola jako sekretarz zjazdu miała pełne ręce roboty. Dzień gonił dzień i umykał szybko wypełniony po brzegi: to prowadziła konferencję, szkoliła, notowała, to zachwycała się Tatrami na wycieczce. Strzelała coraz celniej. Brała udział w żywych dyskusjach, w których jedni bronili z zapałem strategii zamachów, żądali więcej takich akcji przeciw władzom, więcej napadów na banki i na urzędników, więcej broni na to, inni zaś wołali, by małe akcje zbrojne wyciszyć, nie tracić teraz sił, przygotować broń i bojówki na wielką walkę. Mocną, ale skuteczną. Stronictwu

dalekowzrocznych strategów przewodniczył Piłsudski. Zapalczywym – Montwiłł-Mirecki. W jednym się zgadzali: będzie wreszcie walka o wolność. Ola słuchała z uwagą prelegentów, musiała jednak przyznać sama przed sobą: sylwetka jednego nie schodziła jej z myśli, przenikliwe oczy i mocny głos przyciągały jej uwagę więcej niż inne. Pewnego dnia uświadomiła sobie, że zjazd dobiega końca i nazajutrz wyjeżdżają. Wanda, coraz bliższa przyjaciółka, widać także wpadła na podobną refleksję, bo zaraz po śniadaniu chwyciła Olę za rękę i powiedziała:

– Ostatni dzień dzisiaj, wolniejszy. Pojedźmy, Oleńka, nad Morskie Oko, co? Mówił mi Rozeń, że widok niezapomniany.

Ola kiwnęła głową.

Po godzinie można było ujrzeć góralską furę wiozącą dwie damy wyboistym traktem do Morskiego Oka. Obie milczały, zaurczone widokami, zasłuchane w Wodogrzmoty Mickiewicza, zapatrzona w surowy zarys Mnicha. Pełen słońca dzień lipcowy sprawił, że jezioro lśniło tęczą barw – błękitnych, modrych i seledynowych, kamienie u brzegu połyskiwały, ptactwo zerwało się na widok intruzów. Resztki jakiegoś drewnianego budynku sterczały na polanie.

– Będzie osiem lat od pożaru – oznajmił góral swoją gwarą. – Było tu już schronisko, ale spaliło się. Do cna. Niby że odbudują dla turystów, ale kto by teraz kciał tu łązić po pogorzelsku? Na Morskie Oko?

– O! Znajdą się chętni, zjadą tu jeszcze tabunami – z wiarą powiedziała Ola. Znow targają nią sprzeczne uczucia: zostałyby tu na zawsze, albo nie, uciekałyby w kosodrzewiny jak sarna, by zaszyć się na reglach, wśród gęstych lasów. Wanda jakby przejrzała myśli swojej towarzyski. Była sporo starsza, niejedno widziała, sama przeżyła nieszczęśliwą miłość.

– „Tu pawiookie drzemią stawy”<sup>3</sup> – zacytowała. – Słyszałaś to, Olu? Ja tam lubię te nowoczesne poezje, zadumane, roztkliwione. To akurat znanego poety ze Lwowa, pana Kasprowicza, słyszałaś o nim na pewno, choćby przez głośny skandal, romans jego żony. Zostawiła go dla Przybyszewskiego, któremu poeta użyczył gościny. Dziwnie się plecie ludzki los, serce kobiece płata figle, czyż nie, Olu?

Tak, Ola słyszała tę historię. I o Przybyszewskim wiele mówiono, kiedy studiowała w Warszawie, i o jego żonie, Dagny, gdy zmarła tragicznie zastrzelona przez młodego kochanka w Gruzji.

– Gdy tylko to się stało, Jadwiga Kasprowiczoza odeszła do niego od męża. Zostawiła mu dwie córeczki – mówiła cicho Wanda. – O panu Kasprowiczu huczał Lwów, że ogromnie przeżył to opuszczenie przez Jadwigę. Pracował podobno teraz nad swoją poezją, miał wykłady na uniwersytecie.

Recytowała jakieś hymny, wiersze o mgłach i wichrach górskich. Smętne, mroczne strofy tworzył ów poeta, zbyt pesymistyczne. Ola wychowana na romantyzmie ze zdziwieniem poczuła, że jednak budzą w jej duszy niezrozumiały żal i zachwyty. W oddali zagrzmiało, zadrzała.

– Ty wolisz Słowackiego, prawda? – Wanda pochyliła głowę i zajrzała Oli w oczy. Pąs oblał policzki Aleksandry, lecz nic nie odpowiedziała. Co mogła zauważyć Wanda, skoro ona sama

nie umiała określić swoich uczuć? Pół roku temu, słysząc opowieść o decyzji Jadwigi Kasprowiczozej, zgorszyłaby się może. Teraz Ola nie wiedziała, co myśleć o uczuciach ludzkich i konwenansach, ale tak, pokochała poezję Słowackiego.

Wanda przysunęła się bliżej.

– Nie są to czasy na miłość, Olu – powiedziała serdecznie. – Nie dla kobiet walczących jak my. Serce się ciebie nie spyta, zapłacze się we własne postanowienia, a potem tylko ból i łzy.

Zaczęła snuć inną opowieść: o losach dziewczyny urodzonej we dworze na Litwie, córce

zarządcy dóbr Radziwiłłowskich, nazwanej Józefą Anną. Ojciec jej z werwą zarządzał ogromnym wianem pani Stefanii z Radziwiłłów, zamężnej z księciem Wittgensteinem. Może wcześniej rodzina zarządcy wiodła spokojne życie, zgodnie z następstwem pór roku, świętami i nabożeństwami, ale Józefa urodziła się trzy lata po klęsce powstania styczniowego, a wtedy wszystko było już inaczej. Ola zrozumiała, że Wanda opowiadała jej swoją historię.

– Wszystkimi to targnęło, wszystkich wciągnęło powstanie. Dziadków moich, obie ciotki, Scholastykę i Halinę, a matka zarządzała jak herszt grupą kobiet pomagających powstańcom. Wozily im prowiant i broń do lasu. Dbały o pochówki i stawiały brzożowe krzyże na grobach. Następne i następne, ze strzępem czarnych welonów na znak żałoby. Mój ojciec nie zginął, ale po klęsce nadeszły same nieszczęścia: Sybir dla ojca, konfiskata mienia. Rodzina podupałaby całkiem, gdyby nie książę Wittgenstein, nasz dobroczyńca. Ojca cenil niezwykle, przyjaźnili się, wszak tatko jego dobrami od lat zarządzał. Książę użył stosunków, by go zamiast na Sybir wysłać do Riazania, ale i tak dopadła tatkę gruźlica. Leczenie we Francji opłacił znów książę, i moją edukację, widać też był w duchu zwolennikiem idei wolnościowych. Ja dzięki niemu potem mogłam w Paryżu studiować. Ach, Olu, piękny to był czas w moim życiu. Wróciłam do Warszawy elegancka, jak to panna z Paryża, pełna entuzjazmu, pełna nadziei na przyszłość. Wierna ideałom, nauczona miłości do Polski, gotowa oddać ojczyźnie duszę i majątek, chociaż tego ostatniego nie miałam wcale, ha! Wittgensteinowie nadal byli moimi dobroczyńcami. U nich właśnie, na balu corocznym w karnawale, poznałam niezwyklego człowieka. Takiego drugiego nie spotkam nigdy, bo takiego drugiego nie ma.

Łza lekko zabłysła w oku Wandy. Ola spojrzała zaciekawiona. Nie wiedziała, że jej przyjaciółka wciąż nosi w sercu starą miłosną ranę. Wanda pobladła, uciekła na chwilę we wspomnienia, ale podjęła opowieść.

– Zauroczył mnie, Olu, swoją postawą i urodą. Nie widziałam dotąd u nikogo tak płowej czupryny i oczu tak jasnych, zielonkawych, błękitnych niby to Morskie Oko teraz. Jakże on tańczył! Fruwałam po prostu, Olu, w jego ramionach niby lekka kukielka. Wysoki był, postawny i zwinny, jak na oficera przystało. Miał na imię Aleksander, jak ty, był dowcipny, śmiał się dużo, w oczach głównie się ten śmiech ujawniał. I tobie tylko jednej to powiem, a ty zaraz zapomnij: pocałował mnie jednego wieczoru i ja omal nie zemdlalam od tego pocałunku. Pokochałam go na śmierć i życie.

– I co dalej? – zapytała Ola. Zapomniała na chwilę o swoich rozterkach. – Co poszło nie po waszej myśli? Czy miał żonę?

– Nie – odpowiedziała Wanda głuchym głosem. – Nie. Był człowiekiem wolnym i zamożnym. Synem arystokraty, bo byle kto u księcia Piotra nie bywał. Powiem ci, że pragnął mnie szczerze, o rękę moją u Wittgensteina prosił. Pokochał ogromnie, tak przynajmniej mówił, gdy klęczał przede mną, z twarzą w fałdach sukni, za kolana mnie obejmował, a ja płakałam. Musiałam jednak dać rekuzę, Olu.

– Czemu? – krzyknęła Ola, aż echo odbiło się od skał. – Skoro oboje się kochaliście, to czemu?

– Był Rosjaninem – rzekła Wanda nie bez goryczy. – Ja, córka powstańców, wnuczka polskiego rodu, nie mogłam wyjść za mąż za Rosjanina. Jak ja cierpiałam, Olu, i wiem, że on cierpieć musiał, nie umiał tego zrozumieć. Sasza, tak, nie Aleksander, ale Sasza, nazwiska ci nie powiem, obym sama mogła je zapomnieć. Jakżeby mogła zostać żoną rosyjskiego ciemiężcy, dzieci z nim płodzić, chodzić z nim pod rękę po grobach, w których białe jeszcze kości moich przodków z powstania? Nigdy! Ale cierpiałam tak bardzo, że aby życie moje ratować, musiałam wyjechać. Wyprawili mnie moi dobroczyńcy do Londynu, zmarli potem jedno po drugim. Siostra księcia, Maria zu Sayn-Wittgenstein, wspierała mnie w Londynie. Tam zresztą spotkałam

naszych działaczy z pepeesowskiej konspiracji, nauczyłam się od nich wiele. Skończyło się stare stulecie, wróciłam do kraju już jako towarzyszka Wanda. On nazywał mnie Anną, Anna więc została w wieku dziewiętnastym, Wanda serce oddała sprawie polskiej w dwudziestym i tak już zostanie. Ot, i w przyszłym roku skończę lat czterdzieści... Nie mów o tym nikomu, Olu, dziecko, ale pamiętaj, uczucia to ból. Nie ma miłości dla kobiet walczących. Zawsze znajdzie się coś, co stanie na przeszkodzie. Nie narażaj młodego serca, poczekaj.

Wanda zamilkła, ale słowa jej dźwięczały w uszach Oli, jakby odbijały się echem od pięknych skalistych gór. Nie odważyła się zapytać, co z nim, z tym zakochanym w polskiej dziewczynie Saszą. Czy strzelił sobie w łeb z miłości, czy znalazł godną żonę i żyje gdzieś tam w rosyjskim majątku z gromadką dzieci, otoczony psami i końmi? A może dał się zabić na wojnie z Japonią, bo była dziwnie pewna, że tak jak Wanda nie zapomniała ukochanego, tak i on zapomnieć o niej nie umiał.

Góral podszedł do zamyślonych pań i pokazał ciemną chmurę na niebie.

– Burze w lipcu w górach często groźne – przestrzegł, więc wsiadły na furę i gniady koń o błyszczącej sierści szybko powiózł je w dolinę i do miasta.

Ledwie zdążyły skryć się w hotelu, burza z piorunami rozszalała się na dobre, ale rankiem rozproszyły się mgły nad miastem i wyjeżdżały z pensjonatu w pełnym słońcu. Ola nie obejrzała się za siebie, wsiadając do bryczki. Chciała zostawić za plecami Zakopane i Tatry, wspomnienie przypadkowych spotkań i rozmów, to dziwne wrażenie, że spotkała człowieka innego niż wszyscy, których знаła. Nie pożegnała się z nim przed wyjazdem, pospiesznie opuszczały hotel. Gdyby obejrzała się chociaż raz, dostrzegłaby może w oknie na piętrze sylwetkę mężczyzny z papierosem spoglądającego za odjeżdżającym powozem. Mężczyzna lekko uniósł rękę w geście pożegnania, opuścił ją jednak i z westchnieniem powrócił do papierów na biurku. Ola w pociągu nie patrzyła na pejzaże, z przejęciem opowiadała Wandzie o swoich planach. Chciała teraz wrócić do Warszawy, zająć się pracą w konspiracji. Pracą, pracą, choćby miała sama organizować przerzuty broni z Belgii i samodzielnie tworzyć nowe sieci i składy broni.

2 Z wiersza Juliusza Słowackiego *Anioły stoją na rodzinnych polach*.

3 Z wiersza Jana Kasprowicza *Krzak dzikiej róży w Ciemnych Smreczynach*.



## ROZDZIAŁ 7

### ■ KONSPIRACJA

Sierpień tego roku obfitował w zdarzenia. Najpierw Ola nieszczęśliwie postrzeliła się w stopę i mało, że przyplącała przygodę bólem i czasowym unieruchomieniem, to jeszcze musiała tłumaczyć się przed swoimi zwierzchnikami. W obronę wzięła ją dopiero Cezaryna Kozakiewiczówna, znana w warszawskich salonach jako zdolna malarka, a w konspiracji jako działaczka obdarzona fantazją, zresztą ona sama niechcący stała się sprawczynią nieszczęścia. Właściwie to nie powinno było się stać. Poszły z Józką po broń do mieszkania Cezaryny, która wyjechała na kilka dni. Zostawiła rewolwery i karabiny wśród swoich sztalug, w szufladach i w kufrach. Ola miała klucz, zabrały ze sobą kosz na bieliznę, odnalazły mauzery, zaczęły przeładunek. Ola zauważyła niedomknięty zamek w jednym z karabinów. Zastanowiło ją to, przecież sprawdzała wcześniej wszystkie, żaden nie był nabity. Postanowiła po prostu domknąć zamek, nieraz miała broń w rękach, doskonale umiała się z nią obchodzić. Niestety, ręka jej drgnęła, palec obsunął się przy zamku, karabin nieoczekiwanie wypalił. Ola i Józka zamarły, a potem popatrzyły na siebie z przerażeniem. Czekwały w grobowym milczeniu, pewne, że zaraz wbiegnie oddział żandarmerii albo co najmniej mieszkańcy kamienicy. Nikt jednakże nie wbiegał, sekundy mijały, cisza panowała w całym budynku.

– Więcej szczęścia niż rozumu – szepnęła Ola, ale Józka pobladła i wpatrywała się oczami jak spodki w podłogę przy stopach Oli. Kałuża krwi powiększała się z minuty na minutę.

– Jezus Maria – krzyknęła. – Raniłaś się przez but! Dawaj nogę w kalosz, suknia zakryje, rety, Ola! Przekuśtykasz? Tylko mi tu nie zemdlej! Musimy złapać dorożkę.

Zemdlała dopiero u lekarza. Ból stopy był jednak niczym w porównaniu z upokorzeniem, którego doznała, wysłuchując reprimendy od swojego dowódcy i dyskusji kolegów. Po raz kolejny to samo: czy należy kobietom powierzać składy broni? Na litość boską! Zawiadywała nimi od dwóch lat! Znała los każdej przesyłki, adresy magazynów, tysiące gnatów przeszły przez jej ręce. Ten karabin nie miał prawa być nabity! A jednak, a jednak... Okazało się, że Cezaryna Kozakiewiczówna w przeddzień pożyczyła mauzera jakiemuś koledze, widocznie oddał naładowaną broń. Skąd mogła wiedzieć? Mimo to powinna była sprawdzić. Wobec zasług Oli, a także wobec tego, że aresztowania zdziesiątkowały szeregi działaczy, skończyło się na gadaniu i napomnieniu do ostrożności. Niemniej ranna Ola nie ruszała się z domu i 18 sierpnia, gdy Wandzia Krahelska *vel* Alina próbowała przeprowadzić zamach na gubernatora Skałona, mogła tylko modlić się za nią i jej towarzyszkę. Potem dopiero, po dobrym tygodniu, Józka Rodziewiczówna wpadła wszystko jej opowiedzieć.

– Czy znasz, Olu, historię miłości Wandy Krahelskiej i Mieczysława? – zapytała.

Ola kiwnęła głową, dobrze znała Wandę Krahelską, która pod pseudonimem Alina działała bardzo aktywnie w bojówkach, ba, zorganizowała w swoim majątku w Mazurkach tajną drukarnię. Sama Wanda opowiedziała jej o niedoszłym weselu z Mieczysławem, o swojej nienawiści do Moskali, którzy aresztowali go przed samym ślubem, torturowali, zamęczyli tak, że po wyjściu z więzienia odebrał sobie życie. Ola wiedziała nawet to, w co wtajemniczeni byli tylko nieliczni, że Wanda *vel* Alina pochodzi z bardzo zamożnej rodziny, a ojciec jej w sile wieku zesłany został na Syberię Wschodnią za udział w powstaniu. Teraz Wanda miała nareszcie dokonać zemsty.

– Opowiadaj, powiodło się? – dopytywała ciekawie.

– Nie wiem, Olu, czy można mówić o powodzeniu – zaczęła Józka.

Gdy Ola słuchała tej opowieści, ogarniała ją to wesołość, to smutek. Akcję przygotowano wcześniej. Najpierw trzy młode kobiety wprowadziły się do kamienicy przy Natolińskiego 12, w bezpośrednim sąsiedztwie siedziby hrabiego Lerchenfelda, niemieckiego konsula. Panna Antonina Kozłowska, ziemianka nieprzeciętnej urody, pełna wdzięku blondynka, z nią bardzo energiczna i hałaśliwa pokojówka Marianka Wiszniak i kucharka Kaśka Wójcikówna. Służące także ładne, tyle że rozpuszczone zbytnio, jak ze zdziwieniem zauważył stróż kamienicy, pan Felek. Któż bowiem zezwala, by kucharka była z panną na ty, co podsłuchał, gdy cicho rozmawiały na schodach? Stróż nie mógł wiedzieć, mógł zaledwie podejrzewać, że damy są zgoła kimś innym niż osoby, za które się podają, ale stróżem warszawscy, w tym Felicjan, raczej byli polskimi patriotami i nie wtrącali się w nie swoje sprawy. Zaiste pod blond peruką olśniewającej panny Antoniny, która zbyt wielką wagę przykładła do strojów (to zdanie sąsiadek), kryły się ciemne włosy Wandy Krahelskiej. Śmiałą pokojówkę, która całe godziny spędzała na balkonie, obserwując ulicę, odgrywała Albertyna Helbertówna, w skórę Kaśki próbowała wejść Zosia Owczarkówna. Wszystkie trzy były działaczkami konspiracji. Mieszkały spokojnie, często przyjmując gości w saloniku lub udając się na zakupy na Krakowskim Przedmieściu. Potem spokój dzielnicy zakłócił pewien precedens: niejaki Michał Trzos z PPS w przebraniu oficera carskiej armii wytrząsał hrabiego Lerchenfelda po gębie, publicznie, na ulicy, i tym samym wywołał kryzys dyplomatyczny. Zuchwałego oficera nie znaleziono, zatem sam gubernator Warszawy Skalon musiał wybrać się na Natolińską, by konsula przeprosić.

– Nie umknie mi tym razem! – z zaciekleścią powtarzała Wanda. – Rozerwie się sukiny w kawałki. Bomby ukryte w pięknych kolorowych pudełkach na upominki już czekały.

Gubernator nadjechał i wysiadał z karety. Oglądały ten widok dwie panny z balkonu przy Natolińskiej 12. Trwał spokojny sierpniowy dzień, lecz gdy tylko dostojnik wyprostował się i poprawił mundur, delikatne ręce panny Antoniny zrzuciły na niego kolorowe pudełko. Po chwili spadło następne. I jeszcze dwa, które trafiły w obstawę – poleciały z rąk pokojówki Marianki. I te wybuchły. Bomba w pudełku Wandy Krahelskiej niestety nie, ale o tym dowiedziała się później.

– Jak to przyjęła? – zapytała Ola, słuchając barwnej opowieści. Determinację Aliny znało całe podziemie.

– Bardzo źle – relacjonowała Józka. – Uciekły zgrabnie. Obie z Zośką wpadły w tłum, warszawiacy oczywiście pomogli, zmylili żołnierzy, dziewczęta znikły. Wanda ruszyła do Galicji, tam szybko wzięła ślub z Dobrodzickim, fikcyjny oczywiście, ale nic jej teraz nie zrobią, jest obywatelką austriacką po mężu. Podobno jest wściekła, bo Skalon jedynie trochę ogłuszony, a trafiło niewinnych! Tyle starań na nic!

Ola zapatrzyła się w okno. Rozmyślała teraz wiele i zaczęła przychylić się do słów Józefa Piłsudskiego, które na kongresie w Zakopanem wywołały tyle emocji. Czy nie dość tych pojedynczych ugryzień? Drobne zamachy, ciągłe akcje: tu pociąg, tam bank. Ile to czasu jeszcze potrwa? Wojna podjazdowa bez większych efektów. Kurs rzucania bombą dla pań, potem dylematy, czy kobiety mogą zarządzać bronią, a bomby trefne, wciąż robione domowym sposobem, nie odpalają. Siatkę konspiracji mieli już w Warszawie doskonałą, ale znów ją zdziesiątkowały aresztowania. Znów na Sybir szły transporty z ludźmi, którzy tu powinni służyć ojczyźnie. Przed kilkoma miesiącami szeregi były tak przetrzebione, że działała prawie sama i budowała od nowa sieć przetrzutów broni z Belgii. Czy zatem nie miał racji Piłsudski, żeby przycichnąć teraz, gromadzić broń, szkolić wojsko i czekać na wielki światowy konflikt? A jak nie nastąpi?

„Z wojnami różnie bywa” – kpili przeciwnicy. „To ile jeszcze czasu, zanim gruchnie ta twoja wojna, Wiktor?” Mirecki zwłaszcza nie mógł usiedzieć w miejscu, prawdziwy Księżę Rewolucji, ale też, trzeba przyznać, miał fart. Znów powiódł mu się zamach w Rogoźnie i znów

tylko jemu, inne kończyły się fiaskiem i aresztowaniami. Lepiej może byłoby wzniecić powstanie? Polska już ponad sto lat pod jarzmem zaborów, czterdzieści minęło od ostatniego zrywu! Całe pokolenie zdążyło wyrosnąć. Zbliżał się listopadowy kongres PPS, tym razem organizowany we Lwowie, wszyscy spodziewali się konkretnych postanowień. Chciała tam jechać i jednocześnie wzbraniała się przed tym. Czasem myślała, że może lepiej nie, bo wspominała przestrogi Józki.

Głupstwo takie, fascynacja bohaterem – myślała – już prawie przeszło, a teraz jak pojedę, spotkam go znowu, wróci może. Ale wiedziała, że pojedzie, że spotka go i że opowie się za jego poglądami i linią polityczną. Tak też się stało: gdy w listopadzie roku 1906 doszło do rozłamu w partii, zwolennicy idei niepodległości jako najważniejszej opowiedzieli się za Piłsudskim, po jego stronie stanęła też Ola. Odłam nazwał się Frakcją Rewolucyjną PPS i odtąd z lewicą, która walczyła głównie o kwestie społeczne i dopuszczała sojusz z socjalistami rosyjskimi, Frakcja nie miała nic wspólnego.

■

Nastała zima. Pewnego wieczoru Ola tkwiła w punkcie informacyjnym, czyli w sklepie bławatnym, i coraz częściej zerkała na drzwi. Zaczynała się niepokoić. Tak długo nigdy jeszcze nie czekała na wiadomość. Student Piotr był wprawdzie młodym człowiekiem i dość świeżym nabytkiem w szeregach Frakcji, ale ufała mu, poznała jego rodziców, statecznych ludzi z warszawskiej inteligencji. Miał przewieźć świeżą dostawę broni z magazynu pod Warszawą do jednego z punktów w mieście i zostawić jej informację. Ola zmieniała lokalizację stanowisk informacyjnych regularnie, adresy zostawiała u zaprzyjaźnionego właściciela sklepu, który także należał do konspiracji. Do tej pory system działał sprawnie, tym razem nie było ani wiadomości, ani studenta, ani broni.

Zdenerwowana, po kilku godzinach zdecydowała się sprawdzić i zapukała do drzwi rodziców chłopaka. Otworzył jej nieznajomy człowiek w ciemnym płaszczu, przeciętny szpicel z nieprzeniknioną miną. Zrozumiała natychmiast: Piotr wpadł, obława. Przyszło jej do głowy, by zawrócić, pędem zbiec ze schodów i uciec, nie miała jednak czasu nawet na dokończenie tej myśli. Dwaj obcy mężczyźni wybiegli z korytarza, pochwycili ją i wciągnęli do zdemolowanego saloniku. Meble pocięte szablami, powywracane krzesła i wypatroszone szuflady dowodziły, że rewizja była dokładna. Najwyraźniej jednak nic nie znaleziono, Piotr nie przechowywał bibuły. Przy stole siedziała jego matka z twarzą białą jak kreda, obok ojciec, wyraźnie zdenerwowany. Oboje spojrzeli na Olę z takim zdziwieniem, jakby widzieli ją pierwszy raz w życiu. Agent jednak nie miał wątpliwości, oznajmiając:

– Aleksandra Szczerbińska, w partii towarzyszka Ola. Jaki cel wizyty? Znajoma syna, może towarzyszka partyjna, co?

Słowa tłumaczenia: „Nie znamy tej pani”, „Syn ma wielu znajomych”, „Miałam tu pytać o lekcje francuskiego, jestem nauczycielką”, „Być może syn chciał lekcje, nie wiem”, „Nic nie rozumiem”, „Nie znam tej pani, nigdy jej nie widziałem”, „Szczerbińska tak, Aleksandra, Olę nazywano mnie od dziecka. Miałam udzielać korepetycji”.

Agenci popatrzyli na siebie zniechęceni.

– No to na Daniłowiczowską – powiedział ponuro jeden z nich. A drugi zwrócił się do Oli:

– Pani pójdzie z nami, towarzyszko Olu.

Więzienie na Daniłowiczowskiej owiane był złą sławą. Brud, smród, wszy, więźniowie polityczni pomieszani z kryminalnymi. Olę zrewidowano, poprowadzono wąskim korytarzykiem, policjant popchnął ją na krzesło naprzeciwko komisarza. Zaczęło się przesłuchanie. Komisarz

zmieniał ton: grzecznie pytał o adres centrali, o Józefa Piłsudskiego, jak długo go zna, kim jest w partii, gdzie przebywa, po czym przechodził do surowych gróźb, a potem znów starał się być łagodny.

– Pani Aleksandra Pietrowna, oboje wiemy, kim pani jest – mówił pobłaźliwie. – Niechże pani nie będzie dzieckiem, pomoże pani nam, my pomożemy pani. To zawsze się opłaca. Bardzo proszę: nazwa partii, nazwiska przywódców, proszę sobie zaoszczędzić nieprzyjemności.

Zacięła się.

– Aleksandra Szczerbińska – powtórzyła jak mantrę, po raz dwudziesty – Aleksandra Pietrowna Szczerbińska, urodziłam się w Suwałkach, małym miasteczku gubernialnym, posadę w biurze porzuciłam, jestem nauczycielką. Aleksandra Szczerbińska, córka Piotra i Julii z Zahorskich. Jestem nauczycielką, przyszłam dawać lekcje francuskiego...

Oficer śledczy westchnął. Miał za sobą długi dzień, a zapadła już styczniowa mroźna noc. Zawołał policjanta, kazał zabrać upartą Polkę do celi.

– Jutro się spotkamy znowu – obiecał. – Jutro też jest dzień.

Ola szła za policmajstrem, który przekazał ją strażnikowi, chłód przenikał jej ciało. Dopiero teraz, w wąskim, ciemnym korytarzu, podążając za zwałistym mężczyzną z kluczami i latarnią w ręku, zaczęła się bać. Zatrzymali się. Klucz zgrzytnął w zamku, dębowe drzwi skrzypnęły. Strażnik popchnął ją dość brutalnie, wpadła do ciemnego pomieszczenia, potknęła się o czyjeś nogi. Przywitało ją grube przekleństwo. Początkowo niczego nie widziała, słyszała oddechy śpiących ludzi, czuła niewypowiedziany smród przepoconych sukien, fekaliów, niemytych ciał. Znajdowała się w celi kobiecej w więzieniu na Daniłowiczowskiej.

Boże mój – pomyślała z rozpaczą – co najmniej cztery lata więzienia, a potem pewnie katorga. Zapragnęła powietrza, przysunęła się do zakratowanego otworu, który marnie spełniał rolę wentylatora, obudziła po drodze jakąś kobietę. Znowu stek inwektyw popłynął w jej stronę. Ola usiadła przy zimnej ścianie, skuliła się i usiłowała przyzwyczaić do zaduchu. Kiedy wzrok jej przywykł do mroku, rozejrzała się po celi. Zrozumiała źródło fetoru. Nocą musiało więźniarkom wystarczyć na potrzeby fizjologiczne jedno wiadro, przelewało się zatem, widocznie jednak kobiety przyzwyczajone były do smrodu, bo większość spokojnie spała na rozłożonych na ziemi siennikach. Różne dźwięki zaczęły dochodzić do uszu Oli: chrapanie, szloch, kaszel. Było zimno, wilgotno, beznadziejnie. Oparła głowę o ścianę, objęła ramionami kolana, gdy wtem ktoś pociągnął ją za rękaw.

– Pani położy się obok mnie. – Cichy szept wydawał się życzliwy i współczujący. – Zimno, ściany mokre, będzie gorączka, pani nie przywykła. Proszę.

Ola z wdzięcznością przysunęła się do kobiety, dziewczyny raczej, i przyjęła jej pomoc. Dziurawy koc z biedą okrył dwie osoby, niemniej na sienniku pod przykryciem obok jedynej skłonnej do pomocy istoty było ciepło.

– Polityczna? – zapytała dziewczyna. Ola przytaknęła.

– Oj, no to źle – westchnęła jej towarzyszka niedoli. – Polityczne idą na Sybir. Ja to nie, ja tu jestem za nierząd, wypuszczą za kilka dni. Jak ci na imię?

– Ola – wyszeptwała mimo dławienia w gardle.

– No, ładnie! A ja Dora z Ząbkowskiej jestem, prostytutka z zawodu. Ale Polka. – Dora uniosła się nieco na łokciu i tonem pełnym powagi oznajmiła Oli wprost do ucha: – I też jestem patriotką. Z Moskalami nie chodzę, za żadne pieniądze. I dużo nas takich jest na Chłodnej, Ola, pamiętaj.

Ola czuła łzy napływające pod powieki, mrowienie na skórze, jakby oblażyły ją wszy, i ciepło bijące od tego szczupłego boku patriotycznej ulicznicy. Dora mruknęła jeszcze:

„Przyzwyczajasz się”, obróciła się plecami i zapadła w sen. Być może jej równy oddech sprawił, że i Oli w końcu udało się usnąć.

Ranek przyniósł skąpe światło z okienka, gwar rozmów więźniarek i kolejne przykre doświadczenia. Przebudzone kobiety przywdziewały suknie porozwieszane na ścianach, przecierały oczy. Dora przywitała Olę porozumiewawczym uśmiechem. Była ładna, nieduża, energiczna, upinała rude kręcone włosy na czubku głowy. Pokazała wzrokiem drzwi.

– Wstawaj, Ola, zaraz będzie śniadanie – rzuciła szybko. – Tu je ten, kto sobie wywalczy.

Drzwi otworzyły się i Dora rzuciła się razem z tłumem wrzeszczących więźniarek ku wózkowi z jadłem. Zdobyła dwie porcje zupy, czyli wody z tłuszczem i dwie kromki chleba. Postawiła swój łup na podłodze przed materacem. Przysiadły obie. Ola nie mogła jeść. Pragnęła umyć się i uczesać, całe ciało miała obolałe. Z trudem podnosiła do ust łyżkę z więziennym specjałem. Dora popatrzyła na nią ze współczuciem.

– Ty jedz, Ola – pouczyła ją. – Tu trzeba mieć dużo sił. Różne tu są: złodziejki, takie jak ja i te polityczne. Spacerów nie ma, wychodzimy tylko na badanie.

– A toaleta?

Dora kiwnęła rudą głową i pokazała w uśmiechu białe, równe zęby.

– Zaraz pójdziemy – oznajmiła – ale na luksusy nie licz. Masz na razie to.

Wyciągnęła rękę z grzebieniem. Ola z chęcią przeczesала włosy, ale efekt zabiegu przeraził ją tak, że omal nie krzyknęła. Wyczesала z włosów gromadę wszy, oblepiały grzebień ruchliwą, obrzydliwą chmarą. Dora nadal przyglądała się jej ze współczuciem, zagryzała ładnie wykrojone usta. Poklepała ją po ramieniu.

– Nie martw się – rzekła – wszy nie najgorsze. Co tam wszy. Przed tobą przesłuchania, donosy i – Dora zamyśliła się na chwilę – tęsknota za tamtym światem.

– Do łazienki! – krzyknął ktoś i kobiety rzuciły się ku drzwiom. Ola z odrazą skorzystała z toalety w haniebnym stanie higienicznym, z lodowatej wody w zardzewiałym kranie. W końcu tak jak inne więźniarki wytarła twarz własną suknią, bo nie było tu ręczników. Zastanawiała się, jak przeżyje dzień, tydzień, a co jeśli będzie musiała zostać miesiące? Co one robią, te kobiety, między jednym a drugim wezwaniem na badanie, między głodowymi posiłkami? Po powrocie do celi część więźniarek zgromadziła się przy żelaznym piecyku, plotkowały, kłóciły się, doszło nawet do bójk między dwiema zapalczywymi warszawiankami ze Śródmieścia. Obie wyglądały na córki ulicy, zapewne była to sprawa honorowa, ale kiedy wrzask podniósł się zbyt duży i wrywały sobie w zapamiętaniu włosy, Dora włączyła się w spór i rozdzieliła obie.

– No, już, już! Kończyć! – krzyknęła. – Policmajster idzie!

Nie szedł, ale podziałało. Kobiety odsunęły się od siebie, patrzyły tylko z niechęcią spod zmierzwionych włosów.

– To Julka z Chmielnej, ta niższa, a ta druga, nowa, to chyba złodziejka, nie znam – powiedziała Dora. Potem jedna z więźniarek, ciemnowłosa kobieta o semickiej urodzie, zaczęła śpiewać nostalgiczną pieśń przepięknym, smutnym głosem. Kobiety wokół niej uderzyły w płacz, z nimi cała cela. Ola uświadomiła sobie, że teraz tak będzie wyglądał jej świat. Dni wśród kobiet popadających w solidarny lament lub histeryczny śmiech. Przesłuchania nad ranem. Noce pełne grozy, bo z celi obok, gdzie przesłuchiowano i torturowano mężczyzn, dochodziły przez ścianę potworne krzyki, a kobiety, słysząc wycie dręczonych, wpadały w zbiorową histerię. Noce prawie bezsenne, bo czuwała: obawiała się, że nieprzytomna ze zmęczenia, wyrwana ze snu, zdradzi kogoś, powie za dużo. Jak długo to wytrzyma? Miną miesiące czy lata, zanim skażą ją na zsyłkę?

Ola spędziła w więzieniu na Daniłowiczowskiej trzy tygodnie. Nauczyła się życia w celi,

poznała więźniarki polityczne, które z niechęcią patrzyły na inne kryminalistki, zwłaszcza te z marginesu społecznego. Ale ze wzruszeniem pożegnała Dorę, gdy ta wychodziła na wolność. Ruda Dora przed wyjściem poprawiła pończochy, zapięła włosy i gwałtownie jak sztubak kiwnęła głową, charakterystycznym dla siebie ruchem, który zdradzał młody wiek mimo pozy dojrzałej kobiety.

– Trzymaj się, Aleksandra. Na przesłuchaniu nie mów nic, policjant głupi – rzekła ze śmiechem. Podarowała Oli swój grzebień i uściskała ją. Ola odwzajemniła uścisk, obiecała, że jej nie zapomni.

– Może się jeszcze spotkamy, Doro? – powiedziała, ale dziewczyna pokręciła przecząco głową.

– Gdzie ty, a gdzie ja, Ola! – powiedziała hardo. – Nawet jak mnie zobaczysz kiedy na Chłodnej, nie poznawaj. I ja nie spojrzę na ciebie. I pamiętaj, z Moskałem nie pójdę! – mrugnęła, a Julce z Chmielnej pokazała na odchodne język.

Ola na badaniach trzymała się dzielnie. Kilkakrotnie wołano ją do śledczego nad ranem, by z wyrwanej ze snu wyciągnąć informacje. Pilnowała się jednak, starała być czujna, w związku z czym mało spała. Nie powiedziała nic, co mogłoby obciążyć ją lub kogokolwiek. Po trzech tygodniach przewieziono ją na Pawiak.

Warunki na Pawiaku były o niebo lepsze. Kobięcy pawilon nazywano Serbią. Widząc łóżka zamiast sienników ułożonych na zimnej podłodze kilkuosobowej celi, Ola poczuła się jak w hotelu. Wszystkie lokatorki okazały się polityczne, myślały i mówiły o tym samym, rozważały możliwe wyroki, ale nawet tu, we własnym gronie, nigdy nie zdradzały powiązań, miejsc ani nazwisk. Oli przepowiadano dożywotnie zesłanie na Syberię. Myślała wtedy ze smutkiem, jak to zniesie, czy spotka tam kogo z naszych? Zsyłka, nic nowego, los tylu Polaków. Przypomniała sobie słowa Piłsudskiego o pięknie Syberii, a także o tej nowoczesnej wojnie – kiedy wybuchnie, może będzie wyzwoleniem i dla niej, i dla innych więźniów Sybiru? Wspominała opowieści o potężnych rzekach i bezkresnych górach, które snuł w pociągu do Zakopanego. Kiedy to było? W innym życiu. Ciekawe, gdzie był teraz. Czy wiedział, że ją aresztowano? Że nikogo nie sypnęła, że nigdy nie padło z jej ust jego nazwisko, chociaż pytano ją wiele razy? I czy w ogóle kiedykolwiek go jeszcze spotka?

– Miłe panie, chodźcie na seans! – wyrwał ją z zamyślenia głos Julii, młodej działaczki socjalistycznej, która wpadła jako „wielbłąd” – żandarm złapał ją na transporcie bibuły. Julia obdarzona była zdolnościami parapsychicznymi i urzędowała im seanse spirytystyczne. Podśmiewały się z niej, dyskutowały o mesmeryzmie i publikacjach pana Freuda. Były sceptyczne, ale uczestniczyły w eksperymentach z wirującym talerzykiem, choćby dla zabicia czasu.

– Zapraszam, zapraszam! – wołała Julia. – Tu, proszę bardzo, będzie przekaz z kosmosu podany pismem automatycznym, a ja wszak jestem doskonałym medium... Cicho!

Cisza zapadła, słychać było oddechy więźniarek.

– Ola Szczerbińska, jest wiadomość dla ciebie – rzekła Julia. – Proszę bardzo, i to jaka!

Pochyliły się wszystkie nad przekazem:

„Olu, będziesz zwolniona od dziś za miesiąc. Mówi ci to Jan Celiński”.

Ola popatrzyła na zdumione twarze towarzyszek.

– Kim byłeś, Janie? – zapytała, powstrzymując śmiech.

„Powstańcem. Więźniem. Zmarłem w tej celi”, przysłała odpowiedź. Dreszcz przebiegł po plecach Oli, uśmiech zniknął z jej ust.

– Dajmy już temu spokój – powiedziała poważnie. – Nie chcę takich żartów.

Julia wruszyła ramionami i kobiety rozeszły się do swoich kątów. Pokpiwały z Oli

w ciągu następnych dni, ona zaś dziwiła się sama sobie, bo mistyczny eksperyment rozbudził w niej nadzieję, a przecież w najlepszym wypadku, jeśli nie zsyłki, mogła spodziewać się kilku lat więzienia. Wreszcie ucichły i kpiny, i rozmowy o uwolnieniu. Dni dłużyły się nieznośnie mimo codziennych półgodzinnych spacerów po dziedzińcu, mimo wzajemnych pocieszeń i relacji z przesłuchan, na które wzywano więźniarki o świcie. Wszystkie po kolei, ale nie Olę. Zaczęła się zastanawiać czemu, wspominać słowa przepowiedni, powróciły irracjonalne nadzieje. Wreszcie minął miesiąc, Julia kpiła z Aleksandry, mówiąc szeptem „jutro, jutro”..., a ta wzruszała ramionami. Nad ranem przyszedł strażnik, wyrwał Olę ze snu i zaprowadził ją do komisarza. Nie usłyszała jednak zwykłych pytań ani gróźb. Policjant znużony ziewnął i odczytał słowa, które zabrzmiały w jej uszach jak najpiękniejsza muzyka.

– Jesteście wolna, Aleksandra Pietrowna Szczerbińska – przeczytał i postukał fajką w blat. – Wychodzicie, jeszcze dzisiaj.

– Jak to? – Ola nie była pewna, czy dobrze słyszy. Mijał dokładnie miesiąc od pamiętnego seansu spirytystycznego. – Na pewno?

– Na pewno – policjant znowu ziewnął. Był starszym człowiekiem, nie lubił swojej pracy, marzył o powrocie do rodzinnego domu pod Pskowem. Czego ta Polka dopytuje, zamiast zniknąć, zanim ktoś zmieni rozkaz? Ola otrzeźwiała i jakby czytając w jego myślach, szybko pozbierała suknie. Odwróciła się jeszcze w drzwiach.

– Przepraszam, chcę o coś zapytać. Czy w naszej celi był kiedyś oddział męski?

Komisarz zamyślił się. Odkąd on miał tu służbę, a będzie lat dwadzieścia, zawsze kobiety. Ale dawniej...

– Zdaje się, że tak – odparł trochę zdumiony pytaniem. – Długo przede mną. Po sześćdziesiątym czwartym trzymali tu chyba mężczyzn, polskich rebeliantów... Zmarli wszyscy, tak mnie opowiadali koledzy. Idź już, panna.

Ola nie pytała o nic więcej. Upojona wolnością jak najszybciej chciała wyjść z Serbii. Żegnała współlokatorki, obiecywała ostrożność. Julia szepnęła znacząco:

– A widzisz? Prawdę gadał duch Celińskiego.

Ola nigdy nie zrozumiała tego zdarzenia i uznawała je za najbardziej mistyczny incydent w życiu. Koledzy z PPS wyjaśnili później to niespodziewane uwolnienie: carscy urzędnicy nie mogli jej dłużej trzymać, nie zdobyli żadnych obciążających ją dowodów. Student Piotr nie sypnął na przesłuchaniach, jego rodzice także nie. Wpadła na skutek donosu, lecz jeden szpicel nie wystarczył, prawo carskie wymagało dwóch świadków, a drugiego nie znaleziono. Co nie znaczy, że mieli zamiar dać jej spokój...

Ola, świadoma, że będzie obserwowana, nie wróciła do swojego mieszkania. Udała się do wskazanych przez Hankę Paschalską właścicieli hotelu na Pradze, odpoczęła tam i odbyła przyjacielską naradę z Hanką i jej mężem. Musiała zniknąć, to było pewne. Tak samo jak to, że chciała wrócić do pracy konspiracyjnej. Postanowiła wynieść się z Warszawy, odmienić wizerunek, by zmylić ewentualne patrole. Hanka zdobyła farbę i przemalowały ciemne włosy Oli na jasny blond. Farba śmierdziała jak cała apteka, ale efekt okazał się całkiem udatny. Zaśmiały się obie do odbicia w lustrze, z którego spoglądała kobieta o oryginalnej urodzie jaśniutkiej blondynki obdarzonej ciemnymi oczami i ciemnymi łukami brwi. Kapelusz okrył nową fryzurę, peleryna ramiona. Aleksandra z małym rewolwerem w wewnętrznej kieszeni sukni, z brązowym sakwojazurem i głową pełną planów wyruszyła do Kijowa. Szykowano tam napad na bank, akcją dowodzić miał Józef Piłsudski. Ola miała pomóc w kamuflażu. Oznaczało to także ponowne spotkanie z tym dziwnym człowiekiem, który fascynował ją, niepokoił i onieśmielał. I znów obawiała się tego spotkania i pragnęła go.

Miała jechać z Józją Rodziewiczówną, „Wandą”, którą poznała już w Zakopanem

i spodziewała się usłyszeć od niej kolejne przestrogi na temat mężczyzn, brawury i uporu. Od wyjścia z więzienia Wanda odwodziła ją od pracy w konspiracji, przynajmniej przez pewien czas, a od spotkania z Piłsudskim odwodziłaby ją tym bardziej, gdyby znała niepokoje i rozterki dwudziestopięcioletniej panny. Ale Ola niechętnie opowiadała o sobie, w mieszkaniu Wandy w skupieniu pakowała dynamit i naboje do podróznego sakwojaża.

W południe konduktor pociągu do Kijowa mógł zobaczyć dwie damy wsiadające do wagonu. Starsza wciąż utyskiwała na wiosenną kapryśną pogodę, obsługę, powolność towarzyszek. Młodsza, wysoka i jasnowłosa, mówiła mało, uśmiechała się tylko i nie pozwalała sobie pomóc. Kiedy umieściła bagaż na półce, rozsiadła się, spotkała wzrok obcej pasażerki, wyraźnie ciekawskiej starszej pani podobnej do kwoki w koronkowym czepku podróżnym. Zerknęła na rękę Oli, na jej twarz, jasne włosy. Ola niezręcznie czuła się w lokach blond, chociaż Józia mówiła, że bardzo jej do twarzy. Wolałaby, żeby stara dama nie przyglądała się jej tak wnikliwie. Ta natomiast zapytała bez pardonu:

– Jeszcze panna? Serce wolne, a lata płyną, he?

– O, ja dużo pracuję, nie mam czasu na małżeństwo – odparła Ola, lekko zarumieniona.

– Gadanie! Znaczy to, że nie pokochała pani jeszcze tak naprawdę – surowo orzekła dama. – Żal. Nie ma dla niewiasty uczciwszej roli w życiu niż być pobożną żoną i matką dzieci swoje wychowującą w cnocie. Wszystko się jednak zmienia w tym nowym wieku bez moralności i bez Boga. Kobiety same chcą na siebie pracować, wybac mi pani te słowa, a niektóre żądają praw wyborczych. Kiedy ja byłam młoda, coś takiego nigdy nie przyszłoby zacnej pannie do głowy. Prawa wyborcze! Hańba. To już musi być koniec cywilizacji. Zobaczycie, do czego to dojdzie!

Józia Rodziewiczówna powstrzymywała śmiech i z powagą kiwała głową, jakby zgadzała się z każdym słowem. Olę dławiał trochę zapach dynamitu w gorsecie, więc pobladła, tłumiała mdłości i udawała, że zasypia. Nie wdawa się tym razem w obronę praw kobiecych, pomyślała tylko: żebyś ty wiedziała, co mieści się w walizach nad twoją głową. Dama monotonicznie przekonywała je do bogobojnego życia, siedząc wygodnie pod bagażami pełnymi rewolwerów i naboji.



## ROZDZIAŁ 8

### ■ KIJOWSKIE OGRODY

W Kijowie rozpoczęła się kolejna epoka w życiu Oli. Miała dwadzieścia pięć lat, nie mogła wracać do Warszawy, na jakiś czas musiała zatrzymać się tutaj i wszystko miało być inaczej. Zamieszkały z Wandą w wynajętym mieszkaniu przy ulicy Kościelnej. Ot, dwie warszawianki, ciekawe zabytków, architektury miasta i jego budynków, wśród których szczególnie podobał im się gmach banku. Młodsza myślała o budowie domu, starsza doradzała. Odwiedzali te miłe damy grzeczni panowie, doradzali w sprawie zakupu działki, parcela przy banku kijowskim wydawała się idealna pod ewentualną budowę domu. W rzeczywistości ekipa planowała podkop, by dostać się do skarbcza. Wieczorami przy herbacie z samowaru zbierała się u towarzyszek Oli i Wandy grupa spiskowców, wśród nich Piłsudski, który przygotowywał całą akcję. Jeszcze chętniej odwiedzał mieszkanie przy Kościelnej sam, wiódł rozmowy z mieszkankami, zwłaszcza z blondynką, która czasami odwracała twarz ku oknu w zamyśleniu, on zaś cichł i patrzył na jej profil.

Wanda początkowo odnosiła się do niego z rezerwą. Zauważyła, że z chęcią towarzyszy Oli, zabiera ją na spacer, tłumaczy motywy decyzji i roztacza przed nią swoje wizje. Zauważyła, że Ola czeka na te wizyty i coraz jawniej ulega urokowi tego mężczyzny, który, owszem, miał w sobie siłę i mógł się podobać, lecz jej zdaniem w ostatecznym rozrachunku przyniosłoby to Oli same kłopoty. Mało, że był od niej starszy o piętnaście lat, mało, że w każdej chwili mógł być aresztowany, to miał przecież żonę Marię, która mieszkała w Krakowie ze swoją córką z pierwszego małżeństwa. Powszechnie wiadomo było, że Piłsudski lubił bardzo pasierbicę. Podobało mu się także to, że jego przyjaciel Walery Sławek, też popularny działacz PPS, miał ją poślubić. Ola wiedziała o tym, słuchała uwag Józi i jej niezbyt pochlebnych opinii o panu Piłsudskim.

– Zarozumiały – syczała jej przyjaciółka. – Despota!

Ola nie zauważała żadnego despotyzmu, za to coraz mocniej kochała wizjonerstwo tego człowieka, coraz silniej wierzyła, że mogą ziścić się jego marzenia o wolnej Polsce. Pewnego dnia Piłsudski nie zastał Oli w mieszkaniu przy Kościelnej. Zajął jej współlokatorkę ciekawą rozmową, wspominał Rosję, żartował i uważnie słuchał jej zdania. Zaciekawiona skarciła się w duchu, że wydała zbyt pochopny sąd o tym człowieku. Nie przyszło jej do głowy, że właśnie tego dnia postanowił przełamać jej niechęć, bo wołał mieć w niej sojuszniczkę. Jak postanowił, tak zrobił, rozmawiali długo i interesująco, a kiedy wychodził, zęgnął wylewnie zachwyconą i oczarowaną nim Rodziewiczównę. Nie zmieniła jednak zdania w sprawie ewentualnego uczucia Oli do charyzmatycznego wodza pepeesowców. Przeczynała, że mogą z tego wyniknąć same problemy.

Tymczasem ze spacerów i długich rozmów nie rodziły się kłopoty, ale jedynie coraz bliższe porozumienie dwojga ludzi. Wspólnie wspominając, zwierając się sobie, zgadzając się w sprawie polskiej i gorąco dyskutując o roli kobiet, powoli zbliżali się oboje do etapu uczuciowych wyznań. Spacerowali po kijowskich ogrodach, on w tym czasie pełen rozterek, miał przed kim otworzyć duszę, czuł, że tej młodej kobiecie chce opowiadać o sobie, a zwierzał się rzadko kiedy i rzadko komu. Opowiadał jej o uwolnieniu z Cytadeli, o męce w petersburskim szpitalu, kiedy musiał udawać wariata.

– Nikt inny jak szwagier naszego znakomitego pisarza Stefana Żeromskiego, znakomity psychiatra warszawski, wpadł na ten pomysł – opowiadał. – Doktor obeznany w materii, dał mi

instrukcję i musiałem odegrać rolę wariata koncertowo. Na widok jedzenia wydawałem dzikie wrzaski obrzydzenia, chociaż głodny byłem, że wołu i kołduny nawet bym pochłoniął, a na widok munduru musiałem symulować panikę z trzęsawką. Podziałało. Z warszawskiej Cytadeli przewieziono mnie do szpitala Świętego Mikołaja Cudotwórcy w Petersburgu, gdzie był już podstawiony doktor Mazurkiewicz, który specjalnie się tam zatrudnił. Mimo że jestem nieco wariatem, mimo że aktorstwo lubię, ciężko mi było w sali pełnej umyślowo chorych, krzyczących, że są Chrystusami, lub pragnących się zabić.

Zawieszał głos, błędził wspomnieniami w dziwnej przeszłości, ale wracał i uśmiechał się do ciemnych oczu Aleksandry. Umykała wzrokiem.

– Daję słowo, Olu, myślałem sobie wtedy, że Cytadela, pawilon dziesiąty, cela numer trzydzieści dziewięć była przy tym prawdziwym hotelem. Że nie wytrzymam dłużej albo naprawdę oszaleję. A może i tak się stało i te sny, marzenia o wolności to brednie szaleńca?

Czasem i ona tak myślała, nie kryła przed nim swoich wątpliwości, chociaż jako partia mieli spore osiągnięcia i zdobyli rozgłos. Oto rozmawiała już nie z socjalistą Piłsudskim, lecz z komendantem Organizacji Bojowej PPS, która w pół roku dokonała ponad sześciuset zamachów na carskich oficjeli, miała na koncie ponad pięćset napadów na banki, pociągi, dylizanse pocztowe. Spacerowała po ogrodach kijowskich z człowiekiem, którego jako naczelnego polskiego terrorysty szukała cała carska policja, ale który patrzył w przyszłość z optymizmem. A jednak w 1907 roku trzy mocarstwa, które rozszarpały Rzeczpospolitą, trzymały się całkiem dobrze. Czy snucie planów, jak będzie wyglądała Polska odzyskana, i marzenia o ustawach, o wskrzeszeniu uniwersytetu w Wilnie, o politechnice w Łodzi nie brzmiały jak mrzonki szaleńca?

– Nie wiem – odpowiadała poważnie. – Jak to możliwe, z naszą wciąż małą siłą?

– Tylko wielka wojna mocarstw może nam przynieść wyzwolenie, Olu. – Patrzył przed siebie, jakby poprzez zieleń ogrodów. – Wichura na świecie połamie stare drzewa, a po niej przyjdą nowe porządki. Będą bić się przeciw sobie Rosja i Prusy i tylko wtedy coś ugrać możemy. – Wracał do niej myślami, a na widok pełnej powagi twarzy dodawał przekornie: – I wtedy być może i dla polskich kobiet znajdą się jakieś przywileje.

– Kobiety walczą nie gorzej od mężczyzn! – unosiła się. – Tak samo się uczą i tak samo mogą zarządzać państwem! Józefa Joteyko, wybitna nasza lekarka, musiała studiować w Genewie i w Paryżu. Czemu nie w Warszawie? Jakoś została członkiem Królewskiego Towarzystwa Nauk Medycznych, ale w Brukseli! Skłodowska dostała Nobla na równi z mężem! A co tu mówić o głosowaniu! Głupstwo! O strzelaniu! Drugie głupstwo! Mogę panu pokazać, jak strzelałam.

– Ale ja bab na pole walki nie puszczę! Znakomite z was kurierki, łączniczki, sanitariuszki, nie możecie nimi pozostać? Po co damom do polityki?

– Prawa należą się kobietom tak samo jak wam! – Ola nie posiadała się z oburzenia, policzki jej pałały. Czyż jej babka Karolina nie umiała zarządzać folwarkiem?

– Może i się należą, ale co kobiety z nimi zrobią? Nie są nowoczesne, panno Olu. Jesteście urocze, ale uczuciowe, łatwo na was wpływać, na wasze emocje, mentalność. Matki i żony doskonałe, ale...

– Męskie zarozumiałstwo! – krzyknęła Ola, zrywając się na równe nogi. Wstał natychmiast, niemal równocześnie z nią, i pochwycił ją za rękę. Wydała mu się zachwycająca w tym gniewie, tak samo jak w skupieniu.

– Tak, zarozumiałstwo i szaleństwo – powiedział z determinacją. Przyciągnął te szczupłe ręce do siebie, śmiało patrzył w rozgniewane oczy i zrozumiał, że towarzyszka Ola z gniewną miną, zaangażowana w sprawę jak on, jest w tej chwili najbliższą mu istotą na ziemi. –

Szaleństwo, to pewne – powtórzył. – Olu, jestem szaleńcem, bo cię kocham.

Patrzyła na niego ze zdziwieniem. W chwili, o której marzyła, nie umiała wypowiedzieć słowa. Była zaskoczona, a jednak w jakiś sposób spodziewała się tego po tylu wspólnych spacerach, rozmowach, po tym jak zwierzał się jej z ambicji i ze słabości. To był znak, że jest dla niego kimś ważnym, tylko z nią rozmawiał o sobie. Silne uczucia przysłoniły jej wątpliwości względem mężczyzny. Serce tłukło się w jej piersi, a cokolwiek miało nastąpić potem, było nieważne, w tej chwili była szczęśliwa. Wyczytał to z jej spojrzenia, pocałował ręce, które cały czas trzymał w swoich mocnych dłoniach.

– Olu – powiedział cicho – nie jestem wolny. Nie jestem młody. Nie mam spokojnego życia i nie będę miał takiego nigdy. Mimo to kocham cię i pytam, czy zechcesz dzielić ze mną te szalone koleje losu?

Chciała. Aleksandra Szczerbińska, spiskowiczka, działaczka i patriotka, zawsze wiedziała, czego chce. Jej babka nauczyła ją, by podążać za głosem serca i własnymi postanowieniami. Jej uczucia, marzenia i decyzje były tutaj, wiązały się z tym człowiekiem o mocnym spojrzeniu, który właśnie wyznawał jej miłość. Ufała mu. Spletli się w mocnym uścisku i tam, w miejskich ogrodach Kijowa, w cieniu drzew chroniących przed upałem komendant Piłsudski po raz pierwszy pocałował Aleksandrę Szczerbińską. Stała u jego boku na dobre i na złe, być może świadoma, że długo nie zazna spokoju i bezpieczeństwa, że los szykuje jej dalszą walkę, pracę, niepewność. Wierzyła jednak, że da jej też wolność i że w Polsce, o którą razem walczą, będą razem żyć. Że jeśli bywają łzy smutku, to są i łzy szczęścia. Jeśli jest czas walki, to przyjdzie czas wyzwolenia.

Zanim jednak to nastąpiło, musiało upłynąć wiele wody w Dnieprze i Wiśle. Odtąd był dla niej Ziukiem.

■

Po chwilach uniesienia nadeszły dni goryczy. Ola stała się najbliższą i niezastąpioną asystentką Komendanta, a rodzaj ich uczuć nie budził wątpliwości w nikim z otoczenia. Wszyscy wiedzieli, że tylko Ola jest wolna, a towarzysz Wiktor ma żonę w Krakowie. Czasy wprawdzie nie sprzyjały konwenansom, oboje byli rewolucjonistami, w każdej chwili groziła obojgu śmierć i więzienie. To wiele zmieniało w oczach przyjaciół – w oczach osób niechętnych nie usprawiedliwiała niczego. Piłsudski nie należał do ludzi, którzy się tłumaczą lub ukrywają swoje uczucia czy zamiary. Pojawiał się wszędzie z Olą, wyznaczał ją do wszelkich wspólnych akcji i obdarzał największym zaufaniem. Nazywano ją teraz dziewczyną Ziuka i choć nikt nie poruszył tematu w jej obecności, wiedziała, że znajomi nie pochwalają tego związku, zwłaszcza ci, którzy znali Marię Piłsudską. Z goryczą rozmyślała o swojej sytuacji. Zrozumiała, że prawowita żona Komendanta cieszyła się sympatią i szacunkiem w otoczeniu jej ukochanego: znali ją Prystorowie, Arciszewski, a Walery Sławek był narzeczonym jej córki, Wandzi. Nawet Janka Prystorowa mówiła o Marii, że to kobieta zasłużona. Zwali ją w Krakowie PP – Piękną Panią. Z Ziukiem przeżyła wiele, tworzyła z nim tajne wydania „Robotnika”, a on przeszedł dla niej na wyznanie ewangelickie.

Piłsudski jak zwykle nie przejmował się gadaniem ludzi, robił, co uważał za słuszne. Twierdził, że miłość jego do żony dawno się wypaliła. Opowiadał o zmianie, jaka zaszła w Marii w Krakowie, że od dawna nie czuł się dobrze w mieszkaniu przy Topolowej ani w restauracjach, gdzie tak chętnie brylowała nocami, ani w jej gwarnym salonie wśród artystów i całej krakowskiej śmietanki. Obiecywał Oli poprosić żonę o rozwód w najbliższym możliwym czasie, zapewniał o miłości. Wierzyła, ale... czy nie miała racji Wanda, że tak mówił niejeden niewierny mąż? Od przyjaciół żądał uszanowania jego woli, nie życzył sobie, by wtrącali się w jego

sprawy. Ustąpili mu, sercowe sprawy przywódców były w tej chwili mimo wszystko drugorzędne.

Okazało się, że trzeba odstąpić od planu obrabowania banku w Kijowie. Akcja nie miała szans na powodzenie, a potrzeby finansowe oddziałów bojowych rosły. Wtedy zrodził się w głowie Komendanta nowy plan: Bezdany. Mała stacja, przez którą raz dziennie przejeżdżał pociąg do Rosji, skład nie byle jaki, bo prócz pasażerów wioził wagony srebra i pieniędzy z Królestwa. O wiele wartościowszy ładunek, o wiele łatwiejsze przedsięwzięcie niż podkop do bankowego skarbcza. Najbliżsi współpracownicy poparli plan. Ola oczywiście miała wziąć udział w akcji, otrzymała ważne zadanie: nie tylko rozpoznać teren i przygotować kryjówki, ale też dostarczyć na miejsce dynamit. Musieli rozstać się na jakiś czas, ale wizja spotkania już za dwa miesiące i nadzieja na solidny łup osłodziły rozłąkę. Ruszyli, każde w swoją stronę. Ola znalazła tymczasowe mieszkanie w Wilnie, po czym udała się aż do Sosnowca, by przywieźć transport dynamitu. Ziuk pojechał do Krakowa pertraktować z żoną w kwestii ich rozvodu. Wracał jak niepyszny i świadom, że „nie” Marii jest stanowcze i trudno będzie je zmienić, znał jej upór. Sam w tej sytuacji był zdecydowany na „tragiczny trójkąt”, tak mówił o ich związku.

Ola wracała zwycięska. Przywiozła dynamit, chociaż nie bez przygód. Schowała ładunek w pasie pod suknią, jak zwykle, ale akurat zapanował upał i duszące wyziewy drażniły ją wyjątkowo. Bała się mdłości i kompromitacji, gdyby chwyciły ją torsje na dworcu albo w pociągu. W łazience przepakowała dynamit do podróźnej walizy, wróciła do przedziału i usnęła. Współpasażerowie, dwaj mężczyźni, wydawali się mili, ale kiedy ocknęła się na jakiejś stacji, już ich nie było. Niestety, walizki Oli wypełnionej dynamitem także nie było. Podobna, ale z zupełnie innym ładunkiem torba tkwiła smętnie na swoim miejscu. W panice pochwyciła bagaż i wybiegła na peron. Konduktor, owszem, pomógł, bo widział, że panowie przesiedli się do przedziału dla palących, lecz właśnie na tej stacji opuszczali pociąg. Ola dopędziła ich z walizką, błagając w duchu, by nie sprawdzali zawartości jej bagażu. Miała szczęście, jak nieraz podczas akcji: udało się jej wymienić torby i zdążyła wrócić do pociągu. Dynamit dotarł na miejsce przeznaczenia, do Wilna, lecz ilekroć pomyślała, jakie miny mieliby owi uprzejmi panowie, gdyby zamiast prywatnej garderoby wyjęli z torby ładunki wybuchowe, ogarniał ją histeryczny śmiech. Dziękowała Bogu, że zdołała odzyskać bagaż. Jakiś dobry duch wyraźnie jej sprzyjał.

Dobry duch nie opuścił jej także podczas kolejnej akcji. W Bezdanych wszystko się powiodło, a kilka dni w Kijowie, które spędziła z Ziukiem i które mieli tylko dla siebie, pozostały na zawsze ich własnym romantycznym wspomnieniem. Ola nie miała wątpliwości, że kocha i że jest kochana. Przyjęła do wiadomości, że musi czekać i że los zgotował jej mało wdzięczną rolę kobiety u boku wodza, bez formalnego, uznanego przez świat związku małżeńskiego. Rola „tej trzeciej” kłóciła się z jej poczuciem uczciwości i normami etycznymi, które wyniosła z domu. Nie kłóciła się jednak z prawdą o jej uczuciach. Nie po raz pierwszy Ola Szczerbińska przeciwstawiała się konwenansom swoich czasów. W konspiracji nauczyła się milczenia i cierpliwości. Teraz przydawały się jej we własnym życiu.

■

O perypetiach z ukochanym i sytuacji, w jakiej się znalazła, także nie wspomniała ciotce Marii, gdy odwiedziła ją, jadąc po ukryte pieniądze do Bezdany. Ciotka, patrząc na Olę, jak zwykle gotową do czynu, zbuntowaną, czuła, że siostrzenica coś ukrywa, ale sądziła, że Karolina Zahorska wybaczyłaby jej wszystko, jeśli szłoby to w parze z miłością do Polski. Może ciotka domyśliła się, że entuzjizm Oli jest już zapalem kobiety, może widząc blask w oczach siostrzenicy, sama wspomniała narzeczonego, który zmarł tak dawno. To było pewne: do domu przy ulicy Krzywej zajechała nie idealistyczna dziewczyna, lecz poważna osoba, odpowiedzialna

za siebie i innych, w jakiś sposób dojrzała. Maria nie zapytała o nic, przygotowała Oli wałówkę i ucałowała czule, jakby przeczuwała, że widzą się ostatni raz. Ola uściskała ciotkę bez obaw, nie przyszło jej do głowy, że nigdy się już nie ujrzą. Nie sądziła też, że w ciągu najbliższych lat tak rzadko będzie widywała mężczyznę, którego pokochała. Okres poprzedzający pierwszą wojnę światową miał jej upływać pod znakiem rozstań i tęsknoty, listów, oczekiwania i łez, ale też krzepiących zwycięstw i wspólnych przedsięwzięć.

Po akcji bezdańskiej wróciła do Lwowa. Żegnając ciotkę i mieszkanie dzieciństwa w Suwałkach, wkroczyła w dorosłość, a dwie następne dekady miały być przełomowe i burzliwe. Dla świata, dla Polski i dla panny Aleksandry też.

## CZEŚĆ II

■ LATA 1908–1926

## ROZDZIAŁ 9

### ■ LATA 1908–1926, LWÓW

Powozy, fiakry, cylindry, peleryny, wachlarze, parasolki. Zaroiło się na lwowskich ulicach od baranic i salopek, dam w futrach i ogoniastych sukniach spieszących do kramów i magazynów po zakupy, zwłaszcza przed Bożym Narodzeniem. Zakupom towarzyszył gwar: przy „lepszej” Jagiellońskiej dyskretne śmiechy zza woalki, a w szemranej dzielnicy za rogiem Kopernika głośne chichoty dziewczyn od Fleischmana. W każdym zaułku pełno muzyki kapel ulicznych lub delikatnych tonów fortepianu. Rozśpiewany i roztańczony Lwów rozbrzmiewał tak samo głośno melodią pianistów światowej sławy, jak i muzyczką z balu u Bombacha, gdzie można było stracić serce i zęby.

Lwów w pierwszym dziesięcioleciu dwudziestego wieku tętnił życiem. Miasto piękniało w oczach, fiakrzy wozili eleganckie damy ulicami, z których wprawdzie kilka tylko było brukowanych, jak Karola Ludwika czy Jagiellońska. Z Pełtwi dochodziły specyficzne wonie, nie ujmowało to jednak piękna miastu ani humoru lwowianom. Był to czas zamożności: okoliczne ziemianstwo prosperowało dobrze, korzystając z lat pokoju, a i przemysł naftowy w pobliskim Borysławiu wspomagał rozwój regionu. Budowano zatem, brukowano, wznosiły się nowe gmachy, na które zazdrosnym okiem patrzyła Opera Lwowska, duma mieszkańców. Niepowtarzalna atmosfera tego miejsca rodziła się z różnorodności ludzi i nieustającego ruchu. Było to bowiem miasto-tygiel, pełne kontrastów. Obok barwnej cyganerii snuły się Jagiellońską sylwetki sztywnych urzędników, krotochwilnych i rozdyskutowanych studentów, dumnych arystokratów, a tuż obok sprytnych gawroszów. Podążały ulicami Lwowa mieszczanki, szlachcianki, urzędniczki, przekupki, panny z półświatka. Spieszyli do swoich spraw zacni obywatele i ziemianie, a obok nich wyrzutki społeczne, rzezimieszki, żule i wariaci.

Bogatsze rodziny mieszkaly w podmiejskich dworach i w pałacykach w szanowanych dzielnicach. Obywatele z wyższej sfery nie zapuszczali się za linię tramwajową na Sykstuskiej, nie wypadało im iść dalej niż za róg Kopernika, gdzie dominowała gwara łyżakowska, stara żebraczka – Ślepa Mińcia – sprzedawała gazety, a Durny Jasio włóczył się po zaułkach, śpiewając sam do siebie. Gdy w przestrzeni jasnych sal brzmiały melodie wiedeńskich walców, na przedmieściach ballada miejska opiewała dzieje miłości panny Franciszki, a złodziejaszek Czaban rachował swoje łupy złożone z zegarków kieszonkowych, portfeli lub zbyt bez troski traktowanych przez właścicielki portmonetek. W sezonie wyścigów konnych lub zimą w karnawale każdego wieczoru pałace arystokracji rozbłyskały masą rześzystych świateł: wyprawiano rauty u Torosiewiczów, na które czwórką koni zjeżdżali goście. Żywo dyskutowano tualety panny Beaty Potockiej z Łańcuta i urodę pani Badeniowej, w knajpach zaś aktorek nowego teatru, zbudowanego u wylotu ulicy Karola Ludwika ku Kazimierzowskiej. A w wielkim poście panie kwestowały przy kościołach i na cmentarzach na rzecz potrzebujących. Wielkie lampy łukowe zawieszono wzdłuż ulic Akademickiej i Karola Ludwika oświetliły przestrzeń, bardzo potrzebne, bo po siedemnastej lwowianie tłumnie wychodzili z domów do cukierni Zalewskiego, do teatru, na koncerty popularne w mieście zwanym małym Wiedniem. Rozweselały ulice grupy studentów i żaków z burs i gimnazjów, bo męskich szkół funkcjonowało tutaj dziewięć. Studenci nadawali ton ulicom, w charakterystycznych granatowych mundurach z wielkimi kołnierzami byli stałym elementem krajobrazu kawiarń. Zakochani maturzyści, bywało, wyśpiewywali uczucia pod oknami wybranek, przygrywając sobie na mandolinie.

Taki Lwów zastała Ola w roku 1908, kiedy wprowadziła się tutaj, jeszcze przed akcją w Bezdanach. Lwów wybrała z kilku względów: tu kierowały ją władze partyjne po uwięzieniu, bo w Galicji była bezpieczna. Tu działała prężnie lwowska konspiracja, planując kolejne akcje, tu często bywał Ziuk. Przyjechała niedługo po tym, jak Kazimierz Sosnkowski, bliski współpracownik Piłsudskiego, założył Związek Walki Czynnej, który miał być zalążkiem przyszłej polskiej armii. Zamieszkała na stacji przy ulicy Sadownickiej i podjęła się pracy biurowej za skromną pensję. Zima tego roku była surowa, nikt już nie pamiętał świąt, teraz właśnie bale karnawałowe rozświetlały okna w pałacykach.

Ola przemykała wieczorami pod kamienicami otulona w liche palto, marzła, wracając do domu jak przeciętna lwowska urzędniczka. Wiele spraw zaprzętało jej głowę w tym czasie, nie były to jednak bale, jeśli już – to wieczory towarzyskie, na których spotykało się lwowskie grono konspiratorów. Gościła Sosnkowskiego i Aleksandra Prystora z żoną, z którą się szczerze zaprzyjaźniła. Bywały u niej lwowskie feministki: postawna Maria Turzyna i dystygowana Dulębianka – też Marysia, imię to bowiem bardzo było modne na początku wieku, podobnie jak Eugenia i Aniela. Ola była już w tym czasie kluczową działaczką w Związku Walki Czynnej, a Lwów miastem, w którym polska inteligencja tylko czekała na znak, gotowa do walki z zaborcą. W saloniku panny Szczerbińskiej nie rozprawiano o tym czy owym ziemianinie, co zgrał się w karty i strzelił sobie w łeb, lecz o zgoła innych sprawach, chociaż także związanych z bronią. Bo gromadzenie broni i tutaj, we Lwowie, stało się jednym z najważniejszych celów – ważniejsze mogło być tylko wyciąganie ludzi z więzień. Przy herbacie z samowaru planowali z Prystorami, z Arciszewskim, z Ziukiem, gdy ten akurat był w mieście, kolejne zamachy na banki i urzędników. Opowiadali ze śmiechem o swoich „wielbłądzich” fortelach – ucieczkach z bibułą przed „dziadami”, czyli policją austriacką w charakterystycznych mundurach z wielkimi półksiężycami na piersiach. Poważnie snuli dalekosiężne plany i marzyli o wolności. Przywódcy, w tym przede wszystkim Ziuk, zakładali, że zbliża się ten czas, gdy zaborcy skłócą się ze sobą, a wówczas potrzebna będzie Polakom własna siła militarna, która zastąpi dotychczasowe Oddziały Bojowe. I właśnie świeżutki Związek Walki Czynnej miał rozwijać się w oddziały, które ruszą do powstania lub na wojnę, a w odpowiednim momencie przekształcą się w oficjalne polskie wojsko, niezależne od partii.

Takie myślenie wyznaczało spiskowcom konkretne cele: należało przygotowywać broń, szkolić ludzi i gromadzić pieniądze. Ola prowadziła korespondencję i bibliotekę Związku, tłumaczyła książki o tematyce militarnej, nadal brała udział w magazynowaniu i przerzutach broni. Potrzebowali nowego zamachu, który zasiliłby kasę organizacji. Kiedy nadeszło lato, w oknie panny Szczerbińskiej światła paliły się długo, sierpniowe chłodne noce były nie tylko pracowite, lecz także bezsenne. Ziuk wyjechał, siedział w Krakowie, wiedziała, że nie wróci prędko. Wiedziała też, że jest teraz przy swojej prawowitej żonie i że musi tam być. Już wcześniej, kiedy zaczęła chorować i kategorycznie odmówiła rozvodu, Ola zrozumiała, że jeśli chodzi o miłość, znalazła się w skomplikowanej sytuacji. Ziuk zapewniał, że poradzi sobie z kłopotem, wciąż jednak coś stawało na przeszkodzie. Maria chora, Maria słaba, trzeba poczekać. Ale wkrótce było jeszcze gorzej: Maria Piłsudska przeżywała tragedię, spotkało ją najgorsze z nieszczęść: straciła córkę. Pasierbica Ziuka, młoda i piękna Wandzia Juskiewicz, zachorowała nagle na ropne zapalenie woreczka żółciowego i 15 sierpnia zmarła w cierpieniach. Wieść o tym dotarła i do Oli, która zachwiała się i pobladła. Pragnęła rozwiązania „tragicznego trójkąta”, jak nazywał tę relację Ziuk, modliła się, by jego żona uległa prośbom i uwolniła go od siebie, ale nigdy nie życzyłaby jej takiej tragedii. Ani jej, ani jej Bogu ducha winnej córce, o której zawsze z wielką sympatią wypowiadał się Józef. Ta tragedia jeszcze bardziej utrudniała sprawę.



Nagła śmierć młodej kobiety poraziła grono znajomych rodziny, najbardziej jednak uderzyła w matkę, narzeczonego, a także ojczyma. Piłsudski bolał nad stratą, bo chociaż ochłodziły się jego stosunki z Marią, to szczerze kochał pasierbicę. Wanda była wesoła i inteligentna. Odeszła w kwiecie wieku. Miała niespełna dziewiętnaście lat, wykształcenie, urodę i narzeczonego, który nie widział świata poza nią. Los jednak lubi psuć ludziom plany i stało się właśnie tak: zachorowała, silny atak bólu brzucha i wysoka gorączka pokonały młody organizm, nie pomogli najlepsi krakowscy lekarze. Śmierć zabrała ją szybko, nie zważając na lzy najbliższych.

Ola nigdy nie poznała Wandy, znała za to jej narzeczonego, Walerego Sławka, dobrego patriotę i przyjaciela Ziuka. Walery naprawdę miał pecha. Przed laty podczas napadu na pociąg w Milanówku stracił oko i słuch, wyszedł z tego żywy, lecz z okaleczoną twarzą, oszpecony. Nie wierzył swojemu szczęściu, gdy zwróciła na niego uwagę taka dziewczyna jak Wanda Juszkiewicz. Wszystko było już ustalone, termin ślubu, mieszkanie w Krakowie. Jego sen na jawie skończył się nagle i poważnie obawiano się o jego życie, bo ogarnęły go myśli samobójcze. Nie zabił się, przeszedł załamanie nerwowe, miał jednak żyć dalej, bo czekało go jeszcze wiele zadań. Sławek powrócił do czynnej działalności w konspiracji, wziął udział w akcji w Bezdanach, nawet nie przypuszczał, że gdzieś tam, w przyszłości, czeka go fotel premiera. Strata pozostawiła wieczną bliznę w jego duszy: Walery Sławek przejść miał przez burzliwe życie polityka samotnie. Nie ożenił się nigdy, chociaż w wolnej Polsce zyskał sobie miano kobieciarza i ulubieńca wielu dam. Został premierem, osiągnął szczyty kariery, ale po dwudziestu latach powróciły myśli samobójcze i zakończył swoje życie strzałem ze starego browninga, nieprzypadkowo w tej samej godzinie, w której cztery lata wcześniej zmarł jego wielki przyjaciel i autorytet, marszałek Józef Piłsudski. Te tragiczne zdarzenia były jednak jeszcze tajemnicą przyszłości. Teraz jego nadzieję na miłość i rodzinę pogrzebano na Rossie, w trumnie z dziewczyną o imieniu Wanda.

Piłsudski także bolał ogromnie, oczywiście było, że w tej chwili musi znaleźć się przy żonie. Rozumiała to także Ola. Ziuk wrócił zatem do Krakowa. Porzucenie Marii w chwili nieszczęścia byłoby okrutne i niehonorowe i to, że był teraz przy niej, Ola uznała za konieczne. Cóż mogła zrobić? Trwała na posterunku we Lwowie i zaczynała rozumieć słowa Józefy „Wandy” Rodziewiczówny, która przestrzegała ją przed tą miłością. Żadne uczucie w czasach walki nie jest łatwe, a tym bardziej takie, które ulokuje się w człowieku związanym z kimś innym, w dodatku ogólnie podziwianym.

Ola nagle odczuła ciężar swojej miłości. Cierpiała, bo w ludzkich oczach ona była tą winną, która rozbija związek. Kto pamiętał teraz, że Maria była rozwódką przed małżeństwem z Ziukiem? Kto pytał o miłość? Należało współczuć Marii. To Maria nosiła nazwisko Józefa. To ona straciła dziecko. Teraz, gdy dotknęło ją nieszczęście, tym bardziej wydawała się pokrzywdzona, tym bardziej Ola musiała usunąć się w cień. Jak mogła wygrać z czymś takim? Jakich miałyby użyć argumentów? Czy w ogóle warto było walczyć? Gdyby nie listy od niego, zapewnienia i wyznania, zamknęłaby może drzwi z napisem „miłość” na klucz, ale gdy ogarniało ją zwątpienie, przychodził list, który przyspieszał bicie jej serca. Potem następowała cisza, znajomi donosili, że Ziuk bawi z żoną w Zakopanem. Zastanawiała się wtedy, czy on w ogóle wróci. A może sam pogrążony w bólu po Wandzie połączy się znowu z Marią? Pisał wprawdzie, że przyjedzie, i to wkrótce, planowali przecież ważną akcję bezdańską na wrzesień, i właśnie to, wspólna walka, zawsze będzie ich łączyć. Niech tak zostanie, myślała, a potem nie mogła spać, bo wspominała wyznania w ogrodach kijowskich. Znała jeden tylko sposób na swoje rozterki: jeszcze więcej pracy, jeszcze więcej aktywności konspiracyjnej.

Pochłonęła ją nowa idea: pomoc więźniom politycznym, Polakom wygnanym na daleki

Sybir, zapomnianym przez Boga i bliźnich, skazanym na życie w nieludzkich warunkach. Pewnego dnia otrzymała list od jednego z takich nieszczęśników. List aż z Irkucka, o losie ludzi skazanych na katorżniczą pracę w warzelni soli. Autor pisał, że Polacy o nich zapomnieli, a jeśli ktoś im pomaga, to rosyjski Czerwony Krzyż. List poruszył Olę. Wspomniała dziadka Ludwika i brata babki zamęczonego na Sybirze. Tak nie może być – myślała gorączkowo – żeby zostali bez żadnej pomocy od nas. Wiedziała, że panna Stefania Sempołowska w Warszawie zajmuje się losem zesłańców, prowadzi Towarzystwo Opieki nad Więźniami. Pomyślała, że przecież ona może stworzyć takie towarzystwo tutaj, we Lwowie. Zorganizowała zebranie pań, chciała zarazić je swoim zapalem.

– Choćbyśmy tylko wysyłały im listy – mówiła – nie czuliby się tak bardzo opuszczeni. Potrzebują wszystkiego. Mogłybyśmy wysyłać paczki z odzieżą, prasę. Ten człowiek z Irkucka pisze mi z zalem, że odmówiono więźniom pism i książek w języku polskim, wciąż wpajają im do głów, że koniec, że zduszono u nas wszelkie ruchy antycarskie, że wszyscy poaresztowani!

– Ciepła odzież to jest to! Odzież na Syberii jest w cenie złota! – zagrziała pani Diamandowa. – Zbierzemy ubrania raz-dwa, a panny z Kongresówki studiujące we Lwowie mogą przecież przewieźć przez granicę, gdy pojadą na święta do domu.

– Ja zajmę się zbiórką pieniędzy – dodała Downarowiczowa. – Bez pieniędzy jeszcze niczego nie zorganizowano.

– Kiedy kobiety wezmą się do roboty, to postawią na swoim – rzekła z mocą Maria Turzyma z Krakowa, która akurat przebywała we Lwowie. Znana była z walki o prawa kobiet i z siły charakteru.

Ola stała w swoim saloniku, patrzyła na entuzjazm pań i uśmiechała się. Była pewna, że może na nie liczyć. To była ta niepokonana armia, potęga kobiet, matek, żon, najsilniejszy wróg zaborców, bo jeśli ktoś ocalił od zapomnienia przez stulecie ten kraj i jego tradycję, to właśnie one. Oczyma wyobraźni widziała już polskie gazety wciśnięte w listy do sybiraków, krzepiące informacje z kraju, oczywiście także pilniki do przepiłowania krat ukryte w chlebie, nożyki wśród żywności. Słusznie przeczuwała, że kobiety energicznie wezmą się do pracy. Szykowały paczki, listy, angażowały się we wszystkie możliwe działania, włącznie ze wzmogoną pomocą uciekinierom. W podzięcie Ola dostała dar od zesłańca: łańcuszek do zegarka spleciony z końskiego włosa, z kulkami imitującymi kule więziennych kajdan. Łzy wzruszenia popłynęły po jej twarzy, a może i żalu nad własnym losem, bo wspomniała opowieści Ziuka o Syberii, o jego uwięzieniu. Tęskniła za nim. Czy on też tęsknił? Był mężczyzną, myślał teraz o wojsku i wojnie. Mężczyźni, im zawsze łatwiej, w każdej sprawie, nawet w kwestii uczuć i obyczajów.

Aleksandra przypomniała sobie własną obietnicę daną kobietom, że będzie walczyć o ich równe prawa. Postanowiła starać się o to, by w razie wojny stworzono kobiece wojsko, tak jak postulowały polskie feministki. Kobiety powinny na równi z mężczyznami móc walczyć, tak jak i głosować. Kiedyś w Krakowie Ziuk jej to obiecał. Kiedy przyjdzie czas walki, kobiety staną u boku mężczyzn, by wywalczyć wolność kraju ramię w ramię z nimi, czemu by nie? Zobaczyła to oczyma wyobraźni. Wiara przepelniła jej serce, wiara w wolność, a z nią miła pewność, że Ziuk jednak do niej wróci.

Z powodu zaplanowanej akcji w Bezdanych wrócił. Znów działali razem, jeszcze bardziej brawurowo, jeszcze bliźsi sobie. Zimą po raz kolejny wyjechał. Spędzał święta z Marią, potem odpoczywał w Zakopanem, a w sierpniu ruszył na konferencję PPS do Wiednia. Pół roku minęło od śmierci Wandy, podobno prosił żonę o rozwód, podobno uparcie mówiła „nie”. Ola wyczekiwała wieści, przychodziły, lecz pisał, że w obecnej chwili nie może naciskać na Marię, bo sytuacja kobiety rozwiedzionej w społeczeństwie nie jest łatwa, bo spotkało ją nieszczęście i straciła dziecko, bo honorowe postępowanie nakazuje... Przede wszystkim jednak napisał to:

„Moim dążeniem od początku jest, by to czy inne postanowienie było ułożone wspólnie, jako wynik woli trzech zainteresowanych stron, wynik bardzo skomplikowanych często uczuć i myśli, lecz wynik jedynie możliwy w tych stosunkach”. Jedynie możliwy! A jeśli Maria nigdy się nie zgodzi, co obecnie wydawało się najbardziej możliwym wynikiem? Ziuk, czego TY pragniesz?

„Wola pod tym względem moja i Twoja jest jasna i wyraźna, wola trzeciej strony dotąd walczyła, czepiając się wszystkiego, by do wyniku jedynie jasnego i wyraźnego nie dojść. W tym wypadku ja uwzględnić muszę to gorsze w tym wypadku położenie kobiety w stosunku do mężczyzny i marzyłem o tym, byśmy z Tobą wspólnie też mogli przenieść ciężkie chwile czasu przejściowego, który uznaję też trwa zbyt długo”<sup>4</sup>. Czas przejściowy? Jaki jeszcze? Zapewniał w listach o niezmiennym uczuciu i woli rozstrzygnięcia sprawy, lecz mimo to jechał z żoną do Chorwacji. Na dwa miesiące! Ola pozostawała we Lwowie. Czy zawsze już będzie grać tę niewdzięczną rolę? Zawsze będzie czekać i znosić spojrzenia ludzi ciekawych „dziewczyny Komendanta”? „Wiem, że ci ciężko” – pisał.

Złożyła listy z westchnieniem. Było ciężko, lecz nie zamierzała się skarżyć. Pomagała jej myśl, że jest osobą samodzielną, ma własne życie i pracę, potrafi poradzić sobie z miłością, chociaż Bóg jeden wie, jakie to trudne. Latem i jesienią znów nabrała nadziei, bo wiele chwil spędzili razem, ale zimą roku 1910 omal nie pękło jej serce na wieść, że Ziuk z żoną pojechali do Wenecji. Mało tego, wiosną przeprowadzili się do nowego, wygodniejszego mieszkania przy ulicy Topolowej 16. Do niej zaś pisał, pisał, pisał, listy pełne uczuć i pociechy. Zapewniał, że z żoną nic już go nie łączy.

Pierwsze dziesięciolecie dwudziestego wieku miało się ku końcowi, Ola skończyła dwadzieścia osiem lat i nieuchronnie zbliżała się do trzydziestki. Co osiągnęła, co zbudowała w swoim prywatnym życiu? Ani rodziny, ani stałego związku. Jej siostry wychowywały już potomstwo. Zadawała sobie pytanie, czy będzie jej dane w przyszłości mieć dzieci i zwykły, prawdziwy dom. Odkąd wyjechała z Suwałk, jej „domem” były wynajmowane mieszkania i pokoje, pociągi, cela na Pawiaku. Nie należała jednak do kobiet, które narzekają albo żałują swoich decyzji. Tak wybrała, tak chciała żyć. Wspomniała babkę Karolinę, jak zwykle w chwilach zwątpienia i rozterki. Jakże musiała mieć silną wolę, by narazić i majątek, i zdrowie, i pewnie miłość dla powstania. Uśmiechnęła się do cienia babki, zerknęła na pierścionek. A jednak miała bardzo wiele: wiedziała, czego chce i o co walczy. Siłę postanowień i odwagę realizacji. Ogarnęła ją pewność, że skoro miłość jej jest szczerą, wszystko się ułoży, a chociaż droga będzie długa, przyjdzie wolność dla kraju, a wtedy i dla niej nastąpi czas spokoju, a może i zwycięstwa tej miłości.

– Babko, babko – mówiła w nadziei, że Karolina ją słyszy. – Ty wiesz. Ty mnie rozgrzesz. Wiem, że nie zaznam tego, co dla innych jest podstawą: domu i szczęśliwego małżeństwa. Przyjmuję z pokorą zamiast tego ciągłą pracę, częstą biedę, niebezpieczeństwo i niepewność jutra. Tak jak mówiłaś, idę swoją drogą, nie mówiłaś jednak, że będzie tak trudno.

■

Czas czekania na ukochanego był niełatwy, obfitował za to w zdarzenia istotne dla Polaków. Staraniem Piłsudskiego Związek Walki Czynnej przekształcił się w Związek Strzelecki: jawny, akceptowany przez austriackie władze jako oddział wojska polskiego. Potwierdzało to jego mniemanie, że wielkie mocarstwa boją się wojny i będą starały się zaskarbić wsparcie Polaków. Ola, jakby w przeczuciu, że i dla jej prywatnego życia wojna będzie przełomem, myślała: niechże przyjdzie nareszcie uczciwa walka. Będzie w tej wojnie bić się polskie wojsko i będą w tym wojsku oddziały kobiece.

■

Ziuk wrócił do Lwowa latem, na obchody rocznicy bitwy pod Grunwaldem. Stęskniony, przejęty. Bardzo wiele się teraz działo. Uświadomiła sobie, jak rzadko się ostatnio widywali. Nie chciała jednak robić mu wyrzutów, czuła, że ich uczucie i wspólna przyszłość musi na razie ustąpić większym tematom. Palił papierosa za papierosem, zdecydowanie za dużo. Chodził przy tym po pokoju i głośno rozprawiał: skąd broń, jak dalej organizować wojsko? Tylko to zaprzętało jego myśli. Zyskał zgodę szefa krakowskiej policji na działanie Związku Strzeleckiego, ale to wciąż mało, cóż to za oddziały bez państwa?

– Mocarstwa zbroją się nie bez powodu, Olu – mówił. – Już nikt nie ma wątpliwości, że Niemcy wystąpią przeciw Moskwie. Teraz nadejdzie nasz czas.

Klął na opieszałość wsteczników skąpiących finansów na wojsko. Widział w jej oczach wsparcie, wolę działania i rozsądek. Tego potrzebował. Była jego Olą, porządną siłą, oazą spokoju w świecie chaosu, jaki go otaczał. Ta świadomość koła jej zwątpienie. Jak mogła myśleć, że o niej zapomniał? Ale też jak mogła oczekiwać, że z nią zostanie? Musiał być wszędzie tam, gdzie rosły polskie siły wojskowe, czyli we wszystkich trzech zaborach, bo wszędzie żwawo zawiązywały się organizacje strzeleckie. Był wciąż w drodze, z inspekcjami, programem szkoleń i taktyki wojskowej, z wykładami w Brukseli, Genewie, Paryżu i także w Krakowie. Czemu jednak do Szwajcarii znów towarzyszyła mu Maria, skoro związek małżeński był rzekomo fikcją?

Ola posmutniała, a on wiedział dlaczego. Podszedł i objął ją mocno. Obiecał, że w Krakowie zajmie oddzielne mieszkanie, że do Marii czuje teraz tylko wielkie współczucie, ale szybko zmienił temat. Wojsko, Związek Strzelecki, wizja powstania czy raczej wojny przy boku Austrii były wątkami bezpieczniejszymi, wiedział, że to także jej pasja. Ola skorzystała z dobrego, jak się jej zdawało, momentu. Ziuk wyglądał, jakby w tej chwili godził się na wszystko, co ona powie. Przypomniała mu obietnicę daną w Krakowie jej i znanej pisarce feministce – Marii Turzymie.

– Jakież to oddziały kobiece wyrosły wam w damskich głowach? – skrzywił się. – Przecież ci mówiłem, że bab na front nie puszczę. Co innego wywiad, oddziały sanitarne, też walka.

– A wystąpienie Dulębianki pamiętasz? Jak poszła do Sejmu we Lwowie z mową kandydacką, żądać prawa głosu dla kobiet? Czterystu mężczyzn ją poparło!

– To była tylko szopka. Zresztą co innego prawa wyborcze, co innego walka w polu. Dulębianka żądała prawa głosu dla niewiast i dobrze, ale czy przez to musi surduty nosić i ścinać włosy jak mężczyzna? Nie wiem nigdy, chłop to czy baba?

Ola uśmiechnęła się pod nosem. Maria Dulębianka była barwną osobą, najbardziej chyba oplotkowaną kobietą Lwowa. Rzeczywiście nosiła się jak mężczyzna, krótko strzygła, używała męskiego kapelusza, męska była również w gestach. Europę całą zjeździły we dwie z poetką Konopnicką, która nazywała ją „Pietrkiem”. Wielka poetka zmarła niedawno, Dulębianka zorganizowała jej pogrzeb i oplakiwała ją podobno ogromnie. Długie lata mieszkały razem, dwie sławne Marie. Zdarzały się komentarze pod adresem tej przyjaźni, mówiono o safickim charakterze ich relacji. Ola jednak nie słuchała plotek. Znała już ich niszczącą moc, wołała trzymać się tego, co pewne. A pewne było to, że sprawa kobieca i polska leżała na sercu silnej Dulębiance, i to, że taka kobieta kul na froncie się nie ulęknie.

– Szanuję Marię i nie dam słowa złego powiedzieć! – powiedziała szybko Ola. – Czy nosi gorset, czy nie, ma rację!

– Racje wasze kobiece rychło znikną, jak szczur się w okopach pokaże! Nie wiesz, Olu,

co to jest iść pierwszy raz w bój, to nawet dla mężczyzn trudne. A oni idą razem, ramię w ramię, czują wspólną podniecie walki, podczas gdy wy będziecie samotne. Kobieta inną ma konstrukcję psychiczną, nie zazna upojenia zapachem krwi, zwycięstwem w polu. Co czuć będzie na widok trupów i pogorzeliiska? Dlatego jestem przeciwny.

– Zobaczysz, jak Turzyna-Wiśniewska weźmie cię w obroty – roześmiała się Ola. – Pamiętasz kongres w Krakowie? Obiecałeś tej zawziętej literatce oddział kobiecy i ona pamięta.

– Ano, jak Maria Turzyna swoje zacznie... Pierwsza galicyjska emancypantka! Uparta baba. Ta pewnie i szkolenie przejdzie koncertowo!

A jednak postawiły na swoim. W roku 1912, kiedy Józef Piłsudski został komendantem głównym Związku Strzeleckiego, powstała też kobieca służba w wojsku, pierwsza w historii Polski, a prawdopodobnie także świata. Na czele jednej z żeńskich sekcji wywiadowczych Związku stanęła Aleksandra Szczerbińska. Szefem oddziału sanitarnego została Zofia Dobijanka, a oficerem prowiantowym Ludka Modzelewska. Piłsudski ustalił „babom” ostry program szkoleniowy. Taktyka wojskowa, obrona miast, terenoznawstwo, czyli czytanie i tworzenie map. Sygnalizacja. Obsługa broni: karabiny, mauzery, browningi – bez względu na wagę. Obsługa materiałów wybuchowych: składanie i rozbieranie bomb, postępowanie z dynamitem i ekrazytem. Ćwiczenia w terenie. Była też teoria: armię rosyjską miały poznać od podszewki: organizację, taktykę, dowódców. Umiejętności wyższej wagi: szyfrowanie, doskonałe fałszowanie paszportów. W końcu musztra taka sama jak dla mężczyzn, bo czekała je służba najcenniejsza dla wojsk każdej wojny: wywiad.

Podolały. Sześćdziesiąt kobiet wstąpiło do oddziału we Lwowie, najstarsza była Marysia Turzyna-Wiśniewska, lat ponad sześćdziesiąt. Ta stała się mistrzynią taktyki i gdy przyszła pora, jej wiedza bardzo się przydała. Do grona strzelczyń obok Oli należała prawie pięćdziesięcioletnia Dulębianka, a także młoda panna Zofia Zawiszanka, szlachcianka z majątku w Goszycach. Dziewczyny ćwiczyły marsz, strzelanie i tak samo jak ich koledzy szykowały się do wojny. Pełniły funkcje wywiadowcze, penetrując tereny Królestwa, tworząc mapy i bazy, werbując przychylnych akcji sympatyków. Szykowały ludność polską do powstania narodowowyzwoleńczego w razie wybuchu konfliktu między zaborcami.

I tak w wiekopomnym roku 1914, który miał okazać się rokiem wielkiej wojny, strzelczynie miały za sobą dwa lata kursu i spore doświadczenie, a ich kurierskie umiejętności były na wagę złota. Piłsudski, wspominając po latach fenomen Legionów, napisał: „Pierwsze poszły za nami kobiety. Odczuły silnie piękno życia, odczuły tę przekorę legunową\*, która szła wbrew całemu światu”<sup>5</sup>.

Nie pogodziły się z przydzielaną im tradycyjnie misją kurierską i wywiadowczą, wspierającą mężczyzn. Chciały same być żołnierzami, zaznać bitwy. Poza oddziałem lwowskim weszło do Legionów trzydzieści kobiet walczących jak mężczyźni, z bronią w ręku. Legendą stała się wkrótce historia Wandy Gertz, która zaciągnęła się w szeregi brygady w męskim przebraniu. Nie ona jedna wpadła na ten pomysł: poszła w bój w męskim mundurze Ludka Maciejewska, Zosia Plewińska, a pod wodzą komendantki Szczerbińskiej szedł do boju regularny oddział kobiecy. Wanda Gertz, córka powstańca z sześćdziesiątego trzeciego, chociaż pochodzenia niemieckiego, wychowana była na polską patriotkę. Nie zadowalało jej, że udział pań sprowadzał się dotychczas do szycia opatrunków i dbania o prowiant. Ścięła włosy jak rekrut, koleżanki z harcerstwa pomogły jej zdobyć męski strój i dokumenty. Jako Kazimierz Żuchowicz przeszła rekrutację do Drugiej Brygady. Przyznała się do kamuflażu dopiero przed oględzinami lekarskimi. Nie mogła ukryć swojej płci, dowódcy jednak ulegli jej prośbom i ostatecznie wylądowała w artylerii jako ordynans majora Brzozy. Wanda na swoim szlaku walczyła w jednostce z Piłsudskim, ten zaś miał wielki szacunek dla żołnierskiej fantazji, która

tkwiła w tej dziewczynie. Pamiętał o niej później, gdy formował sztab najbliższych sobie ludzi w wolnej Polsce. Ola poznała ją na jednym ze spotkań legionistek.

– Podśmiewali się ze mnie, Olu, że baba przebrana – opowiadała. – A ja takiemu na to, że i o nim to samo mówią. Zresztą zmęczył mnie mój major, bo wbrew prośbom chronił mnie od frontu. Dał mi do prowadzenia bibliotekę pułkową! Tyle że nauczyłam się dobrze łączności. W bitwie pod Stochowem pełniłam wartę i piekło bitewne słyszałam tylko z oddali. I tak postanowiłam zwać do piechoty. Udało mi się, tyle że ze zmęczenia zaniewidziałam.

Potem Wanda Gertz dostała urlop, ale pewna była, że do walk powróci i że ta wojna, wielka wojna, która wybuchła w roku 1914, zmieni mapę Europy. A także prywatne życie wielu ludzi, w tym Oli Szczerbińskiej.

\* *przekorę legunową* – przekorę legionów

4 Oba cytaty pochodzą z listu Piłsudskiego do Aleksandry z roku 1909: [www.nasz-czas.lt/NCz\\_int/Hist9.html](http://www.nasz-czas.lt/NCz_int/Hist9.html) (dostęp: 7.02.2018).

5 Józef Piłsudski, *Pisma zbiorowe*, t. VI, Warszawa 1937, s. 69–70. Cyt. za: Aleksandra Piłsudska, *Wspomnienia*, Warszawa 2004.

## ROZDZIAŁ 10

### ■ KOMENDANTKA POW

Gazety z całego świata umieściły na pierwszej stronie informację o zamordowaniu w Sarajewie arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. Nastąpiło lato, koniec czerwca 1914 roku, wybuchła wojna światowa, której spodziewał się Piłsudski. Była kataklizmem dla wielu krajów, lecz dla jednego narodu okazała się jutrzenką swobody. Konflikt przyniósł Polakom nadzieję na wolność. Niepodległość stała się realniejsza niż kiedykolwiek, bo stanęli przeciw sobie zaborcy: Austria i Niemcy w sojuszu państw centralnych, Rosja po stronie ententy<sup>6</sup>.

Jak zwykle krwawy koszt wojny ponosili zwykli ludzie. Pożoga wojenna zbierała straszliwe żniwo śmierci i zniszczenia, bo przez Królestwo przechodził front. Płonęły miasta i dwory, na wschodzie zaczęły się masowe przesiedlenia, wojna ogarnęła ziemie wszystkich trzech zaborów. Sytuacja Polaków była bardzo trudna, bo wcielano ich do wrogich sobie armii.

Związek Strzelecki pod komendą Piłsudskiego liczył już kilka tysięcy żołnierzy. Dzięki charyzmie Komendanta do organizacji zapisywały się kolejne tysiące. Był teraz wzorem wodza, symbolem sprawy polskiej. Piłsudski pertraktował z Austriakami, dla których liczył się każdy żołnierz, wynegocjował dozbrojenie oddziałów, szykował wymarsz Pierwszej Brygady Kadrowej do Królestwa Polskiego na front. Chciał wojny z Rosją, ale nie obiecywał wiecznego sojuszu z państwami centralnymi. Ujawnił swój plan na konferencji w Paryżu: „pierwsza faza wojny – jesteśmy z Niemcami przeciw Rosji, druga, końcowa – jesteśmy z Anglią i Francją przeciwko Niemcom”<sup>7</sup> – tak deklarował, co zdradzało jego prawdziwe intencje, bowiem szukał nie trwałych sojuszy, lecz drogi do wolności. W tym samym czasie w zaborze rosyjskim Dmowski i zwolennicy Narodowej Demokracji nawoływali do poparcia Rosji, przy niej upatrując największych korzyści dla Polski. W wyniku tej agitacji warszawianki witały gwardię carską kwiatami, opatrywały w lazaretach rannych z frontu, bo byli wśród nich i Rosjanie, i Polacy.

Nadszedł 6 sierpnia 1914 roku. Dzień zapowiadał się upalny. Nad ranem, zanim jeszcze wstało słońce, na krakowskich Oleandrach odbyła się defilada przed Komendantem, a ze świtaniem, dokładnie o godzinie trzeciej trzydzieści, słynna Brygada Kadrowa zwana „pierwszą” wyruszyła na wojnę. Piechota bez lampasów, w szarych mundurach, jak chce legionowa pieśń, bez srebra i złota. Czasem i szarych mundurów brakło, za uzbrojenie musiały starczyć przestarzałe werndle, ale wesoła to była brygada, pełna nadziei i bojowego ducha. Szła pod wodzą Józefa Piłsudskiego jako pierwsze polskie wojsko po ponad stu latach. Za kadrówką, na wozie, jechały strzelczynie, oddział kobiecy, gotowy do akcji wywiadowczej, wśród nich Konstancja Klempińska, Janka Benedek i Ola Szczerbińska.

Serce Oli przepęliła duma, wciąż słyszała słowa Ziuka, gdy przemawiał do żołnierzy: „Pierwsi pójdziecie do Królestwa! Patrzę na was jak na kadry, z których może rozwinąć się przyszła armia polska. Znoszę wszelkie odznaki, odtąd jedynym waszym znakiem jest orzeł biały”<sup>8</sup>. Orzełek połyskiwał na maciejówkach, Konstancja z Janką szeptały coś do siebie i śmiały się, Ola milczała wpatrzona w żołnierzy. Szli w kierunku Królestwa. W Miechowie młoda dziewczyna rzuciła im pod nogi kwiaty, pod Wodzisławiem stara kobieta posłała za nimi znak krzyża. W Michałowicach obalili słupy graniczne – jako polskie wojsko pierwsi weszli do Królestwa i łzy wzruszenia pojawiły się w oczach nie tylko kobiet. Lecz tak naprawdę nie kadrówka była pionierem walk w tej wojnie. Kilka dni wcześniej, nocą 2 sierpnia, siedmiu szalonych ułanów pod wodzą Beliny-Prażmowskiego, wysłanych przez Komendanta jako forpoczta, przedarło się do Królestwa. Pędzili w dwóch bryczkach, w cywilnych ubraniach,

podążali do Jędrzejowa, by rozbić Rosjan i zdobyć ich konie. Zamierzali rozbroić Moskali w przygranicznych stacjach i dokonać zwiadu na terenach zaboru rosyjskiego. Zatrzymali się we dworze w Goszycach, gdzie mieszkała narzeczona jednego z nich, Janusza Gąsiorowskiego, młoda dziedziczka, panna Zofia Zawiszanka. Jak w ułańskiej piosence zastukali o świcie w jej okno, wieszcząc wojnę i kres niewoli. Panna pobiegła ku drzwiom, wpuściła ułanów. Janusz okręcił nią dookoła siebie i ucałował bez żenady. Wojacy dostali śniadanie, przebrali się w mundury, poszli dalej, a panna Zofia, która sama była strzelczynią, osiodłała konia i ruszyła jako kurier z wiadomościami do Komendanta w Krakowie. Były to ważne informacje o tym, że siódemka szczęśliwie przedarła się przez granicę, i o wolnej drodze na Kielce. Ułani pod Jędrzejowem rozbrajać nie mieli kogo, bo Rosjanie uciekli, za to pan Kleszczyński w Krzeszowicach ugościł ich, dał im konie i dołączył do kompanii własnego syna. Tak w ośmiu już powrócili do Piłsudskiego – siódemka Beliny stała się załączkiem kawalerii polskiej. Zofia Zawiszanka, pierwsza kurierka Pierwszej Kompanii Kadrowej, znowu wyruszyła na zwiad, do Słomnik. Olę Szczerbińską i cztery inne wywiadowczynie wysłano do Miechowa, a kadrówka wyruszyła, by wzniecić powstanie w zaborze rosyjskim. Ten zamiar jednak się nie powiódł, powstanie nie wybuchło. Z kolei państwa centralne owszem, potrzebowały polskiego żołnierza, lecz nie kwapiły się do uznania samodzielności Polaków.

Legiony wcielono do armii austriackiej jako Pierwszy Pułk Legionu Polskiego. Sami Polacy oczywiście niejednoznacznie postrzegali drogi ku wolności: ścierały się frakcje i partie polskie różniące się pomysłami, jak przystąpić do wojny, jak i czy w ogóle odzyskać niepodległość. Piłsudski nie zamierzał rezygnować z idei wskrzeszenia Rzeczypospolitej. Legiony stanowiły dla niego główny, jeśli nie jedyny argument w pertraktacjach o Polskę. Zwolennicy Komendanta i jego strategii na terenie Królestwa wstępowali do oddziałów Polskiej Organizacji Wojskowej, przekształconej z konspiracyjnego Związku Walki Czynnej właśnie w POW. „Peowiaczy”, gotowi do walki o kraj, zapisali piękną kartę w dziejach walk o niepodległość.

Wojna rozdzieliła Olę i Ziuka. Gdy on walczył na froncie, ona działała na Kielecczyźnie. Została komendantką kurierek Pierwszej Brygady, należał do nich wywiad i łączność między oddziałami. Wojna i miłość wbrew pozorom nie idą w parze: kochankowie pisali do siebie listy, umawiali się na pierwsze wspólne, chociaż wojenne, Boże Narodzenie, ale i to finalnie nie doszło do skutku. Komendant dostał rozkaz wymarszu na front, do walki z Rosjanami. Wysłał Oli list i opłatek, zapewnienie o miłości i nietypowy upominek: fotografię swojej odmienionej twarzy. Oto Ziuk zgolił brodę, bo nie podobała się jego ukochanej. Uznała gest za dowód oddania i oryginalny prezent imieninowy. „Całuję ciebie, Oluś, tysiące razy, przeklinam też tysiące razy, że nie mogę być w czasie świąt z tobą. Buzi, jeszcze raz buzi, Olutko, droga”<sup>9</sup> – pisał z Jabłonkowa w dzień Wigilii roku 1914. Spędzili święta i witali rok 1915 rzuceni w różne strony frontu.

Trwała wojna, oboje byli żołnierzami, godziła się z tym. Ale odkąd Niemcy zajęli Warszawę, Ola przestała nagle dostawać listy. Nie wiedziała, co się z nim dzieje. Wątpliwości i lęk szarpały jej nerwy. Słyszano tylko, że Legiony walczyły. Starła się nie myśleć, robić swoje, rekrutowała nowych członków POW. Przebywała w tym czasie w Kielcach. Z Gustawem Daniłowskim, towarzyszem broni w Legionach, działaczem PPS i znanym pisarzem, zajęli budynek opuszczony przez Rosjan. Zamierzali urządzić tam biuro prasowe POW-u.

– Kolejne losu. Zobacz, Gutek – rzekła z humorem, kiedy weszli do pomieszczeń, i wskazała ręką na wieszak. Została na nim rosyjska czapka. – Tak zwiewali, że szapku zabył\*! Wyrzucę.

– Zostaw – zaśmiał się Gutek. – Może nam przyniesie szczęście.

Niektóre słowa wypowiedane lekko potrafią się sprawdzać, a wojenne koleje losu bywają



bardzo zmienne i kapryśne. Czapka przydała się dość szybko. Do Kielc powrócili Rosjanie, znów zajęli miasto. Słysząc było na ulicach zwycięski, rytmiczny stukot butów, gdy do biura Oli i Gustawa dotarła wieść, że szala przechyliła się na stronę zaborców i trzeba zniknąć.

– Uciekajcie! – krzyczał woźny budynku. – Musicie się przedostać na dworzec. Biegiem. Idą Ruscy, już są wszędzie!

Ola z Daniłowskim, jakby umówieni, popatrzyli na smętną rosyjską czapkę na kołku. Gutek w desperacji włożył ją sobie na głowę, dał znak, wypadli z budynku. Objął Olę i szli spokojnym krokiem, niby zajęci rozmową i flirtem, roześmiani, chociaż serca łopotały im jak skrzydła schwytych ptaków. Przeszli przez wszystkie patrole rosyjskich żołnierzy. Pohukiwały działa, słysząc było serie strzałów, oni jednak szli lekko, w objęciach. Ech, nasz człowiek i jego pani, ten ma szczęście – odprowadzały ich pełne aprobaty i zazdrości spojrzenia żołnierzy. Kiedy dochodzili do dworca zajętego przez strzelców, przywitały ich lufy karabinów. Ola szybko zerwała Gustawowi rosyjską czapkę.

– Nasi! – krzyknęła i zaczęła machać do Skwarczyńskiego, którego rozpoznała w okopie. Prawdopodobnie tylko to ocaliło im życie, bo dowódca już miał ich na muszce. Dobiegli do swoich, tu jednak musieli się rozstać. Daniłowski poszedł dalej na front z oddziałem, Ola zaś została w mieście. Tułała się po ulicach, myśląc, co z sobą począć, jak wydostać się z Kielc, którędy iść, by uniknąć patroli. Uchyliły się drzwi jednej z kamienic, jakaś kobieta wciągnęła ją do środka, kładąc palec na ustach, poprowadziła na piętro. Ola niepewna, czujna, zaufała swojej intuicji i ruszyła za tajemniczą przewodniczką. Słusznie, bo w mieszkaniu nieznanym spotkała jedną ze strzelczyń, co więcej, dostała adres Basi Kossuth, kieleckiej entuzjastki Legionów i Piłsudskiego.

– Ona pani pomoże – powiedziała niespodziewana wybawczyni. – W Kielcach jeszcze są patriotki – dodała smutno, bo miasto wyglądało na wymarłe.

Ola pokrzepiła się herbatą i kawałkiem chleba, które wydały się jej niebiańską uczta, i udała się do Barbary Kossuth, gdzie rzeczywiście spotkała się z życzliwym przyjęciem. Basia, zresztą dawna znajoma Ziuka, nalegała, by Ola pomieszkała u niej jakiś czas, zanim ruszy do Warszawy. Tak się stało. Ola zaprzyjaźniła się z tą patriotką kielczanką, która pisywała wiersze i codziennie wyruszała do miasta po prowiant jak na polowanie. Przynosiła chleb, trochę warzyw i wieści, a te nie zawsze były krzepiące. Przybywały bowiem sprzeczne informacje o wydarzeniach z frontu. Powiadano, że polskie wojsko rozgromione, że Rosjanie zwyciężają. Pewnego dnia zażywna Barbara wbiegła do salonu zadyszana. Popatrzyła na swoją lokatorkę, Ola pochylona nad biurkiem zajmowała się korespondencją. Uniosła głowę w niemym pytaniu, Basia załkała.

– Olu, mówią, że odbyła się straszna bitwa, w której dowodził Józef... Podobno straszliwa klęska, ze strzelców zostały ludzkie strzępy...

– A Komendant? – cicho spytała pobladła Ola. Przeczynała odpowiedź.

– Zginął.

\* *szapku zabył* (ros.) – zapomniał czapki

6 Koalicja państw przymierza: Francji, Wielkiej Brytanii, Rosji, USA.

7 Odczyt z 12 lutego 1914 roku w Towarzystwie Geograficznym w Paryżu. Cyt. za: *Kalendarium życia Józefa Piłsudskiego* opracowane przez Muzeum Józefa Piłsudskiego, [www.muzeumpilsudski.pl/jozef-pilsudski/kalendarium-zycia-jozefa-pilsudskiego](http://www.muzeumpilsudski.pl/jozef-pilsudski/kalendarium-zycia-jozefa-pilsudskiego) (dostęp: 15.01.2018).

8 Józef Piłsudski, *Pisma zbiorowe*, t. IV, Warszawa 1937, s. 8–9.

9 List z Jabłonkowa, 24.12.1914, [muzeumpilsudskiblog.pl/olenka-i-ziuk/](http://muzeumpilsudskiblog.pl/olenka-i-ziuk/) (dostęp: 15.01.2018).

## ROZDZIAŁ 11

### ■ WIEZIENIE

Aleksandra przeżywała teraz najtrudniejsze w życiu chwile. Ilekroć potem wspominała ten czas i porównywała go z innymi etapami życia, potwierdzała to sama przed sobą: dni w wojennych Kielcach, w oczekiwaniu na rozkazy, w chłodnym mieszkaniu u Barbary Kossuth, która była dla niej najmiłszą opiekunką i cudem zdobywała ziemniaki i mąkę, należały do najcięższych. Głucha rozpacz usiadła na jej piersi. Barbara mówiła: „Płacz, dziecko”, ale Ola nie obnosiła się ze łzami. Przepelniały ją gorycz i bunt: a więc tak to się miało skończyć, ich zryw, ich miłość, ich marzenia o wolności? Minęło kilka dni i zadyszana Barbara wpadła z odmienną nowiną:

– Ola! – krzyczała od progu. – Oleńka, nie wszystko stracone! Jechali przez miasto legionieści, cofają się na Kraków. Mówią, że to plotki, które sieje wróg. I bitwa, i klęska, wszystko kłamstwo. Komendant żyje, ale ranny.

Ola oparła się o ścianę. Musiała to dzielnie znieść, chociaż amplituda doznań zabrała jej oddech. Więc jednak żył. Ranny. Czy ciężko? Gdzie jest? Postanowiła przebić się do Warszawy albo zawrócić do Krakowa, nie mogła siedzieć tu beczynnie. Postanowiła też już nigdy nie wierzyć pogłoskom, nie uznać żadnej wieści za prawdziwą, dopóki sam Ziuk lub ktoś z najbliższych tego nie potwierdzi. A gadano wiele. Że znaleziono samochód Komendanta przewrócony na drodze, a on sam jest w niewoli. Że ciężko ranny w głowę i w lazarecie. Wbrew swoim postanowieniom przeżywała silnie wszystkie wieści, pocieszając się tylko tym, że skoro są sprzeczne, to nie wszystkie mogą być prawdziwe.

Tak też było, Piłsudski żył, podążał szlakiem bitewnym na czele Legionów. Część pogłosek miała się potwierdzić. Ranny został pod Laskami, lecz niegroźnie. Jego samochód rzeczywiście znaleziono porzucony na drodze, ale tylko dlatego, że się popsuł i wszyscy pasażerowie bez względu na ranę musieli dalej udać się pieszo. Wielkiej przegranej bitwy nie było, za to informacje o dokonaniach legendarnych beliniaków, czyli oddziału pod wodzą Beliny-Prażmowskiego, były prawdą. Elitarna, słynna od początku istnienia Kompania Kadrowa liczyła 6 sierpnia 1914 dziesięciu ułanów, lecz starczyło to, by dokładnie patrolować teren i by zrodziła się legenda. Wśród beliniaków zdobywał ułańskie szlify Długoszowski, który tu przybrał wojskowy pseudonim „Wieniawa” i rozweselał kompanów humorem i własną twórczością. Żołnierze garnęli się do kawalerii, kult szabli, konia i ułańskiej grandezzy powodował, że już pod koniec sierpnia oddział ów liczył pięćdziesięciu dwóch ułanów i patrolował okolice Kielc.

Tymczasem oddziały Pierwszej Brygady stacjonujące w samych Kielcach dostały nakaz wycofania się z miasta. Dowódca, Kazimierz Sawicki, wydał rozkaz, by Ola z Romanem Starzyńskim wywieźli do Krakowa tekę ważnych dokumentów. Mieli w rękach wiadomości zbierane przez wywiad od sześciu lat, bezcenne kontakty i adresy. Sawicki rozkazał zniszczyć je w obliczu zagrożenia, nie mogły dostać się w ręce wroga. Wsiadali z Romanem do pociągu ewakuacyjnego, udając dobre małżeństwo, uśmiechnięci, zagadani, nikt nie podejrzewałby uprzejmej pary o bycie agentami gotowymi w każdej chwili spalić zawartość swoich bagaży. Kiedy po godzinie jazdy skład zatrzymał się ze zgrzytem hamulców w szczerym polu, Ola zacisnęła palce na rękawie Starzyńskiego. Czyżby to było to, czego się obawiali? Napad na pociąg? Wzrok powędrował ku walizkom. Jej towarzysz jednak nie zdradzał zdenerwowania, wyszedł na korytarz, otworzył okno i wychylił się zaciekawiony.

– Chwilowy postój – uspokoił go zagadnięty konduktor. – Przepuszczamy pociąg

wojskowy. Roman usiadł koło „żony”, która zapadła w drzemkę, wagony powoli ruszyły. Dopiero oparta o domniemanego męża poczuła, że drżą mu mięśnie ramion, a rękę trzyma wciąż w kieszeni, na rewolwerze. Pociąg toczył się po torach leniwie, ale bez przeszkód. Dokumenty udało się dowieźć na miejsce.

Z Krakowa powróciła do Warszawy, tam miała wyznaczone następne zadania: znów jako komendantka kurierek zajmowała się rekrutacją ochotników do POW i rozprawdaniem konspiracyjnej prasy. Wiedziała, że warszawscy działacze PPS oczekują przybycia Komendanta. Pisarz Sieroszewski słał do niego listy, prosząc, by przybył do stolicy chociaż na kilka godzin, dla mobilizacji polskich sił tutejszych, bo mieszkańcy Warszawy, wciąż rozdarci pomiędzy opcją rosyjską a niemiecką, potrzebowali wodza, jednego głosu, który powiódłby ich ku wolności. Miał przyjechać – taką wiadomość dostał Sieroszewski przez ordynansa i doniósł o tym Oli. Na pozór spokojna, niepoddająca się emocjom, poczuła przyspieszone bicie serca, ale nie powiedziała nic.

Piłsudski przybył do Warszawy w sierpniu i miała to być krótka wizyta. Zamieszkał nie u Sieroszewskiego, lecz w Hotelu Francuskim, a kiedy przyjmował tam gości, tłum gromadził się pod oknami, wiwatując i skandując jego nazwisko.

– Tylko za suwerenność Rzeczypospolitej mogę obiecać Niemcom polskiego żołnierza, panowie – oznajmił Komendant. – To jest nasza siła – dodał, wskazując na zgromadzenie na ulicy.

Ale olbrzymia demonstracja tysięcy Polaków przed budynkiem przestraszyła okupanta.

Piłsudski próbował uzyskać gwarancję niepodległości kraju, lecz nie osiągnął swojego celu, poproszono, by wyjechał w ciągu dwóch dni. Mógł opuścić miasto natychmiast, jednak po drugiej stronie Wisły mieszkała osoba, którą musiał odwiedzić, zgubić adiutantów, dotrzeć pod praski adres, pochwycić w ramiona stęsknioną, szczupłą kobietę z niemym pytaniem w oczach. Rozumiał to spojrzenie, była w nim niepewność przyszłości i strach o ich uczucia. Mógł odpowiedzieć jej tylko w jeden sposób. Długa chwila minęła, zanim mogli zacząć opowiadać sobie o zdarzeniach ostatnich miesięcy, zanim w mroku nocy zapłonął ognik jego papierosa. Zwierzał się jej w ciemnościach ze swoich trosk. Mówił o tym, jak ważna teraz jest rola peowiaków. Ich siatka pokrywała całe Królestwo Polskie, byli tajną armią żołnierzy „bez błyskotek”, bez możliwości walki pierś w pierś, a jednak tak ważnych dla dzieła niepodległości. Opowiadał całą noc o beliniakach, o ich brawurowym przedostaniu się do Krakowa, o przygodach legendarnego już Prazmowskiego.

– Dokonywał cudów, Olu – opowiadał Ziuk. Sięgał węża i z uśmiechem podziwu wspominał straceńców pod wodzą Beliny. – Dzięki wiadomościom, które przynosili beliniacy, wiedziałem wszystko o ruskiej kawalerii. Z siedzeń kotlety robili sobie na tych patrolach. Potrafili i osiemdziesiąt kilometrów dziennie przebyć w siodłach. Polak, rozumiesz, kawalerię kocha, każdy, kto mógł, rzucał piechotę dla kawalerii. Wieniawa tym się naraził swoim druhom, że do ułanów od nich poszedł, ale go pokarało, bo mu potem doktor pośladki smarował jodyną ku uciesze kompanów...

Mówił jej też, że sam musi wrócić na front, bo wojna woła żołnierza, opowiadał o entuzjazmie walki i o tęsknocie w okopach. Nad ranem oparta o jego ramię słuchała słów, widziała oczyma wyobraźni scenę, o której mówił cicho i ze wzruszeniem. Pewnej wiosennej nocy stał przy telefonie ukrytym w wąwozie. Nad głowami żołnierzy latały granaty i szrapnele, kule rozdzierały drzewa, a księżyc świecił mocno. Mały słowik śpiewał, jak gdyby nie było wojny, jak gdyby pieśń miłości i życia była silniejsza od potęgi śmierci. Dla nich, dwójga rewolucjonistów, niepewnych jutra, stęsknionych za sobą, tylko taka pieśń mogła słodzić myśl o rozstaniu. Odjechał nazajutrz i znów mieli widywać się między bitwami a więzieniami.



Ołę aresztowano w listopadzie roku 1915. Spodziewała się tego od jakiegoś czasu, odkąd Warszawa była w rękach Niemców. Okupanci z zaciekłością szukali peowiaków. Mało tego, doskonale wiedzieli, kim jest dla Piłsudskiego, dowódcy Legionów, mieszkająca na Pradze panna Aleksandra Szczerbińska. Nie mieli też wątpliwości co do jej znaczenia dla POW. Ponurzy panowie przyszli pewnego dnia do jej mieszkania, odczytali zarzuty, między innymi agitacji do nielegalnej organizacji pod nazwą Polska Organizacja Wojskowa, a potem rzekli beznamiętnie: „Pani pójdzie z nami”.

Chwyciła palto, rozejrzała się jeszcze i spokojnie wyszła z nimi. Tak trafiła na znany już sobie Pawiak. Dobiegał kresu drugi rok wojny, a ta miała trwać jeszcze trzy lata, czego Ola nie wiedziała, i dobrze, bo uwięzienie stałoby się nie do zniesienia. Piłsudski w tym czasie brał udział w walkach na Wołyniu. Gdy dotarła do niego wieść o aresztowaniu Oli, tupnęła nogą, zacisnęła zęby, zaklął. Był pewien, że Niemcy doskonale wiedzą o ich związku, że zechcą tę wiedzę wykorzystać, naciskać go i że nie będzie mógł się ugiąć. Czas następnych świąt był szczególnie trudny dla obojga. Ola spędziła go w więzieniu, Ziuk na froncie. Nastął rok 1916. W maju przez Warszawę przeszła wielka demonstracja dla uczczenia Konstytucji 3 maja. W lipcu Legiony wstawiły się zwycięstwem pod Kostiuchnowką, triumfem Piłsudskiego. W czerwcu ruszyła wielka ofensywa Brusilowa przeciw państwom centralnym i ententa zaczęła zdobywać przewagę, a Niemcy słabnąć. W lipcu świat zamarł na wieść o bitwie nad Sommą, długotrwałej, wyczerpującej, w której po raz pierwszy w historii użyto czołgów. Dla Oli wszystko to rozgrywało się w innej rzeczywistości, w świecie za murami kolejnych więzień: Pawiaka, Szczypiorna, Lauban.



Pawiak znała, była tu przecież osiem lat temu. Wspomniała seans spirytystyczny i swoje towarzyszkę. Gdzież znajdowała się teraz Julia, specjalistka od zaświatów? Podobno wyjechała do Genewy studiować, tam przyjmowano kobiety na uczelnie. Wojna zmieniała jednak wszystko, a Julia była niespokojnym duchem. Być może płynęła teraz pod żaglami Czerwonego Krzyża jako sanitariuszka, może i na pokładzie statku organizowała spirytystyczne seanse. Nieprzewidywalny był los kobiet jej pokolenia. Ola zastanowiła się nad swoim. Drugi pobyt w więzieniu nie był szokiem takim jak poprzedni, w roku 1906. Angażując się mocno w organizowanie oddziałów wojskowych POW, wiedziała, że w każdej chwili może zostać aresztowana. Jednak mimo to z trudem walczyła z goryczą i niespokojnymi myślami. Co teraz będzie? Tygodnie w celi, kto wie, ile miesięcy, oby nie lat, minie do procesu. Czy przyjdzie jej spędzić czas walki, a może nawet wyzwolenia za murami Pawiaka?

Więzienie należało teraz do Niemców, więc przynajmniej nie groziła jej zsyłka na Syberię. Zauważyła, że za Niemca Pawiak stał się czyściejszy, jednak poza tym i językiem strażników nic się nie zmieniło. Brak światła, minimalne racje żywieniowe, piec, który był zbawieniem w listopadowe chłody. Grzała przy nim ręce, szukała blasku ognia i starała się nie myśleć o jedzeniu, by nie podsycać ciągłego uczucia głodu. Kubek herbaty i kromka suchego chleba rano, kasza na obiad, gorąca woda na kolację, dania więzienne nie były ani wykwintne, ani obfite. Suknia stawała się luźniejsza z dnia na dzień. Usiłowała nie wspominać pierogów Anusi i paczek z wałówką od ciotki Marii, jakie dostawała w Warszawie za studenckich czasów.

Panie, z którymi dzieliła celę, sązione były za przestępstwa kryminalne, szybko wychodziły na wolność. Ola została sama. Do głodu, uporczywego męczącego półmroku i beznadziei dołączył strach. Niemiecki żołdak, który odbywał służbę pod jej drzwiami, zerkał na nią pożądliwie. Słyszała jego kroki na korytarzu, pod drzwiami. Z niepokojem przypominała

sobie jego taksujący wzrok. Kroki oddaliły się, ale po chwili znów je usłyszała. Skuliła się na łóżku pod cienką derką.

Zabiję go, jeśli tu wejdzie – myślała – zabiję gada.

Czym? Gdyby miała przy sobie choćby swój mały rewolwer z czasów bezdańskich. Lub chociaż pilniki, które przesyłała zesłańcom. Nie miała nic, była osłabioną polską więźniarką, odosobnioną w mrocznej celi, bezbroną. Kroki Niemca zatrzymały się przy drzwiach. Zgrzytnął klucz w zamku, Ola bezwiednie zgięła palce rąk, by celować paznokciami w twarz. Ratunek widziała już tylko w cienkich ścianach celi, w końcu po to tu był, pilnował, by nie mogła porozumieć się przez ściany z innymi. Słyszała, jak się zbliża, czuła, jak pochyła się nad nią, sięga ręką. Zerwała się na równe nogi, oparła o ścianę. Przypomniła sobie w panice, że znakomicie zna niemiecki, że jej dziki wrzask nie będzie na rękę żołdakowi.

– Ani się waż! – krzyknęła po niemiecku. – Będę krzyczeć, będę krzyczeć tak, że zleci się tu cały sztab twoich przełożonych. Złożę skargę, nie jestem kryminalna.

Niemiec zeszytniał, nie spodziewał się oporu. Być może świetna niemczyzna, którą posługiwała się bez trudu, zaniepokoiła go i kazała zaniechać próby gwałtu. Wyszedł, drzwi za nim trzasnęły głucho. W ciszy, która zapadła, Ola usłyszała własne serce. Tłukło się jak oszalałe, w skroniach pulsowała krew, ledwie łapała oddech. Rzuciła się na łóżko, ukryła twarz w ramionach. Poczowała, jak drży jej ciało, z lęku i upokorzenia. Mimo siły ducha, wszystkich ideałów, patriotyzmu obiecanego babce, mimo wiary w przyszłość, trudno było pozostać nieulekłą bohaterką, samotną w ciemnej celi Pawiaka.

Po tym incydencie nie mogła spać, każdy szmer wywoływał dreszcz lęku. Z ulgą przyjęła nakaz przeprowadzki do innej kobiecej celi, zwłaszcza że ku swojej radości zastała w niej znajomą: Konstancję Klempińską. Rzuciły się sobie w ramiona, wszak znały się z Legionów z Krakowa, siedziały na jednym wozie, gdy w sierpniu oddział kobiecy wyruszał za kadrówką z Oleandrów. Kosia, pseudonim „Jadwiga”, była jak zwykle śliczna, energiczna, ruchliwa, choć niewysoka. Więzienie nie odebrało blasku czarnym oczom Konstancji ani jej samej patriotycznego zapału, a na widok Oli ucieszyła się niemal tak, jakby właśnie je obie wypuszczono na wolność. Były prawie rówieśniczkami, Konstancja, rok starsza, zwierzyła się Oli, że jest świeżo poślubioną małżonką. Przed samym aresztowaniem wyszła za męża za Rajmunda Jaworowskiego. Ola pamiętała go dobrze, był wśród oficerów odznaczonych Parasolem przez Ziuka, walczył w Legionach pod Kielcami. Rzeczywiście już wtedy tych dwoje coś łączyło, oboje z pasją zajmowali się tematem chłopstwa i wsi, wciąż dyskutowali reformy rolne. Rajmund był, o ile dobrze pamiętała, zamożnym ziemianinem. Co z nim teraz?

– Mundek dalej walczy w Legionach – odpowiedziała Konstancja – pod twoim Ziukiem. – Uśmiechnęła się na widok rumieńca na twarzy towarzyszki. – Wywalczą, Ola! A i my się jeszcze w tym odnajdziemy. Nie będą nas tu trzymać wiecznie, co? A Komendant? Wiesz, gdzie jest?

Ola nie wiedziała, gdzie przebywa Ziuk. Rada była porozmawiać swobodnie z kobietą w swoim wieku i w podobnej sytuacji. Kostka przed ślubem była rozwódką, jej pierwszy mąż, Berger, też działacz, wielka młodzieńcza miłość z czasów demonstracji na placu Grzybowski, wyjechał do Szwajcarii. Obecny, Jaworowski, w okopach. Przynajmniej wiedziała, gdzie jest, przynajmniej była zamężna.

– Komendant? – powtórzyła Ola z goryczą. – A bo ja wiem? Też na froncie. Tę mam tylko nadzieję, że nie u żony. Ty przynajmniej masz Mundka za męża. Patrz, Kosia, jaki nasz los, mamy po trzydzieści parę lat i siedzimy w celi. Ja nawet do swojej miłości nie mogę się przyznawać.

– Olu, jest wojna! Kto w wojnę zwraca uwagę na takie rzeczy? I rozwody istnieją,

i druga miłość bywa od pierwszej silniejsza. Patrz na mnie, Ola, patrz na mnie!

Ola patrzyła, a Kostka zakręciła się po celi, śpiewając *Pierwszą Brygadę*, i zatańczyła coś na kształt walca.

– Wywalczymy Polskę – mówiła z zapałem – i nasze dzieci będą żyły szczęśliwie i będą kochać, i będą zakładać normalne rodziny. Bez wojny!

Mówiła zadyszana, w uniesieniu, a Ola uśmiechała się do tej wizji. Pewnie, że chciała mieć dzieci. Najlepiej córki. Chciała, żeby zaznały spokoju, wolności, żeby coś miały z poświęcenia matek takich jak Ola i Kasia. Ogarnął je dobry humor, oddały się marzeniom, zaczęły się sobie zwierzać ze swoich pragnień, rojeń o tym, jak to ich dzieci będą żyć długo i szczęśliwie w wolnym kraju.

Dwie więźniarki z Pawiaka na przełomie roku 1915 i 1916 nie mogły wiedzieć, że spełni się część ich wielkich marzeń, ale nie ta o spokoju dzieci. Kto założyłby wtedy, że dwudziesty wiek okaże się krwawy i bezlitosny również dla następnego pokolenia? Ola nie uwierzyłaby, że pisana jest jej emigracja. Konstancja nie przeczuwała, że jej jedyna córka Janka zginie wraz z mężem, porucznikiem Okszą, w powstaniu warszawskim, a ona będzie szukać pod gruzami miasta ciała jedyne dziecko. Może lepiej, że nie wiedziały tego w tym dniu na Pawiaku, że z nadzieją patrzyły w przyszłość, chociaż czekał je proces i dalsze więzienie.

Proces wreszcie nadszedł, skazano je zgodnie z przewidywaniami na dalsze odosobnienie, ale po odczytaniu wyroku dostały paczki z żywnością. Więzienne prawo zezwalało na taki luksus osadzonym i za sprawą nieocenionego mecenasa Paschalskiego dostarczono zgłodniałym więźniarkom przesłane produkty. Nareszcie mogły się najeść. Ola twierdziła, że nigdy potem kostka czekolady nie smakowała tak bardzo i że od tej chwili smak chałwy i czekolady był dla niej smakiem najbardziej odświętnym.

Wyroki odsiadywać miały w innym obozie. Po dwóch tygodniach zostały odstawione do więzienia w Szczypiornie pod Kaliszem. Po drodze spotkały dawnych towarzyszy, też więźniów, transportowanych w to samo miejsce: panów Herza, Turowicza oraz Tatara, czyli Aleksandra Sulkiewicza, którego Ola знаła z dawnych czasów i bardzo lubiła. Był jak i ona suwałczaninem, a przy tym bliskim współpracownikiem Piłsudskiego. Ziuk nieraz opowiadał jej o przyjaźni z Aleksandrem i jego wielkich zasługach.

„Tatar, wyznawca Mahometa, ale Polak przedni!”, mówił. Rodzina Sulkiewiczów od szesnastego wieku wiernie służyła Rzeczypospolitej! Aleksander także był patriotą, działał w konspiracji, znany jako „Tatar” albo „Michał Czarny”. Podjął się ważnych zadań na pograniczu rosyjsko-niemieckim, wspomagał przerzut więźniów przez granicę. Ot, wkładał urzędniczą czapkę, brał uciekiniera pod ramię i spokojnie przeprowadzał na drugą stronę. Kolportował też bibułę i broń, działał na rzecz Polski od lat. To on pomógł Ziukowi po ucieczce ze szpitala w Petersburgu, przejął go z rąk doktora Mazurkiewicza i wrócił z nim do Kijowa. Przeprowadzał go tajnymi ścieżkami Litwy przez lasy, które znał jak nikt inny. Aresztowano go w końcu w Warszawie po wyspie przy Szpitalnej, też w listopadzie, jak Olę, ale że odwoływał się do obywatelstwa austriackiego, miał nadzieję uniknąć obozu jenieckiego. Póki co jechali razem. Umiał im podróż, opowiadając o swoich przygodach, o słynnym kamuflażu z kogutem, którego na targu zakupił, by zmylić szpicli, ale kogut darł się wniebogłosy i Tatar nie umiał sobie z nim poradzić. Z tęsknotą mówił o rodzinie, a kiedy Ola pytała, czemuż to, sam będąc muzułmaninem ożenionym z kobietą wyznania kalwińskiego, dzieci ochrzcił, śmiał się, że kraj wolny, w którym przyjdzie żyć jego potomkom, katolicki będzie, więc niech i Sulkiewicz, polscy Tatarzy od pokoleń, dobrze się tu czują. W Warszawie pożegnali się serdecznie, życząc sobie zwycięstwa i wytrwałości. Sulkiewicza zabrano w inną stronę, a reszta polskich więźniów trafiła do więzienia pod Kaliszem.

Szczypiorno przywitało ich mgłą i zimnym deszczem. Ola i Kostka wzięły się za ręce dla dodania otuchy, bo ujrzały więzienie gorsze niż jakiegokolwiek przedtem, gorsze, niż mogły sobie wyobrazić. Zamiast baraków czekały na nie ziemianki z drewnianymi nadbudówkami, jamy wykopane w ziemi, cienkie derki i masy szczurów. W takich warunkach Ola jeszcze nigdy nie żyła, nawet na Daniłowiczowskiej. Ze zdumieniem stwierdziły z Konstancją, że są tylko we dwie w tym dziwnym przybytku, gdzie za łóżka miały im służyć worki ze słomą, a za cały posiłek herbata lipowa, 150 gramów chleba i zlepek mąki gryczanej z trocinami. Na obiad litr zupy z małży, ślimaków i żab, tak śmierdzący, że najgłodniejsi obawiali się podejść. Litr kawy zbożowej na wieczór.

– Zimno, brudno, mokro – szepnęła Konstancja. – Popatrz.

Druły kolczaste oddzielały ich ziemiankę od reszty bloków. Śmierdziało jak w grobowcu. Z prowizorycznego dachu do wnętrza spływała woda. Wartownik wzruszył ramionami, deszcz padał tu od miesiąca.

Ola popatrzyła na „kołdry” – płócienne pasy wypchane papierem. Mały piecyk pośrodku ziemianki nie mógł zapewnić ciepła. Poczowała gniew.

– Wołam komendanta – powiedziała stanowczo i obróciła się do strażnika. Zażądała widzenia z dowódcą tak stanowczo, że skołowany żołdak poszedł do swojego zwierzchnika i o dziwo przyniósł zgodę na widzenie. Miały zostać przyjęte, ale dopiero po dezynfekcji i zaszczepieniu. Gruba Niemka z więziennej obsługi zaprowadziła je obie do niby-łaźni, gdzie rozebrały się do naga.

Chłód i wiatr hulał na zewnątrz, natomiast w prymitywnych wannach parowała woda, ukrop, w małej ilości, pełna śmierdzącego środka dezynfekującego. Strażniczka wyszorowała głowy Oli i Konstancji karbolem, przez co włosy kobiet zbiły się w kołtun. Owinięte w szmaty udające ręczniki czekały na lekarza, który miał je zbadać i zaszczepić przeciw tyfusowi. Niemiecki medyk przybył wreszcie, zbadał je i tą samą igłą zrobił zastrzyk obu pacjentkom. Konstancja popatrzyła na Olę z przestachem. Czekwały na dezynfekcję i suszenie sukni, wreszcie strażniczka przyniosła ich ubrania. Teraz dla odmiany Ola nie mogła przestać się dziwić. Czymże odkażano ich odzienie, skoro jej granatowa suknia stała się całkiem zielona? W tejże sukni, z dziwną fryzurą, którą usiłowała ułożyć na jej głowie Konstancja, Ola stanęła przed zaskakująco uprzejmym niemieckim komendantem. Były pierwszymi kobietami w Szczypiornie, oficer nawet starał się ją zrozumieć, zwłaszcza że wyłożyła swoje postulaty płynną mową Goethego, ale – wojna! Wojna to oszczędności. Jak w taki czas dbać o więźniów zgodnie z konwencjami? Nie uzyskała wiele, zaledwie przeniesienie obu do innej ziemianki z podobną liczbą szczurów.

– Schowaj głowę pod derkę – radziła Konstancja. – To nic, co tam szczury, wszystko lepsze niż ten potworny głód.

– A jak przegryzą derkę? – szeptała Ola. Nienawidziła tych ohydnych włochatych zwierząt, przez które nie mogła spać. Zdarzało się, że któryś wygryzał dziurę w okryciu, więc bała się, że podejdzie do twarzy. I tak właśnie na obronie własnej przed szczurami, oszukiwaniu głodu, czytaniu w nieskończoność dziejów Cezara po niemiecku, jedynej książki, jaką miało więzienie, minął im czas do świąt Bożego Narodzenia. W Wigilię roku 1915 siedziały z Kostką przy piecyku, lał deszcz i zwały błota spływały do ziemianki.

– I tak deszcz lepszy niż mróz, nie tak zimno. – Szczękały zębami. – A bywały Wilie w śniegu, pamiętasz? Pamiętasz?

Ola wróciła do wspomnień z dzieciństwa, do białych zim w Suwałkach, wieczerzy wigilijnych szykowanych przez ciotkę Marię, Anusię i Rozalię. Opowiadała Konstancji o sianie pod obrusem, daniach gotowanych na świąteczny stół. Niemal czuły zapach zupy grzybowej i kutii.



– Błagam, nie – jęknęła Konstancja – nie mów o jedzeniu. Jakie lalki szykowałyście? Z waty? Umiesz robić gwiazdki z papieru? My z siostrami zaczynałyśmy na miesiąc wcześniej.

– Wieszaliśmy jabłka i cukierki na choince – szepnęła Ola.

– A my ciastka – westchnęła Konstancja.

– A my sabafki – dodał nagle niemiecki strażnik łamaną polszczyzną. Niestary mężczyzna stał u wejścia i widać też tęsknił za świątecznym domem w dalekiej Bawarii. – Po drzewo szliśmy z braćmi w bór, świerk wysoki z gór *Vater\** stawał w pokoju, *Mutter\*\** stroiła piernikami... I po co nam wszystkim ta wojna, *gnädige Frauen, warum\*\*\**?

Milczenie zapadło w ziemiance, gdy na niebie zabłysła pierwsza gwiazdka, ale i tak nikt nie widział jej spod grubej warstwy chmur. Ola z Kostką zanuciły kolędę, strażnik otarł łzę. Tydzień później nastął rok 1916. Ola i Kostka przetrwały razem mrozy i głód, nużące dni bez wieści z frontu, na którym walczyli ich mężczyźni. Wreszcie nadszedł luty, a z nim zmiana. Obóz w Szczypiornie miało zastąpić więzienie w miasteczku Lauban na Śląsku. Komendant pożegnał je bardzo uprzejmie, nawet wyraził nadzieję, że los więźniarek się poprawi.

– Gorzej na pewno nie będzie – powiedziała z ironią Ola do Kostki i miała rację; już sam widok drewnianych baraków w Lauban po doświadczeniu ziemianek i błota wydawał się zapowiadać zmianę na lepsze.

W Lauban, czyli Lubaniu, przetrzymywano jeńców francuskich i rosyjskich, mężczyzn i kobiety, a także cywilów litewskich. Warunki życia były tu lepsze. Ola nadal mieszkała z Konstancją, a oprócz nich w baraku ulokowano jeszcze dwie kobiety: bardzo ładną Polkę, żonę oficera, podejrzaną o szpiegostwo na rzecz Rosji, i pewną francuską guwernantkę. Było zdecydowanie cieplej i nie chodziły już takie głodne. Mimo że racje więzienne wciąż zmniejszano, zdarzało się dostać sardynki, czasem czekoladę z paczek, a kobiety wyłapywały chciwie każdą wieść ze świata, z frontu. Najlepszą informatorką okazała się piękna Polka, handlowała z Francuzami, którzy dostawali najlepsze paczki od swoich fundacji charytatywnych. Życie więzienne ułożyło się, biegło swoim torem i Ola dziwiła się, że człowiek może przyzwyczać się do takiego losu.

W Lauban dzień toczył się według określonego harmonogramu. Organizowano tam nawet spektakle teatralne, podczas których widownię sadzano zgodnie z niemieckim poczuciem porządku: lepsze panie, lepsi Francuzi, czyli jeńcy francuscy wyższego pochodzenia, z rosyjskimi lekarzami, potem zwykli Francuzi, zwykli Rosjanie, chłopci i niewykształceni Kałmucy, czyli „gorsi” ludzie. Były także w obozie „gorsze” kobiety. Barak numer dziesięć przeznaczony został dla prostytutek. Los tych kobiet wzburzył Olę do głębi. Łzone na spacerach, poddawane upokarzającym badaniom, były też nocami regularnie gwałcone przez Niemców. Nie mogła pozostać obojętna na podobną zbrodnię. Oświadczyła Kostce, że musi coś zrobić, choćby dla własnego sumienia, i udała się z prośbą o interwencję do lekarza obozowego. Popatrzył na nią zdziwiony.

– Skąd to wzburzenie u kobiety takiej jak pani? – zapytał. – Toż to zwykłe ulicznice.

– Gwałt to gwałt. A to nieszczęśliwe kobiety – mówiła Ola gorąco. – Niejednokrotnie to los zepchnął je do takiej roli. Głód, nędza, wojna. Panie doktorze, tam są nauczycielki, panna ze sklepu mód, sekretarka. Jedna to dziecko jeszcze, siedemnastolatka, płacze straszliwie po tych gwałtach. Jej matka musi tego słuchać. Czy wy jesteście ludźmi?

– Jest wojna. – Wzruszył ramionami. – Wojna. A te kobiety to więźniarki.

Ola wróciła do baraku zdesperowana.

– Nic to nie dało – powiedziała Konstancji. – Zobaczysz, Kosia, jeszcze tu dojdzie do tragedii.

Konstancja czytała list. Ola westchnęła. Do niej nie przyszedł żaden. Ani jedna

odpowiedź na tyle listów, które wysłała do Ziuka. Nie mógł odpisać? Nie dostał?

– Pewnie, że nie dostał. A może odpisał, ale ci nie dostarczają. Przecież wiedzą, kim jesteś, Olu, uważaj bardzo, co piszesz.

Ich rozważania przerwał krzyk kobiety. Do baraku wpadła młoda Litwinka, którą Ola uczyła polskiego.

– Zabiły się! – krzyknęła. – Kobiety z dziesiątki, nie zniosły tego dłużej. Samobójstwo zbiorowe!

Ola z Kostką zerwały się na równe nogi.

– Jak to zabiły? Co zrobiły?

– Igły – łkała Litwinka – połknęły igły!

Wszystkie trzy pobięły do baraku dziesiątego. Kilka kobiet na ziemi wiło się z bólu, reszta płakała.

– Jezus Maria! – krzyknęła Konstancja. – Lekarza!

– Nie ma lekarza – głucho odpowiedziała Ola. – Wyszedł gdzieś, widziałam. Apteka też zamknięta, a szpital daleko.

– I tak ich nie zawiozą – dodała Konstancja. – Co robić?

Ola wspomniała wszechwiedzącą ciotkę Marię, która miała swoje kulinarne i domowe sposoby na wszystko. Na brzuch, na niestrawność, zawsze.

– Kasza! – krzyknęła w olśnieniu. – Dawajcie wszystką kaszę, jaką mamy. Gotujemy, szybko.

Kasza pomogła. Niedożłte samobójczynie nakarmione lepką papą przeżyły, chociaż nacierpiały się niemało. Ich akt rozpaczki poprawił los najmłodszych, przeniesiono je do „lepszych kobiet”, czyli do baraku Oli i Konstancji.

■

Lato 1916 roku minęło i nadeszła jesień, czas płynął wolno, ale oto znów nastał więzienny listopad, zimny i mglisty. Warunki w obozie zaczęły się drastycznie pogarszać. Nie tylko jesienny chłód, lecz i coraz mniejsze porcje jedzenia dowodziły, że wszystkie zapasy idą na front, także ludzkie, bo młodszych strażników zastąpiono starszymi. Niemcy podobno odnosili spektakularne zwycięstwa nad koalicją, tak skwapliwie informowano więźniów, trudno jednak było w to wierzyć, siedząc nad śmierdzącą zupą z brukwi i bydlęcej krwi. Nie wierzyły w ani jedno słowo tych komunikatów. Ola zatykała nos, by z trudem przełknąć chociaż kilka łyżek.

To już prawie rok od aresztowania – myślała. Żadnych wieści. Może on jednak nie żyje. Niemożliwe, niemożliwe. Wiedziałybyśmy z gazet, byłby szum wśród jeńców. Podobno Legiony walczą teraz nad Styrem. Na pewno jest ze swoimi żołnierzami... A może jednak zginął i kryją to przede mną?

Konstancja, jakby czytając w myślach przyjaciółki, głaskała ją po ramieniu. I ona nie dostawała już listów. Wyciągnęła Olę na więzienny spektakl amatorskiego teatru, ale nie poprawił im humoru. Kiedy wracały, zaczęli je niemiecki oficer, którego uznawały za znajomego, gdyż zawsze był dla nich uprzejmy.

– Ostatni raz miłe panie, co? – zapytał. Popatrzyły na siebie zdziwione.

– O, nie wiecie jeszcze? Piłsudski wywalczył niemiecką proklamację niepodległości Polski. To jeszcze nie jest całkiem *frei*, wolna Polska, ale wyjdziecie na wolność, niebawem, *meine Damen*.

Odszedł z uśmiechem, a Ola z Konstancją patrzyły na siebie w milczeniu, nie mogły się ruszyć, nie mogły się nawet cieszyć, krzyczeć ani płakać. Bały się uwierzyć w takie wieści, chociaż akurat ten Niemiec, prawnik, pomagał im kilkakrotnie i raczej nie kłamał. Jak to

proklamacja? Czyżby nareszcie po tylu latach jeden z zaborców zgadzał się, by zaistniała Rzeczpospolita? Jaką rolę odegrał w tym komendant Piłsudski i gdzie teraz był? Gdziekolwiek był, żył, a uwolnienie polskich więźniów okazało się faktem!

Dręczona rozterkami i huśtawką uczuć, od radości i szczęścia po lęk i niepewność, Ola Szczerbińska, wychudła i zmęczona, wyszła z więzienia w Lauban. Wróciła pociągiem do Warszawy, do swojego mieszkania na Pradze. Miasto było zajęte przez Niemców, patrole chodziły po ulicach, chłopcy roznosili gazety, w których nie było dobrych wiadomości. Wojna zbierała swe żniwo, toczyły się jeszcze ciężkie walki nad Sommą, gdzie obie strony ponosiły niewyobrażalne straty. Państwa centralne nie mogły teraz pozwolić sobie na rezygnację z polskich oddziałów, stąd ta proklamacja, stąd nagłe ustępstwa. Józef Piłsudski w tym czasie cieszył się już sławą dowódcy Legionów, Legiony zaś stały się symbolem marzeń o samodzielnym państwie. Komendant wyrósł na ważnego polityka w oczach niemieckich generałów. Nie było go w Warszawie, czekał w Krakowie na ruch Austriaków.



Józef Piłsudski stał się bardzo popularnym człowiekiem. Uznano go za głównego ojca sukcesu proklamacji niepodległości Polski z 5 listopada. Mówiono o nim powszechnie Komendant, entuzjastycznie witano go w miastach, gdy pojawiał się na czele Legionów. Szli za nim żołnierze w szarych mundurach z amarantowymi wyłogami, w czapkach maciejówkach. „Nie noszą lampasów i szary ich strój, nie noszą ni srebra, ni złota”, tak jak w piosence Lubicza-Zahorskiego, która szybko wpadała w ucho, a nucić ją miały pokolenia. W maciejówce i w zwykłej żołnierskiej kurtce wiódł ich na wojnę. Społeczeństwo polskie podarowało mu medal z pięćdziesięcioma tysiącami podpisów na znak poparcia. Jego nazwisko było na ustach wszystkich. Lipcowa, zwycięska bitwa pod Kostiuchnowką otoczyła nimbem sławy wodza i jego Pierwszą Brygadę. On sam czuł, że nadeszła wyczekiwana chwila, pięć minut dla Polaków. Dowodem była ta austriacka proklamacja, ale czekał na jej konsekwencje. Nie chciał, żeby skończyło się na proklamacji, chciał więcej. Polscy żołnierze walczyli i zwyciężali przyklejeni do boku armii Austro-Węgier. Nie mieli swojego państwa, swojego rządu, a po to w końcu szli na tę wojnę: wywalczyć Polskę.

Komendant wiele przemyślał, podjął ważne decyzje. W lipcu 1916 roku, kiedy Austria i Niemcy wciąż nie wystąpiły z żadnymi konkretami, podał się do dymisji ze stanowiska dowódcy Legionów. Zamierzał w ten sposób wywrzeć nacisk na władze, zaprotestować przeciw ich opieszałości w sprawie utworzenia państwa polskiego. Dymisję ku jego zdziwieniu przyjęto, ale wiedział, że państwa centralne nie mogą sobie pozwolić na utratę sił polskich wiernych Komendantowi. Były właśnie po ofensywie armii carskiej pod wodzą Brusilowa, podczas której Austro-Węgry poniosły ogromne straty i szala zaczęła przechylać się na stronę państw ententy. Piłsudski czekał, wojna nerwów wiele go kosztowała. Czuł się coraz bardziej samotny w odpowiedzialności za wojsko, którym dowodził, za plany niepodległościowe, które pragnął wreszcie zrealizować. Żądał utworzenia państwa polskiego nie tylko na papierze. Zastanawiał się, czy nie przejść teraz na stronę Rosji – na dalekiej Syberii tworzyło się wojsko polskie z potomków polskich zesłańców. Wiadomo było, że niepodległość Polski będzie kartą przetargową dla walczących mocarstw. Coraz bardziej upewniał się w przewidywaniu, że zwycięzcą nie będą Austria i Prusy.

Akt 5 listopada przyniósł mu pewną ulgę, Austria i Niemcy ugięły się, proklamowały wolną Polskę. Uwalniano polskich więźniów, to też nie było bez znaczenia, wiedział, że Ola wyjdzie teraz z Lauban. Proklamacja zastała go w Krakowie, natychmiast ruszył na czele swojej brygady w kierunku Warszawy. Pod koniec listopada zawitał do Lublina. Jakże inaczej witano

ich teraz w miastach. Jak entuzjastyczne były kobiety i dzieci wiwatujące na ulicach. On sam jednak burzył się w duchu przeciw tym owacjom. Kwiaty i przemówienia były niczym, jeśli nie było politycznych faktów, a tych wciąż brakowało. Cały ten akt 5 listopada okazał się martwy – Austria ogłosiła wolność Polski na papierze, ale nie kwapiła się, by powołać polski rząd, przeciwnie, komunikowano, że ziemie polskie tymczasowo pozostaną nadal pod kontrolą państw centralnych. Jednocześnie nawoływano Polaków, by wstępowali do wojska austro-węgierskiego.

Lecz dla Polaków tego czasu istniało już tylko jedno polskie wojsko i jedna nadzieja: Legiony pod wodzą Komendanta.

Mijały tygodnie, posuwał się ze swoją brygadą ku Warszawie. W końcu Niemcy ugięły się i powołano Tymczasową Radę Stanu, coś na kształt rządu Polski, w jej skład wszedł Piłsudski. Do Oli dochodziły nieliczne listy od niego i niezliczone słowa innych o jego sławie. Listy dowodziły, że nie zapomniał o niej, że w samotności, na którą narzeka, jest być może jedyną bliską mu duszą. Ale przecież wyruszył z Krakowa, w którym w mieszkaniu na Szlaku wciąż mieszkała Maria Piłsudska. Na krakowskich salonach to jej składano gratulacje i to ona słuchała słów podziwu dotyczących wybitnego męża. Ziuk pisał, że zajął w Krakowie odrębne mieszkanie, ale znajomi donieśli Oli, że spotkał się z Marią w Zakopanem. I to wtedy, gdy ona znosiła trudy więzienia w Lauban! Znów pisał, tłumaczył, że było to spotkanie zupełnie przypadkowe, „dwóch osób, które znają się z przeszłości”. Ale to Maria, kobieta z przeszłości, wciąż nosiła jego nazwisko.

Ola pozostawała w cieniu. Człowiek, którego kochała, a co więcej, którego teraz kochał cały naród, wciąż prosił, aby czekała. Umiała czekać, umiała zorganizować sobie życie. Podjęła pracę w fabryce suszącej jarzyny, powróciła do aktywnej działalności w POW, zaangażowała się w prace Ligi Kobiet, która zrzeszała już dwadzieścia tysięcy pań i miała za zadanie wspomagać Legiony. W chwilach tęsknoty wracała do listów, w których pisał „Oleńko i Olutko”, widziała go w snach, jak prowadzi żołnierzy do boju, na pierwszej linii frontu pod Kostiuchnówką, pod obstrzałem artylerii, kiedy dowodzi pod Jastkowem, kiedy jako ostatni żołnierz pułku przeprawia się przez Wisłę, gdy przyszło być w odwrocie. Opowiadano o tym z czcią, o jego więzi z żołnierzami, wśród których walczył jak równy. Wierzyła w to, tęskniła. Wiele miesięcy minęło, odkąd widzieli się ostatnio, wspomnieniem spotkania była tylko liryczna opowieść o słowiku.

Zbliżały się jej trzydzieste czwarte urodziny. Nie była już dziewczyną ani nawet młodą panną, która zaczynała dorosłe życie z dala od suwalskiego domu. Była żołnierzem, komendantką, doświadczyła walki i więzienia. Doświadczyła miłości. Była kobietą. Kochała mężczyznę, którego nazwisko było na ustach wszystkich kobiet polskich, lecz może lepiej byłoby kochać pierwszego lepszego oficera legionistę, którego imię nie jest znane nikomu oprócz kochanki? „Serce to nie sługa”, śpiewało się smętnie w jej rodzinnych stronach, „nie zna co to pany”. Wspomniała defiladę wojsk we Lwowie, ledwie powstałych, a głośno skandujących przed swoim dowódcą. Ona, Ola, stała wtedy u jego boku. Uświadomiła sobie, że teraz, kiedy zwyciężą, on zajmie ważne stanowisko w młodym kraju. I że wszyscy będą od niej oczekiwać, że usunie się w cień dla dobra reputacji Ziuka. I że ona jest gotowa to zrobić.

\* *Vater* (niem.) – ojciec

\*\* *Mutter* (niem.) – matka

\*\*\* *gnädige Frauen, warum* (niem.) – łaskawe panie, po co

## ROZDZIAŁ 12

### ■ ÓW ROK 1918

Urodziny Oli przypadały 12 grudnia. Także 12 grudnia przypada dzień jej patronki, Świętej Aleksandry, więc imieniny. W 1916 roku 12 grudnia triumfalnie wkraczały do Warszawy Legiony Polskie pod wodzą Józefa Piłsudskiego. Tłumy witały go na Dworcu Wileńskim, w Alejach Jerozolimskich, jako zwycięzcę spod Kostiuchnówki, dowódcę polskiego wojska. Oli nie było wśród tych tłumów, czekała w swoim mieszkaniu na Mińskiej. Słaba jeszcze była i wychudzona, ledwie miesiąc minął, jak wyszła z więzienia w Lauban.

Patrzyła na drzwi, wsłuchiwała się w kroki na klatce schodowej. W tej chwili oczekiwania wszystko było ważne, bo czuła, że jest to dzień rozstrzygnięć. Jeśli mieli być razem do końca życia, to przyjdzie. Jeśli usłucha doradców, kreujących go na głowę państwa, to może zdecyduje się iść na szczyty zwycięstwa sam. Zapomni, zamknie rozdział życia z Olą. Wiedziała, że Komendant ma mieszkanie w centrum, przy Służewskiej 5. Czekala jednak, mimo że mijały godziny, zapadał zmrok. Wieczór 12 grudnia nadszedł wyjątkowo szybko, a z nim ciemność i miejska mgła. Twarz kobiety odcinała się w oknie białą plamą. Ola wyglądała na wąską ulicę, słabo oświetloną gazowymi latarniami. Właśnie miała odejść od szyby, gdy usłyszała warkot silnika. Oparła się o ścianę, próbowała uspokoić oddech. Automobil zahamował przed kamienicą, potem na schodach zastukały obcasy oficerskich butów. Rozległo się krótkie pukanie, ale Komendant postanowił nie czekać na odpowiedź, lecz śmiało popchnął drzwi. Były otwarte.

Szczupła kobieta o ciemnych oczach, większych niż zwykle, o bladej, wychudzonej twarzy spojrziała stęskniona, onieśmielona nagle jego sławą. „A co, Oleńka, a co?“, mógłby powiedzieć jak jego ulubieniec Kmicic. Ruszył ku niej w swoim mundurze legionisty, z tym błyskiem w oczach, który zawsze ją urzekał. Nie widzieli się ponad rok. On przez ten czas szedł przez pola bitwy jako żołnierz i przez europejskie salony jako dyplomata. Ona miała za sobą ciężkie więzienie. Ale Boże Narodzenie tego roku mieli nareszcie spędzić razem. Drzwi mieszkania na Mińskiej zamknęły się przed całym światem. Adiutanta odesłano, nie było już dowódcy Legionów ani komendantki Aleksandry Szczerbińskiej. W praskim mieszkaniu przy Mińskiej pozostali ze sobą tylko Ola i Ziuk.

■

Pod koniec grudnia Józef Piłsudski oświadczył swoim współpracownikom, że wybiera się do Krakowa, by uporządkować kilka spraw prywatnych. Domyślali się, o co chodzi. Dobrze byłoby, żeby wódz uregulował sprawy osobiste. Wojna kiedyś musi się skończyć, a wtedy, w nowo powstałej Polsce, owiany legendą Piłsudski z pewnością będzie odgrywał ważną rolę w rządzie, pewnie wielu widziało go już prezydentem nowej Rzeczypospolitej. Co wtedy z pierwszą damą? Wszyscy wiedzieli o związku z towarzyszką Olą, od lat trwającą przy jego boku, Komendant ani myślał kryć się ze swoim afektem. Ale wszyscy też wiedzieli, że w Krakowie mieszkała prawowita żona, pani Maria Piłsudska, także szczerą patriotką. W dodatku chora i doświadczona przez los. Domyślano się, że nie bez przyczyny rok temu w Karasinie Komendant wrócił do katolicyzmu. Maria była ewangeliczką, może to ją przekona, może uda się teraz przeprowadzić rozwód? On chciał mieć jej zgodę i po to pojechał.

Niestety, zwycięzca walk zbrojnych i dyplomatycznych w prywatnej bitwie poniósł klęskę. Powrócił znów ze stanowczą odmową Marii. Uparła się. Zirytowała go szalenie. Wyszedł jak niepyszny z jej mieszkania. Ciężko było mu powiedzieć o tym Oli, ale znów musiał odłożyć

tę sprawę na później. Prywatne dążenia musiały ustąpić państwowym.

W styczniu zbierała się w Warszawie Tymczasowa Rada Stanu, miał wejść w jej skład. Odpowiadał za sprawy wojskowe i zamierzał dopilnować, by żołnierze polscy przelewali krew za swoją własną ojczyznę, a nie za przegrane Austro-Węgry.

Wojsko było jego miłością. Na defiladzie 17 stycznia warszawskie oddziały POW maszerowały przed Radą, składając deklarację lojalności. Na posiedzeniu Rady, gdy mówca złożył uszanowanie Józefowi Piłsudskiemu, przypominając jego dokonania, wszyscy zebrani powstali, by go uczcić. Czuł, że wiatr historii mu sprzyja, ale wciąż miał poczucie, że ma do czynienia z czczymi obietnicami Austrii i Niemców; nie ufał generałowi Beselerowi, który wyraźnie chciał polskiej armii na usługach Niemiec. Nie był to czas na wojnę z żoną.

Ola przyjęła odmowę Marii spokojnie. Powiedziała Ziukowi o swoich przemyśleniach: widać jeszcze nie nadszedł czas na uporządkowanie jej własnych spraw, na marzenia o zwykłej rodzinie. Nie było jej łatwo, lecz od lat przyzwyczajona była do podwójnego biegu życia. Konspiracja, miłość w czasach walki, rozstania i lęk o życie swoje i jego nauczyły ją i cierpliwości, i doceniania tego, co miała. Mówiono o niej, że jest skromna i szczerą, więc szczerze mówiła sobie, że tak, łatwiej byłoby, gdyby formalnie była żoną i miło brzmiałoby w jej uchu miano „pani komendantowa”. Po doświadczeniu więzienia, po tym, jak głoszono, że go zabito, po wojnie, która zdziesiątkowała ludność na świecie, Ola umiała już przykładać do rzeczy i zjawisk inną miarę. Co znaczyły nazwy? Był przy niej, to się liczyło. Kochał ją, teraz była pewna. Z nią dzielił się rozterkami i ona była mu pomocą, jakiej potrzebował. Wił się jak piskorz, pertraktując z Niemcami, odpowiadając na ataki rywali i krytyków, których w tym narodzie zawsze dostatek, dręczył się walką Polaków po dwóch stronach wojennej barykady. Ola nie chciała być mu jakimkolwiek ciężarem. Umiała utrzymać się sama, nie potrzebowała wiele, ba, pomagała innym, bo czasy nastąpiły bardzo ciężkie.

Wojna zbierała żniwo również wśród cywili, w Warszawie panował coraz większy głód i nędza. Radziła sobie nieźle, pracowała w biurze, a gdy przychodził, zwierzał się jej ze swych trosk i poczucia wyobcowania, bo ktoś, kto samodzielnie sięga po władzę, zwykle jest samotny. Mijały miesiące uporczywych negocjacji i niespełnionych oczekiwań. Ententa także zagrała polską kartą: prezydent Wilson w orędziu do Senatu z 22 stycznia<sup>10</sup> opowiedział się oficjalnie za suwerenną Rzeczpospolitą. W Rosji w marcu rewolucja zebrała pierwsze żniwo: obalono carat. Oznaczało to, że jeden z wojennych graczy został poważnie osłabiony, ale wkroczył w jego miejsce inny, potężny: Stany Zjednoczone. Niemiecki generał von Beseler żądał od Polaków powszechnej mobilizacji. Piłsudski się wahał. Mijały miesiące roku 1917.

Kiedy w czerwcu Niemcy, którzy nie podjęli żadnych konkretnych kroków w sprawie suwerenności Polski, zażądali obecności Polaków na wszystkich frontach, odmówił. Kolejne oddziały POW na jego rozkaz solidarnie odmawiały złożenia przysięgi władcom Austrii i Niemiec. W ten sposób doszło do precedensu w historii wojskowości, sytuacji nazwanej kryzysem przysięgowym. Generałowie niemieccy nie mogli zmusić polskich oficerów do składania przysięgi. Mogli ich aresztować i to czynili, Piłsudski także spodziewał się w każdej chwili aresztowania. Przygotowywał do tego Olę podczas długich i szczerych rozmów, które wiedli na Mińskiej. Propozycję, by uciec samolotem na teren Rosji do formujących się tam oddziałów, odrzucił. Jego żołnierze nazywali go Dziadkiem, szli do aresztu, nie mógł uciec, wolał dzielić z nimi więzienny los. Ola rozumiała to i popierała, aresztowanie Ziuka stawało się kwestią czasu. Sama działała energicznie w Lidze Kobiet i właśnie w tym czasie upewniła się, że jest w ciąży.

Początkowo nie zdradzała się z tym przed nikim. Ziuk opowiadał jej o swojej rozmowie z Beselerem, o kuszących propozycjach generała, który obiecywał Komendantowi karierę, sławę

i zaszczyty w niemieckiej armii. Znów odmówił.

– „Zyskałby pan jednego Polaka, lecz ja straciłbym cały naród”, tak mu, Olu, odpowiedziałem – relacjonował – ale aresztują mnie niechybnie.

Wtedy powiedziała mu o dziecku. Przytulił ją, mocno wzruszony. Tego wieczoru byli bardzo szczęśliwi, choć niepewni jutra.

■

Piłsudskiego aresztowano i osadzono w twierdzy magdeburskiej w końcu lipca 1917. Wiedział, że w lutym następnego roku zostanie ojcem, i niepokoił się o los Oli i dziecka, przeczuwał, że do czasu rozwiązania nie wyjdzie z więzienia. Prosił przyjaciół, państwa Prystorów i Feliksa Turowicza, by opiekowali się Olą. Z Prystorami wiele ich łączyło, konspiracja, liczne akcje, w tym Bezdany. Turowicz był dyrektorem fabryki, w której pracowała, był też wypróbowanym druhem i zasłużonym PPS-owcem, obiecał pomóc.

Ola na skutek próśb bliskich osób zrezygnowała z wszelkiej działalności politycznej. Jej związek z Komendantem był tajemnicą poliszynela, była obserwowana i śledzona przez policję. Ułożyła sobie życie według schematu: dom, biuro, dom. Jej sytuacja była nieszczególna. Spodziewała się dziecka, wciąż była panną, jej mężczyzna siedział w twierdzy w Magdeburgu i nie mógł być przy niej w tych miesiącach oczekiwania. Nie mógł się z nią ożenić. Nie mógł być dla niej wsparciem i choćby obecnością swoją bronić przed komentarzami moralistów. Usiłował uspokoić ją, tłumaczył w listach, że uwolnienie jest tylko kwestią czasu. Opisywał przebieg dnia, posiłki, spacer, lektury, przemyślenia i studia nad szachami. Jak zwykle nie mógł obyć się bez herbaty i pasjansów. I o tym pisał: „Jeden z pasjansów, który mi zwykle nie wychodzi, udał się, gdy go postawił na intencję twojej przyszłej słabości. Cieszyłem się jak dziecko kilka dni”. Cały Ziuk! Martwiła się o jego zdrowie, mimo że prosił, by panowała nad nerwami, by umiała wyrzucić z głowy zmartwienie: „Człowiek powinien umieć zrobić ze sobą wewnątrz wszystko, co zechce”<sup>11</sup>. Ba! Starła się, ale niepokój o niego i o przyszłość dziecka nieraz nią targał i budziła się nad ranem bez tchu. Stawiła czoła plotkom i trudnym warunkom, bo w wojennym mieście zapanował głód, brakowało opału, jedzenie w fabrycznej stołówce było skromne i mało pożywne. Musiała coś jeść, choćby dla dobra rozwijającej się pod jej sercem istoty. Nie przerywała pracy, a dyrektor Turowicz pozwolił jej urządzić ogródek na terenie fabrycznym i sama hodowała jarzyny, bardzo ich teraz potrzebowała.

Pomagała jej Teresa Perlowa, która wraz z mężem Feliksem „Resem” działała w PPS od wielu lat. Oboje pochodzenia żydowskiego, gorliwi zwolennicy wolnej Polski, znali Piłsudskiego jeszcze z czasów „Robotnika”, z Grodna i Lwowa. Teresa, sporo starsza, pracowała w tej samej fabryce jako robotnica, Ola w buchalterii, połączyła je szczerą przyjaźń. Ola wiele zawdzięczała tej energicznej kobiecie. Z sympatią i zazdrością patrzyła na małżeństwo Perlów, bardzo ze sobą związanych, wciąż zakochanych mimo upływu lat. Pomagali Oli także przyjaciele: Halinka Sujkowska, która sama miała dwóch dorosłych synów, Prystorowie, którzy własnych dzieci nie mieli. Nie była więc osamotniona, lecz gdy rodziła w lutym roku 1918, Józef Piłsudski wciąż jeszcze był uwięziony. Bał się o nią, chociaż wiedział, że będą przy niej bliskie kobiety, bał się jednak, bo miała już trzydzieści sześć lat i wszystko mogło się zdarzyć. Wszystko przebiegło szczęśliwie, ale nie wiedział o narodzinach dziecka, telegram do niego nie dotarł. Nie otrzymał informacji, ale właśnie tej lutowej nocy, kiedy Ola rodziła w Warszawie córkę, przyśniło mu się kwilenie noworodka. Był to jeden z mistycznych znaków, w które wierzył i do których wracał myślą przez całe życie, mimo że był przy tym realistą i żołnierzem. Korespondencję z informacją o narodzinach dziewczynki otrzymał dopiero w marcu. W liście zwrotnym poprosił Olę, by nadała córce imię Wanda. Wiedziała, że składał tym samym hołd swojej pasierbicy, córce

nieustępliwej żony. Czytała jednak między słowami listu, że zależało mu na tym. Pisał „jeśli zechcesz”, ale to on bardzo chciał. Pomyślała o Józefie „Wandzie” Rodziewiczównie, przyjaciółce z czasów konspiracji. O Wandzie Krahelskiej. O Wandzie Gertz, która walczyła w Drugiej Brygadzie w męskim przebraniu. Wandy były dzielne, a do tamtej dziewczyny nie mogła mieć o nic żalu. Zgodziła się.

Opisywała mu w listach dziecko i nie mogła doczekać się chwili, kiedy Józef weźmie na ręce swoją pierworodną. Odpisywał, dopytywał o córkę. Jeden z tych listów przeraził ją, a zarazem wzruszył. Ziuk, widać ogarnięty falą czarnych myśli, pisał o ewentualności śmierci, ogarnęły go złe przeczucia, miewał dziwne bóle serca. List był swoistym testamentem, wyznaniem udręki: „że zostawiam ciebie w tym położeniu, jak jesteś z nieślubnym dzieckiem na ręku, jest to myśl, która dręczy mnie co dzień”. I „nie mogę po prostu znieść myśli, że dziecko nie będzie miało mojego nazwiska”. Słowa te dodawały jej siły. Prosił, by w razie najgorszego wychowała córkę, która mu przebaczy, będzie żywić szacunek, może miłość dla „nie zawsze szczęśliwego ojca”<sup>12</sup>. Ola przytuliła list do ust. Odgoniła złe przeczucia i cień śmierci. Właśnie teraz wierzyła głęboko, że Ziuk wyjdzie z więzienia, że los pozwoli się im wreszcie połączyć. Lecz jeśli którekolwiek z nich liczyło na to, że narodziny dziecka zmienią decyzję Marii Piłsudskiej, mylili się.



Ola szybko, bo już po jedenastu dniach od porodu, wróciła do pracy. Musiała utrzymać siebie i dziecko. Poprosiła dyrektora Turowicza o coś, co nawet najbardziej nowoczesne kobiety mogło wprowadzić w zakłopotanie. Kto słyszał, żeby zabierać do fabryki niemowlę? Ola nie zastanawiała się nad tym, czy znów łamie jakiś uzus obyczajowy, to rozwiązanie wydało się jej najlepsze. Nie miała z kim zostawić Wandzi i nie mogła porzucić pracy. Dziękowała Bogu, że Turowicz pamiętał o obietnicy danej Ziukowi i w końcu poparł jej pomysł. Zgodził się, by przychodziła do biura z dzieckiem. W pustych pomieszczeniach fabrycznych wyporządziła odrębny pokój, w którym umieściła niemowlę i biegła od swojego biurka, by je nakarmić i utulić. Nie była matką młodą, bo już trzydziestopięcioletnią, z drugiej strony była kobietą kompletnie niedoświadczoną w macierzyństwie. Więcej wiedziała o broni i strategiach wojennych niż o przewijaniu dziecka. Owszem, przeczytała kilka książek o opiece nad niemowlętami, niestety, teoria jak zwykle różniła się od praktyki. Na kartach książki wszystko wydawało się proste i logiczne, w życiu zaś skomplikowane i niebezpieczne dla tak drobnej istoty. Myśl o kąpieli maleństwa napawała komendantkę Olę przerażeniem. Teraz rozumiała, jakim skarbem w rodzinach były rzesze kobiet otaczających młodą matkę w połogu. Taka opiekuńcza ciotka Maria, doświadczona Anusia... Niestety, ciotka Maria od dawna nie żyła, a o losie Anusi Ola niewiele wiedziała. Liczyła teraz na swój instynkt, silną wolę, przyjaciół – i nie zawiodła się. W kwestii kąpieli ratunkiem okazała się zaprzyjaźniona sąsiadka, doświadczona matka kilkorga dzieci, która przychodziła codziennie do skromnego mieszkania przy Mińskiej kąpać małą Wandę. Kiedy nadeszła wiosna, przyjaciele zabierali dziecko na spacer po urokliwym parku Skaryszewskim. Wózek na śmiesznych kółkach, z których przednie były małe, a tylne duże jak w starych bicyklach, z płócienną odkładaną klapą wędrował po altankach z Halinką Sujkowską albo Teresą Perlową, a Ola miała chwilę na pranie i na korespondencję. Siadała do niej z entuzjazmem młodej matki.

Opisywała Ziukowi zwyczaje córeczki, jej stópki i oczy, wygląd, w którym jak wszystkie matki świata dopatrywała się podobieństwa to do ojca, to do swoich przodków. Nie wszystkie listy dochodziły do adresata, który wciąż tkwił w twierdzy w Magdeburgu. Siedział teraz w jednej celi z bliskim współpracownikiem. Z Kazimierzem Sosnkowskim zabijali czas grą



w szachy, dyskutowali i czekali na rozwój wypadków. Piłsudski, mimo że zwykle spokojny, denerwował się upływem czasu i wymuszoną przez więzienne realia biernością, nagłym zatrzymaniem się zdarzeń, a także tym, że nie może zobaczyć córki. „Znasz mnie, jak nieskłonny jestem do niepokoju i bezużytecznej trwogi, ale teraz jednak nie zawsze spokojnie o was myśleć mogę”<sup>13</sup>. Pisał, także o tym, że wiele myśli poświęca teraz córce, pyta sam siebie, jak radziłby sobie z opieką nad takim berbeciem. Zawsze lubił dzieci, wzruszały go bezradnością i potencjałem. Ale większe dzieci, a takie małe coś w powijakach? Kiedy Sosnkowski pytał, czy nie wolałby syna, zaprzeczał z uśmiechem.

– Syn sławnego ojca nie ma łatwego życia – mówił. – Chciałbyś ty, Kaziu, być synem takiego, powiedzmy, Adama Mickiewicza? Dziewczynka co innego. Poznałem, jak silne potrafią być niewiasty. Nasz wiek dwudziesty ostatecznie będzie należał do kobiet, zobaczysz.

– Prawa wyborcze w odzyskanej Polsce dostaną?

– Dostaną? – Komendant podniósł kpiarsko brew. – Same sobie wezmą!

A mimo to, gdy gnębiły go lęki egzystencjalne, dręczył się przyszłością swoich kobiet, chciał zrobić coś dla ich bezpieczeństwa. Wyzначył na opiekunów dziecka swojego brata Jana i przyjaciela Edwarda Rydza-Śmigłego. „Opieka ta nie powinna Ciebie krępować ani w sprawach wychowania, ani [w] decyzjach życiowych Córki – pisał ze skruchą – umrę jednak spokojniej, gdy nad Córką będzie i męska przyjazna opieka. Nie gniewaj się o to, kochana feministko!”<sup>14</sup>

Mimo tych obaw i niepokojących bólów serca w roku 1918 w wieku lat pięćdziesięciu jeden więcej narzekał na apatię niż na zdrowie. Przyzwyczajony do „energicznego, nie sennego przeżywania życia”<sup>15</sup> męczył się w celi. Warunki miał dobre, w paczkach od Oli i przyjaciół dostawał najpotrzebniejsze rzeczy. Były to przede wszystkim dwa niezbędne elementy więziennej codzienności: herbata i nowe talie kart do stawiania pasjansów. W okresie Wielkanocy Ola wysłała mu zdjęcie dziecka ukryte w świątecznej babce, opisywała postępy w rozwoju niemowlęcia, donosiła też o chorobie, jaką obie przeszły.

Próbował uzyskać przepustkę, lecz nadaremnie. Prosił, by wyjechała z dzieckiem na wieś, lecz Ola nie mogła porzucić pracy. Nie poddawała się lękom, nie chciała niczyjego współczucia. Nie miała czasu rozwodzić się nad swoją sytuacją: niezamężna, bez wsparcia finansowego ze strony rodziny, sama z dzieckiem – i cóż? Dziękowała Bogu, że od lat jest kobietą samodzielną, i obiecywała sobie nauczyć córkę tego samego.

Warszawa w roku 1918 wciąż była miastem okupowanym przez Niemców, miastem, w którym panowała wojenna, straszliwa bieda. Niemcy łupili i wywozili wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, opowiadano, że wyrwali nawet metalowe ogrodzenie spod pomnika Kopernika. Wciąż bardzo brakowało żywności, a chociaż Oli nieobcy był głód, ze względu na dziecko musiała odżywiać się najlepiej, jak się dało. Jej przyjaciółki dbały o to, jak mogły, wyprawiały się do podwarszawskich wsi, gdzie zawsze łatwiej o drób, jajka i jarzyny. Rosół z kury zdobytej w Żąbkach smakował jak poezja. Przyjaciółki dostarczały też informacji „z miasta”. Opowiadały Oli, jak sprawnie działa teraz konspiracja warszawska, jak skutecznie i zgrabnie społeczeństwo polskie wyćwiczone przez lata zaborów w spiskowaniu stawia opór Niemcom. Pogotowie Bojowe PPS reaktywowało się już w roku 1917, dowodził nim Arciszewski. Powstawały coraz to nowe oddziały peowiaków, Polacy szykowali się do rozbrajania Niemców, bo w 1918 nikt już nie wątpił w ich przegraną w wielkiej wojnie. W stolicy aż huczało o udanym zamachu na szefa policji niemieckiej Ericha Schultzego, przeprowadzonym w październiku przez młodego Antoniego Purtala i jego dwóch towarzyszy. Schultze zginął od kul, ale posypały się aresztowania, zamknięto także dyrektora Turowicza, podejrzanego o udział w ataku. Tym razem Ola mogła tylko słuchać i wspominać swoje lata spiskowania, przenoszenie broni i demonstrację na placu Grzybowskim. Miesiące przy dziecku

i pracy miały niepostrzeżenie, znów nadszedł listopad, ta dziwnie ważna dla Polski pora. Na świecie wojenna zawierucha zbliżała się ku końcowi, a w Rosji wielka rewolucja rozszalała się na dobre i zwyciężała, powstawało państwo o zupełnie nowym ustroju.

Piłsudski i Sosnkowski w swojej celi grali w szachy już bardzo nerwowo, spodziewali się zwolnienia lada dzień. W Warszawie zaczęło się: Polacy rozbrajali niemieckie wojska. Niemcy sami oddawali broń. Ola zajęta opieką nad dzieckiem siedziała w swoim mieszkaniu, ale słyszała o wypadkach w mieście i dochodziły do niej raz po raz odgłosy strzałów. Po raz pierwszy nie brała udziału w walkach, nawet nie miała broni w domu. Pewnej niedzieli chodziła po pokoju z małą Wandą na rękach i myślała o Ziuku. Przez okno zalane deszczem dostrzegła postać Janki Prystorowej podążającej pospiesznie pod parasolką w kierunku klatki schodowej. Serce Oli zabiło mocno, ten pośpiech, ta wizyta mogły oznaczać tylko jedno.

– Komendant jest już w Warszawie – oznajmiła zdyszana Janka już w progu. – Wypuścili go i przyjechał z Sosnkowskim, tłumy witały go na Dworcu Wiedeńskim, podobno balkon się oberwał z przeciążenia gapiami. Jest na śniadaniu u księcia Lubomirskiego, który ich do siebie zabrał, wieczorem będzie u ciebie, Olu... Prosił, żeby cię powiadomić.

Ola pochyliła głowę nad dzieckiem. Może łzy wzruszenia, może uśmiech szczęścia wywołała ta wiadomość. Był 10 listopada 1918 roku, niedziela. Ze wszystkiego, co mówiła Janka, wynikało, że wreszcie zwyciężyli. Koniec wojny to mało, nastał nareszcie koniec zaborów. Wolna Polska jest i będzie.

Koniec ciężkich czasów w naszym życiu – pomyślała. – Albo dopiero początek.

■

Ludzie obstawili ulice, którymi słynny Komendant przemieszczał się z centrum miasta na Pragę. Stali także rozentuzjzmowani pod kamienicą, w której mieszkała Ola z Wandzią, już dziewięćmiesięczną. Informacja o tym, że mieszka tu pani Szczerbińska z córką Komendanta, była tajemnicą poliszynela. Ola wolałaby, żeby nie było tego tłumy i tej jawności, ale wiwaty cieszyły jej serce ze względu na Ziuka, były wyrazem szacunku, uznaniem dla niego jako przywódcy narodu. Odbierała je także jako znak zrozumienia i aprobaty dla siebie. Nie wyszła przywitać się z nim przy ludziach, czekała w mieszkaniu, chciała, by ta chwila należała tylko do nich: do nich dwojga i małej Wandy, którą ojciec miał zobaczyć pierwszy raz. Nawet Prystorowa wyszła, ocierając łzy wzruszenia. Dwoje stęsknionych ludzi zostało ze sobą i z dzieckiem, kiedy tłum wiwatował pod oknem.

■

Komendant zamieszkał najpierw w pensjonacie przy ulicy Moniuszki, potem przy Mokotowskiej w mieszkaniu adiutanta Świrskiego. Oboje wiedzieli, że nie będzie teraz czasu na życie rodzinne i widywać się będą rzadko. Po dniach walki nastały czasy budowania, a zbudować trzeba było wszystko od nowa. Polaków ogarnął entuzjazm i wiara w przyszłość odzyskanego państwa, nieliczni zdawali sobie sprawę, że to początek żmudnego wychodzenia z chaosu. Rada Regencyjna przekazała Komendantowi władzę nad wojskiem, powierzyła mu sformowanie rządu. Józef Piłsudski został Tymczasowym Naczelnikiem Państwa. Państwa zlepionego z trzech części różniących się stanem gospodarki, walutą i stopniem zniszczenia. W osiemdziesiątą ósmą rocznicę wybuchu powstania listopadowego, dokładnie 29 listopada 1918 roku, wprowadził się do Belwederu. Ola z córką nie mogły oficjalnie z nim zamieszkać, ale pożegnały Pragę, wynajęły od Sujkowskich lokal w centrum Warszawy, przy ładnej ulicy Koszykowej. Był to nowy dom ich nieoficjalnej rodziny. Tam Ziuk odwiedzał Olę z córką po godzinach urzędowania, po czym wracał do Belwederu, ale kiedy chorował, Ola przychodziła do pałacowych komnat, by się nim

opiekować. Porzuciła pracę w fabryce suszonych jarzyn, żyła teraz życiem żony urzędnika państwowego. A jednak nie zwykłej żony i nie zwykłego urzędnika. Obawiała się o jego bezpieczeństwo, bo kraj łączy się w jedno, kiedy walczy, lecz gdy już coś wywalczy, natychmiast się kłóci. Wciąż przestrzegano Piłsudskiego przed zamachem. Wrogowie polityczni wykorzystywali konkubinat Naczelnika i chętnie krytykowali ich związek. Z pewnością trudniej było znosić to kobiecie, to na nią kierował się wzrok surowej opinii publicznej. Ola starała się być ponad to, ale wolałaby, aby Ziuk intensywniej zabiegał o rozwód z Marią. Naczelnik, zajęty sprawami kraju, jak zwykle małą wagę przykładał do plotek i norm. Uważał być może, że skoro najbliższe otoczenie uznało rolę Oli przy jego boku, to wystarczy. Czuł jednak, że poświęcenie jej jest niemałe. Pewnego dnia zrobił jej niespodziankę.

– Olu moja – rzekł poważnie, chociaż błyski w oczach świadczyły, że bawią go te obyczajowe ceregiele – w piątek oficjalnie poznasz mój personel w pałacu. Bywasz u mnie, karmisz lekami i papką, kiedy leżę chory, znasz tych ludzi, powinienem ci ich przedstawić, zwłaszcza żony adiutantów.

Ola zamarła. Nie spodziewała się tego. Nie miała odpowiedniego stroju. Nie miała pojęcia, że coś takiego przyjdzie mu do głowy. Jako kogo ją przedstawi i jak zareagują owe kobiety? Adiutantów znała dobrze, rzeczywiście często bywała w Belwederze, uprzejmie kłaniali się, gdy drobnym krokiem, w skromnej szarej sukni pospiesznie szła przez korytarze. Żon adiutantów nie znała prawie wcale. Mogła sobie wyobrazić ich ciekawość i komentarze. Czy może będą przyglądać się jej z dezaprobatą? Uniosła głowę wysoko. A niech patrz, wysłucha ich nazwisk z uśmiechem i przywita się uprzejmie. Ale jak Ziuk przedstawi ją swojemu zespołowi? Towarzyszka Ola? Komendantka oddziału kobiecego? Moja przyjaciółka, towarzyszka broni? Może pominie milczeniem wszelkie funkcje i stopnie i powie: „Aleksandra Szczerbińska, kobieta, którą kocham”. Na pewno nie. Niemniej poczuła dumę i wzruszenie – chciał w ten sposób pokazać jej, że dla niego jest żoną, z sakramentem czy bez.

Radość natychmiast przyćmiło uczucie znane wszystkim kobietom świata: Matko Boska, w co ja się ubiorę? Suknia! Belweder, oficjalna prezentacja. Nie miała odpowiedniej sukni, co gorsza, nie miała za co jej kupić, a przecież u boku Naczelnika Państwa podczas prezentacji powinna wyglądać elegancko. Ratunkiem mogła być tylko znajoma krawcowa z Mokotowskiej, do której Ola pobiegła, jak tylko Halina Sujkowska mogła zająć się Wandą. Tak mało czasu! Czy mężczyźni mieli pojęcie, ile trwa szycie szykownego stroju? Pani Kazia na szczęście stanęła na wysokości zadania, przygotowała kreację w kilka dni. Ola wystąpiła z dumnie podniesioną głową, w popielatej sukni w szafirowe hafty. Nawet niechętnie jej panie patrzyły z podziwem, a bardzo szanowana, zażywna generałowa Jacyna, która znała ją dotąd tylko z opowieści, podeszła żwawo, serdecznie uścisnęła jej ręce i cały wieczór towarzyszyła Oli niczym najlepsza przyjaciółka.

Prezentacja wypadła całkiem dobrze i przebiegła przyjemnie, a Ola po raz kolejny uznała, że babka Karolina miała rację: trzeba iść własną drogą, słuchać swojego serca. Komentarze i pomówienia będą zawsze towarzyszyć tym, którzy sięgają po odpowiedzialność i władzę. Jej mężczyzna, ojciec jej dziecka, stał teraz najwyżej jak można, na czele państwa polskiego, miał wiernych wielbicieli, którzy jeszcze raz poszliby za nim w bój. Miał też rzesze wrogów, ci nie zostawiali na nim suchej nitki, dotyczyło to także prywatnego życia. Zrozumiała, że ta niechęć będzie jej towarzyszyć już zawsze, nie zmieni tego małżeństwo, bogobojne życie ani zasługi dla kraju. I pozostaje jej tylko jedno: zająć odpowiednie stanowisko wobec złych języków i plotek pełnych jadu. Być obojętną, nie przykładać wagi do fabuł i komentarzy. Nie było to łatwe, ale kiedy po Warszawie rozeszła się wieść o domniemanym romansie Naczelnika z Teresą Perlową, Ola potrafiła już odnieść się do tego z pewną dozą humoru. Tereska, ta sama, która tak bardzo

pomagała jej w fabryce, kiedy urodziła Wandę, raz była w szeptanych opowieściach kochanką, innym razem matką kochanki, bo Perlowie mieli młodą, ładną córkę. Wynikały te plotki zapewne stąd, że obie rodziny utrzymywały żywe kontakty i ze względu na dawną współpracę w konspiracji, i na opiekę, jaką Perlowie otoczyli Olę, gdy Ziuk był w więzieniu. Teresa Perlowa przysłała z wizytą do Oli, narzekając na plotkarzy.

– Tak mi przykro, Olu, kiedy szepczą w kawiarni i niemal pokazują mnie palcami. Ty wiesz przecież, że nigdy...

– Wiem, wiem – pocieszyła ją Ola, nalewając herbatę. – Śmiać się z tego trzeba, Teresko, i żałować tylko, że podkreślają twoje pochodzenie. A cóż to gorszego konkubina żydowska od katolickiej? – I mrugnęła do Teresy Perlowej, która raz jeszcze przyznała w duchu, że Szczerbińska to kobieta niezwykła.

Kobieta niezwykła tylko na pozór lekko traktowała plotki i szyderstwa. Nauczyła się pokazywać spokojną, uśmiechniętą twarz, lecz wciąż pracowała nad tym, by uodpornić się na serię uderzeń i nie rozpamiętywać ich w głębi duszy. Mimo to nieraz budziła się nad ranem, myśląc, co też przyniesie przyszłość. Czy zawsze już będą z Wandą mieszkać kilka ulic dalej i czekać, aż on skończy urzędowanie? Czy zawsze będzie musiała znosić zmieszanie urzędników przy prezentacji i fakt, że zaproszenia na oficjalne uroczystości idą do Krakowa, do mieszkania Marii Piłsudskiej? Wiedziała, że Prystorowie byli tam z wizytą i namawiali Marię, by ustąpiła i unieważniła małżeństwo, lecz bezskutecznie. Oli nie zależało na splendorach ani na tym, co o niej myślą inni, lecz ze smutkiem patrzyła na córeczkę, której chciałaby zapewnić normalną rodzinę, ochronić od ran, które zadają szept i porozumiewawcze spojrzenia. Chciała, by Ziuk mógł nareszcie powiedzieć o niej do dyplomatów: panowie, oto moja żona. Niczym oczywiście była ta kwestia wobec kłopotów państwa, obrony Lwowa, trudności ekonomicznych wyniszczonego zaborami kraju czy nadciągającej groźby ze wschodu. Wobec racji stanu plotki o romansach należy między bajki włożyć, pewnie. Tylko kiedy zostaje się sam na sam z racją gorącego serca, nie tak łatwo jest pochylić głowę przed zimną racją stanu.

■

Urządował jeszcze rząd Moraczewskiego, krytykowany głównie przez prawicę za swój radykalizm socjalny i za powiązanie z Piłsudskim, który go powołał, gdy uchwalono ośmiogodzinny dzień pracy dla robotników, a siedmiogodzinny dla pracowników umysłowych. Uchwalono również powszechne prawo wyborcze, także dla kobiet, co oznaczało nareszcie równouprawnienie w Drugiej Rzeczypospolitej. Do najgorętszych orędowniczek sprawy kobiecej należała Ola. Przypominała Naczelnikowi o ich walce w Legionach, o konspiracji, o ofiarności. Powoływała się na historię Wandy Gertz, z którą Piłsudski obecnie współpracował, ale poznała go także z Ludką Modzelewską, która w męskim przebraniu walczyła w Legionach. Historia Ludmiły tym bardziej była wzruszająca i romantyczna, że poszła na wojnę ze swoim świeżo poślubionym mężem Stefanem, by bić się ramię w ramię z nim. Matka Ludki wiele razy płakała rzewnymi łzami, żegnając córkę w Krakowie, a wcześniej własnoręcznie obcinając jej długie warkocze i przy każdej przymiarce munduru. Legionistka o wyglądzie smukłego chłopca poszła na wojnę, a za nią podążył wierny pies Borus. Kiedy Ludka opowiadała o bitwie pod Laskami, sama jej relacja budziła patriotyczne uczucia.

– Padł rozkaz – mówiła – więc ja, panie komendancie, biegnę z karabinem w rękę i z ciężką apteczką, obok Wanda Gertz, trzyma mnie za bluzę. Huk strzałów w lesie, a ja patrzę: nie ma mojego psa. „Borus!”, krzyczę, ale w tym huku nie słychać. Zapadłyśmy obie w lej. Wypęłłam, wołam Wandę, ale nie ma jej, słyszę jęki rannych w ciemności i tylko odgłos rozrywania się szrapneli. Nagle reflektor oświetlił ciemność, Jezus Maria, ile trupów koło mnie.

U moich stóp ścielą się ciała. Znów ciemność. Idę jednak, trzymam się ziemi, tracę orientację. Nagle mokry dotyk psiego nosa koi mój strach. Zalaźł mnie, Borus kochany. Uściskałam go jak towarzysza broni. Wyprowadził. A potem był przy mnie, gdy wybuch bomby rozwalił chatę, w której szukałam pożywienia. Tego nawet Stefan mój nie wie, komendancie, bo nie o wszystkich przygodach opowiadam mężowi. Zgniotło mi żebra, wydobywałam się jak z grobowca spod zgliszczy. Nieżywy leżał wierny Borus na moich nogach. – Ludmiła z żalem cichła na wspomnienie przyjaciela, a słuchacze ocierali łzę. – Wróciłam do oddziału i dowódca Wir marsem patrzył na mnie, ale Sławoj-Składkowski krzyknął: „Jest Ludka, wróciła, chałupa ze strachu się przed nią zapadła”, a i Wanda się znalazła. Na koniec obie zachorowałyśmy, Wanda omal nie straciła wzroku, a ja okrutnie stopy odmroziłam na froncie i musiałam odejść na tyły, ba, w dodatku leczyć je potem trzeba było w Wiedniu. Ale jestem, znów gotowa do służby, panie komendancie!

Piłsudski sam został ranny w bitwie pod Laskami. Chociaż samej Ludki nie spotkał, pamiętał wysiłek żołnierzy. Odznaczył Ludmiłę Modzelewską Krzyżem Pierwszej Brygady „Za Wierną Służbę”. Nie miał wątpliwości co do odwagi i zasług kobiet polskich, jak i co do tego, że wojna się jeszcze nie skończyła. Była już wprawdzie wymarzona Niepodległa, ale jej kontur na mapie trzeba było dopiero wytyczyć, a wschodnią granicę orężnie wyznaczyć. Suwalszczyzna choćby, rodzinna ziemia Oli, wciąż znajdowała się pod okupacją niemiecką. Ochotniczy korpus podpułkownika von Diebitscha zajął teren i nic sobie nie robił z postanowień pokoju w Compiègne. Niemcy zasłaniaли się domniemaną ochroną terenów przed nawałnicą bolszewicką, sprytnie podzegli Litwinów przeciw Polakom i osiem tysięcy żołnierzy wciąż tam stacjonowało. Premier Mikołaj Sleževičius nawoływał litewskich mieszkańców Sejn, by kosami, siekierami i widłami bronili swoich osad. Przepadłyby pewnie te ziemie dla Rzeczypospolitej – mało brakowało, by przypisano je do Litwy – gdyby nie determinacja polskich obywateli. Suwałczanie jeszcze w listopadzie powołali Tymczasową Radę Obywatelską Okręgu Suwalskiego i wzięli na siebie dzieło budowania państwowości polskiej. W lipcu delegacja z Suwałk przybyła do Belwederu, a na jej czele stanął Walery Roman. Przywiózł sto czterdzieści sześć petycji, z tysiącami polskich podpisów, postulujących przypisanie Suwalszczyzny do Rzeczypospolitej. Naczelnik osobiście gościł Walerego Romana na nocnej audiencji w Belwederze, udzielił radzie pełnomocnictw i postanowili o wysłaniu delegacji na konferencję pokojową do Paryża, by tam broniła przynależności ziemi suwalskiej do Polski. Podejmował suwałczan jeszcze raz, tydzień później, całą piętnastoosobową drużynę. Był pewien, że wynegocjują u Cambona swoją wymarzoną granicę. Nie tylko ze względu na wspomnienia Oli, jej wstawiennictwo dyktowane tęsknotą za rodzinnym miastem. Miał sentyment do suwałczan. Ponad tysiąc ochotników z ziemi suwalskiej zasililo jego wojsko i wsparło w boju, kiedy wiosną ruszył na wojnę ku Wilnu.

Przed wyjazdem całą noc chodził po saloniku w mieszkaniu na Koszykowej, palił mnóstwo papierosów, mówił Oli o planach strategicznych. Słuchała, doradzała, zabierała mu papierosa od ust, ale zapalał następnego. Nad ranem wyruszył na czele wojsk, ona zaś wyjechała na wieś, do przyjaciół Paszkowskich. Kiedy wrócił zwycięsko z wyprawy wileńskiej i ona powróciła do Warszawy. Naczelnik był wzruszony.

– Płakałem, Olu, przyznam ci to, płakałem jak smarkacz pod obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej – powiedział jej cicho. – Płakał ze mną Rydz-Śmigły, Belina łkał jak dzieciak, a naród klęczał wokół na ulicy i również szlochał. Twoi krajanie, Olu, bardzo się zasłużyli w zdobyciu Lidy, a po lidzkim boju droga do Wilna stanęła otworem. Teraz pułk ich mieni się Czterdziestym Pierwszym Suwalskim. Dziękowałem im osobno i objąłem nad pułkiem honorowe dowództwo. W samych walkach o Wilno też brali udział. Wróciło Wilno do macierzy, a to, co

czułem, wjeżdżając do tego miasta, tego już nigdy nie będę czuł. Ale oto jestem w domu.

W domu – bo zajęli własne mieszkanie w tej samej kamienicy przy Koszykowej, osobne, nad Sujkowskimi, i Ziuk wszystkie wolne chwile i święta spędzał z nimi. Z radością nazywał ich mieszkanie domem. W przerwach między wyjazdami, walkami, następowała przecież w ich czterech ścianach chwilowa mała stabilizacja, pozór rodzinnej egzystencji jak u tysięcy ludzi.

W tej rodzinnej atmosferze, przy ulubionej herbacie, słodkiej jak ulepek, pewnego czerwcowego popołudnia zauważył, że Ola ma bardziej niż zwykle podkrążone oczy, twarz bledszą, że wyraźnie zeszczupiała. Mówił akurat o słabości pieniądza, gdy przerwał, bo przemknęła mu przez głowę pewna myśl. Podszedł do niej i zapytał:

– A ty dobrze się czujesz? Może...?

Nie odpowiedziała od razu, po chwili dopiero skinieniem głowy potwierdziła jego podejrzenie. Zakreślił nią wokół siebie, roześmiał się szczęśliwy i podkreślił węża.

– Zawsze chciałem mieć więcej dzieci! – zakrzyknął. – Zawsze! I tym razem dzięki Bogu będę obok ciebie, Olu. To mi piękna nowina, to prawdziwie wielka rzecz!

W kraju też dokonywały się rzeczy wielkie. Ustalały się granice, Suwalszczyzna, której los żywo zajmował Olę, zwyciężyła. Walery Roman wrócił z Paryża z postanowieniem o nowej linii demarkacyjnej, zwanej linią Focha, włączającej ziemię suwalską do Rzeczypospolitej. Naczelnik we wrześniu sam udał się do Suwałk, by swoją obecnością symbolicznie potwierdzić zwycięstwo. Witano go owacjami w czterech kolejnych bramach wzniesionych przy ulicy Kościuszki: witały go dzieci, witali obywatele miasta, żołnierze Czterdziestego Pierwszego Pułku i Adam Modliński, prezydent miasta, z władzami i duchowieństwem. Naczelnik nareszcie mógł im powiedzieć w resursie obywatelskiej: „Dzisiaj wasza ziemia jest wolną”<sup>16</sup>. Ola nie towarzyszyła mu w podróży. Zmagala się z trudami ciąży, zajmowała się niespełna roczną Wandą, cierpliwie czekała na Koszykowej. Wracał do nich, chociaż oficjalnie mieszkał w Belwederze. Podobnie było z korespondencją, oficjalne depesze i zaproszenia szły do Marii Piłsudskiej, lecz otoczenie Naczelnika wiedziało, że jego partnerką i życiową towarzyszką jest Aleksandra Szczerbińska, i to ją proszono już o interwencje, a nawet o poparcie różnego rodzaju kandydatur czy wpływ na decyzje Ziuka.

10 Prezydent Wilson stwierdził wtedy: „mężowie wszystkich krajów są zgodni co do tego, iż powinna istnieć zjednoczona, samodzielna, niepodległa Polska”. Cyt. za: J.R. Węgrowski, *Stany Zjednoczone a odrodzenie Polski. Polityka Stanów Zjednoczonych wobec sprawy polskiej i Polski w latach 1916–1919*, Warszawa–Kraków 1980, s. 40–41.

11 List z Magdeburga, *Listy Marszałka Piłsudskiego do żony*, „Kultura” 1988, nr 11 (494), s. 13.

12 Tamże, list z 24.04.1918, s. 16.

13 Tamże, list z marca 1918, s. 16.

14 Tamże, list z 24.04.1918, s. 17.

15 Tamże, list z 8.08.1918, s. 19.

16 Taki tytuł nosi też książka Krzysztofa Skłodowskiego (Suwałki 1999) poświęcona walkom o niepodległość Suwalszczyzny, z której pochodzi cytat.

## ROZDZIAŁ 13

### ■ CUD

I tak toczyło się życie, i nadchodził rok 1920. Miał zapisać się w historii Polski zwycięską bitwą nazwaną Cudem nad Wisłą, ale dla Oli zaczął się cudem prywatnym. Pod koniec lutego 1920 roku urodziła drugą córkę. Dziewczynka otrzymała imię po swojej babce Szczerbińskiej, matce Oli, której na drugie było Jadwiga. Do chrztu trzymała ją siostra Piłsudskiego, Zula Kadenacowa, i oficer, zaufany adiutant Komendanta, Jerzy Świrski. Kiedy zaczęło się lato i wojna polsko-bolszewicka stała się nieunikniona, Ola z obiema córkami wyjechała do willi przyjaciół w Aninie. Tam przyjeżdżał do nich Ziuk, by odpocząć i planować strategię bitwy nad Wisłą. Kiedy wojska bolszewickie zbliżyły się do Warszawy, wrócili do stolicy. Przypadała wówczas szósta rocznica wymarszu kadrówki z Krakowa, pamiętnego 6 sierpnia, i tego wieczoru Naczelnik zamknął się na całą noc w gabinecie w Belwederze, by analizować szczegóły starcia z Sowiecami. Odrzucił sugestie Weyganda, francuskiego generała, szefa misji wojskowej w Polsce. Sławny Weygand przybył z Francji, doradzał okopywać się i tworzyć linię obrony, Naczelnik miał jednak inne plany. Rano oznajmił Oli:

– Ciebie z dziećmi ewakuuję do Krakowa. To rozkaz, Olu. Przyjadę tam do was jeszcze przed rozstrzygnięciem, przyjadę pożegnać się, bo wszystko może być.

– Może, nie może, ja przeczuwam zwycięstwo – powiedziała spokojnie. – Jestem pewna, Ziuk, jedź z Bogiem.

Tupnął nogą zniecierpliwiony. Całą noc pracował nad strategią, która była materią konkretną, nie metafizyką. Wziął na siebie niebagatelną odpowiedzialność. A ta znów: kobiece przecucia.

– Ty zawsze z tą swoją wiarą i intuicją. Rezultat każdej bitwy do końca jest niewiadomy. Wszystko może być, bo wszystko w rękę Boga.

Tu się zgadzali. Ola po rozterkach wieku młodzieńczego wróciła do wiary przodków i nieraz modliła się gorąco: w więzieniu, w wojennej Warszawie, w chwili wyzwolenia i teraz, przed wielką bitwą, też. Ziuk podchodził do spraw religii, jak i mistyki z rezerwą, musiał jednak przyznać, że nie wszystko da się wyjaśnić racjonalnie, jak choćby jego sen nocą, gdy rodziła się Wanda. I jego Ola miewała prorocze sny, jak wtedy, gdy jeszcze w czasach Legionów wyśniła, że ranią go w głowę w bitwie, co potwierdziło się nazajutrz, na szczęście raniono go niegroźnie. Marudził, ale pokrzepiła go jej wiara, żegnał się z rodziną i przyjaciółmi z optymizmem. Teraz, kiedy szedł na front, w kieszeni przy sercu miał jak zawsze Matkę Boską Ostrobramską i, jak jeszcze nigdy, fotografie swoich córek. Uściskał Olę, Prystor patrzył wzruszony. Ledwie odzyskali tę niepodległość i znowu na wojnę!

– Bywaj, Oleńka! – powiedział.

– Jedź z Bogiem – odpowiedziała.

■

Bitwa warszawska przeszła do historii jako Cud nad Wisłą. Piłsudski wołał realne wyjaśnienia. Kiedy rankiem znalazł na biurku w Belwederze proroczą kartkę podłożoną przez tajemniczą rękę i przeczytał na niej „Gwiazdy mówią, że będzie zwycięstwo” – zirytował się. Jakie gwiazdy – pomyślał – skoro ja wysilałem mózg, ja pokonywałem przeszkody, by plan wcielić w czyn, a teraz co? Gwiazdy wszystko zrobiły... Ech! Mózg ludzki i niezłomna wola, ot całe gwiazdy. I Matka Boska, nawet kiedy się wtrąca w ziemskie sprawy, to przecież musi

działać przez ludzi. A jak często przez baby!

Adiutantem Naczelnika podczas tej wojny była Wanda Gertz. Znow kobiety oddały niemalą przysługę ojczyźnie. Ochotnicza Legia Kobiet pod wodzą porucznik Gertz dzielnie broniła Wilna, a w Warszawie opowiadano o szoku i niedowierzaniu Moskali wziętych do niewoli na Grochowie przez babski oddział. Tak było: ponieważ sytuacja militarna stała się trudna, zrezygnowano z przepisów chroniących kobiety. Szły na bagnety na Moskała, jak i mężczyźni, a na Grochowie na zwiadach otoczyły i pojmały ruski oddział.

Wygrana z Rosją sowiecką w roku 1920 przyniosła Piłsudskiemu chwałę, a także nowych krytyków, ale nie rozwiązała wszystkich problemów. Był wciąż Naczelnikiem Państwa, był teraz nawet Marszałkiem, bo w listopadzie otrzymał buławę marszałkowską. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nadal niedomknięte kwestie granic, umowy z rządami Europy, wreszcie sformowanie polskiego rządu i wybór prezydenta Polski są dużo ważniejsze niż mielenie nieprzychylnych języków i rozważania, kto w tym kraju jest panią marszałkową.

Rok dobiegał końca, a tyle istotnych zagadnień było wciąż niezalutwionych. Gospodarka kraju po latach zaborów i wojnach przedstawiała się tragicznie, marka polska traciła na wartości, no i wciąż nie było konstytucji. Parlament pracował niespiesznie, do Warszawy zawitała zima, nadchodziły kolejne święta. Ola zachodziła w głowę, jak je zorganizować. Nie chciała dodawać Ziukowi trosk, lecz zmagala się ciągle z problemami finansowymi. Myślała nieraz, że lepiej szła jej organizacja zarobków i wydatków, gdy sama pracowała. Teraz na marnym uposażeniu „męża – niemęża”, który „brzydził się monetą”, ledwie wiązała koniec z końcem. Pod względem finansowym Ziuk był niereformowalny. Pieniądze uznawał wciąż za nieszlachetny środek wiodący do celu, zupełnie tak samo jak niegdyś, gdy polowali na transporty srebra w carskich pociągach. Nic dla siebie, żadnych funduszy, są bardziej potrzebujący, ot proszę bardzo: sieroty po legionistach. Nie było mowy, by wziął większą pensję, musiało im starczyć urzędnicze honorarium szefa sztabu.

Starczyłoby – myślała Ola bez goryczy, bo większe biedy przeżywała – pewnie, że by starczyło, gdyby nie konieczność wydatków reprezentacyjnych, na gości, którzy przechodzą przez dom jak szarańcza i muszą zostać godnie przyjęci. Rozumiała, że Ziuk nie ma teraz do tego głowy i że to ona musi pomyśleć o jakimś zabezpieczeniu bytu rodziny. Pracować przy dwóch córkach nie mogła. Zresztą gdzie? Moraczewscy, którzy mieli ładny dom w małej miejscowości Sulejówek pod Warszawą, namawiali ją na zakup działek po sąsiedzku. Tego roku bardzo staniały, a miała jeszcze nieco oszczędności, które stopnieją jak śnieg, jeśli tak dalej pójdzie. Okolica wydała się Oli bardzo ładna, a cena ziemi, której chciał pozbyć się pan Skorupko, była rzeczywiście atrakcyjna. Zrodziło się w duszy Oli marzenie o domu, prawdziwym domu z ogrodem, o mocnych ścianach i dużych oknach. Nigdy dotąd nie było to ważne, jej namiastkami domu były wynajmowane mieszkania i pokoje, stacje w Wilnie, we Lwowie. Ostatecznie jednak w czasach, kiedy napadali na banki i pociągi, narażali życie, a worki srebra zakopywali w lasach za Bezdanami, nie miała dwóch córek.

W grudniu Piłsudski zachorował na tak ostrą grypę, jakiej jeszcze nigdy nie przechodził. Ola przestraszyła się, modliła się o jego zdrowie, o to, by pierwsze święta z obiema córeczkami mimo wszystko były szczęśliwe, niech będą krótkim urlopem przed nadchodzącym rokiem. Ciekawe, co przyniesie 1921? Postanowiła posłuchać intuicji i zacząć ów rok od zakupu dwóch działek w Sulejówku: Otradno i Milusin. Zwłaszcza ta druga nazwa brzmiała ciepło w jej uszach. Kupiła je od kolejarza Skorupki za dziewięćset tysięcy marek polskich. Na działce Otradno, co znaczy po rosyjsku „przyjemnie”, stał drewniany dom, który można było użytkować, chociaż tylko w lecie.

■



Rok 1921 obfitował w zdarzenia ważne w skali kraju, ale także takie, które wiele zmieniły w prywatnym życiu Oli. Konstytucja marcowa nie zadowalała Ziuka, który uważał, że zbyt ogranicza władzę prezydenta. Pracował od rana do wieczora i chociaż przychylnie odnosił się do planów Oli związanych z Sulejówkiem, nie miał czasu, by się angażować w zakup ziemi. Sama dokonała transakcji i z radością myślała o wiosennych i letnich miesiącach. Wprawdzie Ziuk wybrał się wiosną obejrzeć działki, ale samochód utknął im w błocie na nieutwardzonych drogach do Sulejówka. Ola zdenerwowała się nie na żarty, bo pragnęła, by wszystko odbyło się pięknie i bez przeszkód, a tu zaczęło się od wyciągania końmi auta Marszałka. Ale na szczęście on śmiał się z przygody, a widok lasów i zieleni ujął go. Okolica przypadła mu do gustu. Mnóstwo drzew obiecywało schronienie przed światem i znakomite warunki dla dzieci. Do lata jednak było bardzo daleko. Wielkanoc tego roku wypadła w marcu i chcąc odpocząć po nerwach związanych z politycznymi sporami, konstytucją, udali się na święta do Spały. Pałacyk myśliwski w pięknej miejscowości nad Pilicą sejm przyznał Naczelnikowi Państwa do celów reprezentacyjnych i rekreacyjnych, wypadło skorzystać z siedziby. I pałacyk, i park, i przyroda przypadły do gustu Ziukowi i Oli, obiecali sobie wrócić do Spały na Boże Narodzenie. Ola w duchu myślała jednak, że lepiej byłoby mieć własne miejsce na ziemi, które byłoby zwyczajnym, kochanym domem, i tam po raz pierwszy urządzać święta takie, jakie pamiętała z dzieciństwa. Z suwalskim sękaczem, z makowcem rozłamującym się od maku. Z barszczem i pierogami, takimi jakie lepiła Anusia, pachnącymi grzybami i cebulą. Z upominkami pod choinką. Ze świąteczną czekoladą i chałwą, ulubionymi przysmakami Oli od czasów głodowania w więzieniach.

Wandzia miała już trzy latka, Jagódka rok. Prędko rosły. Cieszyłyby się wspólnymi świętami jak wszystkie dzieci. Zaczęła uporczywie marzyć o domu. Przez całe dorosłe życie utkane z konspiracji, wojen, więzienia i walki nie miała prawdziwych polskich świąt i zapragnęła takie właśnie sprawić córkom. Niestety, drewniak Otradno nie nadawał się do zamieszkania zimą, a na inwestycje w budynek nie miała pieniędzy. Powstał wprawdzie projekt żołnierski, by ze składek sprawić Naczelnikowi dom, Ziuk jednak odmawiał stanowczo, nie chciał nic za swoje zasługi i na tym tle stał się szczególnie przewrażliwiony. Postanowiła jednak coś z tym zrobić, bo chorował coraz częściej, zwłaszcza na wiosnę powracały grypy z wysoką gorączką, a na łonie natury odpoczywał i nabierał sił. Toteż gdy tylko nadeszło lato i ciepłe dni, zabrała dzieci z Warszawy i rozgościła się w drewnianym domku po kolejarzu. Siedziała teraz z dziewczynkami w Sulejówku i niepokoila się ciągłymi rozjazdami Ziuka. Wrocław, Pomorze, Wileńszczyzna. Wprawdzie wracał chętnie do ogrodu na działce i cieszył się jej zaangażowaniem w wiejskie gospodarstwo, lecz nigdy nie mógł zostać z nimi dłużej niż kilka dni.

Gdy wyruszył na Kresy Północno-Wschodnie, w sierpniu roku 1921, dotarła do nich znacząca wiadomość. W Krakowie, po długiej chorobie, zmarła Maria Piłsudska, żona Naczelnika Państwa Polskiego. Smutne zdarzenie zmieniało sytuację Oli diametralnie. Marszałek powiadomiony o śmierci żony zamyślił się. Cokolwiek teraz zrobi, i tak dotknie go fala krytyki. Pojedzie na pogrzeb, a potem szybko weźmie ślub z Olą – hipokryzja. Nie pojedzie na pogrzeb – człowiek bez honoru. Łączyły go z Marią wspomnienia, rywalizował o nią z Dmowskim, wygrał, żył z nią długie lata, razem działali w Wilnie, razem ich aresztowano. Potem jednak uparcie zatruwała mu życie, nie dając rozwodu nawet po narodzinach Wandy i Jagódki. W innych sprawach zawsze była lojalna, nie udzielała żadnych krytycznych wywiadów, nie upubliczniała swoich uczuć. Ale uparta i dumna, nie chciała zrozumieć... I on także był uparty i dumny. Postanowił nie jechać na pogrzeb. Ruszył do kobiety, która dzieliła z nim życie od czternastu lat i była matką jego dzieci. Ola przywitała go z troską w oczach, nie byłaby w stanie cieszyć się

z czyjejkolwiek śmierci. Nawet jeśli nie darzyła ciepłymi uczuciami upartej Marii Piłsudskiej, nigdy nie mówiła o niej źle. Już dawno postanowiła nie wypowiadać się niechętnie o pierwszej żonie Ziuka, a na pewno nie publicznie. Według niej niedobrze się stało, że Józef nie pojechał na ten pogrzeb. Endecy nie zostawiali teraz na nim suchej nitki. Machnął na to ręką. Mówił:

– Nie słuchaj, będą gadać zawsze, cokolwiek zrobię. A teraz nadszedł czas, by uporządkować nasze sprawy.

– Jakże brać ślub w takiej sytuacji?

– Zwyczajnie – odpowiedział. – Jak najszybciej, nie myślę dłużej czekać. Już sprawę z księdzem Tokarzewskim ułożyłem, pojedę najpierw na Wawel na mszę, by wolę współpracy z Kościołem okazać.

Widząc jej marsową minę, dodał:

– Zechcesz chyba, Oleńka, zostać moją żoną?

■

Ślub Aleksandry Szczerbińskiej, „panny lat 39, utrzymującej się z własnych funduszków”<sup>17</sup>, jak głośzą akta parafialne, i Józefa Piłsudskiego, „Naczelnika Państwa, wdowca lat 55 liczącego”, odbył się po cichu, 25 października 1921 roku w kaplicy w Belwederze. Ślubu udzielił kapelan Naczelnika, ksiądz Tokarzewski. Świadcami byli pułkownik doktor Eugeniusz Piestrzyński i podpułkownik doktor Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Ola bez rozgłosu wprowadziła się z dziewczynkami do Belwederu zaraz po ślubie. To, co było faktem od dawna, zostało formalnie potwierdzone. Miała już prawo stąpać po posadzkach pałacu jako jego pani. Wcale jednak nie czuła, że to jest jej prawdziwy dom.

17 Akt ślubu Aleksandry Szczerbińskiej i Józefa Piłsudskiego, Instytut Józefa Piłsudskiego w Londynie.

## ROZDZIAŁ 14

### ■ MARSZAŁKOWA PIŁSUDSKA

Siedziała na jednej z dyplomatycznych herbat pomiędzy Kazimierzem Sosnkowskim a Gabrielem Narutowiczem. Politycy i generałowie nie od dziś wiedzieli, że żona ma wpływ na Marszałka, że zwykł wprawdzie robić wszystko po swojemu, lecz lubił uważnie słuchać Aleksandry i cenił jej zdanie.

– Pani marszałkowo – mówił z szacunkiem i z wielkim przekonaniem generał Sosnkowski – najchętniej wyzbyłbym się zaszczytnego stanowiska ministra. Cóż to jest minister spraw wojskowych, figura do reprezentacji. Jako wiceminister dotykałbym żywo pracy i spraw wojskowości.

– A ja czuję – rzekł z troską w głosie Narutowicz, blady i przejęty od czasu, gdy zgodził się kandydować na urząd prezydenta – czuję, że jakieś nieszczęście wyniknie z tej mojej prezydentury. Pan marszałek powinien być głową państwa i ja chętnie się wycofam.

Marszałkowa Piłsudska, jak ją teraz nazywano, uśmiechnęła się. Nie zmieniła się wcale po ślubie, chociaż z pewnością miło jej było słyszeć ten tytuł należny żonie Marszałka. Miło też zapewne było jej z tego powodu, że obdarzają ją zaufaniem i wierzą w jej wpływy. Rozłożyła jednak ręce, aż takiej mocy przekonywania męża nie miała. Co więcej, Ziuk prosił ją, by właśnie wpływała na Narutowicza w kwestii prezydentury, do której jemu wcale nie było spieszno, by utwierdzała go w postanowieniu objęcia tego stanowiska. Według Piłsudskiego był najlepszym kandydatem na pierwszą głowę państwa po wyzwoleniu. Sam nie chciał zostać prezydentem Drugiej Rzeczypospolitej. Konstytucja jednak, jakkolwiek by ją krytykował, została uchwalona i wymagała powołania najwyższego zwierzchnika. Gabriel Narutowicz nadawał się do tej roli. Wrócił do wolnej Polski ze Szwajcarii, wykształcony, rzetelny, zamożny, już sprawdził się jako minister. Był wdowcem, żona jego Ewa zmarła młodo po ciężkiej chorobie, ale nie było to jedyne tragiczne doświadczenie w życiu polityka. Córeczka Narutowicza, Anna, zachorowała na zapalenie opon mózgowych, co zahamowało rozwój i umysł jej zatrzymał się na etapie dzieciństwa. Wychowywały Anię siostry wincentynki w zakładzie opieki w Chełmnie, a Narutowicz pocieszał się miłością do syna. Człowiek ów otrząsnął się z osobistych nieszczęść i zaangażował w pracę na rzecz państwa. Nie pragnął zaszczytów, prezydentury, lecz ustąpił za sprawą próśb i poczucia obowiązku wobec państwa. Ogólnie przyjęto jego kandydaturę życzliwie, nie miał tylko poparcia prawicy. W roztropnych oczach marszałkowej widział zrozumienie. Z niezręcznej sytuacji wybawił Olę sam Marszałek, który wyszedł właśnie z gabinetu i ruszył w ich stronę. Ola uniosła się, obaj mężczyźni zerwali się natychmiast, stanęli przed nią prosto jak struny.

– Zostawiam panów samych – oznajmiła, podała dłoń do ucałowania i udała się do innych gości. Miała wobec nich obowiązki jako gospodyni Belwederu, wypadało każdego zaszczyścić rozmową, zapytać o rodzinę, przekazać życzenia od Marszałka. Zauważyła zresztą Konstancję Jaworowską, swoją towarzyszkę niedoli w więzieniu w Szczypiornie, obecnie radną miasta Warszawy. Szła do niej z niekłamana radością przepełniającą jej serce na myśl, że oto rozstały się w zimnej celi, głodne i zziębnięte, a odnajdują się tutaj, w Belwederze.

Mijała znajome postacie. Ukłonił się jej z szacunkiem podpułkownik Adam Koc, suwałczanin, dawniej sąsiad z domu przy Krzywej 80, teraz bliski współpracownik Ziuka. Odpowiedziała uśmiechem – ludzie z przeszłości, walczący z serca o wolną Polskę, wzruszali ją i wzbudzali w niej prawdziwą radość zwycięstwa. To Adam Koc wnioskował o przyznanie jej

orderu Virtuti Militari, wciąż pamiętała to dziwne uczucie: dumę i dławienie w gardle, gdy czytano jego uzasadnienie: „męstwo i hart ducha w walce o wolność ojczyzny”, to one dały świadectwo „jej wysokiej miary cnoty żołnierskiej, poświęcenia w pracy i pogardy śmierci wobec szczytnego celu walki o Niepodległość”<sup>18</sup>. Że też nie dożyła tego babka Karolina. Dotrzymałam słowa – myślała Ola – nie tylko ja, całe pokolenie, które w końcu, przez tę pogardę dla śmierci, więzienia i przelaną krew, doprowadziło do wskrzeszenia Niepodległej. Z dumą patrzyła na Adama i na Konstancję, jakby byli jej rodziną.

Podobnie się czuła, gdy odwiedzały ją dawne legionistki, kurierki i podkomendne Ziuka: Zosia Zawiszanka, Ola Zagórska, Wanda Gertz. Herbatki, które organizowała w Belwederze, nie były jednak istotą jej pracy, przypuszczała, że los przyniesie jej następne wyzwania.

Oczywiście wspierała męża. Sama zastanawiała się nad tym czasami, jak z ulicy Krzywej w Suwałkach znalazła się w pałacu. Jak to się stało, że z bojowniczką, peowiaczką, komendantką kurierek i samodzielnej kobiety przeobraziła się teraz w przede wszystkim asystentkę, żonę i matkę, a nocami sekretarkę. Spełniała swoje obowiązki żony Marszałka, ale wiedziała doskonale, że Belweder jest w jej życiu tylko przystankiem. Oboje wciąż wypełniali misję, jaką wyznaczyła im historia i jaką wyznaczyli sami sobie. Zaangażowani najpierw w walkę, teraz w politykę, wciąż nie dotarli do własnej spokojnej przystani, a ta przecież była tak blisko, pełna spokoju.

W Warszawie burza goniła burzę, ścierały się polityczne koterie. Jej mąż jako marszałek stał się symbolem wyzwolenia, cieszył się wielkim uznaniem w całym kraju. Miał w ręku niebagatelną władzę, a to oznaczało też niebezpieczeństwo, bo do Belwederu, tak jak i prośby o rozmaite wstawiennictwa i wsparcie, wciąż przychodziły pogrożki. Ola miała jednak nadzieję, że ich życie w końcu się ustabilizuje i wyjadą ze stolicy, skoro Ziuk tak zdecydowanie nie chce kandydować na prezydenta Rzeczypospolitej. Królem też nie chciał zostać, mimo poważnych propozycji grona monarchistów, którzy przybyli z projektem monarchii, a także nowej żony, gotowej być królową Polski. Uśmiali się z tego pewnego wieczoru w Belwederze, ale w głębi serca Ola poczuła ukłucie i niechęć do tych koterii, ugrupowań, politycznych intryg, które od wieków gnieździły się widać w ścianach i posadzkach Belwederu. Moskal to był Moskal! Walka z jasno określonym wrogiem była o wiele prostsza! Rada była, że planowali wyprowadzkę z pałacu tuż po wyborach, a Narutowicz, pogodzony z misją, obiecywał pozostawić gabinet Marszałka nienaruszony i w każdej chwili gotowy do użytku. Nie mogli przewidzieć przyszłych wydarzeń, więc humory dopisywały im tego wieczoru.

■

Gabriela Narutowicza wybrano na prezydenta Drugiej Rzeczypospolitej 9 grudnia 1922 roku. Siły prawicowe protestowały i wzniewały narodową niechęć, rozpuszczając plotki o żydowskim pochodzeniu Narutowicza, pomstując nad oddaniem władzy człowiekowi ze Szwajcarii. Jedenastego grudnia, kiedy przejeżdżał na zaprzysiężenie, na ulicach Warszawy zebrał się wrogi tłum. Ola tego dnia akurat znalazła się w mieście. Przystanęła na chodniku, przerażona widokiem podnieconych ludzi, pokrzykujących, ziejących nienawiścią.

– Żyd, Żyd! – wrzeszczała jakaś kobieta ze wsi, wymachując pięściami w stronę konwoju.

– Precz z Żydami! – wtórowała jej gruba służąca o nalanej czerwonej twarzy.

– Pan Narutowicz nie jest Żydem – powiedziała do niej Ola. – Znam dobrze całą rodzinę.

– Żyd, Żyd! – powtórzyła z uporem chłopka, patrząc na nią nieufnie.

– Nie będzie nami rządził Żyd! – zajadle wrzeszczała gruba mieszcza o czerwonej

twarzy.

Opłaceni agitatorzy podsycali atmosferę i nienawiść. Ola pełna złych przeczuć wymknęła się cicho z tłumu. Kilka dni po zaprzysiężeniu miało odbyć się oficjalne przekazanie władzy. Czekala na to i obawiała się tej chwili. Wreszcie nadeszła, prezydent Drugiej Rzeczypospolitej przyjechał objąć rządy.

W Belwederze przywitał go Naczelnik w swojej prostej kurtce legionowej. W tym żołnierskim stroju wszedł do Belwederu przed kilkoma laty, więc i w nim chciał odejść. Po oficjalnych uroczystościach, przemówieniach i przekazaniu władzy Piłsudscy zjedli z nowym prezydentem śniadanie i odjechali bryczką do swojego prywatnego mieszkania przy Koszykowej. Kiedy jechali przez ulice miasta jako zwyczajni państwo Piłsudscy, pogrążeni w swoich myślach tak, że nawet nie rozmawiali, chyba odczuwali ulgę, przynajmniej Ola. Miała może nadzieję, że przyszedł spokojniejszy czas? Tak, rada wracała do mieszkania, w którym spędziła ostatnie lata, lecz jeszcze chętniej budowała w marzeniach dom w Sulejówku, widziała córki biegające po ogrodzie, krzewy malin i owoce z własnego sadu. Marszałek, zadowolony z wyboru prezydenta, myślał o zadaniach Sztabu Generalnego, na tym bowiem zamierzał się skupić. Zła wiadomość zastała ich właśnie w tych miejscach: Olę w warszawskim mieszkaniu, a Ziuka w biurze sztabu.

Szesnasty dzień grudnia był siódmym dniem urzędowania prezydenta Narutowicza. Rankiem podpisał akt ułaskawienia więźnia skazanego na śmierć. Był realistą, inżynierem, lecz nawet najbardziej zaciekły realista potrzebuje znaków, pomyślał więc, że ułaskawienie to może być dobry omen dla jego rządów. Wyruszał na spotkanie z kardynałem Kakowskim, podszedł do niego były premier Skulski z pytaniem o polowanie. Narutowicz uśmiechał się, ale lekki cień trwogi przebiegł po plecach prezydenta.

– Panie Leopoldzie, przyjacielu – powiedział – gdyby coś mi się stało, zajmij się moimi dziećmi. Syn Staś młody jeszcze, a Nusia, sam pan wiesz, bardzo chora.

Skulski, nawet jeśli się zdziwił, nie wystąpił z zaprzeczeniami. Był mężczyzną i przyjacielem Gabriela, obiecał.

Po spotkaniu, punktualnie o dwunastej, Narutowicz przybył do Zachęty. Zgromadzone towarzystwo z ciekawością przyglądało się prezydentowi.

– Pozwoli pan sobie pogratulować – rzekła żona ambasadora angielskiego.

– O, raczej złożyć kondolencje – zażartował Narutowicz, pochylając się nad jej dłonią. Podszedł do obrazu *Szron* autorstwa malarza Ziomka, zapatrzył się. To była ta chwila, wypadki potoczyły się jak w filmie. Padły trzy strzały, Narutowicz zatoczył się i runął na ziemię. Nieopodal stała poetka Kazimiera Iłłakowiczówna, podbiegła, uklękła przy nim i przeniosła głowę prezydenta z podłogi na swoje kolana.

– Lekarza! – krzyknęła w stronę nadbiegających mężczyzn. – Na litość boską, szybko!

Z tłumu wyłonił się doktor Śniegocki, pochylił się nad Narutowiczem, po chwili jednak podniósł na poetkę zrozpaczony wzrok. Prezydent już nie żył. Jego zabójca, skądinąd znany malarz, nacjonalista i zaciekły antysemita, niemłody już Eligiusz Niewiadomski, nie uciekał, stał spokojnie z rewolwerem w ręku. Kiedy adiutant prezydenta Sołtan i malarz Okuń podbiegli, by go obezwładnić, poddał się bez oporu.

– Nie będę do panów strzelać – powiedział spokojnie Niewiadomski. Wyglądał na człowieka, który wypełnił swoją życiową misję.

■

Jeszcze w grudniu wybrano na prezydenta Rzeczypospolitej Stanisława Wojciechowskiego, premierem został Władysław Sikorski, a Józef Piłsudski był szefem Sztabu Generalnego. Oboje z Olą byli wstrząśnięci zamachem. Marszałek przeżywał zdarzenie tym

bardziej, że Niewiadomski otwarcie przyznawał się w przesłuchaniach, że początkowo chciał zabić Marszałka. Zmienił zdanie, gdy dowiedział się, iż ten nie ma zamiaru kandydować na urząd prezydenta. W urząd celował, nie w samego Narutowicza, tak twierdził, a o gubienie ojczyzny oskarżał Józefa Piłsudskiego, do którego żywił nienawiść. Zacięty, mrukliwy człowiek, ascetyczny i trudny w kontaktach z innymi, introwertyczny, przeszedł do historii nie jako artysta, lecz jako zabójca.

– Czemuż nie do mnie w końcu strzelił, Olu? – mówił przybity Ziuk, chodząc jak zwykle w trudnych momentach po mieszkaniu i paląc papierosy. – Ja bym uszedł jakoś. Moje szczęście pioruńskie ocaliłoby mnie jak nieraz. Moja to wina! Gabriel nie chciał być prezydentem. Jakby czuł!

Eligiusza Niewiadomskiego skazano na śmierć przez rozstrzelanie. Wyrok wykonano w styczniu roku 1923. Historia jednak jeszcze raz pokazała, jak jest nieprzewidywalna i jak rozmaite bywają interpretacje, zdawałoby się jednoznacznego czynu, jakim było jawne zabójstwo popełnione przez Niewiadomskiego. Dla większości Polaków nazwisko jego stało się symbolem mordercy i politycznej zbrodni. Jednak w oczach najbardziej zaciekle narodowców zamachowiec urósł do rangi bohatera, który dokonał wiekopomnego czynu, zaprotestował przeciw władzy Żydów i socjalistów w Polsce. Ci ludzie nadawali swoim dzieciom imię Niewiadomskiego i tak w roku 1923 urodziło się trzystu Eligiuszów.

Ola niepokoiła się stanem zdrowia męża. Starła się jak najczęściej wyciągać go do Sulejówka, zwłaszcza że marzenia o domu zaczynały się spełniać. Z inicjatywy rodzin żołnierskich na działce Milusin ruszyła budowa willi dla Piłsudskich. Najbliżsi sąsiedzi: Moraczewski, Teller i Radek, doglądali postępów w pracach. Teller, dawny legionista, rusznikarz, za punkt honoru postawił sobie dopilnowanie jakości willi Marszałka i utyskiwał ciągle: na źle zlasowane wapno, na mokre drewno, na cegły i szybkość prac. Mimo to dom w Sulejówku rósł wśród drzew.

W maju roku 1923, gdy rząd objął Wincenty Witos, marszałek Piłsudski podał się do dymisji i wycofał z życia publicznego, przynajmniej oficjalnie. W czerwcu Komitet Żołnierza przekazał w darze państwu Piłsudskim klucze do willi Milusin. Wreszcie ją ukończono na tyle, że można było przenieść się z drewnianego Otradna do budynku murowanego, dostosowanego do użytkowania także w zimie. Nie było w nim wprawdzie instalacji elektrycznej, lecz bieżąca woda, piękne kaflowe piece, obszerna kuchnia wystarczyły Oli, by poczuła, że jest u siebie. Był to ich pierwszy dom od czasów dzieciństwa: dla niego następcą dworku w Zułowie na Litwie, dla niej – domu babki Karoliny Zahorskiej przy ulicy Krzywej w Suwałkach. Biała willa z tarasem i kolumnkami, z dużym przyjaznym salonem, biblioteką pełną książek. Ze schodkami i wyjściem na ogród przez duże przeszklone drzwi, z kominkiem, na którym można postawić rośliny, by opuszczały swoje pnącza. Ola Piłsudska ten dom pokochała.

18 Akta Orderu Virtuti Militari, Aleksandra Szczerbińska, 25-1845. Uzasadnienie Adama Koca, Centralne Archiwum Wojskowe.

## ROZDZIAŁ 15

### ■ CZAS MILUSINA

Adelcia z panią marszałkową na dobre utknęły w kuchni. Po pierwsze przy przetworach: złociste marmolady z renklod, powidła z węgierek, gruszki i domowe wina zajmowały teraz wiele miejsca w dworku Milusin. Po drugie pochłono je przygotowywanie potraw dla gości. Piłsudscy spodziewali się wizyty kuzynów Marszałka, jego siostry, Zuli Kadenacowej, i brata Adama z rodzinami, a także sąsiadów, państwa Morawieckich i Ropelewskich. Adelcia Heybutowicz, godna Litwinka, zastąpiła poprzednią kucharkę, która wyszła za męża za jednego z ordynansów Marszałka. Adela pochodziła oczywiście z powiatu święcińskiego, pomoc w domu Piłsudskich zawsze musiała być z Wileńszczyzny, tak samo jak ordynans Marszałka. Mówiła z litewskim zaśpiewem i wyraźnie rozróżniała w mowie „ch” od „h”, co tak sobie cenil Józef jako rdzennie litewską cechę mowy, niedocenianą gdzie indziej. Podśpiewując, szykowała swój znakomity placek ze śliwkami z zapiekaną pianką, legumina czekoladowa stygła w chłodzie spizarni, a na stole stały już litewskie sucharki z kawą i cynamonem. Poza tym jadano skromnie, a gości witano zwykle tylko herbatą i ciasteczkami, chyba że, tak jak teraz, zjeżdżała się rodzina, a ta była dość liczna. Wówczas marszałkowa sama stawała do pracy w kuchni, nie tylko ustalała menu, ale też gnioła ciasto na szarlotkę i szykowała galarety. Czerwonego mięsa być nie mogło, bo lekarze surowo zakazali podawać je Marszałkowi, lecz drób piekł się w piecu, napelniając kuchnię wspaniałym zapachem, ale i niesłychanym gorącem.

Ola miała za sobą pracowity dzień: wstała o świcie, nastawiła zsiadłe mleko przyniesione przez Jasię Miaziańską, udała się na targ do Cechówki. Na szczęście podwiózł ją z powrotem bryczką sąsiad z Sulejówka, bo nawet na skrót to było ładnych parę kilometrów. Jej dzień zaczynał się bardzo wcześnie, domownicy i goście mieli znakomite apetyty, dom wymagał i sprzątaniam, i wietrzenia, a służby za wiele nie było: Adelcia w kuchni, pokojówka i tyle. Bony do dzieci nie chciała. Dopóki byli sami, wystarczało jej czasu na dzieci, na dom i na pracę z Ziukiem. Inna rzecz, że goście do Milusina przybywali często, rodzina trzymała się razem, a sąsiedzi chętnie zaglądali do Piłsudskich tak jak dziś. Zerknęła na stół. Galaretki na podwieczorek były już gotowe i Ola uznała, że może opuścić gorącą kuchnię, wyjść na taras, by popatrzeć na dziewczynki. Wspiwały się pewnie po drzewach, Wanda wyżej, Jagódka dzielnie za nią, albo pobiegły za ojcem w las. Obiad będzie podany jak co dzień, o piętnastej, gości spodziewano się później, koło siedemnastej.

Pływały dni dla Oli najpiękniejsze, takie, o których marzyła, a nie zaznała ich od dzieciństwa. O taki czas walczyli dla siebie i dla innych polskich rodzin: o dom wśród drzew w wolnym kraju, o radosny śmiech dzieci i ogród pełen owoców. Ziuk spacerował często po lasku, którego nie pozwolił uporządkować na wzór parku, albo pracował w swoim gabinecie. Zajmowała go szczególnie historia powstania styczniowego i osoba Gabriela Narutowicza, wiedziała, że poświęca mu specjalne artykuły. Rozmyślała już o Wigilii, o tym, jak będzie pięknie, gdy ustawią choinkę w salonie, a Adelcia przypomni sobie tradycyjne świąteczne potrawy z Litwy. Naszła ją ochota na karpia w sosie rodzynkowym i barszcz z uszkami. Także inne potrawy litewskie, ale bez kołdunów i bigosu, akurat tych dań jej mąż nigdy nie lubił.

Ola wyszła przed dom, rozejrzała się z radością, odetchnęła pełną piersią. Sierpień roku 1924 był przepiękny, ciepły, wymarzony dla spełnionej kobiety, która nie żyła już myślą o tym, jak uniknąć aresztowania, jak przewieźć ciężkie browningi, ukryć naboje, uniknąć rewizji. Mogła skupić się na jesiennych planach nauki córek, zwłaszcza starszej. Wanda miała już lat sześć,

a Jagódka cztery. Dziewczynki rzeczywiście bawiły się w ogrodzie, Wanda komenderowała młodszą siostrą, ta zaś naśladowała ją chętnie, niby zgadzała się na jej pomysły, ale w końcu zawsze jakoś stawała na swoim. Ola uśmiechnęła się, patrząc na córki. Jaki to cud sprawił, że mogła być teraz po prostu matką i panią domu? Może nie do końca typową, bo nie każda matka umie celnie strzelać i rzadko która nosi w kieszeni domowego fartucha mały, zgrabny rewolwer, dużo wygodniejszy niż ten, który wozila w sakwojażu za czasów panieństwa. Odruchowo sprawdziła, czy tam jest, owszem, zabezpieczony, ale naładowany. Odkąd nieznani sprawcy obrzucili jej ogród kamieniami, bała się o córki. Od czasu kiedy ordynans przepłoszył z ogrodu mężczyzn o niewiadomych zamiarach, nawet jeśli to byli tylko złodzieje, jak sądził Ziuk, nie rozstawała się z bronią i nie zawahałaby się jej użyć, zwłaszcza w obronie dzieci. Ola obawiała się zamachowców nie bez podstaw: listy z pogrózkami przychodziły i tutaj. Kto wie, ilu to jeszcze Niewiadomskich płacze się po świecie?

Bała się też o męża. Zamach na jego życie nie byłby niczym dziwnym, Marszałek wciąż budził emocje i miał wielu wrogów. W dodatku upierał się, że nic mu nie grozi, i potrafił płatać im figle, jak tego wiosennego dnia, kiedy przebrał się w cywilne ubranie i umknął koleją do Warszawy, ot tak sobie, na kawę w cukierni Lourse'a. Wyśmiał ochronę, którą natychmiast zorganizowano, głupstwem nazywał ich przezorność. Ola nie zgadzała się z nim w tej sprawie. Wprawdzie wycofał się z życia politycznego, ale w pewnym sensie brał w nim udział, śledził decyzje rządu i sejmu, komentował je w publikacjach, wciąż przyjmował jakieś delegacje. W jego imieniny dom i ogród wypełniały się po brzegi ludźmi, a nie wszystkim ufała. „Samotnik z Sulejówka” miał nadal wielu stronników pragnących, by wrócił do aktywności politycznej. Jego legenda rosła, Ola obserwowała go z niepokojem: sam chyba zaczął wierzyć, że wszystko wie lepiej od innych. Marszałek, Komendant, Dziadek dla swoich żołnierzy, irytował się decyzjami zapadającymi w Warszawie, a jego zwolennicy przytakiwali tej krytyce. Miał zajadłych wrogów, a obstawy nie chciał nawet po tym incydencie z kamieniami, nawet po tym, jak dziwne pociski wybuchły koło ich domu, co wytłumaczono ćwiczeniami artylerii na poligonie. Akurat. Mimo to...

– My, starzy konspiratorzy, znamy sposoby zamachowców najlepiej, Olu – mówił, uśmiechając się do niej filuternie. – Żadna ochrona nie pomoże, jak się uprzesz. Montwiła pamiętasz?

Pamiętała. Przypomniała mu, że Montwiła rozstrzelano dość młodo, bo rok przed ukończeniem trzydziestki. A wpadł, bo go haniebnie zdradzono. Wzruszał ramionami i upierał się, że nie trzeba mu żadnej obstawy.

Marszałek nie został jednak bez obstawy. Ola wiedziała, że wierni oficerowie z Siódmego Pułku Ułanów zorganizowali ochronę swojemu Komendantowi, że ulokowali się w pobliżu willi, uzbrojeni, pełnią dyżury i obserwują Milusin. Rada była z tego dozoru, ale Ziuk nie mógł o tym wiedzieć. I nie wiedział, chociaż patrzył na nią czasem spod przymrużonych powiek, jakby ze śmiechem, a niektórym gościom opowiadał, że „wariaci kręcą się koło Milusina i w razie gdyby zbrodzień wstąpił na teren, pies Dorek zobowiązany jest wariatom o tem donieść”<sup>19</sup>. Na to się chociaż zgodził, by być czujnym, i nosił zawsze przy sobie rewolwer. No i niby nie wiedział, że ona też ma swój.

Teraz swoim zwyczajem spacerował po lesie, rozmyślał – a czy o wojnie roku 1920, czy o Napoleonie, czy o prezydencie Wojciechowskim, trudno powiedzieć. Dziewczynki pobiegły za nim, bo chociaż zmienił się od śmierci Gabriela Narutowicza i wobec świata stał się bardziej surowy i nieufny, córkom okazywał miłość bezwarunkową. One jedne mogły mu przeszkadzać, kiedy chciały, zakłócać spacer i rozmyślanie. Ola ogarnęła wzrokiem przestrzeń, taras był jej ulubionym punktem widokowym, a jej wprawne oko spiskowca potrafiło ocenić teren. Czujność



i gotowość, zawsze to w niej tkwić będzie, jak ten rewolwer w kieszeni. Czy możliwe zresztą, żeby ich życie już takie pozostało i upływało w ciszy Sulejówka, przy brzęczeniu pszczoł, oczekiwaniu na gości? Pewnie nie, chociaż naprawdę mogliby mu dać odpocząć i wielbiciele, i przeciwnicy. Patrzyła za Ziukiem, jak żartował z córkami, prosty, zawsze szczupły, zawsze w swojej ulubionej legionowej kurtce. Obrócił w powietrzu Jagódką, jakby leciała samolotem. Był już przecież mężczyzną dobrze po pięćdziesiątce, a lata wojny i więzienia należałoby liczyć podwójnie. Ona sama miała w grudniu skończyć lat czterdzieści dwa. Myślała czasem, jak życie potrafi zmienić się tak biegunowo: z niepewnego czasu walki, wiecznej tułaczki, głodu i więziennej pryczy w żywot statecznej pani marszałkowej.

Zawsze samodzielna, postępową, jak mówiono, teraz była żoną, wzorowo prowadziła dom, wychowywała córki i przyjmowała gości, stojąc przy boku męża, jakby nigdy nie była feministką. Widocznie feminizm zasadał się w czymś innym niż sprawy domowe, bo Ola lubiła swoje życie i pomaganie mężowi. O dziesiątej rano podawała mu do łóżka śniadanie i gazety, w nocy była jego sekretarką, bo Ziuk nie znosił pisania na maszynie. Wszystkie swoje publikacje dyktował żonie, chodząc po pokoju i pijąc hektolitry przesłodzonej herbaty. Czasem praca trwała do świtu, on spał potem do dziesiątej, ona o wiele krócej, bo dzieci wstawały o ósmej i obowiązków w domu i ogrodzie było bez liku. I prozaicznych trosk, bo dom trzeba było prowadzić godnie, a oszczędnie. Potrafiła być gospodarna, żyli skromnie. Na przykład mięso na obiad podawała tylko trzy razy w tygodniu, piątki zawsze mieli postne. Nie miała mu za złe, że zrzekł się pensji marszałkowskiej i przekazywał wszelkie honoraria państwowe Uniwersytetowi Batorego w Wilnie oraz potrzebującym, wdowom po legionistach albo samym żołnierzom, którzy w wywalczonej przez siebie ojczyźnie nie mogli znaleźć pracy. Nie chciał pieniędzy za zasługi oddane Polsce, popierała to, co nie znaczy, że było jej łatwiej sprostać wydatkom.

– Nie chcę nic od państwa, Olu – mówił jej gniewnie. – Nie dla pieniędzy walczyłem. Wiesz, co myślę: przeklęta moneta, wszystko potrafi splamić. Ten dom od żołnierzy to już wystarczający dar. Jakby mi wyznaczili pensję, nie przyjmę, oddam, bo jest komu.

I tak emerytura przyznana przez sejm, złotych tysięcy, szła na uniwersytet, inne „pensje” – na potrzebujące rodziny legionistów, na szkoły w okolicy.

– Utrzymamy się z mojej pracy pisarskiej – uspokajał ją. – Nie potrzebujemy dużo, moneta zawsze mnie brzydziła.

Ola była z niego dumna. Potrafiła wieść skromne życie, oboje lubili proste posiłki i nie potrzebowali wystawnych strojów. Niemniej publikacje i książki Ziuka nie dawały pewnych dochodów. Dziewczynki rosły i ich przyszłość należało zabezpieczyć, a nie brakowało też znakomitych gości, którzy wciąż zaglądali do Milusina i trzeba ich było zacie przyjąć. Poza tym dworek wymagał ciągłych nakładów, to płot, to dach, to potrzeby sadu.

Żałowała czasem, że nie może znów sama pracować, jak niegdyś, w biurze. Odkąd wyjechała z Suwałk jako dziewiętnastolatka, potrafiła zarobić na swoje życie, potrafiłaby pewnie i teraz, na córki i nawet na niego też. Nie wchodziło to jednak w grę: teraz jej pracą było sekretarzowanie Marszałkowi i zarządzanie domostwem. Ola była szczęśliwa, ale chodziła jej po głowie myśl, że nie do końca jest to dobrze urządzone, że mężatkom nie wypada pracować. Nawet nauczycielki porzucają swój zawód, by żyć przy mężu i prowadzić dom.

Mimo tylu zmian, choćby tych krótkich spódnic, nowych fryzur i możliwości studiowania, świat wciąż stawia kobiety za plecami mężczyzn – myślała. Jeszcze raz popatrzyła na córki, wracały uczone ojca, a on wyraźnie czymś je rozśmieszał. Zapragnęła, by wyrosły na zupełnie samodzielne kobiety, wykształcone i pracujące nawet jako żony i matki. Zawołała całą trójkę do domu, bo zbliżała się piątnasta, Adelcia podała obiad, a Ziuk nie lubił opóźnień w posiłkach. Stół w salonie stał jak dawniej w szlacheckich dworach – pośrodku. Ziuk zajmował

fotel u szczytu, a ona i dziewczynki siadały na krzesłach. W ten sierpniowy dzień pachniały pierogi ze śliwkami według suwalskiego przepisu Anusi, na deser było ciasto z jeżynami, drób i sałaty, a wszystko z własnego ogrodu i chowu. Ziuk tak najbardziej lubił: tylko w rodzinnym gronie. Chyba że wpadali z wizytą dawni legioniści, jak niedawno Zofia Zawiszanka z Olą Zagórką, obie dawne kurierki, a Zagórska tym bardziej zraniona przez los, że synek jej, Jurek Bitschan, zginął w obronie Lwowa. Miał lat czternaście i mimo zakazu rodziców uciekł walczyć. Pozostała jej po nim mogiła na cmentarzu Orłąt Lwowskich i popularna piosenka, pielęgnująca pamięć Jurka: „Mamo najdroższa, bądź zdrowa, do braci idę w bój, twoje uczyły mnie słowa, nauczył przykład twój”. Czy choćby najbardziej wzniosła pieśń może ukoić ból matki? Czy naród powinien wysyłać na wojnę dzieci? Ola, odkąd miała córki, miała też wątpliwości i nadzieję, że już nigdy nie zaistnieje taka potrzeba. Pani Aleksandra Zagórska jednakże trzymała się dzielnie, a kiedy przybyła do nich jesienią, z zapalem wspominała z Ziukiem czasy Legionów. Zofia Zawiszanka gorąco zapraszała do Goszyc, gdzie zamierzała odsłonić pamiątkową tablicę ku czci słynnej siódemki Beliny. Wspomnienia walk legionowych często można było usłyszeć w ścianach Milusina.

Tego dnia jednak z radością wypatrywali auta, które przywieźć miało braci Ziuka i jego ulubioną siostrę Zulę, wdowę po doktorze Kadenacym. Przyjadą z nimi pewnie ich dorosłe dzieci, przywieżą wieści ze świata, zaczną dyskusje o polityce pełne nerwowych pokrzykiwań Ziuka. Ola pomyślała, jak bardzo mąż zmienił się po tym, gdy Niewiadomski zamordował Narutowicza. Częściej teraz kłął po żołniersku, bardzo brzydko nazywał rząd i dostojników, do Rydza-Śmigłego powiedział nawet, że „wam kury szczać prowadzać, a nie brać się do polityki”<sup>20</sup>. Ola miała nadzieję, że dzisiaj daruje sobie mocne słowa, bo ona sama przyzwyczajona była i do niego, i do żołnierskich obyczajów, lecz Zosia Moraczewska, prawdziwa lwowska dama, mogła poczuć się niezręcznie. Ziuk pogniewał się wprowadzie na Zofię, gdy w 1919 roku zagłosowała za konstytucją marcową, wytykał jej i to, że była zapaloną feministką, wszystko jednak by jej wybaczył za najstarszego syna Kazia, który poszedł na wojnę z bolszewikami jako najmłodszy ochotnik i zginął pod Nowogrodem. Miał lat zaledwie siedemnaście. Moraczewscy, nie kto inny, ściągnęli ich tu, do Sulejówka, i żyli teraz w dobrej sąsiedzkiej przyjaźni, dzieci ich bawiły się razem, a Ziuk lubił z Zofią dyskutować. Zegar stojący w salonie wybił trzecią, zegar – dar, z dedykacją, by wybijał Marszałkowi godziny szczęścia. Właśnie płynęły, Ziuk przy obiedzie żartował z psa Dorka i opowiadał dziewczynkom anegdoty.

– A postawimy karty po obiedzie? – zapytała Jagoda, która chociaż mała jeszcze, lubiła z ojcem stawiać pasjansa.

– Oj, nie wiem, nie wiem – odpowiedział – mamy dziś najazd gości, a stary wasz tatko chciał jeszcze do biblioteki umknąć na drzemkę.

Wanda mniej lubiła karty, ale smutna mina Jagódki starczyła, by zmięknął mimo surowego spojrzenia spod krzaczastych brwi.

– A obiecacie historii się uczyć? – zapytał. – Nie masz cenniejszego przedmiotu jak historia.

Jagoda obiecała chętnie i podążyła za ojcem do biblioteki, przekomarzając się, czy warkocz będą stawiali, ogonki czy „uziemblinę”, skomplikowanego pasjansa, który poznał dzięki pani Antoninie Uziemblowej z Warszawy, szanowanej działaczce społecznej i patriotce, więzionej na Pawiaku jako Aziuk. Wanda, ciekawa, czy przyjadą też kuzynki, wolała zostać z mamą i pomagać przy szykowaniu stołu w cieniu drzew.

Dwie godziny później dało się słyszeć automobil zajeżdżający na dziedziniec przed dworkiem. Wyjrzał Marszałek z okna swojego gabinetu, zbiegły po schodach Jagódka i Wanda, wyszła i Ola Piłsudska witać gości. Zauważyła, że Zula Kadenacowa, która od śmierci męża

mieszkała w Warszawie, ubrana jest modnie, suknię ma w kropki, przewiazaną szarfą na biodrach i kończącą się całkiem wysoko nad kostkami, a jej córka Zula ma włosy ścięte według nowej mody: pod uszami, uczesane w falę na prawym policzku. Bracia Ziuka nie zmieniali się wcale, dla nich nie istniały rewolucje i przewroty w modzie. Wątpliwe, czy zauważyli, że siostrzenica włosy obcięła. Wysypali się z auta i szli ku domowi całą grupą.

– I jak to się mieszka w prawdziwym dworku? – zapytała Zofia Kadenacowa, zwana przez rodzinę Zulą. – Oleńko, nareszcie we własnym domu, o ileż lepszym niż stary drewniaczek Otradno po Skorupce. Tamten stoi jeszcze?

– Stoi, stoi – zaśmiała się Ola, witając gości serdecznie. Trzej bracia Piłsudscy: Ziuk, Adaś i Ziunio, padli sobie w ramiona, a Adaś przywiózł córkę Wandę, która studiowała medycynę. Ola żałowała tylko, że dzieci ich sporo starsze są od jej dziewczynek, ich obie córki były już zamężne. Za to Ziuk i jego dwaj bracia będą znowu chodzić po jadalnym wokół stołu i dyskutować w marszu. Zabawne było, że wszyscy mieli ten sam zwyczaj: najlepiej im się myślało, kiedy chodzili, palili papierosy i żywo gestykulowali. Widok ich trzech maszerujących po gabinecie mógłby posłużyć jakiemuś reżyserowi do komedii. A Zulę zawsze lubiła, Zula była też chrzestną matką Jagódki i dziewczynki zawsze spodziewały się ładnego prezentu od ciotki. I teraz trzymała pudło, w nim pewnie lalki, bo od rodziców dziewczynki drogie zabawek nie dostawały. Objęła ją, poprowadziła na schody gościnnego Milusina.

– Drewniaczek zawsze będzie miły mojemu sercu – powiedziała z przekonaniem. – Tam uciekaliśmy przed ludzkim okiem i językiem jeszcze przed tragedią z Narutowiczem...

– Wygód to tam nie miałaś – zauważyła trzeźwo Zula, z uznaniem patrząc na białe ściany Milusina, taras półokrągły, kolumnienki jak na dworek polski przystało. – Tu to co innego. Skórewicz projektował, słyszałam. A Ziuk się wzbraniał?

– Oczywiście. Musiałam użyć argumentu dzieci. – Ola uśmiechnęła się do niej porozumiewawczo. – Dał się w końcu namówić, zwłaszcza że go Halina Sujkowska z Zosią Moraczewską wzięły w obroty. Ale wiesz, że miał być dom nasz pobudowany gdzie indziej? Tak jednak ceny ziemi poszły w górę, że na naszej działce, tutaj w Milusinie, najtaniej było przeprowadzić inwestycję. Meble też Komitet Żołnierza kupował, uproszony, żeby jak najskromniejsze, a Ropelewscy ustawiali. Elektryczności, do której w mieście byłam już przyzwyczajona, nie ma, ale...

– Czemu nie ma?

– Ach, to cała historia. – Ola wspomniała ubiegłą jesień, kiedy pojechali do Druskiennik, a w tym czasie, tytułem niespodzianki, ekipa inżynierów montowała w Milusinie elektryczność. – Wszystko szło na opak. Najpierw motorek produkujący energię wydawał dźwięki jak seria kul z karabinu maszynowego, aż wystraszyły się wszystkie sroki, i to jedyny dobry efekt. Kiedy założono tłumik, światło zajarzyło w dworku i – pech chciał – zgasło akurat, gdy wchodziliśmy na taras z podróży. Po remoncie żarówki świeciły, ale drgały tak, że Ziuk nie mógł przy tym pracować. No i poprosił o starą dobrą lampę naftową.

– Przy której ty oczy psujesz, bo piszesz, gdy on gada... Ale szczęśliwi tu jesteście? – Zerknęła na bratową. – Pszczoły podobno hodujesz. Skąd ty umiesz, Ola, takie rzeczy? Dynamit skręcić, to rozumiem.

– Ach, Zula, od czegoż są podręczniki? Nauczyłam się z książki Brzezińskiego, a sąsiad Mizikowski, stary peowiak i pszczelarz, podpowiedział mi niejedno. Ziuk uwielbia miód akacyjny, pasjonuje go także życie pszczół. Usłyszysz jego teorie jeszcze. Trutnie rządzą ulem, twierdzi, nie królowa.

– Książki ci starczyły?

– O nie, poszłam z dziewczynkami do tego Mizikowskiego. Bardzo ładne domostwo

i ugościli nas tam przyjemnie w ogrodzie na sam dźwięk nazwiska. Furmanką na powrót nas przywieźli, bo to kawał drogi, ale od tej pory Ignacy pomaga przy pszczołach. Zaczyna rodzina.

– I ogród ty?

– A ja. Ziuk pracował jeden dzień i tak go połamano, że zapowiedział strajk wobec ogrodu. Rzekł, że woli wojenne okopy.

– I korespondencja?

– Całą prowadzę – potwierdziła Ola z dumą. – Nie wyobrażasz sobie, o co ludzie proszą i co wypisują. I groźby, i pochwały, zwłaszcza domorośli stratedzy wojskowi piszą, że słusznie projekta ich wypełnił. Najwięcej próśb o wsparcie oczywista... I o trzymanie dzieci do chrztu. Wysyłamy delegatów, bo nic by nie robił, tylko dzieci do chrztu trzymał.

– A pisze?

– W nocy. Dyktuje raczej. Jak wiesz, pisać nie znosi. Kiedy chodzi, najlepiej tworzy, czasem za nim stukać w maszynę nie nadążam.

– Olu! – Zula zatrzymała się na chwilę. – Chociaż brat mój to człowiek wielkiego formatu, ale przecież ty się zamęczysz! Służby więcej...

– Zula, Zula – zaśmiała się Ola i szybko zmieniła temat. – Powiedz mi lepiej, siostrzyczko, co to za suknię kusą masz na sobie? I Zosieńka ma nową fryzurę? Daleko mam teraz do Warszawy i do braci Jabłkowskich. Boże miły, pamiętam jeszcze stary dom handlowy Hersego z oknami wychodzącymi na Mysią.

Śmiała się, gdy Zula Kadenacowa perorowała o nowej modzie, która śmiało kostki odsłania, mimo że dziennikarze pomstują, że ów kult kobiecej nogi sprawia, że niewiasta całkiem jest z tajemnicy obdarta, a i włosy czas przestać upinać jak pra-prababki, bo na świecie rządzi teraz fryzura francuskiej dyktatorki mody Coco Chanel i pięknej aktorki Greta Garbo.

– Lata dwudzieste mamy – grzmiąca Zofia, ale Ola nie zamierzała ścinać włosów ani skracać sukienek. Lubiła ubrania ładne, ale skromne, jej jedyną namiętnością były korale. I teraz sięgnęła ręką do sznura zielonych nefrytów. Pasowały do jej ciemnych oczu i spokojnej natury.

– Może sprawię sobie jakąś suknię na następne imieniny Ziuka. Teraz muszę dziewczynkom nowe płaszczyki poszyć, bo te uszyte ze starych mundurów ojca zdarły się, niestety – powiedziała do szwagierki, która pokiwała głową ze zrozumieniem i zapytała: – Zwierząt wam naznosili w prezentach, jak co roku?

– W ostatnie imieniny dostał, moja Zosiu, dwa psy, dziesięć królików, owcę i koguta szatana, niech go! Straszyl ludzi, aż ordynans musiał interweniować – oznajmiła Ola z humorem. – Lis szukał legowiska i przeorał mi ogród, wszystko musiałam siać od nowa. Baran ukrywa się co raz w klombie i tylko dziewczynki prośbami mogą go stamtąd wywabić, a i to nie zawsze łaskaw wyjść. Przedni to widok, gdy ordynans usiłuje wyciągnąć go za rogi. Ale i tak najgorszy był ten kogut, piękny, ale wojowniczy, atakował wszystkich gości i trzeba było ordynansa, żeby ich przeprowadzić przez podwórko.

– Pozbyłaś się już jakoś tego imieninowego zwierzyńca? – śmiała się Zula.

– Nie do końca – westchnęła Ola. – Zobaczysz zaraz, Zosiu, najniezwyklejszą przyjaźń zwierząt, jaka może być. Udało mi się porozmieszczać drób, sarna i lis wybrali życie w lesie, psy nam zostały, ale oto baran i gęś zawarły przyjaźń dozgonną. Śpią razem w słońcu objęci. Gęś głowę składa na piersiach barana, spacerują razem we dwoje. Jak ich rozdzielić? Sama bym nie mogła. Co chcesz, imieniny! Twój brat ma niezliczonych wielbicieli.

Imieniny Józefa przypadają w marcu i w tym dniu w Milusinie nic nie przebiega jak zwykle. Delegacje z całej Polski, legioniści, orkiestra wojskowa, goście, przyjaciele, krewni, sąsiedzi, prezenty, wszystkich należy witać, a najbardziej ulubieni są prości ludzie i żołnierze. Przeprowadzają Kasztankę, która już jest na emeryturze, ale zawsze poznaje swego pana,

chrapami muska mu ręce, wita się z Marszałkiem, a i on wita ją zawsze ze wzruszeniem.

– Kiedy po raz pierwszy w marcu urządziłam w tymże domu imieniny Ziuka, w zimny jeszcze zimowy dzień zjechały tłumy oficerów, dwie orkiestry wojskowe, które rażno wygrywały legionowe pieśni, a wszyscy musieli dostać wódki na rozgrzewkę. Efekt był taki, że wkrótce muzykanci na dobrym gazie rzępolili fałszywie *Pierwszą Brygadę* na zmianę z *Rozmarynem* i wyprawił ich Ziuk pospiesznie do domów.

– Za to za drugim razem chciał imienin bez wódki – przypomniała Zula kąśliwie.

– I byłyby bez, gdyby nie Bolesław – przytaknęła Ola. – W salonie dałam tylko ciastka i kawę, ale Wieniawa rządził w tajnym barku w sąsiednim pokoju. Całą baterię czystej wyborowej tam miał. Wpuszczał do swojego sanktuarium panów tylko za podaniem hasła.

– Które wszyscy oficerowie znali – roześmiała się Zula.

– Tak jest. A Piąty Pułk Piechoty płukał gardło po sąsiedzku, w domu Tellera. Ale orkiestra przycinała, salon tonął w kwiatkach, Ziuk był wzruszony, a dzieciaki z Sulejówka obstały płot i miały wielką uciechę. Tradycją się stały te jego imieniny, już w czasach legionowych żołnierze ją rozpoczęli, w tysiąc dziewięćset szesnastym podarowali mu szablę, rok wcześniej złoty zegarek. To dla niego relikwie. I co mam zrobić, muszą być co roku. I będę!

Wieczór w sierpniu zapada już dość szybko i bywa chłodny nawet po upalnym dniu. Gromada gości biesiadowała jednak żywo na tarasie, rozmawiając głównie o rządzie Grabskiego, prezydenturze Wojciechowskiego i marnych ustaleniach konferencji w Locarno. Ziuk wyrzucał z siebie niewybredne komentarze pod adresem Ligi Narodów i państw europejskich, które kosztem Polski chcą swoje interesa załatwiać. Pomstował, że nie ma nakładów na armię, bo ten kraj wszystko może zaniedbać, ale nie siłę militarną! Adaś protestował, bo znał Grabskiego i popierał jego gospodarcze decyzje, przypominał, że prezydent zawarł dobry sojusz z Francją.

– Ej ty, Adaś, mój Adaś, już Francja cię obroni! – ironizował Marszałek. – Nie dziwię się, że Sosnkowski podał się do dymisji. I Grabski sam się poda, zobaczycie.

Pani Moraczewska furt wyskakiwała ze sprawą równouprawnienia kobiet, która najbardziej leżała jej na sercu, a Marszałek dokuczał jej, że kobiety do czego innego stworzone, a prawa wyborcze dostały za zasługi dla niepodległości, właśnie za rządu jej męża. Wreszcie Ola poprosiła wszystkich na sutą kolację i kieliszek węgryna. Popierała poglądy męża w sprawie dymisji rządu, ale z niechęcią słuchała nawoływań, by wracał do czynnej polityki, a nawet znów wziął władzę w swoje ręce. Chciała, by dali mu spokój, by mógł pozostać w Sulejówku, układać pasjansa, pisać publikacje i bawić się z dziećmi. By mógł zżymać się na Wieniawę, który o pasjansach twierdził, że uruchamiają intuicję i ona potem rozum przysłania. Ola, racjonalistka mimo wszystko, w aż taki wpływ kart na umysł nie wierzyła, bardziej niepokoiło ją wzmożone nagle zainteresowanie Ziuka okultyzmem, seanse spirytystyczne z Mierzejewskim i eksperymenty z jasnowidzem Ossowieckim. Zdawał się wierzyć w moce, które dawniej traktował z dystansem, chociaż o pewne zdolności ponadnaturalne podejrzewał się od dawna. Przez ten sen w więzieniu magdeburskim, gdy rodziła się Wandzia.

Ale tego wieczoru, patrząc na gości, sprawdzając, czy dzieci śpią, czy ochrona ustanowiona przez rząd od niedawna, której Ziuk niby nie zauważał, czuwa za krzewami, zrozumiała nagle, że to życie też nie jest wieczne i że spokój jest chwilowy. Patrzyła na jasne główki dzieci grających w palanta na podwórku, na obserwującego je Dorka, na politykujących mężczyzn i w nagłym olśnieniu zrozumiała, że to tylko chwila. Przyjdzie siła, która wyciągnie ich stąd i położy kres sielskiemu życiu w Sulejówku.

– Chwilo, trwaj – szepnęła, ale jej przeczucia spełniły się. Mieli tu mieszkać w spokoju jeszcze niespełna dwa lata. Wtedy nadszedł maj roku 1926.

19 Aleksandra Zagórska, *Pogaduszka* [tekst o wizycie w Sulejówku]. Cyt. za: J.

Kochański, *Wyznawcy Niepodległej*, Warszawa 2009.

20 Cyt. za: *Prezydenci i premierzy Drugiej Rzeczypospolitej*, red. A. Chojnowski, P.J. Wróbel, Wrocław 1992.

## ROZDZIAŁ 16

### ■ PRZEWRÓT

Maj roku 1926, piękny, ciepły, pełen był w Warszawie niepokoju. Ola nie mogła cieszyć się zielenią buchającą w jej ogrodzie ani sasankami, które tak lubił Ziuk i którymi mierzył postęp wiosny w naturze. W tym roku nie zwracał na nie uwagi, chodził po gabinecie, wydeptywał ścieżkę w dywanie, znów palił mnóstwo papierosów, wypijał morze swojej ulubionej słodkiej herbaty. Słyszała, jak mówił sam do siebie: „Rozwydrzone partie, skłócone stronnictwa, łapówki i wódka. A bezrobocie? A armia?”. Przybywały delegacje, kręcił głową, spał coraz mniej. Udzielił „Kurierowi Porannemu” wywiadu, w którym ostro skrytykował obecnych dostojników, ale nakład gazety skonfiskowano. Miała ukazać się 10 maja. Tego dnia prezydent Wojciechowski powołał rząd Witosa. Marszałek nowego premiera nie cenił i nie mógł się z tym pogodzić. Te dwa zdarzenia przeważały szalę wahań i spowodowały, że zdecydował się wrócić do polityki. Miał za sobą siłę wojska, argument, w który wierzył od zawsze. W nocy z 11 na 12 maja dyskutowali o tym z Olą do świtu. Ziuk zirytowany przypominał rząd Witosa z 1923 roku.

– Znamy to już! Znamy rząd centrowo-prawicowy, sama pamiętasz – prawil z przekąsem – wtedy odszedłem, żeby nie firmować swoim nazwiskiem tych ludzi. Narutowicz czemu zginął? Nie przez nich?

– Ziuk – powiedziała cicho, bo czuła, że te słowa oznaczają kres ich spokojnego życia – czy musisz akurat ty? Jest prezydent...

– Sam go powołałem! – krzyknął, ale spojrzawszy w jej oczy, uspokoił się nieco. – Otóż to, jest prezydent, nie mam nic przeciwko Wojciechowskiemu. Chcę, żeby się opamiętał i cofnął Witosa. Dość tej gangreny aparatu rządowego, korzyści nuworyszy, bezkarności, nie o to walczyliśmy. Znasz mnie, Olu... moją dewizę: balansujcie, póki się da, a gdy się już nie da, podpalcie świat! Już się nie da.

Znała go, jego poglądy i upór. Wiedziała, że go nie zatrzyma, zapytała tylko:

– Co więc będzie, Ziuk, jeszcze jedna wojna, domowa?

– Ale gdzie tam – machnął ręką zniecierpliwiony – wystarczy demonstracja, Stanisław się ugnie.

Dwunastego maja o siódmej rano Ola, otulona szalem, żegnała go przed domem w Sulejówku, pełna niepokoju i złych przeczuć.

– Wrócę na obiad, Oleńko – powiedział. – Zademonstrujemy prezydentowi siłę armii, pójdę pod Belweder, zażadam zmiany rządu, zyskam, co chcę, i wrócę. Dogadam się z Wojciechowskim, mówię ci!

Szykowała więc jak co dzień obiad i usiłowała bawić się z dziewczynkami. Modliła się, by tak właśnie było: by porozumiał się z prezydentem i wrócił do Sulejówka na obiad. Podobno prezydenta nie było w Belwederze, właśnie jechał najszybciej jak mógł ze Spały powiadomiony o interwencji Marszałka. O pierwszej zadzwonił telefon w holu. Ziuk informował ją, że plany uległy zmianie, marsz na Warszawę dopiero się zaczyna.

– Wrócę na wieczór – powiedział.

Ola czuła jednak, że sam nie wierzy w to, co mówi. Nie tylko na wieczór, ale tak naprawdę w ogóle na stałe do sielskiego życia w Milusinie nie wrócił już nigdy. Ola też.

■

Piłsudski rzeczywiście nie zastał prezydenta Wojciechowskiego w Warszawie. Ten pędził

ku stolicy z maksymalną szybkością, jaką szofer mógł wycisnąć z prezydenckiego auta. Spotkał się z Marszałkiem na moście Poniatowskiego o godzinie siedemnastej. Prezydent przeszedł przez szpaler rządowego wojska, które ustawiło na moście barykadę. Piłsudski wysiadł z samochodu w błękitnym mundurze marszałka, wyciągnął rękę na powitanie, ale Wojciechowski jej nie uściśnął. Popatrzyli na siebie wrogo, chociaż przecież przed laty łączyła ich przyjaźń. Piłsudski stanowczo ujął go pod ramię i pociągnął ku barierce.

– Jako prezydent Rzeczypospolitej stoję na straży honoru wojska polskiego – urzędowo zaczął Wojciechowski. Piłsudski chwycił go mocniej za rękaw.

– No, no! Tylko nie w ten sposób!

Wojciechowski strząsnął rękę Piłsudskiego.

– Reprezentuję tutaj Polskę – zaznaczył – i żądam, by pan dochodził swych pretensji legalną drogą!

– Dla mnie droga legalna zamknięta – głucho odpowiedział Marszałek. – Niech mnie pan przepuści, panie prezydencie, nic panu nie grozi, przysięgam.

– Nie mogę – powtórzył prezydent.

Marszałek pochwycił go za kłapy płaszcza i odepchnął od siebie zniecierpliwiony i zły. Wojciechowski wsiadł do samochodu, zawrócił do Belwederu, zatrzymał się tylko przy dowódcach, by potwierdzić rozkaz nieprzepuszczania sił Piłsudskiego przez most. Marszałek ruszył ku żołnierzom. Wiedział, jak trudną zgotował im chwilę, żołnierzom, których uważał za swoje dzieci, szkolił w posłuszeństwie wobec zwierzchników, wobec rozkazu, a teraz żądał łamania przysięgi. Podeszedł do młodego dowódcy, kapitana Piątkowskiego, który zakrzyknął:

– Tworzyć kordon w poprzek! Nie przepuścić pana marszałka!

– Ładuj broń! – krzyknął zdenerwowany kapitan Pająk. Żołnierze mieli naładowane karabiny, ale jakby na znak ostrzeżenia załadowali zamki jeszcze raz. Piłsudski podeszedł do kapitana Piątkowskiego:

– I co to, dziecko, będziesz do mnie strzelał? – zapytał spokojnie.

Błąd kapitan łamiącym się głosem odpowiedział:

– Tak. Taki mam rozkaz, panie marszałku.

Piłsudski wszedł między szeregi żołnierzy.

– Dzieci, nie przepuście mnie?

– Taki mamy rozkaz, panie marszałku! – krzyknęło z żalem kilku podchorążych.

Piłsudski podeszedł do barierki. Oparł czoło na rękach, patrzył w fale Wisły, myślał. Widział, jak prezydent Wojciechowski odjeżdża. Nie chciał strzelaniny, ale uświadomił sobie, że nie przejmie władzy bez ofiar. Zawsze rozumiał duszę żołnierza. Westchnął, odwrócił się ku nim.

– Zostawiam wam tu wiernego Wieniawę, ale nie postrzelajcie się! Wróć do was. Dzieci.

Zawrócił na Pragę. Na moście Kierbedzia padały już pierwsze strzały, wojska popierające Piłsudskiego wchodziły na plac Zamkowy.

■

Nie wrócił na kolację, ani następnego dnia, ani kolejnego. Ola otrzymywała wiadomości o strzelaninie, o rannych, a nawet zabitych. Nie mogła spać, przeżywała najcięższe chwile od czasu wojny światowej, od tych dni, gdy w Kielcach, a potem w więzieniu, nie wiedziała, czy pogłoski o jego śmierci są prawdziwe, czy nie. Żyć żył, doniesiono jej, że zajął kwatery w komendzie miasta, potem już w Sztapie Generalnym. Co jednak musiał przeżywać, prowadząc kolejną wojnę, tym razem ze swoimi? Co tracił? Czy nie za wiele? Wiedział, że wielka część Polaków nie wybaczy mu tego. Przysłał jej kartkę z krótkim opisem zdarzeń. Trzeciego dnia nie



wytrzymała i wyruszyła do Warszawy. Przed budynkiem Sztabu Generalnego zatrzymała się na chwilę, jakby gmach był symbolem przemiany w ich życiu. Na kwaterze niedaleko zastała cień człowieka. Ziuk wychudł, oczy zapadły się mu ze zmęczenia, postarzał się o dziesięć lat. Opowiadał jej o tym, co bolało go najbardziej. Wygrał, ale musiał walczyć przeciwko swoim żołnierzom. Wygrał, ale zginęło prawie czterystu ludzi. Wygrał, ale Mieczysław Więckowski, dowódca 7 Pułku Piechoty w Chełmie, rozdarty między wiernością Marszałkowi a rozkazem, popełnił samobójstwo. I Kazimierz Sosnkowski, jego więzienny towarzysz z Magdeburga, też próbował się zabić, postrzelił się w pierś. Bolało, bardzo bolało, mimo że miał teraz władzę absolutną, mimo że stali przy nim wiernie Józef Beck, Adam Koc, generał Gustaw Orlicz-Dreszer i liczne było grono piłsudczyków.

– Chcą mnie teraz znów na prezydenta, Olu – powiedział zmęczony. – A ja myślę o tym, że w jedną, w tę samą polską ziemię wsiąkła krew nasza, żołnierzy, którym ona jednako bliska.

– Co teraz? – zapytała Ola. W Sulejówku pszczoły pracowały pilnie, jak zwykle o tej porze roku. Przez chwilę przemknęło jej przez myśl, że mogliby wrócić...

– Nie ma odwrotu – powiedział.

Sejm wybrał Piłsudskiego na prezydenta, lecz on nie przyjął stanowiska. Głową państwa został Ignacy Mościcki. Piłsudski piastował odtąd urząd Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych i jednocześnie Ministra Spraw Wojskowych, pełnił też funkcję premiera rządu RP. Aleksandra była teraz oficjalnie uznawana za pierwszą damę Rzeczypospolitej, chociaż ten tytuł przysługiwał także żonie prezydenta Mościckiego, Michalinie. Panie żyły w przyjaźni, prezydent z Marszałkiem także. Para prezydencka mieszkała w Pałacu Namiestnikowskim przy Krakowskim Przedmieściu, tam więc znajdowało się centrum zarządzania krajem, w sprawach kluczowych jednak decydował Belweder. Oczywiście komentowano to krytycznie, niemniej zapanował spokój.

Ola, rozpakowując rzeczy swoje i dzieci w belwederskim mieszkaniu, zamyśliła się nad kolejnym zakrętem w swojej biografii. Znów wiraż. Po co? Znaleźli się na samym szczycie, dlaczego więc zamiast poczucia szczęścia i satysfakcji ogarnęła ją nagła tęsknota za domem i poczucie ciężaru na barkach? Wyprostowała się, odpędziła tęsknotę i łzę spod powieki. Wytłumaczyła sobie, że za wcześniej jednak było, by mogli zamknąć się w Milusinie, że oto stoi u boku najważniejszego polityka w kraju. Ziuk w przyszłym roku skończy sześćdziesiąt lat. Widocznie ma jeszcze wiele do zrobienia, jakkolwiek dużo by to kosztowało, cokolwiek teraz o nim mówiono i jakie racje wytaczali przeciwnicy czynu zbrojnego. Po wiosennej burzy nadszedł czas umacniania i porządków. Skoro tak, jaka jest jej rola? Czy wypełniła obietnicę daną sobie i babce przed laty, że będzie działać na rzecz ludzi i ojczyzny? Zawsze spełniała swoje obowiązki sumiennie, więc postanowiła teraz poświęcić się pracy społecznej. Miała to być wyczerpująca, ale owocna i konkretna praca na rzecz biednych, szczególnie dzieci i kobiet. Miała to być praca przynosząca satysfakcję, bo na chwale nigdy jej nie zależało. Na bogactwie też, zresztą pieniędzy za taką pracę nie płacono. Lecz czy na pewno w przepelnionych historią, błyszczących salach pałacu Belwederskiego będzie szczęśliwsza niż w Sulejówku?

## CZEŚĆ III

■ LATA 1926–1939

## ROZDZIAŁ 17

### ■ PANI BELWEDERU

Pani marszałkowa Aleksandra Piłsudska szybkim krokiem przemierzała korytarze Belwederu. Chciała przed porą obiadu odpisać na kilka listów, później wybierała się z Haliną Sujkowską i prezydentową Michasią Mościcką na przedmieścia, z inspekcją ubogich osiedli i warunków życia rodzin bezdomnych. Dni bieły teraz szybko i zupełnie inaczej niż w Sulejówku. Była panią Belwederu, zarządzała pałacem, ustalała z ochmistrzynią codzienną strategię obowiązków, zadania dla służby, dobór dań, zakupy, prace w ogrodzie i w pałacu. Z sekretarzem z kolei ustalała rozkład własnych spotkań i obowiązków reprezentacyjnych u boku męża. Od rana do obiadu pracowała, prowadząc korespondencję, odbierając wizyty wynikające z protokołu, udając się na zebrania i uroczystości. Zerknęła na odnowione ściany. Przynajmniej to się jej udało: jasne kolory, nowoczesne lampy zmieniły zupełnie wnętrze, dodały ciepła przestrzeni, która początkowo onieśmielała chłodem. W czerwcu 1926 roku wprowadziła się tu po raz drugi jako żona Marszałka Rzeczypospolitej i Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych w kraju i wiedziała, że tym razem na dłużej. W lewym skrzydle zamieszkał samotny Walery Sławek, zaufany polityk i długoletni przyjaciel rodziny, a także rotmistrzowie i adiutanci, ona z mężem i córkami zajęła pokoje prywatne z widokiem na ogród. Znowż zastała podniszczone ściany, znowż zobaczyła pałac jako nadgryziony zębem czasu obcy gmach. Miała wrażenie, że każdy z poprzednich lokatorów zostawił tu swoje ślady niechęci do Polski. Przez tyle lat mieszkańcami pałacu byli przecież dostojnicy carskiej Rosji, w czasie wielkiej wojny rezydował w nim sam generał von Beseler, okupacyjny gubernator Warszawy. Nie czuła się tu dobrze, a już najdalsza była od tego, by popaść w snobistyczną dumę, że oto została panią Belwederu.

Swoją drogą – Ola zatrzymała się przy oknie i zerknęła na to, co pierwsza pani pałacu, Klara Izabella Pacowa, nazwała *bellevedere*, czyli pięknym widokiem – jak dziewczyna z prowincjonalnych Suwałk, ona, Ola Szczerbińska, znalazła się aż tutaj i w takiej roli? Niełatwy i niebezpieczny szlak przebyła, przez więzienia i wojenny front, a teraz oto stoi w oknie Belwederu jako gospodyni królewskiej siedziby i żona najważniejszego człowieka w wolnym kraju. „Najwyższego weźmiesz”, czy nie tak powiedziała jej kiedyś Cyganka? Będzie wolna Polska, czy nie tak mówiła kiedyś babka Karolina? Pewnie dumna byłaby z niej teraz, zresztą z pewnością bardziej z jej walki o wolność niż z remontów w pałacu. Niemniej kiedy przeprowadziła owe remonty, poczuła się lepiej w tych wysokich pokojach. I Ziuk był zadowolony, mimo trosk zauważał zmiany w przestrzeni i mówił: „O, jak tu teraz ładnie!”. Ziuk. Miała nadzieję, że zobaczy go przy obiedzie, ale na myśl o nim ścisnęło się jej serce, zaczerpnęła powietrza.

Oparła głowę o białą framugę okienną. Tyle razem przeszli, trwała u jego boku w najgorszych chwilach, a te przyszły niewątpliwie po zamachu majowym, kiedy tak wielu odwróciło się od niego, kiedy tak bardzo przeżywał, że nie całe wojsko poddało się otoczonemu legendą Dziadkowi. Była przy nim w Bezdanach i gdy Pierwsza Brygada wyruszyła z Oleandrów, i kiedy wrócił z Magdeburga do Warszawy, gdy objął władzę. Wszystkie te lata tak trudne, czas niepewności, zdawały się jej teraz lepsze niż terażniejszość w pałacu, w otoczeniu dostojników, pięknych obrazów, służby. Lata dwudzieste dobiegły końca i zaczął się dla Oli trudny okres. Czas dotkliwych plotek, trujących szeptów. Tutaj, wśród antycznych mebli, arrasów i zdobnych żyrandoli, wśród licznej służby, gości i urzędników, poczuła się nagle sama.

Jej mąż był także mężem stanu i należał teraz do całej Polski. Większość czasu spędzał

w gmachu GISZ-u\* na Królewskiej. Teraz nie ona, lecz ordynans podawał mu rano śniadanie i gazety, nie ona pełniła funkcję jego sekretarki, lecz poetka Iłakowiczówna, o czym plotkowało miasto. Ola wiedziała, że Ziuk sam zaproponował tę pracę owej młodej osobie, wiedziała, że panna Kazimiera była przy śmierci Narutowicza w Zachęcie i trzymała na kolanach głowę nieszczęsnego prezydenta, gdy ten umierał, i że to zapewne zadecydowało o życzliwości Marszałka dla poetki. Może też wspomnienia, bo znał ją jeszcze z Krakowa, kiedy przy Szlaku mieszkał z pierwszą żoną. Kwaterowała u nich wówczas starsza siostra Kazi, a ta odwiedzała ją i pewno już wtedy zachwyciła się Józefem. O tym, że potrafił zawrócić w głowie młodym kobietom, Ola wiedziała bardzo dobrze. Wiedziała też, że jest najbliższą mu osobą i tak naprawdę tylko na nią może liczyć. Plotki pojawiały się w ich życiu już nieraz, zwłaszcza od czasu, kiedy Piłsudski stał się Naczelnikiem Państwa, z Komendanta przeobraził się w Marszałka, z szefa sztabu w dyktatora. Postanowiła kiedyś nigdy nie słuchać plotek, nie przejmować się nimi, tym razem jednak nie plotka, tylko fakt, pewna decyzja sprawiła jej prawdziwą przykrość.

Oto kilka dni wcześniej Ziuk przyjmował w sztabie prezydenta Mościckiego i nie poprosił jej, by stanęła u jego boku jak zwykle, jako gospodyni. Powierzył te obowiązki panie Iłakowiczównie, którą nazwał swoim „sekretarzem”. Na myśl, że ta młoda kobieta zajęła miejsce należne żonie, nawet jeśli tylko na chwilę, było Oli po prostu przykro. Ogarniał ją też gniew, że Ziuk nie pomyślał, w jakiej stawia ją sytuacji. Nawet jeśli ostatnio ich ścieżki biegły bardziej równoległe niż jednym, wspólnym traktem jak jeszcze w Sulejówku, kiedy była jego powiernicą, sekretarką, przyjaciółką, to przecież wciąż była blisko. Wiedziała, że nie porozmawia z nim na ten temat, nie poruszy sprawy przy dzieciach, a wieczorami, gdy będą sami... Wieczorami od dawna się nie widywali.

– Nigdy nie uwierzę w zdradę męża – rzekła sama do siebie i dumnie uniosła głowę. Jedyną osobą, z którą mogłaby o tym porozmawiać, była jej wierna przyjaciółka Halina Sujkowska. Obiecała sobie kobiecą rozmowę jeszcze dziś i odpędziła smętne myśli. Miała pewność, że Ziuk nie odwróci się nigdy od rodziny ze względu na coś, co uznawali oboje za najwyższą wartość. Były to ich córki: Wanda i Jagoda, kochał je nad życie. Ich śmiech dobiegał właśnie zza okna, śmiech, okrzyki i poszczekiwanie psa. Ola zmieniła zdanie, zamiast iść do gabinetu, wyszła na zewnątrz.

Po ogrodzie Belwederu biegały córki Marszałka, a z nimi rozradowany owczarek niemiecki o imieniu Pies. Pies był godnym następcą Dorka, ulubieńca z Sulejówka, który dokonał tam psiego żywota. Pies był młody i odpowiednio szkolony, specjalizował się w ochronie dokumentów. Niestety, okazał się osobnikiem życzliwym dla całego świata, radosnym i nie zakładał złych intencji ze strony kogokolwiek. Być może, gdyby go ładnie poprosić, dokumenty przyniosłby potrzebującemu w pysku. Mimo że głuptas, jeśli chodzi o psie wykształcenie, nadawał się świetnie do zabawy. Cała rodzina pokochała Psa, wybacząc mu niedobory intelektualne, a Marszałek szczerym oburzeniem zareagował na propozycję zamiany Psa na pojętniejszego. I tak zwierzak, który nie przypuszczał nawet, że jego pozycja w Belwederze była zagrożona, pozostał z rodziną Marszałka i nikt już nie oczekiwał od niego ochrony żadnych papierzyk.

Dziewczynki rzucały mu kije, które posłusznie aportował. Ola skierowała się ku dzieciom z myślą, że zabierze je na obiad. Nawet teraz nie chciała zatrudniać bony, postanowiła wychowywać swoje córki sama, co wcale nie było łatwe przy liczbie zadań, które na siebie wzięła. Pracom społecznym poświęcała czas od dziewiątej do piętnastej, o tej godzinie jadła obiad z rodziną i spędzała czas z córkami, a potem od siedemnastej do kolacji znów pracowała. Musiała znaleźć czas dla petentów przybywających z licznymi prośbami: od tych o posag po te

o interwencję w sądach. Obowiązki reprezentacyjne, czyli pojawianie się u boku męża na przyjęciach u prezydenta czy na oficjalnych rautach, nie cieszyły ani jej, ani Ziuka. Wieczory jeszcze do niedawna woleli spędzać razem, rodzinnie. Ola lubiła te godziny: chętnie sama przynosiła mu słodką herbatę, patrzyła przez ramię, jak stawał z Jagodą pasjansa. Rzecz w tym, że ostatnio coraz mniej było tych wspólnych godzin.

Może powinna znaleźć więcej czasu na to, by odwiedzać go w gabinecie GISZ-u? Czas mijał jej tak szybko. Zaangażowała się w działalność społeczną na rzecz dzieci i biedoty. Zbyt wiele ubóstwa i nieszczęścia kwitło w kraju, który miał być przecież ojczyzną dla wszystkich obywateli. Kto miał pomagać potrzebującym, jak nie żony polityków? Kiedyś jako socjalistka głosiła z wiarą teoretyczne prawdy, iż sprawiedliwe państwo powinno stworzyć odpowiednie struktury i zasady, by wyplenić biedę i nieszczęście. Teraz poznawała praktykę, widziała, że działania ludzi wpływowych i zamożnych także są konieczne, że trudno czekać na struktury, gdy obok głodują dzieci. Zakładała towarzystwa, organizowała kwesty, zwoływała zebrania, ale poza tym wszystkim sama odwoziła co rano córki do szkoły. Przydzielono jej samochód z szoferem i warszawiacy przyzwyczaili się do widoku ciemnego auta, które jechało w stronę Ochoty, ku szkole prowadzonej przez Wandę Szachtmajerową oraz jej cztery siostry, panny Posseltówny. Była to szkoła nowoczesna, w której tyleż uwagi przykładano do wiedzy, co do „świadomego kształtowania charakterów”, jak pisała jej dyrektorka, panna Irena Posseltówna. Dzięki stypendiom w szkole uczyły się dziewczęta z rodzin bogatych i biedniejszych, hrabianka Ostrowska siedziała obok córki kolejarza i nie robiono między nimi różnic. Wszystkie nosiły zielono-czarne mundurki, zielone berety z pomponem i srebrną koniczynką, symbolem placówki. Dziewczęta redagowały gazetkę szkolną pod tytułem „Koniczynka”, które to pisemko jeszcze do niedawna było przedmiotem uciechy i kpin Ziuka, gdy wieczorami odczytywał głośno artykuły, dopytywał o autorki i dawał im krytyczne uwagi. Ola bardzo była zadowolona ze szkoły pani Szachtmajerowej, ale z tego, że zbliżały się wakacje, też. Zamierzała zabrać całą rodzinę do dworku w Pikieliszkach, właśnie zakupionego z racji zapisania legionistom legatów ziemskich. Oboje z Ziukiem byli przecież legionistami, jej należał się taki nadział również jako damie orderu *Virtuti Militari*.

Pikieliszki na Litwie! Ileż tam było roboty: dach, budynki, zamierzała wziąć się do tego energicznie i wciągnąć męża w gospodarskie działania, a nawet niechże siedzi nad jeziorem i obserwuje kaczki. Na szczęście kochał tamte strony i przyrodę. Wiadomo było, że jeśli wezmą posiadłość ziemską, to na Litwie, tam ciągnęło go serce, tam szukali działek położonych wśród rozległych łąk niedaleko Wilna. Wybrali w końcu dworek w Pikieliszkach, chociaż miała być Pohulanka w Druskiennikach, też ładne miejsce, lecz dom stał tu zbyt blisko drogi. Gdy do Druskiennik Ziuk zaczął jeździć sam, a jego lekarzem została doktor Eugenia Lewicka, Ola zdecydowanie straciła serce do tego uzdrowiska. Lewicka była niewątpliwie młoda i ładna, jasnowłosa, o niebieskich oczach, ale to można było powiedzieć o wielu kobietach z ich otoczenia. Była też z pewnością zachwycona jej mężem, i to nie dziwiło Oli ani nie było niczym nowym. Mimo swoich lat i zmęczenia, chorób i tego, że posiwiiał, wciąż fascynował młodsze kobiety. Była do tego przyzwyczajona, on sam mówił jej zawsze: nie słuchaj plotek, nie zamartwiaj się głupstwami, Olu. O cóż innego chodzi plotkarzom, jak nie o to, by nas poróżnić? Poróżnić? Nikt nie był w stanie ich poróżnić. Zbyt wiele ich łączyło. A jednak trucizna plotek potrafi zepsuć spokojny sen.

Poza tym ta lekarka miała w sobie coś, co mogło zainteresować jej męża. Miała pasję, energię działania, przekonana była o słuszności swojej idei, chociaż ideą tą nie była polityka ani walka, lecz kwestie sportu i zdrowia. Budowała uzdrowiska na Litwie, prowadziła badania. Pochodziła z Kresów, które kochał. Życzliwi donosili, że podczas ostatniego pobytu dużo z nią

spacerował, dużo rozmawiali. Napisał jej wtedy w liście, że doktor Lewicka wychodzi za mąż. Odetchnęła, ale nie do końca, bo intuicja ją ostrzegła. Niepewność budził wewnętrzny szept: czemu akurat pisze mi o tym zamążpójściu skądinąd mało znanej nam osoby? Nic potem o ślubie nie mówiono. Czemu miałyby kłamać? A może ślub odwołano, to w takim razie także rodzi się pytanie dlaczego.

Było to cztery lata temu, a Lewicka nie tylko nie wyszła za mąż, ale nawet przyjechała do Warszawy działać przy nowo utworzonej Akademii Wychowania Fizycznego. Ola wiedziała, że Ziuk popiera ideę leczenia przez ruch, odwiedza często lekarkę i angażuje się w działania Rady Wychowania Fizycznego, propagującej w Polsce słuszną skądinąd kulturę sportu. Dowiedziała się też, że Lewicka zamieszkała nieopodal, bo przy Belwederskiej 44, i została sekretarzem Rady. Co za licho z tymi „sekretarzami” w spółnicach? Iła, a teraz pani doktor? Ach, Boże, czemu nie mogli zostać w Milusinie, gdzie ich życie zaczęło wreszcie toczyć się tak, jak zawsze chciała, czyli jak życie zwykłej rodziny.

Nie mogli, Józef skazany był na wieczną pracę dla Polski, a jej życie złączyło się nierozzerwalnie z jego losem. Kto zasiadł na szczytach, tego wszyscy widzą, jedni patrzą z podziwem, drudzy by zepchnęli w dół. Wiedziała, że miasto plotkuje z upodobaniem o romansach Marszałka, że wróżą marszałkowej rozwód, a nawet to, że mąż zostawi dzieci. Ola tupnęła. Co za bzdury! Mogła ulegać obawom, zastanawiać się, jak szef GISZ-u spędza wieczory, ale kilku rzeczy na tej ziemi była pewna. Do nich należało to, że Ziuk ma czyste ręce i żadnych pieniędzy za zasługi nigdy nie chciał. Druga to to, że kocha swoje córki i nigdy ich nie zostawi. Sama Wanda Kadenacówna, siostrzenica Ziuka, wzburzona jak rzadko, opowiadała Oli o podobnych insynuacjach zasłyszanych podczas spotkania w środowisku wrogich mu endeków.

– Odrzekłam, ciociu – mówiła Wanda – że raz tylko widziałam stryja, jak spoliczkował człowieka, i to właśnie za insynuację, że mógłby swoje dzieci zostawić.

Więc aż tak gadali, że Wandzie w twarz ktoś powiedział taką rzecz! Swoją drogą, co tam robiła? Gniazda endeckie zawsze coś przeciw niemu wymyślą. Ola skarciła sama siebie, powinna dawno zamknąć uszy na ludzkie gadanie, spodziewała się tego przecież, obiecując trwać obok niego na dobre czy na złe. Ból jednak szarpnął jej serce na wspomnienie słów Haliny Sujkowskiej: nie endecy tym razem, lecz nasi ludzie z niepokojem patrzą na przyjaźń z zapaloną do sportu lekarką. Kim ona w ogóle jest? Co dzieje się naprawdę? Zapytać go? Ziuk znów powie: a dajże ty spokój, po co dawać posłuch złym językom! Ale nikt zaprzeczyć nie mógł, że ożywiony był ostatnio i odmłodził, a powiadają, że to właśnie oznaki fascynacji dojrzałego mężczyzny młodszą, przychylną mu kobietą. Musiała przyznać przed sobą, że tym razem plotki nie były jej obojętne. Może dlatego, że dawniej, kiedy znajdowano mu nową kochankę albo królową, śmiali się z tego oboje, a teraz widywała go rzadko, jakby zniknął z jej życia pełnego spotkań, akcji dobroczynnych, delegacji i obowiązków w Belwederze. Ciężko jej z tym było, nawet Halinka Sujkowska, wierna przyjaciółka, zwróciła ostatnio uwagę na jej przygnębienie i nerwowość.

Zmęczenie także pewnie widać. Przejrzała się w zdobionym lustrze na ścianie. Miała czterdzieści osiem lat, wciąż ładne oczy, mocne spojrzenie, prostą postawę, ale siwe pasmo pojawiło się na ciemnych dotąd włosach. Wciąż go kochała. Oddała mu młodość, miała z nim dzieci, tak, kochała go od dwudziestu trzech lat. Zapewniał, że z wzajemnością, lecz czy nie mógł ukrócić tych plotek, choćby przez zmianę lekarza? Po co w ogóle było ściągać tutaj tę kobietę z Druskiennik?

W każdym razie Ola rada była z decyzji, że nie w Druskiennikach będą mieć dom przeznaczony na wakacje. Druskienniki same w sobie wspominała ciepło, widok na Niemen był tam przecudny, kwaterę w willi dostali przyjemną, dziwili się tylko gospodarze, że Marszałek

przybył bez służby, a marszałkowa sama zajmuje się córkami i osobiście pierze im sukienki.

Ziuk wiedział doskonale, że przybyłyby jak zwykle do GISZ-u, by u jego boku powitać prezydenta, przywiozłaby zastawę z Belwederu i godny posiłek. Nie musiał dawać nowego powodu do plotek, podejmując Mościckiego z tą całą Hłą... Być może zemścił się w ten sposób za jej zły humor w związku z przyjazdem doktor Lewickiej? A może plotkarze warszawscy powinni się wreszcie zdecydować: lekarka czy poetka? Jedno jest pewne: nie zobaczą zmartwionej marszałkowej, nie usłyszą słowa skargi ani pomówień dotyczących tych pań. Ola westchnęła, pocieszyła ją myśl, że dwie kochanki to chyba najlepszy dowód, że nie ma żadnej, a wyjazd do Pikieliszek dobrze zrobi całej rodzinie. Tam nie dotrą tak szybko listy z pogrózkami, obrzydliwe anonimy i plotki.

Zeszła do ogrodu po dzieci, dziewczynki rzuciły się ku niej z okrzykami, Pies ze szczekaniem, a widok rozradowanego owczarka przypomniał jej pewien incydent z Sulejówką, związany z dawniejszą wizytą Hły. To wspomnienie poprawiło jej humor na całe popołudnie. Pogłaskała Psa i przytuliła córki. Posiłek mijał im w przyjemnej atmosferze. Marszałek przybył na obiad i, tak jak lubił, opowiadał dziewczynkom anegdoty, zdziwiony nieco dobrym nastrojem Oli, spodziewał się bowiem kwaśnej miny. Sam podjął temat nieszczęsnego zastępstwa, zwalając wszystko na bezpieczeństwo rodziny, chciał uniknąć narażania żony przy przejazdach z gmachu do gmachu. Ola kiwnęła głową, że rozumie, nie zaczynała dyskusji, a po obiedzie poprosiła o auto i udała się z Halinką Sujkowską do dzielnic biedoty. Po drodze rozmawiały oczywiście o nowych plotkach dotyczących poetki i Marszałka.

– Skąd ona się w ogóle wzięła? – zapytała zatroskana Halinka. – „Sekretarz Marszałka”, tak chce się nazywać.

– Ziuk zna ją jeszcze z Krakowa – westchnęła Ola. – Już wtedy interesowała się nim, więc pewnie ma do niej słabość. Potem, po roku dwudziestym, prosiła o posadę, ale nie mógł wówczas pomóc, była u nas w Sulejówku. Nie po raz pierwszy – roześmiała się, a Halina Sujkowska popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

– Muszę ci to opowiedzieć – rzekła Ola – muszę, chociaż może to i niepocziwe. Panna Hłakowiczówna od dawna jest wielbicielką Ziuka. Otóż pewnego razu wybrała się do nas bez zapowiedzi i usiłowała wejść na teren Milusina, żeby, jak mówiła potem, „dotknąć płaszcza Marszałka”. Tyle że pies nasz, owczarek Dorek, zaatakował ją i przewrócił na ziemię. Poturbował niewiele, to był mądry pies, ale trzymał łapami i warczał nad nią, aż się wszyscy zbiegliśmy. Ja, ordynans i służba. Pomogłam jej wstać i otrząpać ubranie. Ziuk tłumaczył jej potem, że pies nie robi krzywdy, ale nie można tak bez zapowiedzi, i że ordynans miał rozkaz nie wpuszczać, gdy ktoś nie umówiony. Była to wizyta niefortunna i nietaktowna i właśnie dziś mi się przypominała. Może i to przyjmowanie prezydenta było jakimś zadośćuczynieniem.

Ale pani prezydentowa, Michalina Mościcka, kobieta w słusznym wieku, ogólnie szanowana, która także dołączyła do nich na inspekcji, nie zgodziła się z tym. Oburzała się na Ziuka więcej niż sama Ola, chociaż nie powiedziała głośno tego, o czym znów jej doniesiono: że Marszałek lubi spędzać wieczory z piękną doktor Eugenią i nie zawsze ślęczy w gabinecie inspektoratu nad papierami. Ola natomiast zapragnęła nagle znaleźć się w Milusinie, w domu, we własnym ogrodzie, daleko od świata plotek i intryg. Skarciła się jednak za słabość, bo oto przed nimi rozpostarł się obraz prawdziwej ludzkiej nędzy i nieszczęścia.

– Jak możemy martwić się głupstwami? – szepnęła do Haliny. – Popatrzcie.

– Przestrzegam, przestrzegam – rzekł szybko pan Dobraczyński, szef opieki społecznej, który przywiózł jeszcze dwie panie: doktor Dłuską z domu Skłodowską, starszą siostrę znanej uczonej Marii Curie, i żonę premiera, panią Bartłową. – To nie są przyjaźnie usposobieni ludzie. Siostry miłosierdzia na Annopolu poturbowali. Mężczyźni piją, kobiety różne tu mieszkają,

nalegałbym na ochronę, pani marszałkowo!

Ola wspomniała rudą Dorę, która pomogła jej na Pawiaku. „Nigdy się nie spotkamy, gdzie pani, gdzie ja!” Pamiętała to dobrze i wciąż miała zachowany grzebień od prostytutki patriotki. Nigdy się nie spotkały, to prawda. A może Dora też tu gdzieś była, a jak nie ona, to podobne do niej kobiety?

– Nie, nie, panie Ludwiku – odpowiedziała – nie będziemy czekać na ochronę. Wyjdę do tych pań.

Zgromadzone przy barakach kobiety nieufnie patrzyły na eleganckie damy wysiadające z bryczek.

– Czego tu? – krzyknęła jedna z nich, biorąc się pod boki. – Patrzeć na naszą nędzę, co, paniusie?

– Wynocha – krzyknęła inna, z dzieckiem na rękę – bo wszy was obleżą.

Okrzyki przybierały coraz bardziej wulgarne formy, uniosły się ku nim pięści. Smród wionął od brudnych baraków. Mieściły zdecydowanie zbyt wiele osób, rodziny mieszkały oddzielone tylko przepierzeniami. Bartłowa cofnęła się odruchowo. Ola podeszła bliżej do kobiety z dzieckiem.

– Miałam wszy i znam głód – powiedziała spokojnie. – Pomogła mi kiedyś dziewczyna taka jak ty. Teraz ja chcę pomóc. Co jest najgorsze? Brak żywności?

Skargi posypały się jak lawina. Zimno, pluskwy, chore dzieci, pijani mężczyźni, przemoc. Brak domu, brak pracy. Pewna staruszka o ładnej wciąż twarzy przysunęła się do Oli.

– Ja tutaj uciekłam z Rosji – powiedziała – do ojczyzny, do kraju. A teraz wnuczka umiera, bo chora, nie ma dla nas lekarza, nie ma nic. Lepiej mi było tam umrzeć.

Doktor Dłuska poprosiła, by zaprowadzić ją do dziewczynki. Wyszła z dzieckiem na rękach.

– Szkarlatyna, musimy zabrać ją do szpitala – powiedziała. – Ale jest nadzieja.

– Przyłożą tu czasem takie paniule – buńczucznie krzyknęła wychudzona, rozczochrana kobieta – albo zakonnice. I nic z tego nie ma.

– Tym razem będzie. – Ola zacisnęła usta. – Obiecuję, że wrócę. Też mam dzieci.

Po drodze milczała, inne panie, porażone skalą nędzy, także mówiły niewiele.

– Nie możemy tego tak zostawić – szepnęła Ola na koniec podróży. – Ja nie mam żadnej pensji, dochód Ziuka pożerają koszty reprezentacji. Ale zdobędziemy fundusze. Opracuję program pomocy bezdomnym. Powołamy stosowne stowarzyszenie. Będzie się nazywać Osiedle.

Kilka dni później kilkanaście dam znaczących w warszawskim towarzystwie oraz panowie z zarządu miejskiego i Ministerstwa Opieki Społecznej dostali zaproszenie na zebranie u marszałkowej. Przedstawiła reguły pracy i program dla stowarzyszenia.

– Mamy w Warszawie wiele ośrodków nędzy, największe: Annopol, na Żoliborzu, na Mokotowie i na Pradze na Polusie, Lubelska, Podskarbińska – mówiła. – Ludzie głodni, chorzy, stłoczeni w tych „biedakoloniach”. Na Żoliborzu w pięćdziesięciu barakach mieszkają trzy tysiące osób, na Annopolu jedenaście tysięcy. Drastyczne warunki: bez ogrzewania, bez wody, nie wspomnę o elektryczności. Musimy zorganizować tam kuchnię dla bezrobotnych i dożywianie dzieci. Opiekę lekarską i dentystyczną. Mleko dla niemowląt, ogródki zabaw i świetlice dla starszych. Bibliotekę. Wyjazdy na wakacje.

– Skąd fundusze, pani marszałkowo? – zapytał Krakowski z ministerstwa.

– Ze składek członkowskich – twardo powiedziała Ola. – Ile pan zaferuje, panie ministrze?

– Możemy też mieć ze zbiórek – z zapalem rzuciła pani Bartłowa.

– Z balów dobroczynnych, koncertów! – zagrzmiała Maria Jehanne Wielopolska. – Jest



u nas wśród arystokracji dobroczynna tradycja!

– Ja zorganizuję zbiór makulatury – zapowiedziała Rouppertowa. – Wiem, jakie fabryki potrzebują starych papierów. Sprzedamy im.

Sklep, zbiórka odzieży, lekarze, jak najwięcej członkiń i składek – posypały się propozycje i pomysły. Ola z satysfakcją popatrzyła na zgromadzonych, poczuła się jak dwadzieścia lat wcześniej, gdy zbierali się na tajnych spotkaniach PPS. Wiele osób było tych samych co wtedy, tylko czas zmienił ich twarze i sylwetki.

– I to ty, Olu, socjalistka – z udawanym oburzeniem zagadał Jędrzej Moraczewski – nawołujesz do filantropii? Wszak tym powinny zająć się odpowiednie ministerstwa i resorty!

– W teorii tak – odpowiedziała – ale życie czasem pokazuje, że trzeba modyfikować teorię. Będziemy czekać na ukonstytuowanie urzędów, a dzieciaki będą umierać z głodu i chorób. I coś panu powiem, panie premierze<sup>21</sup> – to wszystko mało, trzeba będzie jeszcze takich stowarzyszeń i akcji w całym kraju. Trzeba będzie nie tylko dawać tym ludziom fundusze, lecz szukać pracy, by sami mogli zarabiać. I ja, i twoja żona, i te panie – wskazała na żywo diskutujące damy z warszawskiej socjety – oddadzą swój czas i siły honorowo.

– Kobiety! – lakonicznie powiedział Moraczewski. – Jeśli je ogarnie do czegoś entuzjizm...

– Kobiety! – powiedział Ziuk na kolejnej herbatce w Belwederze. Herbata u marszałkowej w każdą pierwszą środę miesiąca stała się już tradycją. Tym razem zebrało się liczne grono gości, a Ola pomyślała, że pewnie dzięki tej herbatce w ogóle go widzi. Nie nocował w pałacu od tygodni, całe doby spędzał w gabinecie GISZ-u na Królewskiej, nawet posiłki tam wysyłała w specjalnych termosach. Miasto śmiało się, że śniadanie podaje mu Iła, a kolację Lewicka. Bolało to Olę, znów budziło wątpliwości, czy nie zgasło coś między nimi, ale łatwiej było odsunąć złe myśli przy życzliwych twarzach i jego uśmiechu przeznaczonym dla żony. Duma nie pozwalała jej poddawać się zazdrości. Czy nie tak było, kiedy mieszkał w Krakowie i też opowiadano różne rzeczy? On pracował, ona pracowała, widocznie czas pracy dla kraju nigdy się nie kończy.

– Kobiety – powtórzył Ziuk, obejmując żonę – a choćby moja Ola! W tych sprawach społecznych jak minister, co?

Była jak minister, tyle że pracowała za darmo i sama wyznaczała cele tej pracy. Zajęła się także oświatą i opieką dla dzieci ulicy: powołała stowarzyszenie Nasz Dom. W ramach Rodziny Wojskowej organizowała w Warszawie przedszkola i szkoły powszechne dla dzieci wojskowych. Jedno z przedszkoli funkcjonowało w samym Belwederze, pod okiem niezastąpionej pani Kazi, a dzieciaki znakomicie bawiły się w ogrodzie pałacowym. Ola zdecydowała, że tutaj odbędzie się uroczystość pierwszej komunii małych wychowanków. Planowała bal charytatywny, który pozwoli zebrać fundusze na budowę siedziby Naszego Domu na Bielanach, domu, który otwarty będzie dla dzieci ulicy. Działała także w Unii Obrończyń Ojczyzny i organizowała szkołę pomocniczą domowych dla bezdomnych dziewcząt.

Mimo zmęczenia też uśmiechnęła się do męża, był dziś dla niej miły i serdeczny, spotkały się spojrzenia oczu ciemnych i szarych, w ciemnych błysnął żal, w szarych zrozumienie. Wydało się jej, że wychudł, może do wszystkich trosk doszły pogłoski o planowanym zamachu na niego, na rodzinę. Postanowiła nie wspominać o swoich rozterkach i nie pytać o Lewicką. Kiedy goście się rozeszli, zatrzymała go w Belwederze. Dziewczynki wpadły uściskać ojca, Jagoda z nadzieją na ogromnego pasjansa zwanego napoleonem. Dał się skusić i zasiedli w salonie w czwórkę jak za dawnych czasów. Ola przyglądała się ich łamigłówkom zza ramienia, myśląc o własnym, sekretnym życzeniu. Pasjans udał się, Ziuk był w dobrym humorze i słuchał z zaciekawieniem i pełen uznania o osiągnięciach Osiedla. Skorzystała z chwili, poprosiła, by przeniósł swoje biuro

do Belwederu, by częściej widywał się z rodziną. Popatrzył wnikliwie w jej oczy, nic nie powiedział. Przeprowadzka jednakże nastąpiła w ciągu tygodnia, powróciły rozmowy o wyjeździe do Pikieliszek. Widocznie wszyscy w tym roku czekali na wakacje, nie tylko szachtmajerki, ale i sam Marszałek.

Rok szkolny jednak trwał i Ola codziennie wozila do szkoły na Ochotę trzy dziewczynki, dwie swoje: Wandę i Jagódkę, oraz Halinkę, córkę wachmistrza Walentego Wójcika. Wójcik od dawna był wiernym adiutantem Ziuka, ona sama ufała mu bezgranicznie, a dziewczynki zaprzyjaźniły się z Halinką. Często bawiły się razem w belwederskich ogrodach, zwłaszcza zimą świetnie, na ślizgawce i w hokejowych rozgrywkach. Ola przypominała sobie, jak zrzuciły ją z sanek.

Wójcikowie mieszkali po sąsiedzku: na rogu Belwederskiej i Klonowej. Ola nie widziała powodu, dla którego Halinka miałaby się tłuc na Ochotę oddzielnie. Jechały więc razem, dziewczynki szeptem omawiały swoje szkolne sprawy, a Ola patrzyła na Warszawę. Oglądała zza szyb cadillaca miasto pełne kontrastów. Przy ulicy Białobrzesckiej, przy której wybudowano gmach szkoły, stały stare domki. Uliczki wiodące do Grójeckiej nie były skanalizowane, rynsztokiem płynęły brudy, cuchnąca woda i mydliny, a obdarte dzieciaki puszczały w pomyjach papierowe statki. Elektryczności i gazu też tu nie było. Za boiskiem szkoły, na małej łączce pasła się krowa i trudno było uwierzyć, że budynek stoi w największym mieście w Polsce. Sklepy przy Grójeckiej, mięsny i nabiałowy, kusiły towarami, w egzotycznym sklepiku arabskim pyszniły się na wystawie pomarańcze pardele, sprowadzone przez właściciela z plantacji w Palestynie. Ola czasem kupowała u niego dżem figowy.

Auto minęło sklepy, patrzyła teraz przez chwilę na tramwaje jadące Grójecką do centrum Warszawy. Za zakrętem ukazał się budynek szkoły. Uściskała dziewczynki, życzyła im jak co dzień dobrych stopni i patrzyła, jak znikają w drzwiach. Czesne nie było niskie, sto złotych na miesiąc, westchnęła w duchu, ale przynajmniej nikt nie powie, że córki Marszałka zajmują biedniejszym miejsca w szkołach państwowych. I tak ubolewała nad koniecznością wystawiania wart przed szkołą, nad wojskową ochroną ich przejazdów, ale lęk o dzieci był silniejszy niż pogarda dla zamachowców. Anonimowe pogrożki szaleńców lub fanatyków, które systematycznie docierały do Belwederu, groziły zemstą na córkach, skoro nie można dosięgnąć ojca. Ola była odważną kobietą, Marszałek twierdził, że nie dba o siebie, ale jeśli chodzi o dzieci, postanowili nie ryzykować. Na rogu ulicy zamajaczył patrol ochrony, dała znak kierowcy. Kiedy zawracał przy Białobrzesckiej, widziała roześmiane panienki w zielonych beretach z koniczynką kierujące się do szkoły, nadjeżdżający od Śródmieścia automobil Ostrowskich i jasnowłosą hrabiankę Renatę, która z impetem trzasnęła drzwiami auta i biegła ku schodom, nie oglądając się na szofera. Ola uśmiechnęła się do siebie, wiedziała, skąd ten pośpiech. Spóźnień nie tolerowano, a dziewczęta musiały jeszcze zmienić obuwie.

– Poczekajcie na mnie! – krzyknęła Renata, wpadając do szatni. Jagoda Piłsudska z Anielą Uziembło i Zużą Długoszowską z jej klasy zatrzymały się na korytarzu.

– Ja mam łacinę na górze, muszę biec – powiedziała niechętnie Wanda. Nie przepadała za tym przedmiotem, a surowa pani Helena nie odpuściła jej zaliczenia ponurych deklinacji, mimo że bywała na herbatkach w Belwederze i Marszałek pokpiwał, że po starej znajomości legionowej mogłaby ulżyć jego córce. Nic z tego, pani Helena uśmiechała się tylko niby zakłopotana, ale, jak mówiła, ocenę na lepszą mogła zmienić tylko sama panna Wanda. Jeśli chodzi o naukę, obowiązywały tu surowe zasady i ani nazwisko zasłużone dla kraju, ani rodowa fortuna nie mogły pomóc.

– Pospiesz się, Rena – syknęła Anieli w stronę koleżanki – mamy historię z dyrektorką, wolę nie narazić się na jej spojrzenie, jeśli będzie w sali przed nami.

– Sto razy powie swoje „dobrze”, ale uwagę nam wpisze – dodała Jagoda.

– Już, już – Renata w biegu poprawiała warkocze. – A jak tylko skończę szkołę, to sobie zetnę włosy, skręcę i nic mi nie zrobi ani dyrektorka, ani wychowawczynie.

– Ciekawe, czy twoja mama się zgodzi – powątpiewała Anielka. – Ja wprost nie mogę doczekać się wakacji.

– I wycieczki w Tatry – westchnęła Jagoda. Dziewczęta spojrzały na nią ze współczuciem. Wszyscy wiedzieli, że ze względów bezpieczeństwa córki Marszałka nie mogą jeździć na coroczne wycieczki dyrektorki Ireny Posselt. Zdążyły przed dyrektorką.

– My, oczywiście, pojedziemy do Pikieliszek – dodała Jagoda, ale zamilkły, bo do sali weszła nauczycielka i po powitaniach sprawdziła listę obecności.

– Marysi Hirszfeldówny znów nie ma? – zmartwiła się głośno. – Czy ktoś ją odwiedzi? – Marysia, córka znanego lekarza i naukowca, chorowała i nikt nie wiedział, co jej jest, bo nie znano terminu anoreksja. Chudła w oczach, nie miała apetytu, traciła siły do życia. Dziewczęta zapewniły dyrektorkę, że zanoszą Marysi lekcje, i Irena Posselt zaczęła wykład. Kiedy zaczynała opowiadać o zamierzonych dziejach, zapominała się i prowadziła wykład, stojąc na jednej nodze, uczennice zaś prowadziły dotyczące tego statystyki. Anielka odwróciła się do Zuzy i szepnęła:

– Znów wykład bociana!

Dziewczynki w tylnych ławkach zachichotały. Tak naprawdę lubiły swoich nauczycieli: pana Mayznera od muzyki, który był uzdolnionym artystą i komponował piosenki. Panią Kwaśnicową, nieco ekscentryczną wielbicielek tańców ludowych, która uczyła rytmiki i nigdy nie rozstawała się z eleganckimi pantoflami na wysokich obcasach – nosiła je nawet do łowickich pasiaków. Panią Słonimską, delikatną i romantyczną blondynkę, która na języku polskim uczyła miłości do książek i dyskusji o wierszach. Jej mąż był poważanym profesorem, a jego brat Antoni znanym poetą. Panią Halszkę Nieniewską od francuskiego, która zmęczona rokiem szkolnym obiecywała sobie dalekie wędrówki nad ukochanym Bałtykiem.

Chmury już się zbierały nad Europą, ale u progu wakacji nikt nie przypuszczał, że nauczyciele, maturzystki i nowicjuszek szkoły Wandy Szachtmajerowej za kilka lat staną przed najtrudniejszym egzaminem z historii, że będą organizować tajne komplety i sieć konspiracji. Ładna, spokojna Halszka Nieniewska nie sądziła, że czeka ją los bohaterski, lecz tragiczny. Od pierwszych dni okupacji działała w AK, aresztowana przez gestapo w roku 1942, zmasakrowana podczas tortur, zmarła podczas kolejnego przesłuchania w alei Szucha. Ciało jej zamienione w miążgę pod butami esesmanów rozpoznano tylko po stroju i po siwym kosmyku włosów. Zdążyła przesłać matce gryps z informacją, gdzie w domu ukryła „kogutka”, czyli cyjanek potasu w opakowaniu po proszku przeciwbólowym. Sama swojego nie zdążyła zażyć i nie pożegnała się z nikim.

Pani od geografii, Idalia Sujkowska, zginęła w obozie w Oświęcimiu. Pan od fizyki i chemii, Klemens Kolański, nie przeżył Majdanka. Pani Jadwiga Posseltówna, obdarzona spokojną naturą i słodkim uśmiechem, nauczająca religii, została zgwałcona przez Niemców z SS RONA w obozie na Zieleniaku i nigdy nie odzyskała władzy umysłowej. Państwu Słonimskim przyszło zginąć w powstaniu warszawskim, jak niejednej ich uczennicy. Napis na prowizorycznym krzyżu z deseczek postawionym szachtmajerce przez szkolną koleżankę informował: Sanitariuszka „Majka”, Maria Krassowska, lat 16. Zginęła śmiercią żołnierza<sup>22</sup>.

Wszystko to, na szczęście, ukryte było jeszcze w cieniach przyszłości, teraz chmury na niebie mogły zwiastować najwyżej deszcz. Dziewczęta żyły koncertem, który przygotowywały na koniec roku. Zula Długoszowska chciała zapisać się do szkoły baletowej pani Brattowej i naradzała się z przyjaciółkami, czy warto. Czekały na rozdanie nagród za dobre sprawowanie,

pracę społeczną, lecz nie za naukę. Według pedagogów Szachtmajerowej zwykłym obowiązkiem każdej pensjonariuszki jest dobrze się uczyć i nie ma co za to dawać nagród. Zajmowały się poprawianiem ocen. Cenzurki zapełniły się stopniami i podpisami nauczycielek. I wreszcie rozdanie świadectw zamknęło kolejny rok szkolny. Zadowolone z cenzurek szachtmajerki pobiegły na lody do Wedla. A potem przyszło lato i marszałek Piłsudski z całą rodziną udał się do posiadłości w Pikieliszkach.

\* GISZ – Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych. Piłsudski, mianowany Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych przez prezydenta Mościckiego, sprawował ten urząd do końca życia.

21 Jędrzej Moraczewski był pierwszym premierem Polski po odzyskaniu niepodległości. Urząd sprawował w latach 1918–1919.

22 Opisuje to Irena Korczewska w *Zielonych beretach z koniczynką* (Warszawa 2012), s. 217 i 251.

## ROZDZIAŁ 18

### ■ WAKACJE NA LITWIE

Pracy było tu mnóstwo: dach przeciekał, park zaniedbano, suche drzewa zaśmiecały trawniki. A był to park piękny, z aleją modrzewiową, ze starym drzewostanem, lipami, dębami i klonami. Dwór prosto pobielony, tradycyjny, z gankiem zdobionym kolumnami. Nieopodal rozciągało się jezioro Żałosa i można było nad nim odetchnąć pełną piersią. Ola wiedziała, że w tym oddalonym od Warszawy dworze w Pikieliszkach będą mogli spędzać tylko tygodnie urlopowe, ale że będą to dobre tygodnie. Nie przeszkadzało jej, że nie ma tu elektryczności, nie tęsknili z Ziukiem za sztucznym światłem. Potrzebowali natury, sadu pełnego owoców, śmiechu dzieci w ogrodzie i trochę prywatności. Ziuk rozbroił ją całkowicie, kiedy zacierał ręce bardzo zadowolony z każdego kolejnego niepowodzenia związanego z instalacją elektryczną, którą usiłowano im założyć. Było zupełnie tak samo jak kiedyś w Milusinie: ilekroć się udawało, zaraz następowała awaria.

– Świat w blasku świec, w cieniu lampy naftowej całkiem inaczej wygląda – mówił, nagle poważniejąc. – Tyle lat żyliśmy bez tego nowoczesnego światła i dobrze. Samowar działa bez prądu, a to najważniejsze.

Wspominał wieczory w rodzinnym Zułowie, kiedy przed laty śpiewali pieśni powstańcze przy blasku kominka. Wspominał noce syberyjskie, czarne i mroźne, kiedy gorąca herbata z tulskiego samowaru ratowała humor i życie. Światło elektryczne rzeczywiście jakoś nie pasowało do tych światów z przeszłości, do litewskiego pejzażu i rannych mgieł, chociaż z pewnością ułatwiało życie kobietom prowadzącym dom, zajętym praniem i gotowaniem dla rodziny i częstych gości. Ola do takich należała i właśnie w niedzielę spodziewała się przyjazdu do Pikieliszek rodziny Piłsudskich; i Adam, i Zula Kadenacowa mieszkali w Wilnie, więc niemal po sąsiedzku. Szykowała ulubione potrawy męża i kuzynów z nadzieją, że tutaj nie dościgną ich plotki ani waśnie. Jeśli o coś się teraz martwiła, to o bezpieczeństwo, dlatego rada była, że po sąsiedzku kupił dom Walenty Wójcik. Dzięki temu czuła się spokojniejsza, a córki jej cieszyły się z towarzystwa Halinki. Po sąsiedzku i nieprzypadkowo zamieszkali tu także generał Żeligowski i generał Dąb-Biernacki. Ola rozumiała, że w związku z takim zagęszczeniem oficerów wyższej rangi i pobytami Marszałka inżynierowie będą musieli przeciągnąć do Pikieliszek linię telefoniczną, ale tak naprawdę lepiej byłoby im odciąć się całkiem od świata wśród owoców, pszczół i kaczek.

Ziuk zamówił syberyjską łódkę, by uczyć dziewczynki wiosłowania. Obsadził werandę winoroślą, przed nią rosły maliny i młode drzewa owocowe. Założył z córkami instytucję rodzinną zwaną Towarzystwem Rzeczy Przyjemnych Nie Zawsze Pożytecznych, które zgodnie z nazwą było źródłem zwariowanych rozrywek. Należało do nich wiosłowanie i puszczenie latawców nad Żałosą. Wróciły tego lata sielskie chwile z Sulejówka. Ziuk czuł się lepiej do tego stopnia, że doktor dziwił się poprawie zdrowia, a Ola cieszyła się, bo atak apopleksji, który miał w listopadzie na uroczystościach rocznicowych, bardzo ją przestraszył. Służyła mu rodzinna ziemia, a i córki polubiły Pikieliszki, bo zawsze lubi się miejsce wakacji, słońca i beztróskiego dzieciństwa.

Cała rodzina uwielbiała wileńskie Kaziuki, jedyny w swoim rodzaju jarmark, który organizuje się w Wilnie w marcu na cześć Świętego Kazimierza, patrona Litwy. Niezliczone wozy i wielkie masy ludzkie przybywają wtedy na plac Łukiski, by po uroczystej mszy zanurzyć się w rozkoszy handlowania najdziwniejszymi towarami. Można było na Kaziukach znaleźć

wszystko, zarówno rzeczy praktyczne – balię, garnki gliniane czy drewniane zabawki dla dzieci, jak i dziwne – zioła, żmije suszone, które są znakomitym lekarstwem na gruźlicę, i oczywiście obwarzanki na sznurkach i lukrowane na czerwono serca z piernika. Wielką miały dziewczęta frajdę z wycieczki z ojcem na Kaziuki, zwłaszcza gdy sam rozdawał czerwone serduszka i budził powszechne zainteresowanie ludzi. Tak, wakacje w Pikieliszkach dobrze zrobiły całej rodzinie. Ola przypuszczała, że tym trudniejszy będzie powrót do Warszawy, gdzie niechybnie czekają na nich nowe intrygi, donosy i anonimowe pogróżki. A jednak jesień roku 1930 nieuchronnie nadchodziła. Dziewczynki musiały wrócić do szkoły, Ziuk do spraw wojskowych, a i ona do swojej pracy.

– Wrócimy tu za rok – pocieszała dzieci i siebie, gdy wyjeżdżali, i nie przyszło jej nawet do głowy, jak trudny będzie dla niej ten początek trzeciej dekady dwudziestego wieku.

■

Już koniec sierpnia i wrzesień 1930 roku obfitował w gorące zdarzenia w polityce, co przekładało się na atmosferę w ich domu, czyli w pałacu. Mąż Oli chodził zirytowany i klął na posłów, nie przebierając w słowach. Przeciwna mu koalicja zmobilizowała siły, partie wrogie Marszałkowi skupiły się pod nazwą Centrolewu i jawnie głosiły swój cel: obalenie dyktatury Piłsudskiego. Prezydent Mościcki, jak zawsze lojalny wobec Marszałka, w sierpniu rozwiązał sejm i wyznaczył nowe wybory na jesień. Przedstawiciele opozycji sanacyjnej aresztowano i osadzono w twierdzy w Brześciu, rozpoczął się słynny proces. Były to działania prowadzone z pozycji siły i bardzo krytykowano Ziuka, także za jego ostre słowa o „rozwydrzeniu władz”. Wypowiadał się w wywiadach bezkompromisowo: „pan poseł to nikczemne zjawisko – oświadczył w wypowiedzi dla „Gazety Polskiej” – a cała praca sejmu śmierdzi! Nie pozwolę na to, w imię Konstytucji!”<sup>23</sup>. Wielu przyjaciół odwróciło się teraz od niego, zwłaszcza gdy rozeszła się wieść o brutalnych przesłuchaniach posłów. Ola martwiła się tym i choć stała przy nim wiernie jak zwykle, to i nią, jak wieloma innymi piłsudczykami, targwały wątpliwości.

– Dopiero historia to oceni – mówiła, lecz czasem jednak usiłowała rozmawiać, wpłynąć na jego decyzje. Zdawało się jej, że nie o wszystkim wie, że otaczają go ludzie, przez których kordon nawet jej trudno się przedostać do prawdziwego Ziuka. Kiedy słyszała o szykanach podczas przesłuchań w procesie brzeskim, pozorowanych egzekucjach, głodzeniu i upokarzaniu więźniów, nie mogła i nie chciała się z tym godzić. Na Boga, wszak Witos nie był przestępcą! A ten nieszczęsny Korfanty? Endek co prawda, ale za Polską optował zawsze, brał udział w powstaniu śląskim! Pewnego dnia, kiedy aresztowano szanowanego prawnika Włodzimierza Kozubskiego, co więcej, poddano go torturom i podobno doradzano nieszczęśnikowi samobójstwo, odwiedziła ją w Belwederze Zosia Zawiszanka, dawna towarzyszka broni, wielbicielka Ziuka, tym razem bardzo wzburzona i przejęta sprawą Kozubskiego.

– Dowodów winy nie było żadnych, niewinnie go zamknęli. Ktoś perfidnie chciał zniszczyć Włodka i skryć się w wielkim cieniu Komendanta – powiedziała otwarcie. – Cała ta „komisja do spraw nadużyć” to jedna mafia. Otaczają go, Olu, ciemne moce, czują to. Na list zacnego Anusza nie odpowiedział wcale. Tego samego, z którym walczyliśmy ramię w ramię, którego z dowodzenia Oddziałami Strzeleckimi ot tak zdjęto!

Pstryknęła palcami, żeby pokazać, jak szybko i bezpardonowo. Słowa jej wstrząsnęły Olą, chociaż wiedziała, że i Zofia może nie być do końca obiektywna, mówiąc o tych ciemnych mocach. Ostatnio stała się ogromnie religijna i uduchowiona, mówiono, że powołuje się często na siły nadzwyczajne i wierzy w nie bezkrytycznie. Ziuk jednak zawsze bardzo ją cenił i już samo to, że nie chciał z nią porozmawiać, z zasłużoną Zawiszanką, było dziwne. Nikt z Belwederu zresztą nie chciał jej przyjąć: nawet Walery Sławek nie znalazł dla niej chwili,

dopiero Ola wysłuchiwała z uwagą jej słów. Zofia, kobieta oficer, doświadczona na polu walki, zawsze darzona zaufaniem i chwalona przez Ziuka, rozplakała się w gabinecie Oli.

– O niego też mi chodzi, Oleńka, o naszego ukochanego Komendanta, chrzestnego przecież mojej Anuli – mówiła przez łzy. – Pamiętam, jak mówił do mnie w sierpniu na Oleandrach, gdy ruszała kadrówka, że nikt w całej Polsce tak nie odczuwa ciężaru tej decyzji. I cóż? To jego rangę i nazwisko szarpia teraz, jak chcą. Nie chciałam cię w to wciągać, w to bagno, wybacz. Ale w jego imieniu robią komuś tę potworną krzywdę, jakże mam patrzeć na to?

Ola także nie mogła. Cudza krzywda zawsze tkwiła cierniem w jej sercu. Udało się jej porozmawiać z mężem na osobności i poważnie. „Komisję do spraw nadużyć” wkrótce zlikwidowano, a Kozubskiego zwolniono i zrehabilitowano.

– Nikt prócz ciebie nie chciał mnie wysłuchać – powiedziała jej potem Zawiszanka, dziękując za interwencję, ale w czasie procesów brzeskich znowu przyjechała do Belwederu.

– Co się dzieje, Olu, co się dzieje z Komendantem? – pytała zatrwożona. – Jakby nie był sobą. Te przemówienia, że niby w narodzie, który go kocha, czaił się wróg? Te przekleństwa? Ja modłę się za niego codziennie i wierzę głęboko w moc modlitwy. Powiedz mu to, Olu, że się modłę w imię dawnych zwycięstw i naszego ognia miłości do ojczyzny! Powiedz mu, by był ostrożny, ty mu powiedz, bo nie dociera do niego żaden głos uczciwy, chyba tylko twój!

Ola mogła pozwolić sobie z Zosią Zawiszanką na więcej szczerości niż z kimkolwiek innym, chociaż na jej prośbę, by spotkać się z Komendantem, nie zareagowała zbyt ochoczo.

– To już nie jest ten sam Ziuk co kiedyś – powiedziała cicho pobladała. – Sama nie wiem, kto czy co mu szkodzi, ale wierz mi, Zosiu, że nie sypiam czasem całe noce. Bywa, że wszystko jest jak dawniej, ale przychodzą chwile gniewu, na nas najbliższych, na otoczenie, nawet na dawnych żołnierzy. Jakby nagle miał dookoła samych wrogów, jakby tracił przytomność z gniewu. Onegdaj z powodu takiego ataku musiałam go wyprowadzić ze spotkania z weteranami. Ale wszystko to słabe zdrowie, Zosiu, przemęczenie. Wrócił już do siebie i mogę ci nawet powiedzieć, że ostatnio czuje się znakomicie.

Zawiszanka pokiwała głową ze zrozumieniem. To samo i tak samo, jakby wyuczonymi słowy mówił jej pierwszy mąż, Janusz Gąsiorowski, który pracował teraz blisko przy Marszałku. Rozstała się z nim niegdyś w gniewie, ale teraz ponownie nawiązała kontakt, bo miała nadzieję, że wprowadzi ją do Belwederu i uzyska audiencję. Znała swojego męża dobrze, czuła, że w jego przemowie na temat poprawy zdrowia Marszałka jest jakiś fałsz. Dotarły też do Zawiszanki plotki o Lewickiej i bardzo ją zmartwiły. Wyszły z ust zaprzyjaźnionych, bo gdyby z wrogich, nie przejęłaby się wcale. Obawiała się, że między Marszałkiem a żoną różnie teraz bywa. Pamiętała dobrze dzień, w którym zaproszona była do Belwederu i wizytę nagle odwołano: otrzymała wiadomość, że pani Piłsudska w pośpiechu zabrała córki i wyjechała do Sulejówka. W środku tygodnia, mimo szkoły, mimo licznych zajęć?

Zosia dzwoniła potem do Milusina, lecz Ola nie podeszła do telefonu, przez adiutanta odpowiedziała, by przeprosić, ale nie może rozmawiać. To niepodobne do niej było zupełnie. Albo popadła w taką desperację, że nie chciała z nikim mówić, albo płakała i nie chciała się zdradzić z chwilą słabości. Podobno przed wyjazdem do Milusina wybiegła z gabinetu męża po burzliwej rozmowie, a w nocy płakała, co kucharka Adelcia, przejęta bardzo, wyznała Wandzie Gertz. Wanda, dawny legionowy „Kazik”, pracowała jako adiutant Komendanta przy tajnych sprawach, mieszkała w Belwederze, więc w jej słowa Zawiszanka wierzyła bez zastrzeżeń. Warszawa tak plotkowała, że nawet Zofia nie mogła tego znieść, co więc musiała przeżywać Ola Piłsudska? Kimkolwiek była doktor Lewicka dla Komendanta, jego lekarką, przyjaciółką czy kimś więcej, pojawiła się w ich świecie i nie było to dobre dla rodziny Marszałka, a zdaniem Zawiszanki także dla kraju. Tym bardziej postanowiła dotrzeć do Piłsudskiego i ze względu na

stare lata wystąpić z przestrożą. Pani kapitan nie należała do kobiet lęklwych. Należała za to do grona największych wielbicielek Komendanta, ubóstwiających jego osobę, z przerażeniem zatem patrzyła, jak kruszeje jego legenda.

Podczas tej sztywnej rozmowy zrobiło się jej smutno i żal Oli, o której jak najlepsze miała mniemanie, zrozumiała jednak, że marszałkowa jej spotkania z Komendantem nie ułatwi, a współczucia nie zechce przyjąć. Za dumna była na to. Już jakby żałowała chwili zwierzeń i uparcie tłumaczyła teraz Zofii, że nagle stany osłabienia mają związek z przeciążeniem, z odpowiedzialnością za kraj, jeszcze większą niż kiedykolwiek, i że po wakacjach w Pikieliszkach prawie nie powróciły.

Ola sama sobie tłumaczyła, że niezwykle zdarzenia w polityce są powodem tego, że mąż odsunął się od niej, zaangażowany w sprawy kraju od świtu po noc. Burzliwą rozmowę i swój wyjazd pamiętała doskonale, nie zniosła jakiejś kolejnej uprzejmej informacji o kolacji czy naradzie męża z panią doktor. Próbowwała wymóc na nim odsunięcie Lewickiej. Czara goryczy przelała się, gdy Ziuk patrzył na nią wrogo i zniecierpliwiony klął na cały ten świat, który od niego ciągle żąda, na pomówienia, że „wszystko chcą mu zabrać i za wszystkich musi myśleć”. Wysła z gabinetu ze łzami gniewu w oczach, z poczuciem, że nie usłyszała prawdy, że gdzieś znikła ich dawna bliskość i zaufanie. Zabrała dzieci i chciała ukryć się przed całym światem. Przyjechał potem po nią do Milusina, spokojniejszy, znów jakby wrócił do siebie – Ziuka sprzed lat, z błyskiem w oku. Podkręcał węża, żartował, dziewczynki witały go szczęśliwe, a on patrzył na Olę z dawnym ciepłem w oczach, ucałował jej ręce, jakby prosił: nie rób mi tego, Oleńko, towarzyszeko z lat bezdańskich, z czasu kiedyśmy byli tylko szalonymi rewolucjonistami, wracaj, nawet jeśli, psubrat, coś zawinił.

I tak musiała wrócić do Warszawy, córki chodziły do szkoły, a ją wzywały liczne zobowiązania. Poczucie sukcesu i spełnienia miała teraz w dwóch dziedzinach niezaprzeczalne: jako matka Wandy i Jagódki i na polu swojej pracy społecznej. Osiedle działało prężnie, Ola była dumna z tego, że otaczało opieką już około dziewięciu tysięcy wychowanków. Wraz z doktor Dłuską podjęła się budowy domu wypoczynkowego dla dzieci zagrożonych gruźlicą, które koniecznie powinny przebywać z dala od dusznego miasta. Zdecydowały, że zbudują go w Otwocku. Ola poprosiła sławnego i ekscentrycznego Stasia Witkiewicza, kuzyna Piłsudskich, autora portretów i Ziuka, i i ich córek, o projekt budynku. Szalony artysta i pisarz uśmiechnął się kpiąco na propozycję pracy społecznej, ale Oli nie odmówił. Kiedy po raz kolejny pojechali z Sujkowską do baraków, kobiety, wdzięczne za odizolowanie od pijaków i pomoc lekarską, przyjęły je już zupełnie inaczej. Miło było Oli popatrzeć na rozpogodzoną twarz staruszki z Rosji, bo wnuczka jej wróciła do zdrowia, ale wiedziała też, że to kropla w morzu potrzeb. Mobilizowała panie ze swojego grona do działań konkretnych i realnych, szukały sposobów, by dać tym ludziom szansę na godne życie, nie tylko zapomogi. Marszałkowa wpadła na nowy pomysł: działki na peryferiach miasta. Nieużytki, porośnięte chwastami, czekające na zagospodarowanie. Panie ze stowarzyszenia Osiedle złożyły do magistratu prośbę o przeznaczenie ich na działki rolnicze dla bezrobotnych. Dostali je pod uprawę najbardziej potrzebujący, towarzystwo zakupiło narzędzia i nasiona. I teraz jesienią, gdy Ola i kilka pań siedziały w biurze stowarzyszenia, przed budynek zajechał wóz pełen warzyw, a na nim Walek, młody mężczyzna, który dostał jedną z działek.

– Ziemniaki, kapustę i pomidory przywiozłem – poinformował Walek zdumione kobiety – dla innych. Dla tych, co jeszcze nie mają co do garnka włożyć.

– Skąd macie tyle tego? – zapytała Halinka.

– A ze sprzedaży swoich upraw nieźle zarobiłem, część kładę na wóz, mówię sąsiadom, gdzie wiozę, to inni ze swoich działek dołożyli. My nie zapominamy, pani marszałkowno, że



niedawno nam było gorzej.

Ola nic nie odrzekła Walkowi, wzruszyła się jednak bardzo, podeszła i uściśliła mu rękę.

■

Jesień była czasem wyborów do sejmu. Marszałka pochłaniały rozgrywki polityczne i Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem Józefa Piłsudskiego – BBWR, który skupiał jego stronników. Był premierem rządu. Spalał się wśród kolejnych krytycznych wystąpień, znów płacił gorączką i chorobą za swoje decyzje, stanowisko, upór i odpowiedzialność, jaką wziął na siebie. Po wyborach, które poszły po jego myśli, na początku grudnia oddał rząd w ręce Walerego Sławka, a rodzinie oznajmił, że musi wybrać się na dłuższy urlop dla podratowania zdrowia. Chciał jechać sam, tylko z lekarzem Woyczyńskim i adiutantem Lepeckim, w ciepłe miejsce, z dala od polskiej zimy. Zapytał swoje panie o radę gdzie. Córki z zapalem szukały miejsca, żeby było ciepłe i zdrowe, i odpowiednio dalekie od Warszawy. Pogodziwszy się z faktem, że nie będzie go na Wigilii, doradziły piękną wyspę Maderę. Ola żałowała, że zabraknie go także podczas jej urodzin, 12 grudnia, i właściwie wolałaby, by spędzili święta razem, rodzinnie. Mogli przecież wyjechać do Sulejówka, opiekowałaby się nim nie gorzej niż Woyczyński. Niemniej argument dotyczący zmiany klimatu przemawiał do niej, zwłaszcza że w ostatnich czasach zdrowie męża znacznie się pogorszyło, za to humor powrócił. Może i potrzebował samotności, ciszy i słońca, może lepiej, jak odsunie się od tych pełnych jadu kłótni w Polsce. I tak z początkiem grudnia Ziuk pojechał do Lizbony, by stamtąd udać się na portugalską Maderę. Ola rzuciła się w wir swoich obowiązków, przyjęła gości imienninowych, ustaliła zimową pomoc bezdomnym i odzyskała równowagę ducha. Przed samymi świętami, kiedy rozmyślała o wigiliach dla swoich podopiecznych i prezentach dla córek, otrzymała cios w samo serce. Ktoś przyniósł jej zdjęcie z Madery. Widnieli na nim wyraźnie, na motorówce prującej morskie fale, Ziuk, doktor Woyczyński i doktor Eugenia Lewicka.

■

Halina Sujkowska odradzała gwałtowne decyzje i błagała, by czekać na wyjaśnienia.

– Ona jest wciąż jego osobistym lekarzem, Olu – mówiła. – Oficjalnie więc nic dziwnego nie ma w tym, że mu towarzyszy.

Owszem, dziwne było to, że zataił jej obecność przed żoną. „Przez te plotki”, podpowiadał jej głos pociechy, „nie chciał mnie zdenerwować”. A jeśli rzeczywiście coś więcej łączyło go z tą aktywną panią doktor? Czy rzeczywiście mógłby odejść od żony i dzieci? Niemożliwe, by po latach wspólnego życia zrobił coś takiego. Niemożliwe, znała go. No właśnie... Znała go? Nic nie było niemożliwe, kiedy zapalał się do jakiejś idei. I jednak była tam z nim na Maderze ta młoda kobieta wskazana przez plotkarzy jako jej następczyni. Była tam jako lekarz. Ola nie mogła dopuścić innej myśli, postanowiła udawać, że o niczym nie wie. Zaciśnięta zęby, spędziła w gabinecie cichą godzinę tylko sama ze sobą. Kłębili się z pewnością w jej głowie wspomnienia i wątpliwości, wzruszenie na przemian z falą lęku, niedowierzanie i poczucie upokorzenia. Nie tak miało być. Nie o takie sprawy walczyła. Trwała przy nim przez te wszystkie lata. Walczyli oboje, zawsze po tej samej stronie. Ej, Ziuk. Masz rodzinę, masz przyjaciół, masz cały kraj, w końcu wrócisz, co wtedy?

Halinka doniosła jej, że Józef Beck wysłał na Maderę dyplomatę – podróżnika Lepeckiego, żeby zbadać, co tam się właściwie dzieje, ale żadnych wieści od niego nie było. Czas mijał, plotki ucichły, a potem wybuchły ze wzmożoną siłą. Oto, nie wiadomo dlaczego, doktor Eugenia Lewicka przyjechała z Madery sama, na długo przed planowanym terminem powrotu Piłsudskiego. Potem, już w ustalonym czasie, powrócił Marszałek i zerwał wszelkie

kontakty z panią doktor. Powrócił do pracy i życia prywatnego, przywiózł rodzinie prezenty z Madery. Nie chciał z nikim rozmawiać o tym, co się stało na wyspie: czy Lepecki przywiózł wieści z kraju, że żona wie o towarzysze podróży Marszałka, więc pozbył się jej pospiesznie? Czy może doszło do konfliktu, bo Eugenia oczekiwała od niego konkretnych decyzji? Może otrzymał inne jeszcze informacje, które kazały tak postąpić? Ola nie dopytywała. Wiosną roku 1931 rozmawiali o powrocie do Sulejówka, oboje świadomi, że niemożliwe jest wycofanie się z czynnego życia politycznego. Ale wyjazd na całe wakacje do Pikieliszek był w zasięgu ich możliwości. Druskienniki nie wchodziły w grę, oboje omijali temat, oficjalnie Ola chorowała w tym klimacie. Panna Eugenia raz tylko jeszcze pojawiła się w ich życiu, zresztą w nader smutnych okolicznościach: w czerwcu przyniesiono do pałacu wiadomość, że doktor Lewicka nie żyje. Znalaziono ją nieprzytomną w jej własnym gabinecie na Bielanach i nie odratowano w szpitalu, mimo wielu starań. Zmarła na skutek zatrucia substancjami chemicznymi. Jak mogło dojść do tej tragedii, nikt nie wyjaśnił, chociaż plotek zrodziło się znowu bez liku: może popełniła samobójstwo po odsunięciu jej przez Marszałka. Jego otoczenie ją zaszczuło. Ktoś ją otrął. Wreszcie: uległa wypadkowi. Albo była rosyjskim szpiegiem, podstawiona, celowo wślizgnęła się tak blisko najważniejszego polityka w kraju i dlatego Piłsudski gwałtownie odsunął ją od siebie, gdy wszystko się wydało. Albo stuknął ją wywiad jeden albo drugi. Prawda nigdy nie wyszła na jaw. Eugenia Lewicka była osobą samotną, tajemnicę zabrała ze sobą do grobu. Jeśli ktokolwiek wiedział coś więcej, był to sam Marszałek, ale oprócz pełnego goryczy komentarza „i tego mi nie oszczędzili” – nie powiedział nic więcej i nigdy potem nie wracał do tego wydarzenia.

Pogrzeb doktor Lewickiej odbył się po cichu. Dziwnie nie podjęty tematu nawet wrogie Piłsudskiemu gazety. Z drugiej strony zaskakująca była obecność na nim osób tak znanych jak sam Wieniawa-Długoszowski. Piłsudski pojawił się na chwilę na uroczystościach pogrzebowych, w nawie kościoła, i szybko zniknął, wrócił do swojego życia. Ola nie zwykła żywić urazy do zmarłych. Jak najszybciej zorganizowała wyjazd wakacyjny do Pikieliszek. Wiedziała, że on chce wrócić do rodzinnego życia i spokoju, i ona też tego chciała. W świecie publicznym jednak postrzegano go teraz jako jeszcze bardziej nieufnego, opryskliwego. Uparta Zawiszanka wciąż próbowała z nim porozmawiać, na jednej z kolacji dla dawnych legionistów, jakie urządzała marszałkowa w Belwederze, dotarła nawet do Piłsudskiego i zagadała, ale zbył ją w kilku oschłych słowach.

– Czy gniewa się o coś na mnie? – spytała Olę zaniepokojona.

– O to pytają mnie teraz wszyscy nasi dawni znajomi – westchnęła marszałkowa. – Muszę wciąż zaręczać, że Ziuk nie gniewa się na nikogo, tylko... nie ma teraz ochoty na rozmawianie z ludźmi.

Nie dodała, że sama musi słuchać wciąż tego zniecierpliwienia, utyskiwań, że ma dość, że wszystkich teraz musi za rękę prowadzić, czesać i karmić, a może i kochanek im szukać. Nie przebierał w słowach. Usłyszała tylko z bólem serca, jak mówi do kogoś smutno i poważnie:

– Już wy nigdy więcej dawnego Piłsudskiego nie zobaczycie. Schowałem go dobrze, zamknąłem głęboko!

23 Wywiad dla „Gazety Polskiej” z 26.08.1930.

## ROZDZIAŁ 19

### ■ ZMIERZCH PEWNEJ EPOKI

Pasma spokoju przeplatają się w każdej biografii ze „strzałami losu” – jak mówił o nich Hamlet. Maksyma ludowa określa tę zmienność życia prosto: raz na wozie, raz pod wozem. Ola Piłsudska miała za sobą pół wieku życia pełnego burz, więcej ich było chyba niż uspokojień i przejaśnień. Młodość wypełniły jej walka i miłość, która przetrwała niemałe trudy. Plotki o domniemanych romansach Ziuka przycichły, życie rodzinne wróciło do normy, znów codziennością stały się wieczorne pasjanse i seanse kinowe w Belwederze.

Kino to był dopiero wynalazek! Cała Warszawa pasjonowała się kinem i chociaż wciąż modne były teatry i kabarety, panie na herbatkach zachwycaly się grą Smosarskiej i Eugeniusza Bodo, uwielbiały Dymszą, zazdrościły nóg Zimińskiej. Cała Warszawa śpiewała, że „każdemu wolno kochać”, podziwiano kapelusze Hanki Ordonówny. Piłsudscy nie mogli chodzić do kina jak zwykle rodziny, lecz organizowali seanse filmowe w pałacu. Zapraszali na nie kuzynów i przyjaciół. Marszałek lubił komedie i kreskówki Disneya, panie roniły łzy na melodramatach. Ziuk, stary kpiarz, wyśmiewał wrażliwość swoich siostrzenic i córek – pewnego dnia przed seansem poukladał im na krzeselkach chusteczki, a najwięcej zostawił ich swojej siostrzenicy Wandzie Bułhakowej. Film miał dotyczyć życia Chopina. Olę cieszyły te żarty, lepiej teraz spała, znikły ciemne cienie spod oczu.

Życie polityczne i towarzyskie toczyło się wprawdzie barwnie, salony komentowały teraz podboje sercowe Walerego Sławka i zbyt szybki ożenek owdowiałego prezydenta Mościckiego z sekretarką żony, ale Ola nie wypowiadała się nigdy źle o innych kobietach. Przyjęła z życzliwością nową panią prezydentową Marię Mościcką na herbacie. Chociaż zmarłą Michalinę lubiła bardzo i wspominała z żalem, plotki i chichoty dotyczące młodej prezydentowej uważała za obrzydliwe. Sądziła, że Ignacy szczerze zakochał się w Marii i że młodsza od niego kobieta wcale nie sprzedała się za zaszczyty, lecz też darzy go uczuciem. Cała Warszawa, a za nią cała Polska plotkowały chętnie: za szybki ślub, za dużą różnicę wieku i musiało coś być wcześniej, wszak ta Marysia była sekretarką pierwszej damy! Mało tego, aby wyjść za mąż za Mościckiego, musiała się rozwieść, Kościół katolicki dość szybko udzielił jej zgody, ale wszystko to miało posmak skandalu. Ledwie kilka miesięcy po śmierci żony!

Kiedy Michalina Mościcka, towarzyszką życia prezydenta od czterdziestu lat, umarła zwyciężona ciężką chorobą serca, Piłsudscy przerwali urlop w Pikieliszkach, by przybyć na jej pogrzeb. Nie przypuszczali, że Ignacy zapragnie ożenić się ponownie, więc Ziuk zaczął pieklić się na ten pomysł i kręcić nosem na zbyt wczesny mariaż z jakąś młódką. Ola, zamyślona, przypomniała mu, że sami brali ślub możliwie szybko po śmierci jego pierwszej żony i że był starszy od Oli o piętnaście lat. A pani Mościcka miała lat trzydzieści siedem, więc z tą młodością podlotka to przesada. O tym, że zmieniał wyznanie dla ożenku z Marią, już nie wspomniała. Machnął ręką, a Mościckiemu powiedział: rób, co chcesz.

Na ślub jednak nie poszli, wykręcając się gorączką Marszałka, a kiedy kilka dni później Maria Mościcka zapowiedziała się z wizytą u pani marszałkowej, znów krzyknął zirytowany:

– Jakie „wizyty” ona zamierza?! Ta pani prezydentowa żadnych wizyt składać ci nie będzie! Może co najwyżej odwiedzić panią marszałkową na herbacie!

Ale Ola znów go ułagodziła. Ignacy Mościcki, zaprzyjaźniony z nimi, nie zaznał szczęścia od wielu lat. O jego podporządkowaniu silnej osobowości Marszałka pisano wierszyki. Zmarł mu ukochany syn, zaraz potem owdowiała córka. Wyglądało na to, że starszy pan

zapraǳnął miłości i wiele wysiłku włożył w to, by wprowadzić do pałacu tę młodszą o trzydzieści lat, ale przecież już dojrzałą Marię Nagórną. Ola przyjęła ją zatem, a zachowanie kobiety, błyskotliwość, uroda jej ciemnych oczu i uśmiech rychło spowodowały, że i Ziuk rozkręcił się, rozmawiał żywo, mało tego, zażądał, by korpus dyplomatyczny został przedstawiony niewysokiej, ale energicznej pani Mościckiej. Ujęła go i później już tylko pokpiwał, gdy byli we dwoje z Olą, że stary Ignas kupił sobie cały browar, by się raz na rok szklanki piwa napić<sup>24</sup>.

– Chociaż – dodawał jeszcze z kpiącym uśmiechem – powiadają, że doktorów z Rosji Ignas sprowadził na zamek, kurację hormonalną mu stosują, by młodej żonie mógł dogodzić. Drugi nasz Sławek, powiadają, że Walery co niedziela w innej pannie zakochany, słyszałaś ty?

Ola ganiła go za nieprzystojne żarty, ale cieszyła się, że wraca i w tych rozmowach dawna bliskość między nimi, a Ziuk znów wydaje się zdrowy i silny. Zabierał dziewczynki do kawiarni Wedla albo Bliklego i patrzył z przyjemnością, jak cieszą się ptysiami i lemoniadą. Chciał im wynagrodzić to, co traciły jako córki pierwszego w kraju dygnitarza, bo chociaż sam nie lubił ochrony, jego córki poruszały się zawsze z obstawą. Nie mogły jeździć z klasą na szkolne wycieczki, obawiali się o nie oboje z Olą, zwłaszcza że przepełnionych jadem i groźbami anonimów wciąż nie brakowało. Razu pewnego, w małej kawiarence przy ulicy Foksał, gdy tak patrzył na swoje córki zadowolone z lodów, wyciągnął nieodłącznego papierosa, nie zauważywszy, że siedzą w sali dla niepalących. Kelner z całym uszanowaniem poprosił, by pan Marszałek papierosa zgasił. Patrzył przez chwilę przenikliwym wzrokiem na tego kelnera, młodego chłopaka, przestraszonego, lecz pewnego, że spełnia swój kelnerski obowiązek. Zerwał się towarzyszący im Bolek Wieniawa-Długoszowski, za nim adiutant, by przetłumaczyć młodemu, że są ludzie, którzy zasługują na przywileje w tym kraju. Marszałek zatrzymał ich gestem ręki. Zgasił papierosa i uklonił się kelnerowi.

– Dobrze robisz – powiedział. – Jak zasada to zasada. Niech zawsze u nas będą tacy kelnerzy!

– I tacy marszałkowie – dodał cicho Wieniawa-Długoszowski.

Marszałek zagłębił się w rozmowę z córkami, dopytywał o szkołę. Wandę o łacinę, spiekła raka, bo nie polubiła tego przedmiotu. Jagodę o jej szybowce, bo podobała mu się pasja młodszej córki. Sam wierzył, że samoloty i automobile mają wielką przyszłość. Obiecał, że przyjmie w Belwederze delegację ze szkoły szachtmajerek, kiwał głową z uznaniem, słuchając szkolnych opowieści, choćby o inicjatywie pomocy biedniejszym dzieciom z ulicy Opaczewskiej. Szachtmajerki miały udzielać im lekcji. Dziewczynki z przejęciem opowiadały o przygodzie pani dyrektor, która poszła osobiście w tę niebezpieczną dzielnicę, a kiedy wracała ścieżką przez kartoflisko, napadł ją jakiś wyrostek. Powaliła go na ziemię, wprawdzie sama też wylądowała w kartoflach, a złodziej Franek uciekł, lecz złapała go policja, a torebkę zakopaną na Polach Mokotowskich odnaleziono. Kiedy potem sąd chciał ukarać dotkliwie złodzieja, prosiła o łaskę dla niego i pomogła znaleźć mu pracę.

– Zuch baba – powiedział Marszałek. Dyrektorka Irena Posseltówna zasługiwała na to miano, tak samo zresztą jak jej uparta siostra, Wanda Szachtmajerowa, założycielka szkoły. Od początku, odkąd nastąpiła niepodległość, miała własną wizję placówki oświatowej, pragnęła, by młodzież uczyła się w niej tolerancji w godnych warunkach, z szacunkiem dla zdrowia i higieny. Długo walczyła o budowę gmachu. Wspierał ją mąż, inżynier Kazimierz Szachtmajer, lecz akurat gdy z funduszy zebranych w rodzinie kupiła plac na Ochocie, gdy już dostali kredyt na budowę, Kazio zmarł nagle na atak serca. Do żałoby po mężu doszła Wandzie dodatkowa troska, bo bank cofnął kredyt, twierdząc, że kobieta sama nie da rady przedsięwzięciu. Zapraǳnęła pokazać zasuszonemu dyrektorowi banku i całemu światu, że owszem, kobieta może dać radę z budową szkoły i jej prowadzeniem. Pokazała. Pomogła jej zresztą marszałkowa Piłsudska.

Gniew ogarnął Olę na wieść, że bank po nagłej śmierci pana Szachtmajera cofnął dyrektorke kredyt na budowę, tylko dlatego, że była kobietą. Ola pomogła jej założyć fundację, zbierać fundusze. Dwa lata to trwało, w końcu jednak w 1932 roku na uroczystości otwarcia i poświęcenia gmachu uparta dyrektorka mogła gościć panią Piłsudską. Ola weszła w skład Kuratorium Fundacji, a nawet jej przewodniczyła. Budynek był nowoczesny, miał jadalnię, bibliotekę i salę gimnastyczną, prysznice i sanitariaty, widne sale. Wanda Szachtmajerowa na inauguracji roku szkolnego zacytowała słowa Piłsudskiego: „Gdy ci powiedzą, że głową muru nie przebijesz, nie wierz temu”. Marszałek bardzo był zadowolony, gdy doniesiono mu o sukcesie pani Wandy i o tym cytacie. Obiecał gościć na koncercie przygotowanym przez szachtmajerki na Święto Niepodległości. Z rozbawieniem czytał listy młodszych uczennic, przysyłane mu z okazji imienin. Choćby ten od Hyzi Eymontówny, w którym dziewczynka pisała, nie przejmując się ortografią: „Kocham cię, Marszałku, bo obroniłeś Polskę i robisz żołnierzy, ja też chce ci pomagać i robię żołnierzy w szufladach, żeby służyć Polsce”. Listem Hyzi cieszył się dwa tygodnie, nosił go przy sobie i cytował z upodobaniem. Zdecydowanie miał teraz lepszy czas i najbardziej kochający go ludzie mogli odetchnąć.

Niepokój powrócił, gdy 11 listopada 1934 roku podczas uroczystości rocznicowej zasłabł na defiladzie wojskowej. Oczywiście nie chciał przywiązywać do tego wagi, opryskliwie reagował na prośby żony, by zbadał go specjalista i żeby wreszcie odpoczął. Ola i bliscy Marszałka obserwowali to od jakiegoś czasu: stał się jeszcze bardziej zdecydowany, czujny, nieufny. Cierpiał na bezsenność, trapiły go silne bóle mięśni i stawów, także zmienność nastrojów. Dostawał ataków furii, kłął, potem wracał mu dobrotliwy nastrój. Nigdy zbyt nie liczył się z opiniami, teraz lekceważył je całkiem.

Ola niepokoiła się, przypisywała te zmiany odpowiedzialności, jaką od lat dźwigał na swoich barkach. Zdawała sobie sprawę, że nie wie o wielu sprawach tajnych, związanych z działaniami wywiadu, o decyzjach, które także musiał nosić w swoim sumieniu. Po incydencie na defiladzie poczuł się lepiej, wrócił do pracy, a głowę zajmowały mu teraz dwie sprawy. Pierwszą było zabezpieczenie pokoju dla Polski paktami o nieagresji, bo przewidywał kolejną wojnę na skalę światową. Drugą były prace nad nową ustawą zasadniczą, chciał bowiem zmienić konstytucję marcową i prace sejmu uznawał za opieszale. Doszła do tego trzecia sprawa, prywatna: choroba ukochanej siostry Zuli Kadenacowej. Umierała w warszawskim szpitalu na białaczkę. Rodzina wiedziała, że nie da się ocalić jej życia. Zmarła na początku następnego roku, w lutym 1935. Śmierć siostry podkopała siły Piłsudskiego, nawet jeśli spodziewał się jej od dłuższego czasu. Uparł się jednak, by jechać na pogrzeb do Wilna. Podczas uroczystości oparł się nagle mocno na Oli, a ona patrzyła z przerażeniem na jego bezradność: miał trudności z chodzeniem. Po chwili paraliż minął. Niemniej długa podróż, wzruszenia dały o sobie znać i w marcu Ziuk rozchorował się na dobre. Trawiła go wysoka gorączka i silniejsze niż zwykle osłabienie, ale nie przypuszczał ani on, ani Ola, że to początek końca, a jego wizyta w ukochanym Wilnie była ostatnią w życiu.

Początkowo oboje mieli nadzieję, że to grypa, która wiosną dopadała go co roku, zwłaszcza że uparty i despotyczny teraz Marszałek zaprzeczał chorobie i drażniły go nieustające prośby, by wezwać specjalistę z zagranicy. Schudł bardzo, przyznawał się do nowych dolegliwości, nachodziły go bóle brzucha. Zastosował drastyczną głodówkę, która przyniosła poprawę. Uparty jak zwykle, starał się jak co dzień chodzić do Inspektoratu i przyjmować umówione wizyty, komentował politykę zagraniczną. Irytowała go teraz Francja, uważał, że romansuje z ZSRR i w razie konfliktu nie stanie po stronie sojuszniczej Polski. Patrząc na triumfalny pochód faszystów przez Europę, na poczynania tego krzykliwego człowieczka z wąsikami w Berlinie, wieszczył nową wojnę i dręczył się pytaniami, czy podpisane pakt

o nieagresji ze Związkiem Radzieckim i z Niemcami ochronią Polskę. Ola słuchała tych pełnych emocji wywodów i z przerażeniem obserwowała, jak opuszczają go siły, a dręczą fale wysokiej gorączki i ataki furii.

– Ziuk – poprosiła pewnego dnia – daj się zbadać. Nie podoba mi się ta gorączka, wciąż nie schodzi.

– Nie zawracaj mi głowy – oburzył się. – Zdrow jestem, a ty jak zwykle fantazjujesz. Dieta zrobiła mi doskonale.

– Ziuk – powtórzyła – ja zwołam konsylium. Zrób to dla dzieci, proszę cię. Sam wiesz, że jest gorzej, a od pogrzebu Zuli bardzo źle.

Zasepił się, zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Nie znosił lekarzy i leczenia, rozstał się nawet z zaufanym doktorem Marcinem Woyczyńskim, którego od lat zwał przyjacielem, bo powziął nagle podejrzenia co do jego żony. Ola z żalem myślała, że to, co spotkało panią Ludmiłę Woyczyńską, szanowaną doktor psychologii, żonę belwederskiego lekarza, nie powinno było mieć miejsca. Ponieważ Ludmiła kontaktowała się z paniami Sempołowską i Wandą Wasilewską, Marszałek ni stąd, ni zowąd zaczął podejrzewać ją o szpiegostwo na rzecz bolszewików. Na nic zdały się tłumaczenia Oli, że przecież te kobiety od lat działają w Towarzystwie Opieki nad Więźniami. Woyczyńską aresztowano, doktor podał się do dymisji. A okazało się, że powodów do podejrzeń nie było żadnych... Wypomniała mu to teraz. A także i to, że Woyczyński od dawna zwracał mu uwagę na wątrobę.

– Dobrze – ustąpił żonie – zwołaj to swoje konsylium. Ale dopiero jak przyjmę tego francuskiego polityka Lawała.

Ola kazała zawezwąć wiedeńskiego specjalistę od chorób wewnętrznych, doktora Wenckebacha, prosząc, by dołączył do grona polskich medyków badających Marszałka Polski. Wenckebach przybył szybciej niż Lawał i Ola znów naciskała na Ziuka, by jednak dał się zbadać, bo nagle zmienił zdanie i znów odmówił spotkania z lekarzami. Poczuli się jednak w nocy na tyle źle, że ustąpił. Wiedeński doktor badał go długo, wyszedł od pacjenta z poważną miną. Rozmawiał tylko z prezydentem, premierem i doktorem Sławojem-Składkowskim. Nawet Ola nie dowiedziała się jeszcze wtedy, że zdiagnozował nieoperowalnego raka wątroby. Nie powiedziano o tym także samemu pacjentowi. Wszyscy czuli, że pogorszył się i stan zdrowia, i humor Marszałka. Nie był w stanie przyjąć francuskiego ministra i koniec końców z Lawałem rozmawiał Józef Beck. Były to bardzo trudne chwile dla Oli. Mąż jej w chorobie tracił przytomność, to nie poznawał bliskich osób, to krzyczał, że go zamęczają i osaczają. Pewnego dnia, gdy usłyszała gniewne „chcecie mnie zabić tą ciągłą opieką!”, zerwała się od jego łóżka, wyszła pospiesznie z pokoju, znikła, by nikt nie dostrzegł jej wzburzenia. Adiutant Hrynkiewicz widział tylko, jak zmieniała się na twarzy, pobladła, siłą powstrzymała łzy. Ziuk jakby oprzytomniał, prosił wołać żonę, poczuł się lepiej, działały doraźne zastrzyki Wenckebacha. Konferował z Beckiem i Wieniawą na temat wizyty Lawała, wydawało się, że poprawa jest znaczna. Marszałek snuł plany powrotu do pracy, niemniej spisał ostatnią wolę, w której przypomniał, że pragnie, by serce jego spoczęło wraz z prochami matki w Wilnie. Dni majowe stały się długie i ciepłe, słońce zaglądało do belwederskiego gabinetu, ale nawrót choroby przykuł go do łóżka.

Chory tracił przytomność, zamykał się w świecie majaków i wspomnień, mrucał pod nosem jakąś własną piosnkę, niby litewską: „Biedny ty, Marszałku, biedny, biedny. Za co ty tak cierpisz?”. Nucił tak sobie, potem zasypiał. Ola nie odchodziła od niego nawet na chwilę. W nocy 11 maja Marszałek miał krwotok wewnętrzny. Drugi, słabszy, pojawił się następnego dnia, w niedzielę rano. Wszyscy zrozumieli, że zbliża się agonia. Doktor Stefanowicz poprosił Olę do oddzielnego pokoju i uświadomił jej, że są świadkami ostatnich chwil życia Marszałka.

Weszła do męża ze łzami na policzkach. O dwudziestej przybył ksiądz Kornilowicz i udzielił pacjentowi ostatniego namaszczenia. Rodzina zebrała się wokół, głucha cisza wypełniła pokój, tylko oddech chorego stawał się coraz słabszy, a wzrok szklisty. Ksiądz rozpoczął modlitwę. O dwudziestej czterdzieści trzy Józef Piłsudski, Generalny Inspektor Sił Zbrojnych, Pierwszy Marszałek Rzeczypospolitej, zmarł. Sztandar przed Belwederem opuszczono do połowy masztu.

Kiedy lekarze stwierdzili zgon, wszyscy opuścili pokój i pozostawili zmarłego z rodziną. Godziny do północy, zanim do Belwederu przybył z uszanowaniem i kondolencjami prezydent Mościcki, były ostatnimi, jakie żona i córki mogły spędzić same z mężem i ojcem. Ola zdawała sobie sprawę, że obrzędy pogrzebowe będą bardzo uroczyste, że żałoba ogarnie cały kraj, który żegnać będzie Marszałka, dla swoich żołnierzy ukochanego Dziadka, dla innych polityka i męża stanu, który doprowadził do odzyskania niepodległości. Dla niej jednak i dla jej córek zgasło życie najbliższego człowieka, nie dostojnika państwowego. Trzy godziny łez, modlitw i wspomnień musiały im teraz wystarczyć.

O północy Aleksandra Piłsudska, skupiona i poważna, ale już bez łez, przywitała prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego. Następne dni wspominała potem jak przez mgłę. Pamiętała, o co prosił Ziuk, ilekroć mówił o śmierci, przekazała tę wolę lekarzom: mózg miał być poddany badaniom, serce pochowane wraz z matką w Wilnie. W Belwederze 14 i 15 maja wystawiono ciało zmarłego w srebrnej trumnie, oficerowie dzień i noc pełnili przy nim wartę honorową. W dłoniach Marszałka umieszczono obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej, przy kryształowej urnie z sercem położono szablę, buławę marszałkowską i maciejówkę. Po dwóch dniach kondukt odprowadził trumnę do katedry Świętego Jana, gdzie tłumy przychodziły żegnać Józefa Piłsudskiego.

Siedemnastego maja o piętnastej, w ciemnościach burzowych chmur, które nadciągnęły nad miasto, wyruszył powoli pociąg żałobny do Krakowa. Wzdłuż torów zbierali się ludzie, by żegnać Marszałka w ostatniej drodze. Trumna z ciałem jechała w pierwszym wagonie. Gdy 18 maja przybyła do Krakowa, ośmiu generałów przeniosło ją na lawetę armatnią. Nieprzebrany tłum żegnający Marszałka towarzyszył trumnie z dworca na Wawel. Po modlitwach arcybiskupa Sapiehy kondukt ruszył ku Wawelowi. Poprzedzał go oddział doboszy, bijących w werble, podniosłe echo unosiło się nad ulicami miasta. Za nimi szła orkiestra wojskowa, niezliczone poczty sztandarowe wszystkich pułków Polski, księża, wojsko, wreszcie samotny koń Marszałka, okryty żałobnym kirem. Sześć karych koni ciągnęło lawetę z trumną okrytą chorągwią w barwach narodowych, na niej leżały buława marszałkowska i maciejówka, obok szło dwunastu adiutantów z obnażonymi szablami. Za trumną rodzina i dostojnicy państwowi. Kończyła się pewna epoka w historii kraju i w życiu Oli Piłsudskiej.

24 [www.wiadomosci.wp.pl/pierwsze-damy-ii-rp-6038713724060801g/2](http://www.wiadomosci.wp.pl/pierwsze-damy-ii-rp-6038713724060801g/2) (dostęp: 15.01.2018).

## ROZDZIAŁ 20

### ■ MIAŁAM KIEDYŚ DWÓR NA PODLASIU...

Wdowa po Marszałku zamieszkała z córkami w domku niedaleko Belwederu. Przeprowadzka była symbolem zamknięcia pewnego etapu, ale Ola w głębi duszy była bardzo zadowolona ze zmiany adresu. Pałac nigdy nie był jej prawdziwym domem, a ten przytulny warszawski zakątek wśród drzew owocowych pomagał pozbierać na nowo elementy codzienności, ułożyć wszystko po pogrzebie. Jak ułożyć sobie życie bez Ziuka?

A jednak życie toczyło się bez względu na żałobę. Wanda i Jagoda musiały wrócić do szkoły, ona sama do swojej pracy społecznej. Poza tym planowała poświęcić się teraz także archiwizacji pamiątek i dokumentów po mężu. Postanowiła kontynuować niektóre dawne zwyczaje Marszałka – jak choćby spotkania kombatantów powstania styczniowego. Oboje kochali tych weteranów, a coraz mniej ich przybywało na doroczne zjazdy. Staruszkowie, niektórzy dobiegali dziewięćdziesiątki, wciąż dziarscy, chętnie wspominali ostrą zimę roku sześćdziesiątego trzeciego, a Ola patrzyła z podziwem na to niezłomne pokolenie swojej babki, które dla wolności gotowe było oddać i życie, i majątki. Sama początkowo niepokoiła się utrzymaniem rodziny, ale sprawy finansowe ułożyły się niespodziewanie całkiem dobrze. Ola nie pozostała bez funduszy. Rada Familijna, którą ustanowiono do opieki nad rodziną Marszałka, decydowała o tantiemach z jego publikacji, połączonych ze składkami oficerskimi. Zważywszy na zainteresowanie Wandy rolnictwem, zakupiła domostwo na wsi. Część z nich przeznaczono na kupienie żonie i córkom domu na wakacyjną siedzibę, wybór padł na Kamienny Dwór na Podlasiu, niedaleko miasteczka Łapy położonego przy linii kolejowej relacji Warszawa – Białystok.

Kamienny Dwór wystawiono na sprzedaż, i to niedrogo, bo właściciel, Marian Kosiński, zbankrutował na nietrafionych inwestycjach w ogrodnictwo. Nazwa właśnie stąd się wzięła, że otoczył kamiennym murem posiadłość: stary dom, wokół niego sady, inspekty, szklarnie, lecz ta hodowla nie wytrzymała czasów wielkiego kryzysu. Postanowiono wybudować tu nowy dworek. Projekt wykonał zdolny architekt Protasiewicz, mąż znanej aktorki Jadwigi Smosarskiej, i wkrótce wyrósł wśród drzew biały dworek na solidnej, kamiennej podmurówce, z kolumnkami od frontu, z okrągłym tarasem, schodkami prowadzącymi do ogrodu na tyłach, z kuchnią i salonikiem na parterze, a sypialniami na górze. Kamienny Dwór, ostatni polski dom Oli Piłsudskiej. Miała spędzać w nim spokojne wakacyjne dni, wracać do wspomnień z czasów młodości, hodować w ogrodzie ciekawe rośliny.

Przyroda okolicy przypominała litewską – tak twierdził sam Ziuk, który znał te tereny, bo ukrywał się tutaj podczas konspiracji na początku stulecia. Przecież jako „kawaler mieszkający w Łapach” brał pierwszy ewangelicki ślub z Marią, udzielony przez pastora Mikulskiego w Paproci Dużej pod Łomżą. Ale Podlasie bliskie było także sercu Oli, znała sąsiedni pałac pietkowski i piękny park, oczko w głowie hrabiny Elżbiety Krasickiej z Komarów. Bywała tu jeszcze za życia Ziuka, kiedy Wieniawa-Długoszowski wizytował manewry Dziesiątego Pułku Ułanów w Pietkowie, a właściciele pałacu urządzali słynne w okolicy bale. Marszałek przychylnym okiem patrzył na tę znajomość, dobrze wspominał starszą hrabinę, Gabrielę Komarową, która w 1918 roku otworzyła wrota rezydencji dla polskiej kawalerii, a nie szczydziła datków na wojsko. Stara hrabina kochała swoje ogrody, wyszukiwała najlepszych ogrodników w Europie, hodowała egzotyczne kwiaty i owoce. Jej rośliny były znane w Królestwie Polskim – za ananasy otrzymała medal na Wielkiej Wystawie Ogrodniczej



w Warszawie. Córka jej, Elżbieta, kontynuowała dzieło matki, z tym że miała jeszcze bardziej ekstrawaganckie pomysły. Eksperymentowała z jedwabiem, świnkami morskimi i królikami, a pomarańcze i miody z powodzeniem sprzedawała w Warszawie i w Wilnie. Pyszny był pałac pietkowski i w latach trzydziestych gościł doborowe towarzystwo, w tym właśnie marszałkową Piłsudską z córkami.

Wanda i Jagoda grywały w tenisa z oficerami Dziesiątego Pułku Kawalerii, ze znakomitymi gośćmi pałacu, kuzynami Krasickich i Komarów, a pałac tętnił życiem, zwykle pełen ludzi, bo Podlasie zawsze słynęło z gościnności. Marszałkowa dzięki wizytom u Krasickiej poznała i polubiła leśne tereny nad Lizą i z radością przystała na zakup dworku na letnią siedzibę właśnie tutaj. Hrabina Elżbieta cieszyła się tym bardziej, że takie sąsiedztwo przynosiło jej zaszczyt. W latach trzydziestych była już osobą wiekową, chociaż nadal energiczną, zarządzała dobrami z synami Witoldem i Jerzym. Jasnowłosy, wesoły, wysoki Jerzy poświęcił życie karierze wojskowej, ze względu na demokratyczne poglądy zwano go półzartem czerwonym hrabią. Bardziej skupiony, nieco niższy i poważny Witold został wziętym prawnikiem i Oli zawsze miło się z nim rozmawiało. Polubiła go za łagodność charakteru, życzliwość wobec pietkowskich ludzi, którym pomagał i jako prawnik, i jako dziedzic. Chętnie trzymał dzieci folwarczne do chrztu i wyznał Oli, że nie przepada za polowaniami.

– Taka ładna sarenka, pani Aleksandro, wygląda spośród drzew – mówił z uśmiechem. – I po co to ją zabijać?

Witold Krasicki podziwiał marszałkową, chętnie słuchał jej wspomnień, sam pod wpływem jej spokojnego głosu wracał wspomnieniami do walk w roku 1920. Marzył może o tym, by wziąć ją za rękę, ale nie miał w sobie wystarczającej determinacji, był bowiem nieśmiały. Niemniej odkąd wybudowano Kamienny Dwór, wszystkie wakacje spędzał w Pietkowie, inne majątki powierzając zarządcom, a gdy tylko mógł, wyjeżdżał po panie Piłsudskie na dworzec swoim samochodem. W Pietkowie w słodkie dni wakacji w drugiej połowie lat trzydziestych, tak jak i w całej Polsce, nikt nie przewidywał nadejścia czarnej chmury, która zbierała się powoli nad słonecznymi polami. Życie w pałacu płynęło beztrudnie. Młodzież kąpała się w chłodnych wodach Lizy i urządziła wyprawy łodziami po zakolach rzeki. Grano w tenisa i wista, urządzano konne popisy, w czym przodowali oficerowie Dziesiątego Pułku, zawsze chętni zaprezentować się przed pannami jako mistrzowie kawalerii. Panny smakowały pomarańcze z pietkowskiego sadu i myślały o strojach na tańce, bo hrabina Elżbieta lubiła muzykę i wieczorami w jarzających się od świateł oknach sali balowej wirowały cienie tańczących par. W ferie letnie i zimowe przybywali do Pietkowa Ożarowscy, Starzeńscy, Sulistrowscy, kuzyni i sąsiedzi gościnnie witani na progu domostwa. Wyprawiano huczne i nastrojowe święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Wśród młodych kuzynek wyróżniała się Danusia Sulistrowska, ładna panna, która zaprzyjaźniła się z córkami Marszałka. Danuśka miała w sobie wiele energii i humoru, cieszyła się sympatią mieszkańców pałacu i uwielbieniem oficerów. Była w podobnym wieku co Wanda i Jagoda, często przebywały razem. Zwierzały się sobie z panięńskich rozterek i planów na przyszłość, urządziły szalone wycieczki rowerowe. Pewnego dnia przed rautem, kiedy zasiadły na schodach pałacu i zaczęły omawiać swoje powakacyjne plany, Danusia mrugnęła do Jagody.

– A kuzynek Witold nie odstępował waszej mamy na krok, co? I zdenerwował się ponoć, gdy mu doniesiono, że bryczką z Łap przyjechałyście. Witold auto kazał przecież przygotować i Oleś polerował je od kilku dni.

– Ej tam – Jagoda wzruszyła ramionami – mama nasza nie ma głowy do takich rzeczy. Wiesz sama, jak jest: zawsze poważna, wspomina ojca codziennie.

– Bo ja wiem – zastanowiła się Wanda. Jako starsza inaczej może patrzyła na te sprawy.

– Mama ma dopiero pięćdziesiąt pięć lat.

– Nie! – Wzburzona Jadwiga potrząsnęła gwałtownie głową i wstała. – Nie. Mama nigdy nie zapomni taty. Zmarł zaledwie cztery lata temu...

Jadwiga, która wciąż nie mogła otrząsnąć się po śmierci ojca, odeszła, a Danusia zwierzyła się Wandzie, że Jerzy Krasicki wyznał jej wczoraj miłość i – co więcej – ma zgodę matki, będzie więc deklarował u ojca Danusi, hrabiego Sulistrowskiego.

– I jak wszystko pójdzie dobrze, Wandziu – szepnęła zarumieniona Danusia – to będziesz się bawić na moim weselu z Jerzym Krasickim, kto wie, może nawet i zimą, na sam koniec roku trzydziestego dziewiątego!

Wanda uściśnęła ją serdecznie. Hrabia Jerzy był przystojny, inteligentny i był znakomitym kawalerzystą. Cieszyła się ze szczęścia przyjaciółki i Jerzego, lubiła jego brata. Wiedziała jednak, że matka, nawet gdyby zauważyła cichą adorację Witolda, nie zwróci na niego uwagi, nie zechce zmienić swojego życia, zawsze już pozostanie wdową po pierwszym człowieku Drugiej Rzeczypospolitej. Westchnęły obie, bo znowu Danuśka obawiała się, jak ułożą się jej stosunki z przyszlą teściową – przeurocza Elżbieta, zakochana w koniach i wojskowości, znakomita organizatorka rautów, miała też swoje wady, omawiane szeptem w okolicy. Była wziętą hazardzistką i w jedną noc potrafiła przegrać w karty duży majątek, choćby utarg ze stawów. Była też osobą bardzo stanowczą i...

– I nie będę miała wcale łatwo z taką charakterną teściową, Wandziu – zwierzyła się przyjaciółce. – Jak dam radę być samodzielną gospodynią w pałacu?

Nigdy nie miała zmierzyć się z odpowiedzią na to pytanie, bo rok 1939 nie okazał się rokiem jej ślubu, lecz rokiem wojny. Po wejściu Rosjan na teren Polski, we wrześniu, Jerzego Krasickiego natychmiast aresztowało NKWD i w początkach października zamordowano go w nieznanym okolicznościach w Białymstoku. Prawdopodobnie nie przeżył przesłuchań. Danuśka widziała go ostatni raz z rękami związanymi na plecach prowadzonego pod lufą karabinu do sowieckiej ciężarówki. A potem jeszcze przez chwilę jego twarz, białą jak papier, w zakratowanym oknie. Czuła wtedy, że nigdy go już nie zobaczy, ale wiedziała też, że nigdy nie wyjdzie za mąż za nikogo innego. Stała sama, zapłakana i drżąca, w oknie gościnnego pokoju pietkowskiego pałacu, matka wołała ją nerwowo, wyjeżdżały pospiesznie. Witold walczył wtedy w kampanii wrześniowej. Hrabina Elżbieta, zrozpaczona losem Jerzego, udała się do Warszawy i tu spędziła pierwszy rok wojny. Nie dożyła wyzwolenia. Może i dobrze, bo serce zapewne by jej pękło, gdyby się dowiedziała, co uczyniono z jej rodową siedzibą. W Polsce Ludowej zdewastowano pałac pietkowski tak, że nie został kamień na kamieniu, a do końca stulecia dotrwały zaledwie ślady unikatowego parku. Lecz w ciepłe lato roku 1939 kwitły kwiaty i owocowały śliwy, nikt nie patrzył tak daleko w przyszłość ani nie myślał o dalekich podróżach, najwyżej o wycieczce rowerowej, na przykład do Łap.

Z Łap niedaleko już było do rodzinnych Suwałk marszałkowej. Ola lubiła teraz oddawać się wspomnieniom, opowiadała córkom o miasteczku, w którym spędziła dzieciństwo w domu przy ulicy Krzywej, gdzie babka Karolina wpajała jej patriotyzm i uczyła samodzielności, o podróżach z dynamitem w gorsecie, napadach na pociągi i walce w Legionach. Tak odległe to były czasy i tak dawno nie była w rodzinnym mieście... Tymczasem to miasto przybyło do niej: w roku 1935 delegacja z Suwałk przywiozła do Belwederu nominację pani marszałkowej na honorowego obywatela miasta i uchwałę, by Szkole Powszechnej nr 2 nadać jej imię. Szkoła imienia Aleksandry Piłsudskiej. Zgodziła się, nieco zmieszana wyróżnieniem, bo jako marszałkowa nie wyzbyła się skromności ani prostoty w obejściu. Ale to imię nadane szkole to był dowód, że osiągnęła cel, że ona i inni wyznawcy niepodległości doprowadzili do powstania wolnego kraju, do odrodzenia Polski. Co z tego, jeśli nad tą wolnością znów zbierały się czarne

chmury. Martwiła się wieściami, które nadchodziły z zagranicy, i tym, że nie ma już Ziuka – kto więc zaradzi niebezpieczeństwu?

## ROZDZIAŁ 21

### ■ WAKACJE 1939

W szkole w Poświętnem czas płynął spokojnie, z niecierpliwym wypatrywaniem ostatniego dzwonka, jak w innych wiejskich szkołach w roku 1939, kiedy zaczynało się lato.

„Przyjdź, Duchu Święty, oświeć nasze serca i umysły, aby ta nauka była dla nas pożytkiem doczesnym, przez Chrystusa, Pana naszego, amen”, recytowali uczniowie na początku lekcji, a potem następowały po sobie kolejno: polski, matematyka, historia i geografia, a w klasach starszych także fizyka. Do starszych klas jednak mało kto chodził w Poświętnem, zaledwie kilkanaście osób, bo na wsi nie każdy musiał skończyć szkołę, a trzeba było pracować na ojcowiznie. Dzieciaki były raczej biedne, od wiosny do jesieni chodziły do szkoły boso.

Niewiele też się działo na tej podlaskiej wsi. Lekcje jak wiek wieków w szkołach mniej lubiano niż przerwy. Między lekcjami bywało wesoło: uczniowie grali w piłkę albo wybierali się do pobliskiego sadu na jabłka. Chyba że, tak jak tego dnia, przejeżdżał drogą ktoś ciekawy. Zaturkotała bryczka, dziewczynki bez pytania zerwały się z ławek, a nauczycielka nie zganiała ich, bo i tak już zaczynały się wakacje. Ktoś krzyknął: „Pani marszałkowa jedzie”, więc sama ciekawa podeszła do okna. W kierunku Kamiennego Dworu jechał wolant, powoził nim Tadeusz Łapiński, wiozł znajome postacie: pani marszałkowa w jasnym słomkowym kapeluszu i sukience w kwiaty, panny Piłsudskie, Wanda i Jagoda, w granatowych sukienkach o marynarskim kroju i w białych panamkach na głowach. Z nimi Marysia, służąca z Warszawy.

Ucieszy się listonosz z Pietkowa – pomyślała nauczycielka, bo znany był powszechnie afekt Jana do Marysi z Warszawy. Podobno byli już po słowie. Dziewczyna śmiała się zawstydzona, ale listonosz był upartym człowiekiem i powiedzieć miał we wsi, że pannę Marię dostanie jeszcze tego lata i żadnej innej za żonę nie chce.

Bryczka mignęła przed oknami szkoły i znikła. Jechała z dworca w Łapach. Panie Piłsudskie przyjechały ze stolicy, a to oznaczało wakacje. Przenosiły się co roku do Kamiennego Dworu, by spędzić lato w ciszy i wśród zapachu podlaskich pól. Kobiety, które chodziły pomagać przy sprzątanii domu, opowiadały, że pani marszałkowa jest bardzo szczerą kobietą, energiczną i sama potrafi zakasać rękawy do pracy w kuchni. Lubi sama przygotowywać przetwory z owoców, umie nawet miód wybierać z pasieki. A ciasto z jabłkami polane czekoladą sama piecze. Wszyscy byli ciekawi, jak żyją takie damy z Warszawy.

– Skromnie – słyszeli. – Kiedy przyśle ktoś bombonierę, pani marszałkowa rozdaje po jednej pralinie wszystkim: i służącym, i własnym córkom, po jednej. Na co dzień jedzenie proste robią, i adiutanci, którzy są z marszałkową dla ochrony, jedzą razem z nią przy stole, traktowani jak rodzina.

Ola z córkami domyślały się, że tutejsze kobiety komentują ich strój i zachowanie, ale i widziały, że panie Piłsudskie odnoszą się z życzliwością do mieszkańców – trzymały dzieci do chrztu, a marszałkowa starała się pomagać biedocie i działała społecznie. Cieszyły się zatem sympatią Podlasiaków.

Lubiły ten dom: ożywiało wspomnienie najlepszych dni w Milusinie, podobnych wakacji w Pikieliszkach na Litwie, z tym że do Kamiennego Dworu było dużo bliżej: pociąg jechał z Warszawy Głównej do Łap niecałe dwie godziny. Ola zawsze płaciła pełną kwotę za bilet: swój, córek i Marysi, nie chciała żadnych ulg, nie uważała, że należą się rodzinom polityków. Potem jechały drogami wśród łąk i pól i rozglądały się panie Piłsudskie po Podlasiu. Myślały wszystkie trzy, że przez długie lata będą tu przyjeżdżać na wakacje, tymczasem los znowu chciał

inaczej.

Wakacje mijały szybko, a koniec lata roku 1939 był wyjątkowo gorący. Na początku sierpnia Ola Piłsudska brała udział w obchodach rocznicy wymarszu kadrówki w Krakowie, a potem z chęcią wróciła na wieś. Chciała uciec od dusznych miast, Krakowa, Warszawy, ale nie tylko z powodu gorąca i pyłu, także przez napiętą atmosferę, ciągle dyskusje o wojnie, zbrojeniach, apetytach Hitlera, który przeprowadził anszlus Austrii i zagarnął część Czechosłowacji. Jedni mówili: wojna pewna! Drudzy mimo mobilizacji wojsk, mimo komunikatów wciąż wierzyli: nie będzie żadnej wojny, Hitler nie jest taki głupi! Ola wspominała słowa Ziuka i mówiła córkom:

– Ojciec wasz przepowiadał wielką wojnę, dziewczynki, więc raczej będzie.

Dziewczynki! Właściwie młode kobiety. Wanda miała już dwadzieścia jeden lat, Jagoda dziewiętnaście. Obie bardzo źle zniosły śmierć ojca, Jagódka całkiem zamknęła się w sobie, ale były młode i Ola wiedziała, że wola życia silniejsza będzie niż smutek. Wanda zdała już maturę i wspominała ciągle o medycynie.

– Ojciec twój zaczął studia medyczne – pochwałała wybór córki Ola – a ja marzyłam, że będę panią doktor do momentu, kiedy ujrzałam trupa wyciągniętego z grobu na cmentarzu w Suwałkach. Oby ciebie, Wandziu, to nie spotkało!

Jagoda przejawiała zupełnie inne skłonności. Mówiła, że będzie studiować aeronautykę na politechnice, bowiem pasją jej były samoloty. Szybowce, którymi nie tylko zamierzała się zachwycać, ale je prowadzić. Kobieta pilot? Ola nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Feministka w niej mówiła: czemu by nie? Głos matki: ale samoloty spadają. Żona: dumny byłbyś, Ziuk, czy nie? A Jagoda miała już osiągnięcia w pilotażu: jako siedemnastolatka ukończyła szkolenie z lotnictwa szybowcowego w Sokolej Górze koło Krzemieńca na Wołyniu i właśnie tego lata 1939 roku odbyła pięciogodzinny lot szybowcem Delfin z Bezmiechowej w Bieszczadach do Łukowa na Podlasiu. Jednego żałowała: że ojciec tego nie mógł widzieć. Inżynieria lotnicza, politechnika? Ola nie wyraziła jeszcze swojej zgody, ale obie wiedziały, że w końcu się zgodzi. Zanim to jednak nastąpi, chciała pobyc z nimi, nacieszyć się przyrodą, ukryć przed gorącym w chłodnym sadzie lub nad brzegiem połyskliwej, rześkiej Lizy.

Słońce paliło niemiłosiernie i sierpień szykował się bardzo towarzyski. Hrabina Elżbieta szykowała bal charytatywny z datkami na ukochany Dziesiąty Pułk Ułanów. Żołnierze żyli już w gotowości bojowej, wiedzieli, że w każdej chwili mogą zostać wezwani, by ruszać na wojenny szlak. Wachmistrz Piotr Obuch, kawaler Krzyża Walecznych, bratanek legendarnego Władysława, też bywał gościem w pałacu. Ubolewał, że front nie dla niego, bowiem na skutek ran odniesionych w wojnie roku 1920 służył w szwadronie technicznym. Wspominał wyczyny stryja zwanego Zagłobą, słynącego z nieposłuszeństwa, ale i patriotyzmu. Podśpiewywali mu koledzy: „A rozkazów kto nie słucha? To dziesiąty pułk Obucha!”. Stryj bowiem w roku 1920 nie posłuchał rozkazu samego Marszałka, nie zawrócił, lecz ścigał bolszewików do Dniepru. Trafił do więzienia za niesubordynację, lecz przecież Marszałek fantazję żołnierską kochał. Piotr zaś, sam młody ochotnik w pierwszej wojnie, zasłużony w polsko-sowieckiej, teraz romantycznie skłaniał się ku poezji i pisaniu, stworzył nawet cały poemat o miłości Kozaka do Hanki, wiejskiej dziewczyny, co umiera przed samym ślubem. Odczytał go przy spotkaniu na obiedzie powitalnym w pałacu, bo Krasicczy chcieli uczcić przyjazd sąsiadki. Wiersz był długi, opiewał na wzór Kochanowskiego uroki wsi i zdradzał uczucia autora.

Uśmiechała się Ola, słuchając wersów o zakochanym ułanie. Pod wieczór wyraziła chęć odwiedzenia cmentarza. Tam był pochowany Stanisław Olizar, wierny legionista, który pod Ziukiem walczył w roku 1920 i za zasługi w tej wojnie otrzymał Krzyż Walecznych.

– Musiał być potem ranny w wydarzeniach majowych, bo zmarł w wojskowym szpitalu

w Warszawie trzydziestego lipca tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku – szepnęła hrabia Witold. – Ale pochowano go tutaj. Czy poznała pani jego matkę? Zofia Olizar z Ożarówskich, dzielna kobieta. Walczyła w Legionach w obronie Lwowa, gdzie teraz mieszka. Podobno zażyczyła sobie, by pochowano ją tu, w Pietkowie, ale kto z nas wie, gdzie nasze kości rzuci wiatr historii. Rzadko kto myśli o tym, gdy młody.

– Młodzi ludzie, panny i oficerowie mniej mają zamiłowania do cmentarzy niż my, starsi – powiedziała Ola do hrabiego, śmiejąc się. – Bardziej im flirty w głowie i tańce niż groby i wspomnienia. No i słusznie.

Hrabia Witold popatrzył na nią z ukosa, na jej ładny profil i włosy pod słomkowym kapeluszem. Nie do końca był tego samego zdania. Wiekiem szedł ku czterdziestce, przystojny i zamożny czuł się zaszczycony towarzystwem Aleksandry Piłsudskiej i uważał, że to wciąż piękna i mądra kobieta. Wielu skłaniało przed nią czoła z szacunkiem, widząc przede wszystkim żonę Naczelnika Państwa, wdowę po marszałku Piłsudskim. On jednak nie myślał tak o sąsiadce, widział przede wszystkim ją samą, słyszał ładny tembr głosu, lubił jej uśmiech. Pragnąłby nie tylko spacerować z nią ku cmentarzowi, nie tylko snuć wspomnienia lub dyskutować przyszłość. Bystra Danusia Sulistrowska odgadła jego uczucia, Aleksandra Piłsudska zapadła mu w serce. Co zrobiłaby, gdyby zapytał, czy nie mogłaby dzielić z nim dalszej części życia? Najwyższy czas, by hrabia Krasicki nareszcie się ożenił i może zrobiłby to, bo kandydatek i ładnych, i młodych nie brakowało, lecz inne marzenie, spokojne ciemne oczy innej kobiety, wypełniały mu głowę i serce. Zachwiała się, postawiwszy stopę na kamieniu, podał jej rękę, przyjęła. Może powinien spróbować? Wyższy od niej już chciał pochylić głowę, porzucić swoje hamletowskie wahania, kiedy Ola powiedziała:

– Panie Witoldzie, mąż mój tak bardzo kochał ułanów. Już nie pamiętam, czy on mnie zaraził tą miłością, czy sama zachwyciłam się naszą kawalerią w roku piętnastym na defiladzie. Czemu miłość nie umiera wraz z ukochanym człowiekiem? A może to i dobrze?

Witold zrozumiał, że nie ma sensu zadawać żadnych pytań. Serce jej przebywało na Wawelu, pamięć w czasach, gdy żył jej mąż.

Hrabia z Olą zamyśleni minęli stary grób rodziny Starzeńskich. Hrabia westchnął, podał jej ramię. Wracali do pałacu wśród sadów pełnych owoców i Ola tylko dziwiła się, czemu hrabia pobladał i był milczący już do końca wieczoru.

■

– A to wam powiem, że wesele wiejskie będzie ciekawsze niż te rauty i koncerty – rzuciła buntowniczo Wanda. Odańczyła coś na kształt polki na tarasie domu. – Hej, ha! Zakręcimy się na weselisku Marysi tak, jak to było na dożynkach!

Dożynki to ważny moment w rocznym kalendarzu wsi. W Kamiennym Dworze co roku świętowano je według tradycji. Orszak wiejski przyniósł pierwszy snop zboża i położył w spichrzu na zeszłorocznym. Na czele orszaku szła ku dworowi najładniejsza panna ze wsi, Anusia, zarumieniona z przejęcia. Niosła wieniec spleciony specjalnie ze zbóż, ziół i kwiatów polnych, by uroczyście przekazać go pani marszałkowej, właścicielce majątku. Ola jako gospodyni Kamiennego Dworu czekała na rolników na dziedzińcu z chlebem i solą. W ogrodzie zaś czekały już stoły zastawione mięsiwem i serami, pieczywem własnego wyrobu, kisiellem, piwem i zsiadłym mlekiem. Orkiestra stroiła instrumenty, pobrzmiwały pierwsze skoczne dźwięki. Wreszcie zagrała rażno i do pierwszego mazura poszła panna Wanda Piłsudska z miejscowym kowalem, a za nimi roześmiana horda młodych tancerzy! Młodzi bawili się do świtu, a i Ola zakręciła się w polce, bo ośmieleni humorem marszałkowej tutejsi chłopcy prosili do tańca. Jak dobrze, że nie znają tu jeszcze jazzu i Gershwin, myślała zauroczona obyczajami

i czystą tradycją wsi.

Po dożynkach szykowało się wesele. Listonosz Jan nareszcie zdobył serce Marysi i uzyskał zgodę Oli na ślub, i to jak najszybciej, bo czasy niespokojne. Ola jednak zapytała swoją pannę:

– Chcesz ty, Marysiu, tutaj wyjść za mąż i zostać na Podlasiu?

Maria urodziła się w Warszawie, na Bródnie, w roku 1915, więc szła jej dwudziesta piąta wiosna. Była oddana pani marszałkowej, uważała, że tego dnia, kiedy jako uboga sierota mieszkająca kątem u brata maszynisty poszła na spotkanie Koła Opieki dla dziewcząt, miała nie być jakie szczęście. Chciała nauczyć się czegoś albo może znaleźć pracę. Pani Piłsudska wypatrzyła ją spośród wielu panien i czymś musiała jej Marysia przypaść do gustu, bo dostała propozycję pracy przy pani w samym pałacu Belwederskim. Poznała Belweder i Sulejówkę, jeździła do dalekich Pikieliszek i oczywiście do Kamiennego Dworu. Wiele się nauczyła: gotować, szyć i pilnować czystości, a najwięcej oszczędnego życia. Przyszedł jednak czas iść na swoje, listonosz z Pietkowa miał ładne oczy i obiecał, że biedy z nim nie zazna. Kiwnęła więc głową twierdząco na pytanie pani marszałkowej i teraz wieś szykowała się do wesela, co bardzo cieszyło wszystkich mieszkańców i tych spod strzech, i tych ze dworu, a przede wszystkim dzieci, które zwykły biegać od młodej do młodego z cukrowymi kogucikami.

Domem panny młodej był Kamienny Dwór, tu więc przybył pan młody z wyjazdem i cała wieś w bryczkach i powozach, by orszak weselny na dobrą wróżbę był jak najokazalszy. Marysia w stroju weselnym zeszała z ganku w towarzystwie drухen, bryczki stały szeregiem, pan młody zapatrzony w narzeczoną zapomniał jej powiedzieć, że tu, na Białostocczyźnie, najpierw goście siadają w swoich powozach, zaś panna młoda stoi w drzwiach i baczy, czy wygodnie usadzeni. Potem dopiero woła: „A wszyscy gotowi? I wszystko w porządku?”. Jeśli tak, sama wsiada z narzeczoną do pierwszej bryczki i ruszają do kościoła. Maria nie знаła obyczaju, narzeczoney powiódł ją do bryczki i ruszyli. Za nimi skonfundowani goście, niezadowoleni, że niedobrze to wróży małżeństwu. Stara Zenobia podeszła do Oli patrzącej wciąż z ganku na barwny orszak – i skrzekliwym głosem zaczęła wyrzekać:

– Nieszczęście! Nieszczęście przyjdzie! Pani dobrodziejka sama zobaczy. Zły to znak!

– Jakie tam nieszczęście, pani Zenobio – pobłażliwie rzekła Ola. – Toż to zabobony. Maria nie znała obyczaju, to i klątwa jej nie dotyczy!

Ale starucha wygrażała drżącymi, sękatymi rękami i mruzczała swoje przepowiednie.

Nieszczęście spadło tydzień później i nie tylko na Marysię. Na całą wieś i na cały kraj. Powszechna mobilizacja zabrała do wojska i młodego listonosza, i wszystkich innych mężczyzn w wieku poborowym w Pietkowie, w Poświętnem, w Łapach i w całej Polsce. Marysia płakała w fartuch w kuchni, inne żony, matki i siostry w swoich domostwach, a Ola, dowiedziawszy się od dziewczyny, co się stało, szybkim krokiem podążyła do telefonu. Wszystkie linie były zajęte, dyspozytorka przyjęła zamówienie na rozmowę, kazała czekać. Czekały. Zastukały przed dworem końskie kopyta, zamajaczyła sylwetka ułana. Hrabia Witold Krasicki, wezwany do sztabu już tydzień wcześniej, wrócił na krótką przepustkę przed wyjazdem. Przybył na ulubionym bułanym koniu pożegnać się z marszałkową i jej córkami. Wyszły przed ganek i uściśniły mu dłoń, życząc powodzenia. Żegnały go z dumą i uśmiechem, bo były Polkami wychowanymi w miłości dla wojska i nie płakały na widok żołnierza idącego w bój. On sam życzyłby sobie może łez wzruszenia lub jakiejś pamiątki, pociechy, że wojny jednak nie będzie, ale usłyszał zupełnie co innego. Pani Piłsudska pobiegła do domu, bo uzyskała nareszcie połączenie, Marysia wołała z progu:

– Warszawa, Warszawa dzwoni do pani marszałkowej!

Czekali w napięciu, i hrabia, i panny Piłsudskie, przed domem. Ola wracała do nich

z rumieńcem na policzkach i pałającym wzrokiem.

– Wojna zawisła nad nami. Rozmawiałam z pułkownikiem Wieniawą – mówiła pospiesznie. – Hitler skoncentrował wojska przy naszej granicy. Wojna pewna! Jedź pan z Bogiem, panie Witoldzie, i niech panu szczęście sprzyja.

Witold postąpił ku marszałkowej, ośmielony jej serdecznością byłby może coś rzekł, lecz ona dodała:

– Zagrożenie od Niemiec spędzało sen z oczu mojemu mężowi! Nie bez podstaw chciał paktami zabezpieczyć zachodnią granicę, teraz widać jak na dłoni, że miał rację. Gdyby żył, może byśmy i wojny uniknęli.

Hrabia Witold ukłonił się paniom z szacunkiem, dosiadł konia, zasalutował raz jeszcze marszałkowej, zawrócił ku bramie i wyruszył. Mógł zginąć, ale on jako jedyny z Krasickich miał przeżyć wojnę i doczekać sędziwego wieku, niestety, na obczyźnie, w dalekiej Argentynie. Polskę, jakże inną, miał zobaczyć dopiero po trzydziestu latach. Ożenić się nie miał nigdy. Nie o sobie jednak myślał w tej chwili, lecz o tym, czy kiedykolwiek mógłby zwrócić na siebie uwagę tej niezwykłej kobiety. A Ola, nie podejrzewając się o żadną niezwykłość, powiedziała do córek:

– Pakujcie rzeczy. Wyruszamy jak najszybciej do Warszawy, bo będziemy tam potrzebne. Stolica szykuje się do obrony.

Myślała przy tym z bólem, że jej nadzieja na spokojne życie córek prysła. Oto następne pokolenie młodych i pełnych nadziei ludzi, sól ziemi polskiej, musi zaznać tego, co ich rodzice i dziadkowie. Następnej wojny, daniny krwi, może znowu niewoli i konspiracji. Tego, że ta wojna będzie jeszcze gorsza niż poprzednia, dotknie miliony cywilów, pokaże okrucieństwo i ludobójstwo w masowej skali, ani Ola, ani nikt inny wówczas przewidzieć jeszcze nie był w stanie.

■

Na stacji kolejowej w Łapach tłum ludzi żegnał poborowych. Pociąg wtoczył się spóźniony i pełny tak, że ledwie weszły do przedziału. Uprzejmi oficerowie z wielkim szacunkiem dla jej nazwiska znaleźli im miejsce. Siedziały przy oknie, jechały wpatrzona w zmieniony widmem wojny krajobraz. Mijały stacje kolejowe Szepietowo, Czyżew, Małkinie. Wszędzie kobiety z płaczem żegnały najbliższych. Między stacjami ciągnęły się pola pełne zbóż, których nie zdołano zebrać przed mobilizacją mężczyzn. Na niektórych pracowały w pocie czoła kobiety i dzieci, przestraszone widmem głodu chciały ocalić chociaż część plonów. Po szosach szły konwoje wojskowe i piechota, sunęły czołgi i działa na wozach. Jakże inny świat widziały teraz z okien pociągu, jakby mimo słońca nagle zgasło lato i nastąpiła ponura jesień. Słyszały słowa pełne lęku i kasandryczne przepowiednie. Ktoś mówił, że już zbombardowano Pomorze, ktoś inny, że Niemcy idą wielką armią na Warszawę. Słyszały też głosy optymistów, którzy mimo wszystko twierdzili, że to tylko ćwiczenia i plotki, a wojny żadnej nie będzie.



## ROZDZIAŁ 22

### ■ ZNÓW WRZESIEŃ

Miasto zastały w gorączce przygotowań. Warszawiacy nie mieli złudzeń. Do stolicy napływały tłumy uchodźców z zachodniej części kraju, uciekali przed niemiecką armią. Radio nadawało gorączkowe komunikaty. Organizacje społeczne: Przystosowanie Kobiet do Obrony Kraju, Czerwony Krzyż, potrzebowały teraz każdej pary rąk do pracy. Cała Warszawa stanęła do kopania rowów przeciwlotniczych. Ola, Wanda i Jagoda także chwyciły za łopaty i kilofy. Dzień i noc urzędnicy i inteligenci, panny sklepowe i damy pracowali ramię w ramię. Pierwszego września radio nadało komunikat specjalny, informując o przekroczeniu granicy polskiej przez oddziały niemieckie, które złamały pakt o nieagresji. Zbombardowano szereg miast.

„A więc wojna!” – zabrzmiał poważny głos prezydenta Starzyńskiego. Ola zapamiętała ten ton i jego słowa do końca życia. „Z dniem dzisiejszym wszystkie sprawy i zagadnienia schodzą na plan dalszy. Całe nasze życie publiczne i prywatne przedstawiamy na specjalne tory. Wszyscy teraz jesteśmy żołnierzami. Weszliśmy w okres wojny. Musimy myśleć tylko o jednym: walka aż do zwycięstwa”<sup>25</sup>.

Życie miasta zmieniło się diametralnie. Od świtu wyły syreny, schrony przeciwlotnicze wypełniały się ludźmi, którzy wciąż mieli nadzieję, że to tylko ćwiczenia. Bomby tymczasem spadły już na Okęcie i Koło, były pierwsze ofiary. Prezydent przemawiał przez radio codziennie. Bombardowanie uderzało w różne punkty miasta, ludzie schodzili do schronów i wychodzili w ruiny, kurz i dym, zabierali się do sprzątania i stawiania domostw od nowa. Wracali do swoich mieszkań z nadzieją, że ściany jeszcze są, że coś zostało. Warszawa otrząsnęła się po szoku pierwszych dni, próbowano żyć normalnie, chociaż wojennym trybem. Znow działały sklepy i jeździły tramwaje, a kataryniarze i kapele uliczne przygrywały między alarmami. Brawami witali warszawiacy polskie myśliwce, gdy pojawiały się nad miastem. Goście ogródków kawiarnianych nie przerywali picia kawy, gdy eskadry przelatywały im nad głową. Pewnego dnia, spiesząc do Czerwonego Krzyża, widziała Ola bitwę powietrzną nad Warszawą. Wiele twarzy wpatrywało się w niebo z tą myślą: może zostaną zwyciężeni, ale okupant też zobaczy, że nie tak łatwo pokonać warszawiaków. Połączyła ludzi solidarność w pragnieniu przetrwania i nienawiści do najeźdźcy. Tragedie podsycaly te uczucia. W Otwocku niemieckie samoloty zrzuciły bomby na szpital i na maluchy bawiące się na podwórku, które machały rączkami do lotników. Maszyny zeszły tak nisko, że Niemcy musieli widzieć, że zrzucają śmiercionośne pociski na małe dzieci.

Ola z Wandą wybierały się właśnie na Dworzec Wschodni, by w praskim punkcie Osiedla przejąć dyżur w kuchni, spóźniały się przez kolejny alarm, powinny tam być od dwóch godzin. Zadzwieczał złowrogo telefon, Ola odebrała. Głos bez wyrazu informował głucho, że właśnie zbombardowano Wschodni. Kilkanaście harcerek zabitych, mnóstwo rannych. Potrzeba morfiny, bandaży, lekarza.

Znajoma doktor Jasińska, która trzy dni i trzy noce nieustannie pracowała w szpitalu i ledwie trzymała się na nogach, bez słowa wsiadła z nimi do auta. Jechały przez zbombardowane miasto, przez dym, mijaly zgliszczka domów, patrzyły na leje po bombach na jezdniach, na powybijane szyby w oknach. Pośród tego wszystkiego, pod ścianą kawiarni podpartą belkami, zasiedli jak gdyby nigdy nic starsi mężczyźni. Pili kawę, czytali gazety i wiedli rozmowę. To było ich małe zwycięstwo nad rzeczywistością. Ktoś z triumfem wyciągał z ruin ocalały obraz, w innym miejscu kondukt żałobny odprowadzał trumnę na cmentarz.

Zjednoczyli się warszawiacy, kiedy jedni ginęli, zastępowali ich drudzy: przy naprawianiu torów kolejowych, przy kopaniu rowów. Podmiejska i wiejska ludność przysyłała żywność do oblężonego miasta. Mimo tragedii dawał się odczuć duch pewnej wzniosłości i poczucie jedności. A jednak tak ciężko było Oli ujrzeć na Dworcu Wschodnim ciało ministrowej Grodyńskiej. Znały się i lubiły. Tak trudno było powiadomić matki zabitych harcerek i patrzeć na ich ból.

– Ile potrwa to piekło? – zapytała w aucie Wanda. – I dokąd nas zaprowadzi?

W nocy 6 września Ola znów usłyszała zgrzytliwy dźwięk telefonu. Narzuciła pospiesznie szlafrok, myśląc, że telefon teraz, w czas wojny, brzmi inaczej. Zwykle niósł złe wieści. Tym razem dzwonił jeden z generałów obrony miasta, dawny towarzysz broni Ziuka.

– Pani marszałkowo – mówił pospiesznie – musicie opuścić miasto, natychmiast. Niemcy prawie u wrót, nadchodzą, nikt ich nie zatrzyma. Są kilkanaście kilometrów od Warszawy. Uciekajcie panie.

– Jakże mamy wyjechać? – zapytała Ola. – Przecież jesteśmy tu potrzebne. Organizacje kobiece...

– Pani marszałkowo, proszę uciekać z miasta natychmiast – powtórzył generał z naciskiem. – Rząd podjął decyzję. Oddadzą Warszawę najeźdźcy. To już koniec.

Pospieszyła budzić córki. Kiedy pakowały rzeczy, Ola zawiązała służące.

– Jedziemy na Podlasie – mówiła – do Kamiennego Dworu. Urządzimy tam szpital polowy, walki trwają, będą ranni.

Stasia, pokojówka, zaczęła pakować manatki, miała rodzinę w Pietkowie. Adela Heybutowicz jednak nie chciała jechać w daleki świat.

– Zostanę, pani marszałkowo – powiedziała. – Będę pilnować pani domu w Sulejówku. W ręku Boga, czy mnie zabije Niemiec, czy nie.

Ola uściskała ją na pożegnanie. Spojrzała na wnętrza domu, w którym mieszkała od śmierci męża. Cztery lata, całkiem spokojne cztery lata. A teraz idzie okupant. Nie warto było zamykać drzwi na klucz.

Z dworca musiały jednak zawrócić. Ruch pociągów w stronę Białegostoku zatrzymano całkowicie, bo Niemcy zaciekle bombardowali właśnie tę linię kolejową. Nastął świt, gdy Ola wciąż telefonowała do rodziny i znajomych. Siedziały dosłownie na walizkach, widziały z okien, jak ulice zapełniają się ludźmi, widać rozeszła się wieść o kapitulacji. Panował popłoch, kto mógł, uciekał z Warszawy. Mówiono, że rząd także będzie się ewakuował. Ola traciła już nadzieję na wyjazd, gdy zdołała się wreszcie połączyć z Jerzym Bułhakowem. Rzutki kuzyn, ożeniony z siostrzenicą Ziuka, Wandą, dziedzic wielkiego majątku Brańczyce na Kresach, zawsze i w każdych okolicznościach jakoś sobie radził. Świetnie bawili się na ich weselu w latach dwudziestych. Lubiła go za pasję do fotografii i operatywność. Odetchnęła z ulgą, gdy odebrał telefon, akurat był w Warszawie, wracać do domu miał nazajutrz. Znalazł się na Belwederskiej w pół godziny.

– Zabieram wielmożne panie ze sobą do Brańczyc – oświadczył. – Nie wzbraniaj się, Olu, Warszawa za chwilę będzie w rękach Niemców. U nas też się przydadacie, wszystkie dwory mamy zamienione na szpitale, każde ręce potrzebne do rannych. A kiedy Niemcy dojdą do nas, Bóg to jeden wie. Armia walczy.

O ile w ogóle dojdą – dodał w duchu, lecz nie miał na myśli zwycięstwa. Powiadano w kręgach dyplomatycznych, że nie Niemcy, ale Sowieci zajmą Polskę od wschodu, a wtedy... Otrząsnął się jednak ze złych myśli, nie chciał straszyć pań. Był człowiekiem czynu, a teraz należało działać, nie wieszczyć.

Dysponował dwoma autami, oddał oba, własny wyjazd opóźnił o kilka godzin. Chciał,

żeby zmieściły się wszystkie, a prócz żony i córek Piłsudskiego była z nimi siostra marszałkowej i młoda kuzynka Anna w zaawansowanej ciąży. Zapakowały się z najpotrzebniejszymi rzeczami. Anna popłakiwała cicho, bo mąż walczył przeciw Niemcom, nie wiedziała, kiedy go zobaczy i kiedy on zobaczy dziecko. Czy ujrzy je w ogóle? Ola uściśnęła ją serdecznie, pocieszyła własnym wspomnieniem. Wszak gdy rodziła Wandę, mąż jej więziony był w Magdeburgu. Los Polek. Ruszyły o siódmej rano pewne, że autem pojadą szybciej niż koleją i znajdą się w Brańczycach za cztery, góra pięć godzin. Nic bardziej mylnego. Jechały do świtu dnia następnego. Wyjazd z miasta zakorkował się całkowicie, zatłoczony wozami z całymi rodzinami i dobytkiem i ciężarówkami. Gdy po kilku godzinach pokonały ten odcinek drogi, znalazły się w krainie opustoszałych wsi. Czuli głód. Ola z niepokojem myślała o ciężarnej Annie. Poprosiła, by zatrzymali się wśród pustych wiejskich chat. Była pewna, że ludzie nie odmówią mleka i strawy, wieś jednak powitała je tragiczną ciszą i pustką. Nie było w chatach nikogo, a niewydojone krowy porykiwały smętnie na pastwisku. W jednej z chat znalazły w piecu ciepły jeszcze chleb. Ola zakasała rękawy i wydoiła krowę, córki patrzyły na nią z podziwem. Czy było coś, czego matka nie umiała? Anna z rozkoszą skosztowała mleka.

– Skąd jednak to opustoszenie? – zapytała Ola, ocierając czoło. – Czemu tak nagle puciekali, chleb jeszcze w piecu...

Odpowiedź przyszła z nieba. Nadleciały niemieckie samoloty, były tak nisko, że ujrzały lufy karabinów, usłyszały serię strzałów i widziały, jak ludzie z konwoju padają jak podcięci, a oszalałe ze strachu konie ponoszą wozy. Kierowca nieznanego auta upadł postrzelony na szybę.

– W kartofle, panie, w kartofle! – wrzasnął ich szofer. – Biegiem przez kartoflisko w krzaki!

Ludzie z innych aut też uciekali w las. Jakaś kobieta dostała napadu hysterii, Ola pochwyliła za ręce jej dzieci, mała dziewczynka śmiała się i nie puszczała jej spódnicy. Kątem oka widziała zakonnicę, która pochyla się nad osieroconym niemowlęciem i martwą matką leżącą obok. Żegnała krzyżem umarłą, przytulała jej dziecko. Wojna – pomyślała – znowu przekłęta wojna.

Podróż przerywana nalotami i ucieczkami do rowów trwała długo. O świcie następnego dnia dotarły wreszcie do majątku Brańczyce, należącego do Jerzego Bułhaka. Jakże piękny wydał się uciekinierkom jasny, rozłożysty dom w otoczeniu jesiennego parku. Wanda Bułhakowa przywitała Olę z otwartymi ramionami, lokaj przeniósł na rękach osłabioną Annę z auta do sypialni.

– Tu u nas cicho jest jeszcze – powiedziała Wanda. – Tylko alarmy przeciwlotnicze dochodzą z pobliskiego miasteczka. Szpital mamy w lewym skrzydle domu. No i mnóstwo pań mieszka teraz we dworze, prawdziwy babiniec. Wszystkie dzielne i chcą pomagać. Ty się połóż, ciociu, prześpij, a jak wstaniesz, pomyślimy, co robić.

Wielki dwór Bułhakowów wypełniony był po brzegi lokatorkami. Wanda przyjęła pod swój dach wszystkie uciekinierki z bombardowanych miast, kuzynki, znajome i sąsiadki. Wszystkie one miały mężów, ojców, braci i narzeczonych w wojsku, same natomiast wciąż jeszcze tkwiły myślami w spokojnym i dostatnim życiu, nie mogły pojąć tej zawieruchy. Do tej pory bomby nie dosięgły ogrodu ani domu Bułhakowów, więc miały poczucie, jakby skryły się przed wojną w słonecznym kawałku świata.

Ola rzeczywiście skorzystała z możliwości wypoczynku, a kiedy się obudziła, Jerzy był już w domu i opowiadał o swoich przygodach na trasie, o zniszczeniach, śmierci i pogorzeliśkach, jakie widział. Był człowiekiem w sile wieku, bo właśnie skończył czterdzieści lat, pełnym humoru i energii, dodawał więc szczypty dowcipu do opowieści, prawił o zwycięstwach polskiego wojska, by, jak mówił, pań nie martwić, a wiele niewiast ma tu na

głowie. Ród męski reprezentował bowiem jedynie on, niejaki Franek – inwalida z pierwszej wojny, i kilku chłopców za młodych na kamasze. Jerzy poprosił Olę o rozmowę na osobności, wyszli więc do ogrodów.

– Olu, kochana ciotko – mówił nagle poważny – przed tobą nie chcę kryć prawdy. To pogrom, kres dawnego świata. Za chwilę i tutaj nie będzie bezpiecznie. Wiem, że mam do czynienia z kobietą oficerem, więc mówię wprost. Kilka sztucerów i strzelb jest we dworze. Niemcy bombardowali już wsie po drugiej stronie rzeki...

Od dworu biegła Wanda, machając do kuzyna i matki.

– Chodźcie, chodźcie no – wołała – kobiety ze wsi przyszły. Szpiega niemieckiego złapały przy moście, dynamit podkładał pod filary.

Jerzy i Ola spojrzeli na siebie. Most był ważny, szły nim koleją na zachód transporty wojsk i amunicji.

– Nazista przebrany za mnicha, wyobraźcie sobie! – opowiadała zadyszana Wanda. – W habicie miał mapy, w worku pokutnym materiały wybuchowe. A most za naszym ogrodem. Przepraszam, Jerzy, że tak mówię za naszym...

Jerzy uśmiechnął się do niej. Miał przecucie, że prawo własności wkrótce niewiele będzie znaczyć. Ola nie słuchała. Obudziła się w niej dawna peowiaczka, komendantka Legionów.

– Musimy założyć warty przy moście – powiedziała stanowczo. – Wyciągaj te sztucery, Jerzy, na początek pójdiesz ty i Franek, potem ja, potem ustalimy dyżur każdej z kobiet.

Ruszyła ku domostwu. Nawet nie przyszło jej do głowy to, co pomyślał Jerzy, że zachowała się jak typowy dowódca i że w razie walki z Niemcami ona będzie tu komendantką.

Jednak nie dane było Oli zostać w Brańczycach. Pewnego spokojnego wrześnieowego wieczoru nadleciały niemieckie samoloty i zburzyły ciszę domostwa. Bomby rwały trawniki i wyrzucały je w górę, jakby w pogardzie dla kruchości kwiatów. Kobiety z krzykiem uciekały do zagajnika, samoloty pikowały ponownie. Gdy odleciały, nastąpiła cisza, a po niej dał się słyszeć pogłos rozpaczliwego płaczu od strony wsi. Na łące leżały martwe dzieci, we młynie zginęła cała rodzina, a kościółek płonął wraz z sąsiednimi zabudowaniami.

Wanda Bułhakowa podeszła do Oli, wzięła ją za rękę.

– Musicie jechać do Wilna – powiedziała cicho. – Ciociu, Anna nie czuje się dobrze, jest wąsko zbudowana. Może potrzebować lekarza, a my tu mamy tylko wiejską babę.

Ola skinęła głową. Siedemnasty września zastał je już w Wilnie, mieście, które pokochała dawno temu, patrząc na nie oczami męża.

■

Początkowo w Wilnie panował spokój i Ola mogła pospacerować uliczkami, które lubiła, zajrzeć na uniwersytet tak ukochany przez Marszałka, że przesyłał mu swoją pensję. Zaszła na cmentarz, na którym w grobie matki złożono jego serce i gdzie spoczęła Zula Kadenacowa, jego ukochana siostra. Zanim zaczęły się pierwsze naloty, można było myśleć, że nie ma żadnej wojny, Wilno tętniło swoim zwykłym życiem, uniwersytet szykował się do roku akademickiego. Ola z córkami otrzymała do dyspozycji mieszkanie należące do uczelni. Zgłosiły się do pracy w Czerwonym Krzyżu, ale niebawem i nad Wilno nadleciały niemieckie samoloty. Miasto zaczęły nękać bombardowania, które 17 września nagle ucichły. Telefony milczały i nigdzie nie można było się dodzwonić. Wieść podawana najstarszą z dróg, z ust do ust, nadchodziła coraz pewniejsza. Na Wilno szli Rosjanie.

– Jako kto? – denerwował się brat Ziuka, Jan Piłsudski, który mieszkał w Wilnie od lat. – Może jako sojusznicy? Kto wie, czy nie było jakiegoś tajnego paktu Rosji z nami, kto wie!

Może idą z nimi czołgi angielskie i francuskie, co?

– Ja im nie wierzę – powiedziała Ola stanowczo – nie wierzę Sowietom, jak nigdy nie wierzył im twój brat, Janie.

– A to czemu nasi dowódcy nie podejmują z nimi walki? Nie mają rozkazów? To już nie jest tyśiąc dziewięćset cztertnasty, Olu.

– Boję się, że pani marszałkowa ma rację – poparł ją wojewoda wileński Maruszewski. – Szybciej się dogadali z Hitlerem. Powiadano o jakimś pakcie Mołotowa. A jak nas wezmą z dwóch stron? Jezus Maria...

– Tego nie udźwigniemy – głucho powiedziała Ola. – Z samym Niemcem może dalibyśmy radę, z samą Rosją radziecką też, jak Finlandia na początku. Ale jeśli wezmą nas w kleszcze, to koniec.

– Pesymiści, pesymiści – szydził Jan Piłsudski. – Rosja to teraz inny kraj! Wie, co to demokracja!

– Mimo wszystko postuluję, by pani marszałkowa jechała na Łotwę – rzekł Maruszewski.

Następne dni rozwiały wątpliwości. Rosjanie wchodzili na ziemie polskie jako sojusznicy hitlerowskich Niemiec w myśl zobowiązań paktu Ribbentrop-Mołotow. Władze Wilna ogłosiły stan wojny z Rosją radziecką i szykowały się na odpór Armii Czerwonej. Jasne stało się, że żona i córki marszałka Piłsudskiego muszą uchodzić z miasta, nawet Niemcy mieliby zapewne więcej szacunku dla tego nazwiska niż Sowietci.

– Janie, jedź z nami. I ty, Kaziu – namawiała Ola braci Ziuka. – Nie będą mieć litości dla braci Piłsudskiego.

– Nigdzie nie jadę – odpowiedział Jan. – Przyjdą, to przyjdą. Co mi zrobią? Nie pozwolą mi mieszkać we własnym domu? Wywiozą mnie na Sybir? Może każą miasto opuścić, co? Kazio też się nie ruszy z Wilna.

Zostali obaj. Została też Anna, chociaż i ją Ola namawiała do ucieczki. Anna jednak lada dzień spodziewała się rozwiązania i nie chciała oddalać się od lekarzy i szpitali. Martwiła się o dziecko, o to, by urodziło się szczęśliwie.

Los matek – pomyślała Ola. – Wojna czy nie wojna, troska o to nowe życie najważniejsza.

Pożegnała się z nimi serdecznie i podążyła ku granicy. Spojrzała jeszcze ku ojczyźnie, gdy przekraczali granicę z Litwą. Pozostawiała za sobą Polskę, o którą walczyła z całych sił dwadzieścia lat temu, którą witała łzami wzruszenia odzyskaną po latach niewoli. Wiedziała, że będzie tęsknić za krajem, że zazna odwiecznego bólu polskich tułaczy, że zrobi wszystko, by wrócić. Nie przypuszczała zapewne, że stąpa po polskiej ziemi po raz ostatni. Otwierała się przed nią i córkami przyszłość emigrantek. Jechała teraz przez drogi pełne uciekinierów, zatrzymywała się w zajazdach tak zatłoczonych, że nie było gdzie wetknąć szpilki. Nazwisko jej otwierało zamknięte drzwi, znajdowało nocleg, choćby to było własne łóżko gościnnych właścicieli. W Kownie spotkała się z kuzynami. Naradzali się, znajomy polski poseł dzwonił do ambasad, zasięgając wiedzy dzięki swoim dyplomatycznym kontaktom.

– Litwa obawia się napaści ze strony Rosji w każdej chwili – powiedział kuzyn Butler. – Potem przyjdzie kolej i na Łotwę. Trzeba wam, Olu, jechać do Rygi, stamtąd do Szwecji i do Wielkiej Brytanii albo Francji.

Plan poparł ambasador Raczyński w Londynie. Ola uległa i przyjęła zaproszenie. Następne dni minęły jak we śnie. Sztokholm, miły ambasador, serdeczny minister Potworowski, kilka dni w spokojnej i dostatniej gościnie u niego, a jednak pełne niepokoju. Doniesienia o dziwnej wojnie, o okupacji Warszawy, Wilna, Lwowa. Wywiad do gazety szwedzkiej. Ola ze

zdziwieniem zrozumiała nagle, że dziennikarka nie wierzy jej, iż w Polsce kobiety miały prawo głosu i były posłankami. Kolejny rejs, samolot, zresztą specjalny, bo zwykły mógł zostać ostrzelany. Kolejny strach, chyba tylko Jagoda miała z tego lotu frajdę. Wreszcie Aleksandra Piłsudska z córkami postawiła stopę na londyńskim lotnisku. Dopiero po wylądowaniu pilot wyznał, że musiał się natrudzić, by zgubić niemiecki samolot, który siedział mu na ogonie.

– Tylko ciemne chmury pomogły ocalić nam życie – powiedział. Odetchnął z ulgą, że udało mu się dostarczyć panie Piłsudskie do Londynu całe i zdrowe. Witął je ambasador Edward Raczyński i generał Norwid-Neugebauer. Państwo Raczyńscy z serca zapraszali do swojego domu. Ola popatrzyła na niebo. Dotknęła ją jak pocisk świadomość, że są na obcej ziemi, że są wygnańcami bez domu i bez ojczyzny, że nie wiadomo, co je czeka. I nie tylko je, ale cały świat, tak kruchy, pogrążony w ogniu wojny. Bezpieczeństwo? Cóż to jest? Ola popatrzyła na córki, z uśmiechem uniosła głowę. Nigdy zbytnio nie lękała się niebezpieczeństwa. Nigdy nie oczekiwała od losu dostatków, a ślubowała walczyć za Polskę. Widać misja ta jeszcze się nie skończyła. Tu, na angielskiej ziemi, bywał Ziuk, gdy bił się o wyzwolenie – ta myśl mocno ją pokrzepiła. Miały ręce gotowe do pracy, otwarte głowy i wiarę.

– Damy sobie radę, dziewczynki – powiedziała – i będzie jeszcze wolna Polska, zobaczycie.

Ujęła je pod ręce i poszły we trzy w nieznaną przyszłość. Być może majaczył w głowie Oli obraz domu polskiego, domu o białych ścianach, z kolumnkami, otoczonego modrzewiami, tak daleko, w innym życiu.

■

Kamienny Dwór i ostatnie spokojne wakacje w Polsce były już przeszłością. „W ciszy ogrodu i zapachu dojrzewających owoców, otoczona spokojnym życiem wsi zapomniałam o groźbie wojny” – napisała o tych dniach we *Wspomnieniach* powstających strona po stronie w londyńskim mieszkaniu przy Albert Bridge, a potem w kolejnych mieszkaniach na obczyźnie. W robotniczym domku, w którym zajmowała z córkami dwa pokoje, jeden odnajmowała, by utrzymać siebie i dzieci, w drugim uczyła się życia na emigracji. Nie chciała pensji przyznanej przez generała Sikorskiego, uważała, że są bardziej potrzebujący: kombatanci, wdowy i sieroty. Wojna nie dawała o sobie zapomnieć. Wanda spełniła swoje marzenie i miała zostać lekarzem psychiatrą. Jeździła wciąż do szpitala, do ofiar frontów, by wspierać ich umysły, okaleczone straszliwymi przeżyciami. Jagoda kończyła politechnikę i zamierzała zająć się projektowaniem wnętrz, chociaż samoloty nie wywietrzały jej z głowy, o nie, całą wojnę pracowała w lotnictwie. W roku 1944 wyszła za mąż. Już lepiej się im teraz działo, już skończyła się wojna, i nawet Polska istniała, tylko obca, ludowa, nie było do niej powrotu.

– Tymczasem – mówiła Ola – tymczasem.

Tu, na obczyźnie, nadal była sobą, działała w organizacjach kobiecych, prowadziła odczyty, organizowała spotkania emigrantów. Tu witała na świecie swoje wnuki, dzieci Jagody. Tu przybył wreszcie Jan, brat Ziuka, po strasznych przejściach z Sowietami. Aresztowany przez NKWD, więziony na Łubiance, roztrzęsiony i trapiiony poczuciem winy, bo Kazio po trudach więzienia zmarł na Syberii i grób jego białł samotnie w dalekim Uzbekistanie. I Jana przyszło pogrzebać na cmentarzu we Wrexham w 1950 roku. Z sześciu braci Piłsudskich nie żył już żaden, a niewątpliwie Józef zaszedł najwyżej. Wiele czyniła dla upamiętnienia dzieła swojego męża, *Wspomnienia* też miały temu służyć, chociaż chciała ocalić od zapomnienia także swoje dzieciństwo i młodość, te dziwne czasy, które minęły zbyt szybko. Czasy konspiracji i kolejnych wojen, trudne dni zmartwień, rozstań, szczęśliwych narodzin i budowania domu, ojczyzny. Co działo się teraz z Milusinem w Sulejówku? A z Kamiennym Dworem? Łzy zakręciły się

w oczach dawnej towarzyszki Oli, Aleksandry Piłsudskiej z domu Szczerbińskiej, chociaż nie była skłonna do płaczu ani do uzalania się na sobą. Po prostu tęskniła.

■

Miała niegdyś na Podlasiu dom zwany Kamiennym Dworem, symbol ojczyzny, bo tak jak soplicowski, wśród drzew, podmurowany i na wskroś polski. Bliższy był jej sercu niż Belweder. Kiedy opuściła Polskę, która tak wiele znaczyła dla niej i jej pokolenia, miała pięćdziesiąt siedem lat i dalsza część jej życia upłynęła już na emigracji. Ola Szczerbińska z Suwałk, marszałkowa Aleksandra Piłsudska, pierwsza dama II Rzeczypospolitej, działaczka na rzecz ludzi słabszych i potrzebujących, a nade wszystko kobieta żołnierz walcząca o wolność Polski, odznaczona orderem Virtuti Militari, za życia nigdy nie powróciła do ojczyzny.

25 Przemówienie Stefana Starzyńskiego z 1.09.1939 roku.

## ■ POSŁOWIE

„Miałam kiedyś dwór na Podlasiu”, napisała Aleksandra Piłsudska już wiele lat po wojnie, z dala od ojczyzny. Poruszyło mnie to wspomnienie. Sama jestem Podlasianką, wychowałam się kilkanaście kilometrów od Kamiennego Dworu, domu Piłsudskiej. To naznaczone tęsknotą zdanie zbliżyło mnie do niej, chociaż nie od niego zaczęła się przygoda z pisaniem o jej życiu.

### STO LAT TEMU W SUWAŁKACH...

Przygoda zaczęła się od albumu *Suwałczanki*<sup>26</sup>, który trafił na moje redaktorskie biurko w Warszawie. Album o kobietach z początku XX wieku, społecznicach, patriotkach, a przy tym żonach, matkach, córkach – takich jak my, tyle że sto lat temu. Z okładki albumu patrzyła na mnie śliczna i elegancka Maryla Zawadzka w kapeluszu z piórem, w szmizetce dokładnie zapiętej pod szyją. Na dalszych stronach zapomniane damy w tiurniurach i koronkach. Strona 37 – zdjęcie i notatka o Aleksandrze Szczerbińskiej, późniejszej żonie Józefa Piłsudskiego. Fotografia pochodziła z 1901 roku. Podpis: „Absolwentka Gimnazjum Żeńskiego, działaczka niepodległościowa”. Ze zdjęcia patrzy dziesięcioletnia ładna dziewczyna, jakby powstrzymująca śmiech. Wszystko jeszcze przed nią. Wszystko, czyli co? Konspiracja, wojna, miłość. Droga z Suwałk do Belwederu, z guberni carskiej do wolnej Polski. Jak to „wszystko” mogło się wydarzyć? Rozpoczęłam *research* od stron internetowych, zasobów bibliotek i dostępnych w archiwach dokumentów. Muzeum w Suwałkach, wydawca albumu, akurat prezentowało wystawę pod tytułem *Ola z ulicy Krzywej*. Aleksandra wychowała się bowiem w domu swojej babki, Karoliny Zahorskiej, przy Krzywej 10. Pojechałam tam, zobaczyć wystawę i miejsce, w którym przyszła na świat. I tak to się zaczęło.

Ekspozycja odtwarzała mieszkanie z początku wieku. Przez stylowe drzwi przeszłam do minionego czasu, zastygłego w pokojach i kuchni Zahorskich. „Tygodnik Ilustrowany”, okulary i robótka zostawione na stole w salonie, jakby wciąż czekały na właścicielkę. Mahoniowe meble, serwantka z lustrzaną ścianą, książki polskie kolportowane potajemnie. Wrażenie zrobiła na mnie drobna rzecz: obok damskich rękawiczek leżał rewolwer w podróżnym sakwojażu. Czy należał do „działaczki niepodległościowej” Aleksandry?

### DYNAMIT W GORSECIE

Mija sto lat od odzyskania niepodległości, bardzo okrągła rocznica. Wśród sukcesorów zwycięstwa królują mężczyźni, dyplomaci, oficerowie. Ciche bohaterki, wywiadowczynie w kieckach do kostek, które przenosiły dynamit w gorsetach, gromadziły broń, kpiły z wroga i narażały się na Sybir, nie figurują ani w podręcznikach, ani na pomnikach. Wśród nich ona – konspiratorka, uczestniczka wielu akcji, komendantka oddziału kobiecego w Legionach, odznaczona orderem *Virtuti Militari*. Aleksandra Szczerbińska, potem Piłsudska, pseudonim „Ola”. Życiorys jak scenariusz filmu sensacyjnego, romantycznego i patriotycznego, niepozbanionego humoru. O mężu jej napisano wiele. O niej właściwie nic. Zapraǳnęłam to nadrobić.

Tym samym zrodziło się pytanie, jak poznać bohaterkę, jej charakter, poglądy, emocje.

Listów jest mało, zdjęcia, owszem, pokazują stroje i sylwetki, czasem relacje między ludźmi, ale o reszcie spraw milczą. Dokumenty niewiele mówią o uczuciach. Wywiad i spotkanie z Olą są już niemożliwe... ale spotkanie z jej myślami – i owszem. Aleksandra Piłsudska zostawiła bowiem *Wspomnienia*. Pisała o swoim życiu, ale jednak niezbyt dużo o sobie, bo inni



ludzie zajmowali poczesne miejsce w jej wspomnieniach z lat konspiracji i walki. Ale dzięki jej słowom i komentarzom, temu, co ukryła między wierszami, poznałam ją samą, jej sposób myślenia i powściągliwość w ocenach. Miałam do czynienia z osobą skromną, zdecydowaną i odważną. O tym świadczyły jej decyzje i działania, nie opisy. *Wspomnienia* stały się podstawą do snucia domysłów, jak mogła postrzegać świat, z czego się śmiała, a co było dla niej święte i godne szacunku. Uzupełniałam wiedzę zapiskami innych osób, listami, artykułami, publikacjami, dokumentami z muzeów. Spotkałam pasjonatów epoki i tego fragmentu polskiej historii. Wszystkim, którzy zechcieli mi pomóc, serdecznie dziękuję.

## LUDZIE I MIEJSCA

Ludzie mi sprzyjali. Niestety tych, którzy pamiętają pokolenie Oli, jest coraz mniej. Nie żyją obie córki Aleksandry i Józefa Piłsudskich, Wanda i Jagoda, które mogłyby najwięcej opowiedzieć o swoich rodzicach. Zachowało się nieco wywiadów z nimi, bije z nich serdeczność, wyraźne jest poczucie mocnej więzi rodzinnej, wspomnienie domu pełnego miłości. Nie mam wątpliwości, że o to, by taki był dom w Sulejówku czy w Belwederze, dbała ich matka, dla żyjących potomków – już babcia. Miałam przyjemność spotkać się z paniami Joanną Onyszkiewicz i Jadwigą Jaraczewską, czyli kobietami z pokolenia wnuków Aleksandry. Za spotkanie i życzliwość wobec projektu dziękuję. Bardzo wiele zawdzięczam pani Jadwidze Jaraczewskiej – jej podpowiedziom, mejlom, które przychodziły w chwili zwątpienia, kontaktom do ludzi, którzy pamiętali moją bohaterkę. I idąc taką ścieżką, od człowieka do człowieka, od wspomnienia do wspomnienia, mogłam budować świat Aleksandry. Czasem wyłowiłam ze wspomnień opisy walk, a czasem drobiazg: kolor szkolnego mundurka, domowy zwyczaj, ulubione ciasto – rzeczy małe, bez których można ułożyć życiorys, ale nie opowieść o życiu.

Poznałam przemiłą panią Anielę Uziębło, szkolną koleżankę córek marszałka Piłsudskiego. Wspominała z sympatią ich matkę, która osobiście odwoziła dziewczynki do gimnazjum szachtmajerek. Inna wspaniała osoba to pani Hanna Zbirohowska-Kościa, uczestniczka powstania warszawskiego. Losy jej rodziny to materiał na kolejną opowieść. Jej matka, pani Halina Czarnocka, działaczka społeczna, przyjaźniła się z Aleksandrą w czasach, gdy obie musiały pozostać na obczyźnie. Panią Hanię i jej córkę Krystynę Kościa-Dumas poznałam w Londynie. Wybrałam się tam, by odwiedzić miejsca, w których mieszkała Ola Piłsudska z córkami, i skorzystać ze zbiorów Instytutu Józefa Piłsudskiego, a także Instytutu Polskiego im. gen. Sikorskiego. Dziękuję za pomoc pracownikom obu Instytutów, dziękuję serdecznie pani Eugenii Maresch z Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie, która udzieliła mi prawdziwie polskiej gościny.

Tak się jakoś składało, że na szlaku moich poszukiwań pojawiali się ludzie niezwykle życzliwi. Nazwisko Aleksandry Piłsudskiej wzbudzało szacunek, otwierało serca. Informacja, że chodzi nie tylko o przybliżenie jej postaci, ale także o pokazanie kobiet walczących o niepodległość, zawsze mobilizowała panie, które chętnie mi pomagały, tak w Warszawie czy Londynie, jak i w Suwałkach i na Podlasiu, tu, gdzie Aleksandra Piłsudska miała wspomniany dom. Kamienny Dwór wciąż stoi nieopodal Pietkowa, w którym wprawdzie nie ma już pałacu Krasickich ani nie odbywają się rauty, ale rzeka Liza płynie jak niegdyś i wciąż trwa pamięć o Dziesiątym Pułku Ułanów Litewskich. Historia żyje tutaj, bo są ludzie, którzy pielęgnują pamiętki po kawalerii, a duszą idei jest moja koleżanka z lat szkolnych, Marta Jaworska, której składam podziękowania za pomoc. Marta z pasją zajmuje się historią Dziesiątego Pułku, a za sprawą zdjęć i opowieści zabrała mnie w czasy, kiedy w pietkowskim pałacu tętniło życie, kwitł egzotyczny ogród hrabiny Elżbiety i gościem bywała tu sąsiadka z Kamiennego Dworu –

marszałkowa Aleksandra Piłsudska z córkami. Miejsce to i jego mieszkańców opisał Piotr Sobieszcak w publikacji *Pietkowo. Pomiędzy dworem a wsią*<sup>27</sup>, z której także korzystałam. Zresztą bez historyków moja książka by nie powstała, więc za konsultację historyczną, za użyczone dokumenty dziękuję też pani Magdalenie Wołowskiej-Rusińskiej i Krzysztofowi Skłodowskiemu z Muzeum im. Marii Konopnickiej w Suwałkach, autorom wspomnianego albumu *Suwałczanki*.

OLA

Mimo pomocy przychodziły momenty, w których myślałam, że to mnie przerasta. Powieść o kobiecie, która nosiła najszlachetniejsze nazwisko Polski międzywojennej, była pierwszą damą Drugiej Rzeczypospolitej, a przy tym skromną osobą, kochała i była kochana. Jak napisać prawdę, uzupełnić białe plamy, nikogo nie pomówić, a z drugiej strony nie idealizować, bo piszę o ludziach z krwi i kości, nie o aniołach czy posągach. Rekonstrukcja przemysłów. Budowa dialogów, zastanawianie się, co mogli mówić do siebie, jakimi słowami? W powieści trzeba zajrzeć do miejsc i sytuacji, w których byli tylko bohaterowie i niczego nie notowali... Są sceny, które odważyłam się zbudować, bo wspomnienia czy dokumenty sugerują, że mogły właśnie tak wyglądać. Są też jednak drzwi, których nie otwierałam, uważałam, że nie mam prawa, że zbyt mało istnieje przesłanek, by spekulować, co się za nimi działo. Ale – w miarę jak poznawałam bohaterkę – umacniało się we mnie przekonanie, że ona chciałaby tej książki. Powiesiłam sobie nad biurkiem jej zdjęcie. Kiedy ogarniało mnie zwątpienie, zerkałam w oczy Oli i zwykle zdarzało się coś, co motywowało mnie do pracy: mejl lub telefon, jakiś nowy ślad albo pytanie od kogoś z kręgu wtajemniczonych w to, o czym piszę. Nabrałam pewności, że chciałaby, by pokolenie prawnuczek dowiedziało się, jakie były ich prababki. A były to patriotki, odważne, czasem szalone w walce i w miłości.

Dziś mogę już napisać: książka skończona. Teraz zacznę żyć własnym życiem. Jeśli uda się jej dotrzeć do serc i wyobraźni Czytelników, to będę żywić nadzieję, że i moja bohaterka byłaby z niej zadowolona. Aleksandra, której słowa czytałam po wiele razy w swoim podlaskim domu, o której rozmyślałam, której śladów szukałam w bliskich jej miejscach, nigdy już nie będzie obcą mi osobą, lecz Olą. Dlatego zapraszam do opowieści o Oli Piłsudskiej.

*Katarzyna Droga*

26 Magdalena Wołowska-Rusińska, Krzysztof Skłodowski, *Suwałczanki. Historie opowiedziane szeptem zachwytu*, Suwałki 2013.

27 Piotr Sobieszcak, *Pietkowo. Pomiędzy dworem a wsią*, Łapy 2014.



*Aleksandra i Józef Piłsudscy z córkami*



*Aleksandra Szczerbińska, 1919*



*Aleksandra Piłsudska z córkami, 1933*



*Aleksandra Piłsudska z córkami w Belwederze, 1934*





*Dom Aleksandry Szczerbińskiej w Suwałkach*



*Aleksandra i Józef Piłsudscy z przyjaciółmi, 1934*



*Od prawej: brygadier Józef Piłsudski, Aleksandra Szczerbińska, Maria Michalewska, porucznik Bolesław Wieniawa-Długoszowski w Zakopanem, 1916*